

David
Morrell

Droga do Sieny

Przekład
Jerzy Kozłowski



Tytuł oryginału
BURNT SIENNA

Redakcja stylistyczna
MAGDALENA MAKOWSKA

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
GRAŻYNA NAWROCKA
HANNA SZAMALIN

Ilustracja na okładce
ADRIAN CHESTERMAN

Projekt graficzny okładki
STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

For the Polish edition ©Copyright by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. 1999

ISBN 83-7245-155-9

Spis treści:

Część pierwsza	4
Część druga.....	32
Część trzecia	53
Część czwarta.....	74
Część piąta	90
Część szósta	104
Część siódma	139
Część ósma.....	173
Część dziewiąta.....	207
Część dziesiąta	232
Epilog.....	260

Część pierwsza

1

Z „Newsweeka”

„Stare dzieje. Nie wracam do nich myślami”, twierdzi Malone. Ale skoro - zdaniem krytyków - od czasów impresjonistów nie było artysty, którego dzieła stanowiłyby tak wielką pochwałę życia, trudno oprzeć się uczuciu, że jego niezwykła wrażliwość jest odreagowaniem koszmaru, z którego ledwie uszedł zżyciem. Koszmaru, który miał miejsce w nocy dwudziestego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku podczas amerykańskiej inwazji na Panamę.

Malarz, który kiedyś służył w wojsku, jako pilot helikoptera: w bezlitośnie konkurencyjnym świecie dzisiejszej sztuki ten dramatyczny kontrast między wojskową przeszłością a artystyczną terażniejszością Malone’a częściowo tłumaczy jego sukces. Lecz choć żołnierskie korzenie malarza wydają się egzotyczne niektórym bywalcom galerii, początkowo sceptycznie nastawiły one również krytyków, wątpiących w wartość jego prac. Potwierdził to Douglas Fennerman, przedstawiciel artystyczny Malone’a: „Chase musiał czynić zdwojone wysiłki, żeby zapracować na reputację, jaką sobie zyskał. Z tego punktu widzenia żołnierska przeszłość nie zawadza - jeśli chce się przetrwać na wojnie nowojorskich galerii”.

Niewątpliwie Malone bardziej przypomina żołnierza niż stereotypowego artystę. Metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, muskularna sylwetka, ogorzała twarz o atrakcyjnych, nieregularnych rysach. Udziela wywiadu na plaży niedaleko swego domu w meksykańskim kurorcie Cozumel tuż po codziennej porcji ćwiczeń, na które składa się ośmiokilometrowy jogging i godzina gimnastyki calisthenics. Jego piaskowe włosy, rozjaśnione jeszcze od karaibskiego słońca, odpowiadają kolorem zarostowi na brodzie, co jeszcze bardziej podkreśla jego

surową urodę. Poza plamami farby na podkoszulku i szortach, nic nie wskazuje na jego obecność w świecie sztuki.

Ma trzydzieści siedem lat, ale nietrudno sobie wyobrazić, że wyglądał podobnie w żołnierskim mundurze dziesięć lat temu, gdy panamska rakietka zestrzeliła jego helikopter. Wydarzenie to miało miejsce o drugiej nad ranem dwudziestego grudnia. Choć Malone nie chce wracać do tego incydentu, Jeb Wainright, drugi pilot, który został z nim zestrzelony, wszystko doskonale pamięta.

„W nocy latało dookoła tyle rac i rakiet, nie mówiąc już o pożarach rozniecanych przez eksplozje na ziemi, że wyglądało to jak obchody Święta Niepodległości. Tyle, że w piekle. Muszę przyznać, że to my uderzyliśmy, jako pierwsi z powietrza: dwieście osiemdziesiąt pięć samolotów i sto dziesięć śmigłowców. Niczym rój gigantycznych os z cholernie wielkimi żądlami. Czterdziestomilimetrowe działa Vulcan, stopięciomilimetrowe haubice, sterowane laserowo pociski przeciwczołgowe. Cały arsenał”.

Jednym z głównych celów była kwatera główna panamskich sił zbrojnych, przypominający fabrykę budynek w ubogiej dzielnicy Panamy, zwanej El Chorrillo, „strumyczek”. Amerykańscy strategowie wojskowi domyślali się, że wróg tam właśnie umieścił swą kwaterę, aby panamskie wojska mogły wykorzystać dwadzieścia tysięcy mieszkańców El Chorrillo jako tarczę ochronną.

„I coś takiego rzeczywiście się stało”, kontynuuje Wainright. „Gdy nasze helikoptery zaatakowały kwaterę, nieprzyjaciół rzucił się do ucieczki, szukając schronienia w okolicy. Ale my nie dawaliśmy za wygraną i właśnie wtedy Chase zaczął krzyżeć do radiowego mikrofonu, powiadamiając dowództwo, że pod ostrzałem znaleźli się cywile. I faktycznie. Niemal w tej samej chwili w płomieniach stanęło pięć bloków. Zanim dowództwo zdołało odpowiedzieć, zostaliśmy trafieni. Wciąż pamiętam, jak zaszczekały mi zęby od eksplozji. Chase usiłował utrzymać kontrolę nad maszyną Kabina wypełniła się dymem, zaczęło nami rzucać i kolebać i cały czas spadaliśmy. Chase jest najlepszym pilotem, jakiego widziałem, ale wciąż nie wiem, jak udało mu się bezpiecznie ściągnąć nas na ziemię”.

Koszmar dopiero się zaczynał. W ciemnościach, pośród pożarów, które się rozprzestrzeniały, Malone i Wainright walczyli o przetrwanie. Gdy

dwadzieścia tysięcy mieszkańców El Chorrillo w panice zalało labirynt uliczek, do Malone'a i jego towarzysza strzelali panamscy żołnierze, a także amerykańskie samoloty, których załogi nie zdawały sobie sprawy, że na ziemi znajdują się amerykańscy lotnicy.

„Kula trafiła mnie w nogę”, relacjonuje Wainright.” Nie mam pojęcia, z której strony. Gdy cywile mijali nas w pośpiechu, Chase założył mi na nogę opaskę uciskową, wziął mnie na plecy i ruszył dalej, unikając ognia. W pewnym momencie musiał użyć pistoletu przeciw panamskim żołnierzom ukrytym w jednym z budynków. Później dopiero uświadomiłem sobie, że gdy nas stamtąd wydostał, był już świt. Siedzieliśmy oparci o jakiś mur w deszczu sadzy, gdy zjawily się amerykańskie czołgi i miotacze ognia, żeby zrównać z ziemią to, co pozostało po El Chorrillo. Tej nocy zginęło dwa tysiące cywili. Bóg tylko wie, ilu zostało rannych. Wszyscy stracili dach nad głową”.

Wkrótce potem Malone wystąpił z wojska.

„Chase zawsze coś rysował, gdy nie ćwiczyliśmy”, wspomina Wainright. „Czasem nawet, zamiast wyjechać na przepustkę, zostawał w koszarach i pracował nad swymi szkicami. Było rzeczą oczywistą, że ma talent, ale nie miałem pojęcia, że tak wielki. Zrozumiałem to dopiero wtedy, gdy postanowił uczynić z malarstwa sposób na zarabianie pieniędzy. Tej nocy w El Chorrillo podjął decyzję i nigdy jej nie pożałował”.

Osoby oglądające obrazy Malone'a nie znajdują w nich choćby cienia przemocy. Zwykle są to barwne pejzaże. Ich tętniące życiem detale, które przywodzą na myśl dzieła van Gogha, lecz jednocześnie są jego znakiem szczególnym, świadczą o głębokiej radości życia, zmysłowej rozkoszy napawania się naturą, o przedstawienie, czego mógłby pokusić się jedynie ktoś, kto przeżył spotkanie oko w oko z apokalipsą przemocy i śmierci...

2

Fale szemrały, sięgając sportowych butów Malone'a, a w morzu odbijało się zachodzące słońce, tworząc odcień czerwieni, który - odnosił takie wrażenie - nie istniał nigdy przedtem. Zdawał sobie sprawę z gruboziarnistego piasku pod nogami, z balsamicznej bryzy, która rozwiewała jego grube kręcone włosy, i z płaczliwych krzyków latających mew. Podnosząc pędzel do na wpół ukończonego obrazu, pragnął

zawrzeć w nim to wszystko: nie tylko kształty i kolory, lecz również dźwięki, zapachy, a nawet smak słonego powietrza. Pragnął dokonać niemożliwego i wpleść do formy wizualnej wszystkie inne zmysły, aby osoba oglądająca obraz poczuła, co przeżywał, stojąc w tym właśnie miejscu, w tej magicznej chwili, podziwiając cudowny zachód słońca, zupełnie jakby oglądał go po raz pierwszy w życiu.

Nagle coś przykuło jego uwagę. Gdy służył w armii, zdolność rejestrowania kilku szczegółów naraz pozwalała mu przeżyć, lecz teraz dostrzegł ruch kątem oka nie, jako żołnierz, lecz jako artysta.

Ktoś nadchodził z prawej strony. Wyłonił się spośród palm, które rosły sto metrów od opuszczonej plaży, w pobliżu miejsca, gdzie kończyła się niewidoczna z plaży droga. Przesuwający się cień przybrał formę krępego mężczyzny, który wyszedł na piasek. Intruz podniósł rękę, żeby osłonić okulary przed oślepiającym słońcem, i wlepił wzrok w Malone'a. Nieznajomy podchodził coraz bliżej i wtedy okazało się, że jego ciemny garnitur ma barwę fioletowo-niebieską. Czerń jego butów pokryła szybko biel piaskowego pyłu. Teczka koloru kredowo-szarego, który pasował do jego włosów, miała guzki: prawdopodobnie zrobiono ją ze strusiej skóry.

Malone nie dziwił się wcale, że nie usłyszał samochodu nieznajomego. W końcu huk przybrzeżnych fal skutecznie zagłuszał odległe dźwięki. Nie dziwiło go również ponure ubranie intruza; niektórzy znerwicowani biznesmeni nie potrafili się zrelaksować nawet w tak bajecznym miejscu. Zastanowił go jednak fakt, że nieznajomy kroczył w jego kierunku ze zdecydowaniem, które świadczyło o tym, że chce się widzieć z Malone'em, choć ten nikomu nie powiedział, gdzie się wybiera.

Zauważył to wszystko, choć udawał zaabsorbowanego pracą, i pod pretekstem konieczności odwrócenia głowy w stronę palety rzucał ukradkowe spojrzenia w kierunku nadchodzącego mężczyzny. Pogłębiając szkarłat na płótnie, słyszał już wyraźny chrzęst butów intruza na piasku.

Chrzęst ustał w odległości wyciągniętej ręki po prawicy Malone'a.

- Pan Malone?

Malone zignorował pytanie.

- Nazywam się Alexander Potter.

Malone nadal nie zwracał na niego uwagi.

- Rozmawialiśmy wczoraj przez telefon. Upowiedziałem pana, że dzisiaj przylecę.

- Marnuje pan czas. Myślałem, że wyraziłem się jasno. Nie jestem zainteresowany.

- Wyraził się pan bardzo jasno. Tyle tylko, że mój pracodawca nie przyjmuje odmownych odpowiedzi.

- Więc niech się zaczyna przyzwyczajając. - Malone nałożył więcej farby na płótno. Mewy nie przestawały zawodzić. Minęła minuta.

Milczenie przerwał Potter.

- Może chodzi o wyższe honorarium. Przez telefon wspomniałem o dwustu tysiącach dolarów. Mój pracodawca upoważnił mnie do podwojenia tej sumy.

- Nie chodzi o pieniądze. - Malone wreszcie odwrócił się do intruza.

- A więc, o co chodzi?

- Kiedyś musiałem wypełniać wiele rozkazów.

Potter kiwnął głową.

- Pana doświadczenia z wojska.

- Gdy wystąpiłem z armii, obiecałem sobie, że od tej pory będę robił tylko to, na co ja mam ochotę.

- Pół miliona.

- Zbyt długo wypełniałem polecenia. Wiele z nich nie miało sensu, ale i tak musiałem się do nich stosować. Wreszcie postanowiłem chwycić ster w swoje ręce. Problem polegał na tym, że potrzebowałem pieniędzy i musiałem złamać złożoną sobie obietnicę. Człowiek, który mnie wynajął, miał inne poglądy na różne sprawy. Ciągłe krytykował moje prace i nie chciał płacić.

- Tym razem będzie inaczej. - Krawat Pottera miał czerwone, niebieskie i zielone paski: barwy klubu Ivy League, który nigdy nie przyjąłby Malone'a i do którego nigdy nie chciałby należeć.

- Wtedy też było inaczej - odparł Malone. - Proszę mi wierzyć, przekonałem go, żeby zapłacił.

- Miałem na myśli, że tym razem nikt nie będzie krytykował pańskich prac. Jest pan zbyt sławny. Sześćset tysięcy.

- Nikt nigdy nie zapłacił tyle za żaden z moich obrazów.

- Mój szef zdaje sobie z tego sprawę.

- Dlaczego? Dlaczego chce tyle płacić?

- Ceni sobie rzeczy unikatowe.

- Mam tylko namalować portret?

- Nie Zlecenie obejmuje dwa obrazy. Portret twarzy oraz całej postaci. Akt.

- Akt? Rozumiem, że to nie pańskiego szefa mam malować?

Malone żartował, lecz Potter widocznie nie grzeszył poczuciem humoru.

- Jego żonę. Pan Bellasar nie pozwala się nawet fotografować.

- Bellasar?

- Derek Bellasar. Nazwisko jest panu znajome?

- Zupełnie nie. A powinno być?

- Pan Bellasar jest bardzo potężny.

- Tak, zapewne przypomina sobie o tym każdego ranka.

- Słucham?

- Skąd pan wiedział, gdzie mnie szukać?

Nagła zmiana tematu sprawiła, że za okularami Pottera przemknął cień dezorientacji. Podniósł brew, co mogło ująć za srogą minę.

- To żadna tajemnica. Galeria na Manhattanie, która pana reprezentuje, potwierdziła fakt podany w ostatnim numerze „Newsweeka”. Że mieszka pan na Cozumel.

- Nie o to pytałem.

- Skąd wiedziałem, gdzie telefonować? - Twarz Pottera wyrażała znów całkowitą pewność siebie. - Żaden sekret. W artykule wspomniano o pańskim umiłowaniu prywatności, że nie ma pan telefonu i mieszka w słabo zaludnionej części wyspy. W artykule wspomniano również, że jedynym budynkiem w pobliżu pańskiego domu jest restauracja „The Coral Reef”, gdzie odbiera pan pocztę i przyjmuje telefony w interesach. Wystarczyło tylko wykazać się odpowiednią uporczywością i dzwonić do skutku, aż się pana zastanie.

- O to też nie pytałem.

- Obawiam się, więc, że nie rozumiem.

- Skąd pan wiedział, że jestem tutaj? - Malone wskazał palcem na piasek pod stopami.

- Ach, już wiem. Ktoś z restauracji poinformował mnie, gdzie mam pana szukać.

- Nieprawda. Przyszedłem tu pod wpływem impulsu, nikomu o tym nie mówiąc. Jest tylko jedna możliwość - kazał mnie pan śledzić.

Twarz Pottera nie zmieniła wyrazu. Nawet nie mrugnął okiem.

- Jest pan nieznośny - uznał Malone. - Proszę odejść.

- Może porozmawiamy przy kolacji.

- Słuchaj no pan, ile razy mam powtarzać słowo „nie”?

3

Potter siedział przy stoliku bezpośrednio naprzeciwko wejścia, wpatrując się w drzwi, przez które przeszedł Malone. Jego ponury garnitur kontrastował z kolorowymi ubraniami licznych turystów, którzy pokonali dziesięć kilometrów z jedyne miasta na wyspie Cozumel, San Miguel, żeby znaleźć się w tej znanej w okolicy restauracji. Jeszcze kilka lat temu „The Coral Reef” była jedynie barem z piwem i przekąskami dla nurków, których wabiły czyste wody pobliskiej rafy. Z czasem lokal rozwinął się i teraz umieszczano jego nazwę w każdym przewodniku turystycznym o Cozumel jako atrakcję, której nie wolno ominąć. Wprawdzie Potter miał prawo tu przyjść, lecz choć restauracja była zwykle pełna ludzi, Malone uważał ją za swój azyl i nie podobało mu się, że Potter naruszył jego granice.

Przystanął i posłał Porterowi długie gniewne spojrzenie, po czym odwrócił się do Yata Balama, właściciela lokalu o okrągłej głowie, szerokiej twarzy i wysokich kościach policzkowych. Przybierając łagodniejszy wyraz twarzy, Malone przywitał się z nim. Nigdy nie potrzebował do szczęścia wielu przyjaciół. Jako jedynak wychowywany przez samotną matkę, pozostawiany często w dzieciństwie samemu sobie, oswoił się z samotnością i z faktem, że stanowi dla siebie jedyne towarzystwo. Nie czuł się wyizolowany, mieszkając zdaleka od jedyne miasta na tej niewielkiej wyspie położonej u wschodnich wybrzeży Półwyspu Jukatańskiego. Restauracja stała się jednak dla niego ważna. Bywał w niej codziennie. Nawiązał przyjazne stosunki nie tylko z Yatem, lecz również z jego żoną, kucharką w „The Coral Reef, oraz trójką ich nastoletnich dzieci, które tam kelnerowały. Wraz z rzadkimi gośćmi ze świata sztuki i oddziału piechoty morskiej, w którym kiedyś służył Malone, nie wspominając o regularnie goszczących w tych stronach nurkach, zaspokajali oni jego potrzeby towarzyskie. Jeszcze trzy miesiące wcześniej mieszkał z kobietą, lecz związek ten zakończył się niefortunnie, gdyż nie odpowiadało jej życie na odludziu, nawet na rajskiej wyspie. Wróciła na Manhattan do tamtejszych galerii i przyjęć.

Po kilku żartobliwych uwagach Yat powiedział:

- Ten facet siedzi tu cały wieczór i zamawia tylko mrożoną herbatę. Wciąż spogląda na drzwi. Twierdzi, że czeka na pana. - Yat zwrócił swe podłużne oczy w stronę Pottera.

- Tak, zauważyłem go, gdy wchodziłem.

- To przyjaciel?

- Natręt.

- Będą problemy?

- Nie, ale wolę to szybko załatwić, żeby móc spokojnie zjeść kolację. Co dzisiaj polecasz?

- *Huachinango Veracruz.*

Na myśl o czerwonej rybie przyrządzonej z zieloną papryką, cebulą, pomidorami, oliwkami i ziołami do ust napłynęła mu ślina.

- Jemu też podajcie porcję na mój rachunek.

- Przygotuję jeszcze jedno nakrycie.

- Nie trzeba. Nie będę z nim jadł. Lepiej przynieś nam po margaricie. Coś mi się wydaje, że będzie potrzebował drinka po tym, co mam mu do powiedzenia.

Gdy Malone ruszył między zajętymi stolikami w kierunku Pottera, Yat położył mu ostrzegawczo rękę na ramieniu. Malone posłał mu uspokajający uśmiech.

- Wszystko w porządku. Obiecuję, że nie będzie żadnych problemów.

Restauracja miała kształt ośmiokątny z niskimi ściankami z palmowych liści, które sięgały do pasa, nie zasłaniając widoku na morze. Księżyc w pełni w połączeniu z fosforescencją wody oświetlał fale. Nad barem przy wejściu do restauracji wisiał obraz przedstawiający plażę, który Malone sprezentował Yatowi. Tu i tam słupki podpierały bele, które rozchodziły się jak szprychy koła i podtrzymywały okrągły, kryty strzechą palmową dach w kształcie namiotu. Dawało to efekt przestronności i przewiewności, bez względu na to, jak zatłoczona była sala.

Potter nie spuszczał wzroku z Malone'a. Podchodząc do niego, Malone doszedł do wniosku, że na plaży dzięki światłu zachodzącego słońca wyglądał zdrowiej niż teraz. Jego blada cera wskazywała na to, że rzadko wychodził na powietrze. Rzucił zza okularów ponure spojrzenia.

- Proszę się przysiąść. - Potter wskazał na krzesło po drugiej stronie stolika.

- Nie, dziękuję. Ale pozwoliłem sobie zamówić coś dla pana. Specjalność zakładu. Nigdy nie jadł pan równie pysznego dania. W ten sposób pańska wyprawa nie będzie całkowicie zmarnowana.

Nie spuszczać oczu z Malone'a, Potter bębnił palcami po stole.

- Zdaje się, że jeszcze pan nie rozumie. Nie przyjmuję do wiadomości, że odrzuca pan zlecenie. Nie mogę wrócić do pana Bellasara i powiedzieć mu, że się pan nie zgodził.

- Więc proszę nie wracać. Niech pan mu powie, że rezygnuje z pracy u niego.

Potter zaczął mocniej bębnić palcami.

- To też jest wykluczone.

- Słuchaj pan, wszyscy mają kłopoty z pracą. Nieważne, ile panu płaci. Jeśli nie lubi pan swej pracy...

- Myli się pan. Bardzo ją lubię.

- Świetnie. Więc niech pan sobie radzi z reakcją szefa.

- Bardziej obawiam się o swoją reakcję. Nie jestem przyzwyczajony do braku efektów. Musi pan zrozumieć, jak poważna jest to sprawa. Jak mam pana przekonać, żeby się wreszcie zgodził?

- Nie w tym rzecz - odparł Malone. - Gdybym przyjął zlecenie, straciłbym coś, co najbardziej sobie cenię.

- Mianowicie? - Potter wbił w niego wzrok.

- Moją niezależność. Pieniądzy mam w bród. Nie muszę być na usługach jakiegoś bogatego frajera, który uważa, że może mi mówić, co i jak mam malować.

Malone nie zdawał sobie sprawy, że podniósł głos, aż zorientował się, że w restauracji zapadła cisza. Odwrócił się i spostrzegł, że goście przestali jeść i krzywo na niego patrzą, podobnie jak Yat w głębi sali.

- Przepraszam. - Malone pokazał ruchem ręki, że będzie cicho.

Odwrócił się do Pottera.

- To miejsce traktuję jak własny dom. Proszę nie doprowadzać mnie tutaj do furii.

- Pańska odmowa przyjęcia zlecenia jest ostateczna?

- Ma pan problemy ze słuchem?

- I nie mogę w żaden sposób wpłynąć na zmianę tej decyzji?

- Chryste, jeszcze pan nie zauważył?

- Dobrze. - Potter podniósł się. - Przekażę wiadomość panu Bellasarowi.

- Po co ten pośpiech? Proszę najpierw zjeść.

Potter chwycił teczkę.

- Pan Bellasar chce poznać pańską odpowiedź jak najszybciej.

4

Ćwierć mili od brzegu załoga dwunastometrowej żagłówki zakotwiczonej niedaleko rafy zdawała się bardziej zainteresowana światłami restauracji niż odbiciem

księżycą w wodzie. Czterej mężczyźni obserwowali plażę i jednocześnie nasłuchiwali komunikatów z odbiornika radiowego w głównej kabinie. Transmitowane głosy były dobrze słyszalne pomimo szmeru rozmawiających i jedzących w restauracji ludzi.

- Nie jestem dostatecznie blisko, żeby stwierdzić, co Malone mu powiedział - ogłosił przez radio męski głos - ale Potter wygląda na zdrowo wkurzonego.

- Wstaje - wtrącił się kobiecy głos. - Podnosi teczkę. Spieszy mu się gdzieś.

- Zgadywałbym, że na lotnisko - odezwał się najstarszy członek załogi, mężczyzna z rzednącymi włosami. - Wiemy, jak podejrzliwie Bellasar traktuje telefony. Pewnie nakazał Potterowi skontaktować się z nim przez wyposażone w zagłuszacz radio na pokładzie samolotu.

- Rodrigez udaje taksówkarza - kontynuował kobiecy głos dochodzący z radia. - Będzie śledził wynajęty przez Pottera samochód i dowie się, co on knuje.

- Malone podszedł do faceta, który jest właścicielem restauracji - zakomunikował męski głos. - Chyba przeprasza go. Wygląda, jakby był zły na siebie, lecz jeszcze bardziej jest zły na Pottera. - Przez chwilę z radia dobiegał się jedynie restauracyjny gwar. Wtem znów odezwał się męski głos: - Siada, żeby zjeść kolację.

Na żaglówce najstarszy członek załogi westchnął ze zniecierpliwienia. Podskakiwanie łódki na wodzie przyprawiło go o mdłości. A może w ten stan wprowadziły go usłyszane przed chwilą słowa.

- Obawiam się, że to wszystko na dzisiaj. Przedstawienie skończone.

- Malone nie przyjął propozycji - skonstatował siedzący obok niego dobrze zbudowany mężczyzna.

- Tak jak przewidywałeś.

- W końcu byłem jego drugim pilotem. Odkąd wystąpiliśmy z wojska, nie straciłem z nim kontaktu. Wiem, jak myśli.

- Zrobi wszystko, żeby zachować niezależność? Taka okazja może nam się nigdy nie trafić. Znasz go jak nikt inny. Jak, do diabła, mamy go skłonić do przyjęcia naszej propozycji?

5

Zaniepokojony nasilającym się hałasem, Malone objechał jeepem palmy i dotarł do miejsca, z którego rozciągał się widok na jego dom. A raczej rozciągałby się widok na jego dom w normalnych okolicznościach. Obłok kurzu, który ukazał się jego

oczom, i mechaniczny hałas wprawiły go w takie osłupienie, że gwałtownie zahamował i wpatrywał się jak sparaliżowany w spowite pyłem dinozaurowate kształty ryczących maszyn, spychaczy... jeden, dwa, trzy, Jezu Chryste, sześć takich mechanicznych potworów rozkopywało wydmy i przewracało palmy wokół jego domu.

Gdy po raz pierwszy ujrzał ten odosobniony zakątek na wschodnim wybrzeżu Cozumel, od razu wiedział, że tu właśnie chciałby zamieszkać. Spokojne morze po drugiej stronie wyspy czyniły tamtą jej część bardziej atrakcyjną dla turystów i inwestorów, co nie przeszkadzało Malone'owi, który chciał mieszkać jak najdalej od tłumów. Zakochał się natomiast we wzburzonym morzu po przeciwnej stronie wyspy, w surowym pięknie tych odludnych piaszczystych przestrzeni usianych skałami czarnego wapienia. Według meksykańskiego prawa obcokrajowiec nie mógł kupić ziemi bez uzyskania zgody Ministerstwa Spraw Zagranicznych. A w przypadku terenów plażowych przepisy stawały się jeszcze bardziej rygorystyczne, ponieważ władze nie chciały dopuścić, żeby tak cenne ziemie trafiły w niepowołane ręce. Malone musiał dokonać zakupu na podstawie umowy o pięćdziesięcioletni zarząd powierniczy z miejscowym bankiem, który zatrzymał tytuł i odgrywał rolę opiekuna plaży. Następnie Malone zaangażował wybitnego meksykańskiego architekta, który zaprojektował dom. Tę rozległą, parterową budowlę wzniesiono z mało atrakcyjnego budulca: z betonu, który lepiej znosi wilgotność panującą w tym rejonie od związanych drewnianych pali tworzących ściany większości domów na wyspie. Każdy róg i załom betonu konturowano, eliminując ostre kąty, co złagodziło sylwetkę budynku. Ściany pokryto stiukiem, którego olśniewającą biel podkreślały liczne kwitnące krzewy, a dach tworzyła strzecha z palmowych liści, nadając całości tradycyjny wygląd. Kilka łuków i werand pozwalało na swobodną cyrkulację powietrza, dzięki czemu klimatyzacja nie była już tak potrzebna.

Lecz teraz wszystko się zmieniło. Jego dom pokrywała gruba warstwa pyłu wzniesanego przez spychacze. Zwykle dobroczynna bryza teraz wdmuchiwała pył do środka budynku. Wydmy, wzdłuż których usytuowany był dom, zostały rozjeżdżone, a wszędzie wały się pnie drzew. A niezmordowane buldożery nie przestawały żłobić, niszczyć i tratować, siejąc spustoszenie na plaży.

Malone przyglądał się tej profanacji przez jakiś czas, lecz w końcu otrząsnął się z otępienia. Rozwścieczony wyskoczył z jeepa i ruszył w kierunku najbliższego buldożera, gestykulując gwałtownie, by operator zatrzymał się. Albo kierowca nie

widział Malone'a, albo zignorował go, bowiem przejechał obok niego i staranował kolejną palmę. Ogarnięty jeszcze większą furją, Malone rzucił się za maszyną, przytrzymał się uchwytu z boku, podciągnął się, sięgnął do stacyjki i wyłączył silnik.

- Cholera jasna, mówiłem, żebyś się zatrzymał - Malone zawołał po hiszpańsku.

Kierowca wymamrotał przekleństwo i chwycił rękę Malone'a, żeby odzyskać kluczyk.

- Co wy tu, do diabła, wyrabiacie? - zażądał wyjaśnień Malone.

Złorzeczając, kierowca chwycił go mocniej za rękę.

Malone wyrzucił kluczyk na piasek.

Natychmiast na plaży zapadła cisza. Pozostali robotnicy, widząc, co się dzieje, wyłączyli silniki i wyskoczyli z maszyn, rzucając się na pomoc towarzyszowi.

- Żądam odpowiedzi! - krzyknął Malone. - Co wy tutaj wyprawiacie? To mój dom! Nie macie prawa!

Robotnicy otoczyli maszynę: dwóch z jednej i trzech z drugiej strony.

- Zostaw mojego brata - ostrzegł jeden z nich.

- Jesteście w złym miejscu! Ja tu mieszkam, na litość boską. Zaszła jakaś pomyłka!

- To ty stwierdzisz, że popełniłeś błąd, jeśli zaraz nie odczepisz się od mojego brata. - Mężczyzna zbliżył się do niego.

- Posłuchajcie.

Kierowca, któremu odebrał kluczyk, odwrócił się i wymierzył pięść w brzuch Malone'a. Niemal tak szybko jak wtedy, gdy służył w wojsku, Malone chwycił ramię napastnika, wypchnął go z siedzenia i posłał na piasek. Z tą samą płynnością ruchów zrobił unik przed ciosem brata kierowcy, który chciał uderzyć go pięścią w twarz. Szybko podniósł głowę i poczęstował go pięścią w splot słoneczny, posyłając w ślad za bratem. Charcząc z bólu, drugi mężczyzna padł obok pierwszego.

Pozostali robotnicy wytrzeszczali oczy, nie wiedząc już, jak daleko chcą się posunąć.

- Nikomu nie musi stać się krzywda!

- Poza tobą. - Pierwszy napastnik z trudem łapał oddech i próbował wstać.

- Mówię wam, że nie chcę się bić! Pomówmy przez chwilę! Jesteście tu z tym sprzętem bezprawnie!

- Człowiek, który nas wynajął, był bardzo konkretny - rzucił ze złością jeden z robotników. - Przyprowadził nas tutaj. Zapytaliśmy go o dom. Powiedział, że ziemia należy do niego. Kazał nam przygotować teren pod budowę nowego hotelu.

- Jaki człowiek? Kimkolwiek był, nie wiedział, o czym mówi. Wiecie, jak się nazywa?

Gdy Malone usłyszał nazwisko, gniew zakipiał w nim jeszcze bardziej.

6

ROBERTO RIVERA. URZĘDNIK.

Malone pchnął drzwi z taką siłą, że matowa szyba niemal wypadła.

Rivera, szczupły mężczyzna o ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach, co eksponowało jego długą, wąsatą twarz, podniósł natychmiast głowę. Siedzący po przeciwnej stronie biurka starszy wiekiem klient przerwał zaskoczony w pół zdania i wciągnął powietrze, wydając z siebie charkotliwy dźwięk, jakby zadławił się pestką brzoskwini.

- Señor Rivera, próbowałam go zatrzymać - tłumaczyła zza Malone'a sekretarka.

Malone wbił wzrok w Riverę.

- Moja sprawa nie mogła czekać.

- Dzwonię po policję. - Sekretarka obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę swojego telefonu.

- Jeszcze nie. - Rivera zwrócił się do swego klienta, który oddychał już normalnie, lecz wciąż wyglądał na zaszokowanego. - Señor Valdez, przepraszam za ten incydent. Czy zechciałby pan łaskawie zaczekać sekundkę na zewnątrz, a ja w tym czasie wyjaśnię tę nieprzyjemną sprawę.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za señorem Valdezem, Malone podszedł do Rivery.

- Ty sukinsynu, dlaczego wysłałeś buldożery na moją posiadłość?

- Zaszło jakieś nieporozumienie.

- Faceci tam pracujący twierdzili inaczej. - Malone miał napięte ze zdenerwowania mięśnie. - Wyrażali się bardzo jasno. Ty ich tam przysłałeś.

- Ach, nie o to mi chodzi - odparł Rivera.

- A o co?

- Rzeczywiście to ja ich przysłałem.

- I przyznajesz się do tego? - Już miał wywlec go zza biurka, gdy zaskoczony zamarł w bezruchu.

- Jak najbardziej. Nieporozumienie, o którym wspomniałem, dotyczy, czego innego. Mówił pan, że buldożery znajdują się na terenie pańskiej posiadłości. Tymczasem ona nie należy już do pana.

- Ty draniu, zapłaciłem za nią.

- Zawarł pan umowę powierniczą z bankiem, który zatrzymał tytuł własności. Zbyt wiele osób skarżyło się jednak, że pański dom szpeci okolicę.

- Co takiego?

- Nie możemy też ignorować plotek o przemycających tam narkotykach. Rozmawiałem z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Umowa powiernicza została unieważniona. Kupiłem tę posiadłość.

- Chryste Panie, to niemożliwe.

- Stało się - oświadczył Rivera. - Pewnie nie odebrał pan jeszcze poczty. W przeciwnym razie znalazłby pan wypowiedzenie umowy.

- Ale przecież zapłaciłem za tę ziemię!

- Znalazłby pan również czek na zainwestowaną przez pana kwotę. Dodałem, choć nie musiałem tego robić, skromną rekompensatę, ponieważ wartość rynkowa posiadłości wzrosła.

- Rekompensatę? Ty chamie, niszczysz mój dom. - Nagłe przypomniał sobie słowa jednego z robotników. - Hotel.

- Słucham?

- Sprzedałeś tę posiadłość jakiemuś inwestorowi.

- Takiej propozycji nie mogłem odrzucić.

- Nie wątpię. - Malone chwycił go za ramię. - Ale trudno ci będzie wydać te wszystkie pieniądze, gdy znajdziesz się w wózku inwalidzkim.

- Niech pani dzwoni po policję! - Rivera krzyknął do sekretarki w drugim pokoju.

Malone zmusił go do wstania.

- Radziłbym się zastanowić - ostrzegł Rivera. - W Meksyku więźniowie nie mają żadnych praw. Spędzi pan sporo czasu w celi, czekając na rozpoczęcie procesu.

Malone cofnął pięść.

- Nie będę żałował.

- Sprawa w końcu się rozpocznie, ale zapewniam pana, że meksykańscy sędziowie niechętnie odnoszą się do obcokrajowców, którzy atakują szanowanych obywateli.

Sekretarka otworzyła drzwi.

- Policja już jedzie.

- Dziękuję. Teraz zależy tylko od señora Malone'a, czy będą potrzebni. - Rivera patrzył na niego wyzywająco.

- Szanowany obywatel. - Malone chciał splunąć. Z obrzydzeniem opuścił pięść.

- No tak, to musiała być cholernie atrakcyjna propozycja.

- Należy za to winić człowieka, który ze mną negocjował. Zna pana. Nalegał, żebym przekazał panu pozdrowienia.

- Pozdrowienia? Nie... Jak się nazywa?

- Alexander Potter.

- Potter?

- Kazał mi powtórzyć, że jego szef też pana pozdrawia.

7

Parking przy restauracji „The Coral Reef” był pusty. Odjeżdżała właśnie taksówka, której pasażerowie sprawiali wrażenie rozczarowanych. Malone wysiadł z jeepa, przeszedł po piasku w stronę głównego wejścia, na którym wywieszono tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE. Wszystkie żaluzje były opuszczone.

Zmarszczył brwi. Cisza panująca w środku sprawiała, że huk fal wydawał się wyjątkowo głośny. Yat zawsze bardzo poważnie traktował swą pracę i zamknąłby restaurację bez ostrzeżenia tylko wtedy, gdyby stało się coś jemu lub jego rodzinie.

Spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte na klucz. Uderzył w nie kilka razy pięścią. Nikt nie odpowiedział. Długimi, niecierpliwymi krokami okrążył budynek i dotarł do drzwi kuchennych. Tym razem ustąpiły, gdy próbował je otworzyć. Znalazł się w zacienionym pomieszczeniu kuchennym, w którym unosiły się jeszcze zapachy z poprzedniego dnia. Z poprzedniego dnia, powtórzył w myślach, gdyż piece były zimne. Nie zanotował żadnych śladów kulinarnej aktywności.

Za wahadłowych drzwi odezwał się zatroskany głos:

- Kto tam?

- Yat?

- Kto tam? - zapytał pełen niepokoju głos.

- To ja, Yat. Chase.

- Ach. - Jedno ze skrzydeł drzwi uchyliło się, ukazując zamyśloną, okrągłą twarz Yata. - Myślałem, że przyszedł kolejny klient.

Malone poczuł ciepło w okolicach serca, słysząc, że nie jest traktowany jak zwykły klient.

- Co się stało? Coś nie tak?

- Nie tak? - Yat zastanowił się nad tym wyrażeniem. - Wszystko.

Za nim, w pogrążonej w mroku sali jadalnej, ktoś zapukał do głównych drzwi. Po kolejnej serii, tym razem głośniejszej, dało się słyszeć zawiedzione głosy i warkot odjeżdżającego samochodu.

- Początkowo tłumaczyłem wszystkim gościom, że nie pracujemy, ale było ich zbyt dużo. Nie mogłem tego znieść. - Ze znużonym wyrazem twarzy Yat dał Malone'owi znak, żeby poszedł za nim do sali jadalnej.

Po prawej stronie na barze Malone zauważył butelkę tequili i napełnioną do połowy szklankę.

- Co się stało? Proszę mi powiedzieć.

Yat wpatrywał się w główne wejście.

- Wciąż się dopytywali, kiedy znów otworzymy, i nie byłem już w stanie powtarzać tyle razy, że nie wiem. W końcu usiadłem na zapleczu i słuchałem, jak wala do drzwi.

- Musisz mi powiedzieć - niecierpliwił się Malone.

- Rano przyszedł tu jeden gość i zaproponował, że kupi „The Coral Reef” za tyle pieniędzy, ile nigdy nie spodziewałem się ujrzeć.

Malone poczuł, że zaraz zemdleje.

- Rozmawiałem już o tym z żoną i dziećmi. Pracują tak ciężko? - Yat pokręcił głową w przygnębieniu. - Pokusa była zbyt wielka, żeby jej nie ulec.

- Potter - odezwał się Malone.

- Tak, Alexander Potter. Ten sam mężczyzna, który tu kiedyś był. Kazał powtórzyć, że przesyła pozdrowienia.

- Od siebie i od Dereka Bellasara?

- Tak. Restauracja ma być zamknięta na czas nieokreślony, aż señor Bellasar postanowi, co chce z nią zrobić. - Yat wpatrywał się w swoją szklankę, podniósł ją i wypił spory łyk. - Powinienem być lepiej to przemyśleć zaczekać z podpisaniem

papierów. Teraz rozumiem, że pieniądze nic nie znaczą, jeśli nie wiem, co mam robić z wolnym czasem. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak ważne było dla mnie przychodzenie tutaj.

Użycie przez Yata czasu przeszłego było tak bolesne, że Malone sobie też nalał tequili.

- Wie, jak dla mnie ważne było przychodzenie tutaj. - Gdy Malone połknął przejrzysty, mocny i lekko oleisty płyn, do oczu napłynęły mu łzy. I nie tylko od alkoholu. Czuł się tak, jakby stracił kogoś bliskiego. Pomyślał sobie: Bellasar, ty sukinsynu, zapłacisz mi za to.

- Prawie bym zapomniał - dodał Yat. - Ktoś do pana dzwonił.

- Co? - Malone zmarszczył czoło. - Kto taki?

- Człowiek z galerii w Nowym Jorku, który sprzedaje pańskie obrazy. Twierdził, że musi z panem porozmawiać o czymś ważnym.

Z zamierającym sercem Malone sięgnął po telefon.

8

- Sprzedałeś galerię? - Malone posepnie powtórzył przed chwilą usłyszane słowa.

- Słuchaj, ja najbardziej się temu dziwię. - Głos Douglasa Fennermana słychać było słabo, a szumy dodatkowo zakłócały połączenie. - Wierz mi, wcześniej nawet się nie zastanawiałem nad sprzedażą. Ale nagle, zupełnie znikąd pojawiła się ta fantastyczna oferta.

- Od kogoś, kto nazywa się Alexander Potter i negocjuje w imieniu niejakiego Dereka Bellasara.

- To zabawne, Chase, ale Potter twierdził, że będziesz wiedział, kto kupił galerię, gdy do ciebie zadzwonię. Ale na wypadek gdyby się mylił, poprosił mnie, żebym ci przekazał...

- Pozdrowienia.

- Jesteś jasnowidzem?

- I pozdrowienia od Bellasara.

- Zdumiewające. Dobrze znasz tych ludzi?

- Nie, ale wierz mi, zamierzam ich lepiej poznać.

- Więc wszystko jakoś się ułoży. Znamy się tak długo, że od razu bym do ciebie zadzwonił, nawet gdyby Potter nie prosił mnie o to. Chcę ci powiedzieć, że czuję się zaszczycony, że mogłem cię reprezentować.

Malone poczuł, że wzruszenie ścisnęło mu gardło.

- Gdybyś nie promował mnie tak intensywnie, nie miałbym żadnych szans.

- To ty masz talent, kolego. Ja jestem tylko pośrednikiem. Ale choć nie jestem już twoim reprezentantem, nie oznacza to, że nie możemy pozostać przyjaciółmi.

- Jasne - wydusił Malone.

- Od czasu do czasu będziemy się spotykać.

- ...Jasne.

Głos Douglasa brzmiał melancholijnie.

- Na pewno. - Próbował wykrzesać nieco dawnego entuzjazmu. - Przynajmniej nie będziesz współpracował z nieznanymi. Skoro znasz Pottera i Bellasara, masz, na czym budować. Popracujesz z nimi trochę i wy też może się zaprzyjaźnicie.

- Nie sądzę.

- Nigdy nie wiadomo.

- Ja wiem. - Malone zacisnął zęby.

- W każdym razie przez najbliższy czas i tak nie będziecie współpracować - stwierdził Douglas.

- Nie rozumiem.

- Bellasar planuje gruntowny remont galerii. Wszystkie twoje obrazy powędrują do magazynu do czasu zakończenia prac.

- Co takiego?

- Na jakiś czas znikniesz z rynku. Niegłupi krok. Wydaje mi się, że gdy znów otworzą galerię, twoje obrazy po okresie nieobecności zyskają na wartości.

Malone mocniej zacisnął rękę wokół słuchawki.

- A mnie się wydaje, że za sprawą Bellasara te obrazy znikną na bardzo długo.

- O czym ty mówisz?

- Zamierzam doprowadzić do tego, by Bellasar i Potter pożałowali, że kiedykolwiek mnie poznali.

- Chwileczkę, Chase. Chyba nie wyraziłem się jasno. Nie ma powodu, byś czuł się zagrożony. Jeśli coś cię martwi, jeśli chcesz coś wyjaśnić, powiedz mi. Spotykam się z nimi w środę rano na aukcji w Sotheby's. Przekażę im twoją wiadomość.

Sotheby's? Malone szybko obliczał w myślach: do środy rano dzieli go trzydzieści sześć godzin. Ścisnął słuchawkę tak mocno, że aż zdrętwiała mu ręka.

9

- Chase?

Ochrypli krzyk sprawił, że Malone odwrócił się od walizki, którą zapamiętałe pakował.

- Jesteś tam, Chase?

Wyglądając przez okno sypialni, Malone ujrzał wysokiego, barczystego mężczyznę o krótkich, jasnych włosach i opalonej, wyrazistej twarzy, który stał na zdewastowanej plaży.

- Jeb? - zawołał.

Wysoki mężczyzna roześmiał się.

- Jeb! Mój Boże, dlaczego nie zawiadomiłeś mnie, że przyjeżdżasz? Słyszę cię, ale nie widzę, chłopie. Gdzie jesteś?

- Już wychodzę!

Gdy Malone wybiegł z domu na patio, na twarzy Jeba Wainrighta zagościł szeroki uśmiech. Miał trzydzieści siedem lat, tyle samo, co Malone. Ubrany był w sandały, workowate brązowe szorty i krzykliwą kwiecistą koszulę z krótkim rękawem, której trzy najwyższe guziki zostały rozpięte, ukazując jasne kręcone włosy na klatce piersiowej. Na lewym udzie widoczna była rana, pozostałość po nocy, podczas której Malone uratował mu życie po zestrzeleniu w trakcie inwazji panamskiej. Nawet po dziesięciu latach nie stracił żołnierskiej sylwetki; szerokie barki, rozbudowane mięśnie.

- Pukałem, ale nikt nie odpowiadał. - Jeb uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy Malone podszedł do niego. Jego surowa uroda przywodziła na myśl okoliczne wapienne skały. - Zacząłem się martwić, że już tu nie mieszkasz, zwłaszcza gdy zobaczyłem to wszystko. - Wskazał na zdewastowaną plażę i powyrywane drzewa. - Co się stało, do cholery? Zupełnie jakby przeszedł tu huragan, chociaż wszystko inne jest nietknięte.

- Tak inwestor wyobraża sobie poprawę warunków życia.

- Zaszły jeszcze inne zmiany. Przejeżdżałem obok tej fantastycznej restauracji, w której ostatnio byliśmy. Chciałem, żebyśmy poszli tam na obiad, ale jest zamknięta.

- Dzięki tej samej osobie. Nie chcę psuć sobie humoru rozmową na ten temat. - Malone położył ręce na ramionach Jeba. - Dobrze znów cię widzieć. Ile to już? Co najmniej rok.

Jeb kiwnął głową.

- No i znów przyjechałem, żeby trochę ponurkować. Może też popływam na desce windsurfingowej.

- Gdzie są twoje rzeczy?

- W wynajętym samochodzie przed głównym wejściem.

- Pomogę ci je przynieść. Zostaniesz tutaj, oczywiście. - Malone zawahał się, przypomniawszy sobie o czymś nieprzyjemnym. - Będziesz miał cały dom dla siebie. Trafiłeś na zły okres. Muszę jutro lecieć do Nowego Jorku.

- Co? Przecież dopiero, co przyjechałem. Nie możesz przełożyć tego wyjazdu o kilka dni?

Malone pokręcił głową. Gniew przyprawił go o przyspieszone bicie serca.

- Muszę wyrównać rachunki z facetem, który jest odpowiedzialny za to wszystko. Zrozumiesz, gdy te maszyny znów zaczną pracować. Może nawet obudzisz się na plaży, jeśli dostaną rozkaz zburzenia domu.

- Jest aż tak źle?

- Jeszcze gorzej.

- Opowiedz mi o tym. - Jeb wskazał na plażę. - Przejdźmy się.

10

Gdy doszli do uderzających o brzeg fal, Jeb zbadął wzrokiem horyzont, sprawdzając, czy nie widać żadnych łodzi. Po zdemolowaniu okolicy przez buldożery nie było w pobliżu żadnego miejsca, gdzie ktoś mógłby się ukryć i nakierować na nich mikrofon. Ale Jeb i tak musiał zachować ostrożność.

- Wszystko zaczęło się od gościa o nazwisku Potter - rozpoczął relację Malone.

- Tak, wiem o tym.

Zaskoczony Malone odwrócił się do przyjaciela.

- Wiem też o Bellasarze - dodał Jeb. - Chciałem przyjść tutaj, bo w twoim domu prawdopodobnie założono podsłuch, a fale robią wystarczająco dużo hałasu, żeby ktoś, kto wyceluje w nas mikrofon, nie usłyszał nic innego oprócz ich huku.

- W moim domu założono podsłuch? - Malone wyglądał, jakby Jeb mówił po chińsku. - Po co ktoś...

- Bellasar jest przezorny. Na pewno przed wysłaniem Pottera dobrze cię sprawdził. I pewnie nie demontował aparatury podsłuchowej, żeby śledzić, jak reagujesz na jego posunięcia.

- Skąd ty... - Rysy Malone'a skamieniały. - Więc nie przyjechałeś tu na wypoczynek.

- Zgadza się.

- Więc może ty powinienesz mi coś wyjaśnić, kolego. Zacznijmy od tego, co ty tutaj, do cholery, naprawdę robisz.

- Od naszego ostatniego spotkania zmieniłem pracę.

Malone wpatrywał się w niego i czekał.

- Nie pracuję już w ochronie. Jestem zatrudniony w innego rodzaju firmie.

Jego słowa miały ukryte znaczenie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

- CIA. - Jeb wstrzymał oddech, czekając na reakcję.

Tego momentu obawiał się najbardziej. Po kilku latach w wojsku awersja Malone'a do władz była ogromna i gdyby doszedł do wniosku, że się nim manipuluje, przyjaźń nic by nie znaczyła... Poprosi Jeba, żeby odszedł.

- No to świetnie - stwierdził Malone. - Wspaniale, po prostu rewelacyjnie.

- Ale zanim wpadniesz w szal, pozwól mi wyjaśnić. Co wiesz o Bellasarze?

Malone wykrzywił usta.

- To łobuz, który ma za dużo pieniędzy.

- A wiesz, skąd je ma?

- Ropa naftowa, transport morski, produkcja samolotów. Co za różnica?

- Nielegalny handel bronią.

Niebieskie oczy Malone'a rozblęły, przypominając dwa lasery.

- Bellasar jest jednym z trzech największych na świecie handlarzy bronią - oznajmił Jeb. - Wymień jakąkolwiek wojnę domową, która toczy się w tej chwili, a okaże się, że robią tam użytek z broni Bellasara. Ale on nie zadowala się biernym wyczekiwaniem. Jeśli jakiś kraj znajduje się na krawędzi konfliktu, często wysyła agitatorów, którzy podkładają bomby, mordują polityków, winą obarczają rywalizujące frakcje. W ten sposób do prowadza do konfliktów zbrojnych. Dzięki niemu Irak zdobył technologię konstrukcji reaktora jądrowego produkującego pluton

do bomby atomowej. Patrz, co się stało w Pakistanie i Indiach czy Korei Północnej. Sprzedał sarin, gaz porażający układ nerwowy, tej japońskiej sekcji, która wykorzystwała go w metrze w ramach próby generalnej przed unicestwieniem Tokio. Podobno sprzedaje broń jądrową, którą zdobył po upadku Związku Radzieckiego. Osobiście przyznałbym mu tytuł najgroźniejszego faceta na świecie i jeśli sądzisz, że możesz po prostu polecieć do Nowego Jorku i „wyrównać z nim rachunki”, jak to ująłeś, poczujesz się jak owad, który spotyka się z przednią szybą pędzącego samochodu.

Głos Malone'a zabrzmiał jak pocierane o siebie dwa kawałki krzemienia.

- Chyba nie znasz mnie dostatecznie dobrze.

Jeb zmarszczył brwi.

- Co mam przez to rozumieć?

- Czy widziałeś kiedyś, żebym się wycofał?

- Nigdy - przyznał Jeb.

- Tym razem też tak będzie. Nie obchodzi mnie, jaką szycią jest Bellasar. Nie daruję mu tego, co mi zrobił. Czułem się tu szczęśliwy. Dojście do tego wiele mnie kosztowało. A teraz ten sukinsyn rujnuje wszystko, nie licząc się z pieniędzmi, tylko, dlatego, że nie może ścierpieć, gdy ktoś mówi „nie”. Wkrótce usłyszysz „nie”, które zabrzmiało jak piorun.

- Słuchaj, nie namawiam cię, żebyś mu odpuścił. Jestem po twojej stronie. Odpłać mu się. Tyle tylko, że chciałbym, abyś zrobił to z głową. Żeby naprawdę go zabolalo.

- Niby jak?

- Przyjmij jego zlecenie.

11

Fale uderzały o brzeg. Obaj milczeli.

- Przyjąć... - Malone zrobił gest, jakby uważał ten pomysł za absurdalny.

- CIA od dłuższego czasu chce zbliżyć się do Bellasara - wyjaśnił Jeb. - Jeśli dowiemy się, jakie ma plany, być może uda nam się go powstrzymać. Możemy w ten sposób uratować wiele ludzkich istnień. Ale Bellasar pochodzi z rodziny, w której zmysł przetrwania jest bardzo wyostroszony. Jego ojciec zajmował się handlem bronią. Tak samo jego dziadek i pradziadek i tak dalej aż do czasów wojen napoleońskich. To

nie tylko rodzinny interes. W genach ma zakodowany szósty zmysł, którym wyczuwa wszelkie pułapki i próby inwigilacji. Zawsze zorientował się, gdy usiłowaliśmy kogoś podstawić. Ale teraz daje nam szansę.

- To jakiś żart, prawda? Nie możesz chyba na poważnie sugerować, bym nawiązał z nim współpracę.

- Chcemy, żebyś współpracował z nami.

- A jeśli Bellasar nadal wynajmuje ludzi, którzy mnie obserwują, wie już, że ktoś z CIA próbuje mnie zwerbować.

- Wie tylko, że zjawił się twój stary kumpel, który przyjechał niespodziewanie, żeby ponurkować i popływać na desce windsurfiingowej. Dla świata nadal pracuję w ochronie. Gdy Bellasar zechce mnie sprawdzić, nie znajdzie żadnych powiązań z CIA. Ta rozmowa nie zaszkodziła ci.

- Jestem artystą, a nie szpiegiem.

- A ja miałem nadzieję, że wciąż jesteś żołnierzem - odparł Jeb.

- Stare dzieje.

- Byłeś zbyt dobrym żołnierzem. Nigdy nie przestałeś nim być.

- Przestałem, nie pamiętasz? - Malone zbliżył się do przyjaciela. - Powinieneś był przewidzieć, że nie pozwolę, by znów ktoś mi mówił, co mam robić.

Wydawało się, że fale biją o brzeg jeszcze głośniejsze. Wokół nich unosił się pył wodny, a oni mierzyli się wzrokiem.

- Chcesz, żebym odjechał? - Jeb masował bliznę na udzie.

- Co?

- Nadal jesteśmy przyjaciółmi czy mam znaleźć nocleg w mieście?

- Co ty wygadujesz? Oczywiście, że nadal jesteśmy przyjaciółmi.

- No to wysłuchaj mnie do końca.

Malone podniósł ręce w geście wyrażającym irytację.

- Proszę. - Jeb wypowiedział to słowo z naciskiem. - Muszę ci coś pokazać.

12

Gdy wynajęty ford podskakiwał na wyboistej drodze prowadzącej między porośniętymi pnączami drzewami mahoniowymi, Jeb sprawdził w lusterku wstecznym, czy nikt za nimi nie jedzie, i wskazał na teczkę leżącą na tylnym siedzeniu.

- Zajrzyj do bocznej kieszeni.

Pomimo irytacji Malone obrócił się w fotelu i pochylił, żeby rozsunąć suwak kieszeni. To, co znalazł, skonsternowało go.

- Tu jest tylko jakiś magazyn. „Glamour”? Co magazyn mody ma z tym wszystkim wspólnego?

- Spójrz na datę.

- Sprzed sześciu lat?

- A teraz dobrze się przyjrzyj kobiecie na okładce.

Jeszcze bardziej zaintrygowany, Malone obejrzał ją dokładnie. Miała na sobie czarną wieczorową suknię, której widoczna była tylko górna część. Idealny sznur pereł ozdobił głęboki dekolt, a całość dopełniały kolczyki oraz efektowny czarny kapelusz z szerokim, lekko opadającym rondem, który Malone'owi kojarzył się z wizerunkiem gwiazdy filmowej z lat pięćdziesiątych.

- Nie wiedziałem, że kobiety noszą jeszcze kapelusze - stwierdził Malone.

- To było wydanie retro. Patrz na nią.

Kobieta z okładki była ognistą brunetką. Miała silne, szczupłe ciało, które sugerowało, że zanim ją ubrano i umalowano, dużo pływała lub biegła. Choć sfotografowano ją tylko od pasa w górę, Malone odnosił wrażenie, że była wysoka i gdyby mógł zobaczyć ją w całej okazałości, ujrzałby wysportowane, ponętne ciało.

Przypominała mu Sopię Loren nie tylko dlatego, że obydwie były zmysłowymi brunetkami o pełnych wargach i podniecająco ciemnych oczach, lecz również dlatego, że miały tę samą karnację w płomiennym kolorze ziemi, który zawsze mu się podobał. Podejrzewał w związku z tym, że kobietę z okładki łączyło z Sopię Loren jeszcze jedno: obydwie były Włoszkami.

Samochód wjechał na kolejny wybór.

- Jest żoną Bellasara - wyjaśnił Jeb.

Malone podniósł wzrok ze zdziwieniem.

- To jej portret miałbyś namalować - kontynuował Jeb.

- Wydaje mi się, że już ją gdzieś widziałem.

- Jej zdjęcia ze sto razy zdobiły okładki magazynów, nie wspominając już o tysiącach reklam szminek, szamponów, kredek do oczu i tak dalej. Artykuły na jej temat ukazywały się w pismach takich jak „Newsweek”, „Time” czy „People”. Kalendarz z jej zdjęciami w kostiumach kąpielowych był bestsellerem. W programie „Today” prowadziła cotygodniowy kącik mody. Była tak znana, że wystarczyło

wymienić jej imię, a ludzie ze świata mody natychmiast wiedzieli, o kim mówisz. Ma na imię Siena.

- To kolor jej skóry.

- A ja od razu pomyślałem o tym włoskim mieście - powiedział Jeb.

- Bo nie jesteś artystą. Siena palona jest najwspanialszą barwą ziemi, czerwono-brązową i ognistą.

- Ognista. No właśnie, dokładnie takie sprawia wrażenie - przyznał Jeb. - Była supermodelką najwyższej klasy. Pięć lat temu wycofała się z zawodu.

- Dlaczego?

- Kto wie? Miała dwadzieścia pięć lat, powoli wkraczała w wiek emerytalny dla modelek. Może chciała odejść, dopóki wciąż znajdowała się na topie. A może się zakochała.

- W panu, który nie przyjmuje odmownych odpowiedzi?

- Niewykluczone, że tak właśnie było. Może Bellasar nie chciał słyszeć o odmowie.

- A teraz chce, żebym namalował jej dwa portrety? Twarzy oraz akt? Coś mi się zdaje, że o czymś nie wiem.

- Owszem.

Sposób, w jaki Jeb wypowiedział to słowo, sprawił, że Malone ponownie podniósł wzrok znad okładki.

- Bellasar miał już trzy żony.

Malone zmarszczył brwi.

- Wszystkie były piękne i wszystkie zmarły młodo.

- Co?

- Pierwsza straciła panowanie nad samochodem i spadła w przepaść. Druga skręciła kark, jeżdżąc na nartach. Trzecia utonęła podczas nurkowania.

- Wygląda na to, że poślubienie Bellasara nie służy długowieczności - ocenił Malone. - Znając jego przeszłość, któż byłby na tyle głupi, żeby się za niego wydawać?

- Zakładasz, że jego poprzednim małżeństwom towarzyszył rozgłos. Tymczasem Bellasar jest sto razy bardziej wyczulony na punkcie prywatności niż ty. W jego przypadku jest to cecha decydująca o przeżyciu. Wierz mi, trudno jest zdobyć informacje o jego małżeństwach i późniejszych cichych pogrzebach. - Jeb zrobił dramatyczną przerwę przed tym, co miał teraz powiedzieć. - Przed śmiercią każdej z żon Bellasar zatrudniał wybitnego artystę, który malował ich portrety.

Malone poczuł zimny dreszcz.

- Obrazy wiszą w zamkniętym pokoju w posiadłości Bellasara na południu Francji. Stanowią prywatną kolekcję jego trofeów. Nie może znieść niedoskonałości. Gdy jego żony zbliżają się do trzydziestki, gdy zaczynają tracić blask młodości i dostrzega w ich urodzie choćby najmniejszą skazę: maleńką zmarszczkę wokół oczu lub pojedynczy siwy włos zwiastujący starość, nie chce mieć z nimi już do czynienia. Lecz podejrzliwa natura nie pozwala mu po prostu się rozwieść. W końcu żyły z nim tak długo. Za dużo widziały i słyszały. Mogłyby stanowić zagrożenie.

- Nie rozumiem. Skoro wie, że w końcu będzie musiał się ich pozbyć, po co w ogóle się żeni? Czemu ich nie poprosi, żeby zostały jego kochankami?

- Ponieważ jest kolekcjonerem.

- Wciąż nie...

- Z jego punktu widzenia, gdyby ich nie poślubił, nie miałyby ich na własność.

- Chryste. - Malone spojrział znów na okładkę. - A po ich śmierci wciąż ma je na własność. Na portretach.

- Namalowanych przez mistrzów. Ich piękno zostaje uwiecznione. Są wiecznie młode - dodał Jeb.

Malone nie przestawał wpatrywać się w okładkę pisma.

- Więc teraz przygotowuje się do zamordowania kolejnej żony.

- Wszystko na to wskazuje. - Jeb dał Malone'owi chwilę na zastanowienie się. - Ale jeśli przyjmiesz zlecenie, być może dasz nam możliwość jej uratowania. Ogromnie by się nam przydała. Wie bardzo dużo.

Zapadał zmierzch. Światła samochodu oświetlały porośnięte pnączami drzewa.

- Nie.

- Nie?

- Przykro mi, że ta kobieta znalazła się w tarapatkach, ale ja jej nie znam - oznajmił Malone. - Jest tylko twarzą z okładki magazynu. Nie ma ze mną żadnego związku.

- Ale nie możesz pozwolić, żeby...

- Nie chcę się z wami zadawać.

- Nawet, jeśli tą drogą zrewanżujesz się Bellasarowi?

- Mogę to zrobić sam. Nikt nie będzie mnie wykorzystywał.

- Nie mogę uwierzyć. Nie kiwniesz nawet palcem, żeby uchronić ją przed śmiercią?

- Wydaje mi się, że wy robicie dokładnie to samo - stwierdził Malone. - Nie zwalaj odpowiedzialności na mnie. Jeszcze kilka minut temu nie wiedziałem nic o tej kobiecie. Jeśli uważacie, że grozi jej tak wielkie niebezpieczeństwo, może powinniście wysłać tam swych ludzi, żeby ją porwali.

- To niemożliwe. Gdybyśmy zagrali w ten sposób, Bellasar jeszcze bardziej wzmógłby czujność. Stracilibyśmy szansę podstawienia kogoś.

- Więc w gruncie rzeczy wam też nie zależy na tej kobiecie.

Jeb nie odpowiedział.

- Jest tylko przynętą, przy pomocy, której chcecie mnie zwerbować - kontynuował Malone. - Ważniejsze jest dla was podstawienie kogoś, kto się tam rozejrzy, niż uratowanie jej.

- Upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- Ja się na to nie piszę. Nie dam sobą manipulować. Sam się z nim porachuję.

- Gdybyś przez chwilę posłuchał głosu rozsądku...

- Cholera jasna, ty i Bellasar jesteście podobni. Nie przyjmujecie odmownych odpowiedzi.

Jeb przez chwilę oceniał swego rozmówcę.

- Więc nie zmienisz zdania?

- Nie zmienię.

- Świetnie. - Głos Jeba zabrzmiał matowo. Zmarszczył brwi, spoglądając w stronę świateł miasta San Miguel przed nimi. - Muszę się napić - oświadczył jeszcze bardziej matowym głosem.

- Nie gniewasz się?

- Nie wystarczy jedna kłótnia, żeby zerwać przyjaźń.

Ale Malone odnosił wrażenie, że choć Jeb temu zaprzeczał, był to koniec ich przyjaźni.

13

Jechali główną ulicą malowniczego miasta i zatrzymali się przy restauracji o nazwie „Costa Brava” niedaleko morza. Pijąc piwo z Jebem, Malone właściwie nie czuł jego smaku. Obydwaj mieli problemy z podtrzymywaniem rozmowy. Specjalność zakładu, danie z homara, było bez zarzutu, ale Malone żałował, że nie jest w „The Coral Reef”. Dopiero teraz zaczął w pełni zdawać sobie sprawę z tego, co stracił.

Wrócili do domu wyjątkowo wcześniej. Malone zaproponował drinka przed snem, lecz Jeb wymówił się zmęczeniem po podróży. Malone wyszedł na pograżony w mroku dziedziniec i wpatrywał się w rozkopane wydmy i przewrócone drzewa. Opadł na hamak, zamknął oczy i zaczął rozmyślać o Bellasarze, o kobiecie o imieniu Siena i wyroku śmierci, o którym nie wiedziała.

Gdy po raz pierwszy ujrzał ją na okładce, zobaczył piękną twarz modelki, nic ponadto. Ale gdy dokładnie się jej przyjrzał, zauważył subtelność wokół jej ust, specyficzne zadarcie głowy i ustawienie oczu. Jej oczy. Było w nich coś, co świadczyło o wewnętrznym pięknie.

Teraz jej twarz i oczy pozostawały w jego pamięci. Nie przestawał myśleć o jej ogniście brązowej skórze w jego ulubionym kolorze. Zasypiał i budził się kilkakrotnie, cały czas rozmyślając o skazanej na śmierć piękności, o której portrety go proszono. W niespokojnym stanie między snem a jawą wyobrażał sobie jej idealne zmysłowe rysy - nie przypominał sobie ich, gdyż to nie twarz z okładki zajmowała jego umysł. Tworzył swoją koncepcję tej twarzy, własny obraz jej wewnętrznego piękna, które miało ulec zniszczeniu, jeśli jej nie pomoże.

W ten sposób zemściłby się na Bellasarze.

O świcie czekał już na zewnątrz, gdy Jeb wynosił z domu walizkę.

- Dobrze, zrobię to - oświadczył.

Część druga

1

Dom aukcyjny Sotheby's znajdował się w ekskluzywnej północno-wschodniej części Manhattanu, gdzie York Avenue przecina Siedemdziesiątą Drugą. Lutowe niebo miało kolor stalowej szarości, co zwiastowało śnieżycę. Nie zwracając uwagi na zimny wiatr, Malone trzymał ręce w kieszeniach podszytej futrem skórzanej kurtki i obserwował z przystanku autobusowego po drugiej stronie ulicy wejście do długiego domu aukcyjnego. Przed głównym wejściem zatrzymywały się kolejno taksówki i limuzyny, których dobrze ubrani pasażerowie wchodzili do budynku.

Było tuż po dziesiątej rano. Gdy poprzedniego dnia po południu Malone dotarł na lotnisko Kennedy'ego, miał jeszcze trochę czasu, żeby zatelefonować do Sotheby's przed jego zamknięciem i dowiedzieć się o motyw dzisiejszej aukcji - malarstwo ekspresjonistów - oraz o czas rozpoczęcia aukcji - dziesiąta piętnaście. Spędził niespokojną noc w hotelu „Parker Meridan”.

Douglas Fennerman twierdził, że planuje tutaj spotkanie z Bellasarem i Porterem. Malone miał nadzieję, że ten plan nie uległ zmianie. Jego własna koncepcja była od tego uzależniona. Zgodziwszy się na współpracę z Jebem, zastanawiał się, jak przyjąć zlecenie Bellasara, nie wzbudzając podejrzeń. W końcu tak długo pozostawał nieugięty i nie zgadzał się na namalowanie portretów. A teraz, gdy Bellasar poniósł znaczne wydatki, żeby ukarać Malone'a i zrujnować mu życie, czy Bellasar nie uzna za dziwne, że Malone po prostu uległ, przyznał się do błędu i wyraził zgodę? Czy Bellasar nie będzie kwestionował jego motywów? Czyż gniew nie byłby reakcją bardziej zgodną z jego charakterem?

Malone postanowił zrealizować swój plan, zanim jeszcze pojawił się Jeb. Jedyną rzeczą, która uległa zmianie, było to, że zamierzał się zemścić w inny sposób, niż sobie początkowo wyobrażał. Czując, że twarz piecze go nie tylko z zimna, lecz

również ze zdenerwowania, ponownie spojrzął na zegarek - dziesiąta osiem - po czym jego wzrok powędrował znów w stronę wejścia do Sotheby's, gdzie ujrzał dwóch muskularnych mężczyzn wysiadających z limuzyny. Ich króciutko ostrzyżone włosy i sztywna postawa wskazywały, że służyli niedawno w wojsku. Trochę zbyt obszerne garnitury pozwalały im ukryć broń, dając jednocześnie możliwość swobodnego manewru, w razie gdyby musieli szybko działać. Rozejrzeli się i skinęli w stronę limuzyny, dając sygnał, że pasażerowie mogą wysiąść.

Malone poczuł się, jakby przez jego system nerwowy przeleciała iskra, gdy w jego polu widzenia ukazał się Potter. Ten niski i posępny mężczyzna miał na sobie żałobny płaszcz, który podkreślał bladość jego cery. Gdy cofnął się, żeby zrobić miejsce dla drugiego pasażera, który wysiadał z limuzyny, wiatr porwał jego rzednące włosy. Malone zeszywniał.

Z dossier dostarczonego mu przez Jeba wynikało, że drugi mężczyzna ma sześćdziesiąt jeden lat, - tymczasem wyglądał, jakby dopiero dobiegał pięćdziesiątki. Był wysoki, wyprostowany, co dodawało mu jeszcze wzrostu. Miał gęste, ciemne, lekko kręcone włosy oraz szeroką twarz o rysach, które Malone'owi kojarzyły się z krajami śródziemnomorskimi. Ciało wydało się solidnie zbudowane. Białe jedwabny szal odcinał się na tle przepięknie skrojonej ciemnobrązowej marynarki i jasnobrązowych spodni. Żadnego płaszcza - nie przejmował się pogodą. Wrażenie, jakie robiły poszczególne elementy jego postaci, pogłębiała ich suma, przez co emanował siłą, która sprawiała, że ludzie wydawali się przy nim maluczcy.

Derek Bellasar. Potter twierdził, że Bellasar nie pozwala się fotografować, lecz Jeb pokazał Malone'owi zdjęcia zrobione potajemnie. To był na pewno on.

Natychmiast pojawił się jeszcze jeden mężczyzna, wybiegając z obrotowych drzwi prowadzących do budynku. Uśmiechał się szeroko i wyciągnął na przywitanie prawą rękę. Był to marszand Malone'a, Douglas Fennerman, którego rude włosy harmonizowały z wypiekami na twarzy. Bellasar przywitał go dość powściągliwie. Wszyscy są, pomyślał Malone, przechodząc przez ulicę, lecz choć szedł szybkim krokiem, nie zdążył dogonić grupy, zanim wszyscy zniknęli wewnątrz budynku.

Jakieś piętnaście sekund po nich znalazł się przy recepcji. Przedzierając się przez tłum, widział, jak Douglas wręcza Bellasarowi katalog aukcji, zostawiając drugi sobie razem z małym numerem używanym do licytacji. Najwidoczniej Doug był tu jako doradca Bellasara, który miał za niego brać udział w aukcji. Bellasar uznał pewnie podnoszenie ręki za czynność zbyt mu uwłaczającą. Cała grupa razem z

ochroniarzami ruszyła do góry marmurowymi schodami z mosiężną balustradą i skręciła w lewo w stronę przestronnej sali aukcyjnej.

Na górze Malone dotarł do punktu, gdzie pracownik Sotheby's prowadził rejestrację wszystkich, którzy chcieli wziąć udział w licytacji obrazów.

Na chwilę przed rozpoczęciem aukcji większość uczestników już się zarejestrowała, więc Malone w ciągu zaledwie minuty okazał prawo jazdy, podał nazwisko i adres i złożył swój podpis.

- Chase Malone? - zapytał pracownik. - Nie jest pan...

Zanim zdążył powiedzieć cokolwiek o jego pracach, Malone wszedł już do jasno oświetlonej, wyłożonej zielonym dywanem sali aukcyjnej.

2

Szmer setek ludzi wypełniał salę. Rozglądając się dookoła, Malone dostrzegł Bellasara, Pottera i Douglasa w środkowym rzędzie przy głównym przejściu. Po obu stronach sali stali ochroniarze, przyglądając się wszystkim. Gdy rozległ się głos licytatora, Malone oparł się o kamienną kolumnę z tyłu sali i czekał.

Pierwszy obraz, całkiem niezły Kandinsky, sprzedano za sześćset tysięcy dolarów. Przyglądając się cenie sprzedaży, wyświetlonej na elektronicznej tablicy w kilku walutach, Malone przypomniał sobie, że jeszcze dziesięć lat wcześniej jego prace wyceniano na sto dolarów. Teraz kupowano je za setki tysięcy. Biorąc pod uwagę głód panujący w wielu krajach świata, czy jakikolwiek obraz, nieistotne, kto go stworzył, wart był tych astronomicznych sum? Wiedział, że jego skarga trąciła hipokryzją, gdyż do tej pory zawsze przyjmował pieniądze. Większość honorariów oszczędzał, dbając o swą niezależność. I bardzo dobrze, pomyślał. Bo jeśli ryzykowny krok, który miał zamiar podjąć, nie powiedzie się, będzie potrzebował wszystkich swoich zasobów finansowych.

Następny obraz, wyjątkowo udany Klee, poszedł za osiemset pięćdziesiąt tysięcy. Lecz dopiero, gdy licytator przedstawił trzecią pozycję, na wskroś ponurego Muncha w stylu jego słynnego *Krzyku*, po sali przebiegł szmer. W katalogu minimalną wartość tego obrazu oszacowano na milion dwieście tysięcy. Jak zwykle licytator rozpoczął od pięćdziesięciu procent tej sumy, czyli od sześciuset tysięcy.

Malone zauważył, że Bellasar zmienił nieco pozycję, napiął mięśnie, zebrał energię. Doug lekko poruszył swym numerem, dając do zrozumienia prowadzącemu,

że otworzy licytację na wymaganym poziomie. Licytator automatycznie podniósł stawkę do sześciuset pięćdziesięciu tysięcy, które ktoś inny przyjął i które Doug przebił, gdy tylko licytator doszedł do siedmiuset tysięcy. Schemat ten się powtarzał. Nieznacznym ruchem ręki Doug przebijał każdą ofertę. Komunikat był jasny. Wszyscy mogli licytować, ile tylko chcieli, a on i tak da więcej.

Licytacja utknęła w martwym punkcie na poziomie miliona.

- Milion po raz pierwszy - ogłosił licytator. - Milion po raz drugi.

- Milion sto - powiedział Malone.

Wzrok licytatora błędził przez chwilę, jakby prosił o potwierdzenie.

- Milion sto - powtórzył Malone.

Zaintrygowany Douglas odwrócił się, żeby zobaczyć, kto jest jego adwersarzem, i aż zamrugał oczami ze zdziwienia na widok Malone'a. Powiedział coś, przez co Bellasar i Potter odwrócili głowy jak na komendę.

- Milion sto tysięcy - potwierdził licytator. - Oferta wynosi milion sto. Kto da...

- Dwieście - odezwał się Douglas.

- Trzysta - odparł Malone.

- Czterysta.

- Pięćset.

Nawet z daleka widać było, że licytator taksuje spojrzeniem Malone'a, którego sportowe buty, dzinsy i skórzana kurtka wyraźnie nie dawały mu spokoju. Zastanawiał się, czy Malone ma pieniądze na poparcie swej oferty.

- Szanowny panie, jeśli...

W tej chwili do licytatora podszedł asystent i szepnął mu coś do ucha. Powiedział mu prawdopodobnie to, co kilka spośród zebranych osób już sobie przekazywało. Rozpoznali Malone'a. Jego nazwisko przekazywano sobie szeptem od ucha do ucha.

- Doskonale - stwierdził licytator. - Milion pięćset. Czy ktoś...

- Sześćset. - Tym razem odezwał się nie Douglas, ale sam Bellasar; mówił barytonem z lekką nutą włoskiego akcentu i mocną nutą rozdrażnienia.

- Osiemset - rzucił Malone.

- Dwa miliony - odparł prowokująco Bellasar.

- Obraz jest pański. - Malone wzruszył ramionami. - Zdaje się, że z niczego nie potrafi pan zrezygnować.

Oczy Bellasara zdawały się ciskać błyskawice.

- Pieniądze handlarza bronią są równie dobre, jak każde inne, prawda? - Malone zapytał licytatora.

Bellasar wstał.

- Oczywiście pieniądze te są splamione krwią - dodał Malone. - Ale kto twierdzi, że krew i sztuka nie idą z sobą w parze?

Z obu stron nadciągali ochroniarze.

Umykając przed nimi, Malone zaczął iść środkowym przejściem między rzędami w stronę Bellasara.

- Chase, co ty wyprawiasz? - zapytał zaniepokojony Douglas.

Szmer w sali robił się coraz głośniejszy.

Twarz Bellasara zastygła w gniewie.

- Doprowadził pan do tego, że kupię ten obraz za dwa razy tyle, niż mogłem.

- Nie przypominam sobie, żebym wykręcał panu rękę. Może w ten sposób Bóg chce panu zakomunikować, że ma pan za dużo pieniędzy. Proszę doliczyć tę sumę do wydatków, jakie pan poniósł, żeby rozwalić mi życie. Interesuje się pan malarstwem? Ja postanowiłem zmienić swój styl. Teraz ciekawi mnie sztuka *performance*.

Sięgając do kieszeni kurtki, Malone wydobył z nich po jednej tubce farby olejnej. Nakrętki zostały już usunięte. Ściskając je mocno, wystrzelił na sportową marynarkę Bellasara dwa strumienie szkarłatnej farby.

Bellasar odruchowo cofnął głowę.

- Kolor krwi - stwierdził Malone. - Co za metafora.

Zamachnął się, żeby uderzyć Bellasara pięścią w brzuch, lecz zmienił pozycję, gdyż rzucił się na niego jeden z ochroniarzy. Odwrócił się i chwycił go za ramię, odpychając w stronę rzędu krzeseł pośpiesznie opuszczonych przez uczestników aukcji.

- Sprowadzić policję - zawołał ktoś.

Gdy krzesła przewracały się z trzaskiem pod ciężarem ochroniarza, Malone po raz drugi przygotował się do ciosu, lecz przeszkodził mu drugi ochroniarz. Malone posłał go na podłogę i wtedy poczuł ukłucie na karku. Obrócił się, żeby usunąć ostry przedmiot, i uświadomił sobie z przerażeniem, że Bellasar dźgnął go sygnetem, który nosił na palcu. A raczej czymś, co znajdowało się w sygnecie. Gdy Bellasar zamknął ozdobne wieczko pierścienia, Malone poczuł, że piecze go szyja. Płomień zdawał się trawić całe jego ciało. Zdażył jeszcze zadać cios pierwszemu ochroniarzowi, gdy zaczęło mu się kręcić w głowie. Bronił się dalej jak oszalały, lecz ktoś go uderzył,

podłoga zrobiła się gumowa, a pod nim ugięły się kolana. Gasnącym wzrokiem dostrzegł jeszcze czyjeś ręce, które go chwyciły i zaczęły ciągnąć rozmazanym przejściem między rzędami. Oczy zawiodły go trochę szybciej niż słuch. Próbował się wyrwać, lecz był bezsilny. Ostatnią rzeczą, która utkwiała mu w pamięci, było szuranie jego butów o dywan.

3

Obudził się z potwornym bólem głowy. Poczul, że jest przywiązany do krzesła w jakimś dużym i ciemnym pomieszczeniu, w którym odbijało się echo. Jedyne źródłem światła była mocna i nieosłonięta żarówka wisząca nad jego głową. Dwaj ochroniarze, lecz nie ci, z którymi miał już do czynienia, grali w karty przy pobliskim stoliku.

- Chcesz się załatwić? - zapytał jeden z nich.

- Tak.

- Fatalnie. Zresztą już to zrobiłeś.

Dżinsy Malone'a były mokre od moczu. Odczuwał mdłości i miał obolały kark w miejscu, gdzie Bellasar skaleczył go sygnetem.

Gdzieś w oddali otworzono drzwi i zatrzaśnięto je z metalicznym hukiem. Dało się słyszeć odgłosy kroków dwóch osób stąpających w ciemnościach po betonie. Malone dostrzegł Bellasara i Pottera. Bellasar miał teraz na sobie granatową marynarkę i szare spodnie; Potter wyglądał jeszcze posępniej niż zazwyczaj.

Bellasar przyglądał mu się.

- Jest pan głupcem.

- To nie ja zapłaciłem za obraz milion dolarów więcej, niż musiałem.

Bellasar rozłożył ręce.

- Pieniądzy mam pod dostatkiem. Miałem na myśli odmowę współpracy. Gdyby przyjął pan moje zlecenie, pańskie życie nie znalazłoby się w tak opłakanym stanie jak teraz.

- No cóż, stało się.

Bellasar przyjrzał mu się jeszcze uważniej i pokręcił głową.

- Co chciał pan osiągnąć poprzez ten incydent w Sotheby's?

- Chciałem mieć pewność, że gdy w końcu dostanę pana w swoje ręce, odbędzie się to przy świadkach. Tam widziało nas dostatecznie dużo ważnych osób, więc jeśli

wyłowią moje ciało z East River, policja zapewne w pierwszej kolejności zechce rozmawiać z panem.

Bellasar roześmiał się, ukazując wspaniałe białe zęby, które podkreślały jego opaleniznę.

- Zapewniam pana, że gdybym chciał, aby coś się panu stało, pańskiego ciała nie znaleziono by ani w rzece, ani nigdzie indziej. - Odczekał chwilę, żeby groźba wywołała odpowiedni efekt. - Może pan winić tylko samego siebie. Ja wystąpiłem z uczciwą ofertą. Pan postanowił odrzucić ją i tym samym obrazić mnie. Ale ja jestem rozsądnym człowiekiem. Dam panu jeszcze jedną szansę. Sprawię, że pańskie życie wróci na dawne tory. A nawet podwyższę pańskie honorarium do siedmiuset tysięcy dolarów. Ale ostrzegam: cierpliwość nie jest moją mocną stroną. Kolejnej szansy już nie będzie. - I tym razem odczekał chwilę dla efektu.

- Czemu tak bardzo upiera się pan przy mnie? - przerwał milczenie Malone. - Mogę wymienić kilkunastu artystów, którzy cieszą się lepszą reputacją. Niech jeden z nich namaluje portrety. - Malone podał nazwisko najsłynniejszego aktywnego zawodowo malarza realisty.

- Już mam namalowany przez niego portret. Nie docenia pan własnej wartości. Jestem przekonany, że za jakiś czas pańska reputacja prześcignie jego. Jestem kolekcjonerem. Wiadomo, że nigdy nie przyjmuje pan zleceń. Gdybym namówił pana na przyjęcie mojego zlecenia, choć odrzucił pan tak wiele podobnych próśb, wszedłbym w posiadanie czegoś unikatowego.

Malone nie odpowiedział.

- Duma jest czymś wspaniałym. - Bellasar westchnął. - Ale proszę nie zapominać, że ja też mam swoją dumę. Ten impas nie może trwać wiecznie. Jeden z nas musi ulec. Ale tym kimś nie mogę być ja. W moim fachu nie wolno mi okazywać słabości, zawsze muszę dopiąć swego. Jeśli pan ulegnie, otrzyma godziwą zapłatę za uczciwą pracę. Gdybym ja uległ, zachęciłbym niebezpiecznych ludzi do wystawienia mnie na próbę. Biorąc pod uwagę tę alternatywę, pan zyskuje więcej i traci mniej, chowając na chwilę dumę do kieszeni.

- Malowanie podobizny pańskiej żony nazywa pan uczciwą pracą? Może pan również dobrze zatrudnić jakiegokolwiek zdolnego rysownika.

- Nie mówiłem nic o podobiznie.

- Co?

- Nie zatrudniałbym artysty światowej klasy, spodziewając się, że narzucę mu obiegową opinię o tym, czym jest portret - wyjaśnił Bellasar. - To byłoby absurdalne. Pański styl jest bliższy sztuce reprezentacyjnej niż abstrakcyjnej, więc założyłem, że portrety będą w tym stylu. Ale nic na siłę. Nie wolno powstrzymywać natchnienia. Proszę tylko być całkowicie uczciwym wobec siebie i wobec malowanego obiektu.

Malone udał, że bije się z myślami. Pierwotnie nie chciał przyjąć jego zlecenia, gdyż obawiał się o swą niezależność, tymczasem Bellasar zapewnił mu pełną swobodę, o czym artysta może tylko marzyć. Mógł teraz przyjąć zlecenie, nie wzbudzając jego podejrzeń.

- Uczciwość wobec siebie i wobec malowanego obiektu.

- Zgadza się.

- I gdy skończę, będę mógł wrócić? Moje życie będzie wyglądało tak jak dawniej? Odejdę i nigdy więcej o panu nie usłyszę?

- Ma pan moje słowo. Oczywiście, jeśli postanowi pan przyjąć moją propozycję, mam nadzieję, że przedstawienie, które urządził pan w Sotheby's, usatysfakcjonowało pana emocjonalnie i od tej pory będziemy mogli utrzymywać cywilizowane stosunki.

Malone'owi przyszło na myśl, że przedstawienie zostało urządzone przez nich obu. Bellasar nie umawiałby się z Douglasem w Sotheby's, gdyby nie domyślał się, że Douglas zawiadomi o tym Malone'a. Bellasar oczekiwał spotkania z nim.

- Umowa stoi - oświadczył Malone.

4

Samolot Bellasara wystartował z lotniska Kennedy'ego o północy. Luksusowy odrzutowiec, przebudowany nieco, żeby mógł pomieścić prysznic i kuchnię, miał dwadzieścia miejsc, z których piętnaście było zajętych. Oprócz Bellasara, Pottera, Malone'a i czterech znanych Malone'owi ochroniarzy, w kabinie znajdowało się jeszcze ośmiu pasażerów, których rolę Malone usiłował ustalić. Trzej barczyści mężczyźni byli zapewne kolejnymi ochroniarzami. Cztery atrakcyjne młode kobiety spędzały większość czasu nad laptopami. Ostatnia osoba, posągowa blondynka w świeżutkiej białej jedwabnej bluzce, mówiła ze skandynawskim akcentem i okazała się stewardesą.

- Czym mogę pana poczęstować?

- Poproszę sok pomarańczowy.

- Mam dodać trochę szampana?

- Nie, dziękuję. - Środek uspokajający, który wstrzyknął mu Bellasar, spowodował odwodnienie organizmu. Alkohol mógłby sprawić, że będzie odczuwał jeszcze większe pragnienie. Poza tym musiał zachować czujność.

Gdy odrzutowiec przesywał nocne powietrze, Malone wyglądał przez okno, usiłując zlokalizować jakieś światła.

- Nie podoba mi się to - stwierdził siedzący obok niego Potter.

Malone odwrócił się w stronę przejścia.

- Otrzymał pan propozycję. Nie przyjął pan jej. - Ostre światła z kabiny odbijały się w okularach Pottera. - Został pan ukarany za brak współpracy. I na tym powinno się skończyć. Nie powinniśmy mieć z panem nic wspólnego.

- Doprawdy, niezbyt zależy mi na tym, żeby tutaj być. Czy naprawdę oczekiwał pan, że nie zrobię nic, gdy przed moim domem pojawiły się buldożery?

- Podjąłby pan mądrą decyzję.

- To wy postąpilibyście mądrze, zostawiając mnie w spokoju.

- Jak mnie pan opisał, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy? Powiedział pan, że jestem nieznośny. - Twarz Pottera sprawiała wrażenie jeszcze bledszej. - Mamy zatem coś wspólnego.

Gdy Potter odszedł, wróciła stewardesa z sokiem pomarańczowym dla Malone'a.

- Będziemy serwowali przystawki - zapowiedziała. - Co pan wybiera: mięso pieczone na ruszcie, kura po kornwalijsku czy *risotto alla Milanese*?

Malone nie był głodny, ale wiedział, że musi mieć dużo energii.

- Risotto.

- Mamy również wspaniały wybór win.

- Same przyjemności.

- Nawet pan sobie nie wyobraża jakie. - Stewardesa posłała mu zachęcające spojrzenie i podeszła do następnego pasażera.

- Zadowolony? - spytał podchodzący do niego Bellasar.

- Ja tak, Potter nie.

- Bycie nieszczęśliwym należy do jego obowiązków. Czy ubrania, które dostarczyli moi ludzie, pasują?

Malone kiwnął nieznacznie głową.

- Jeden z nich wybrał się też do pańskiego hotelu, zabrał bagaże i zapłacił rachunek.

Malone sięgnął po portfel.

- Zawsze płacę za siebie. Ile mam zwrócić?

Bellasar z rozbawieniem rozłożył ręce.

- Dopóki nie skończy pan portretów, pokrywam wszystkie pańskie wydatki. Przekona się pan, że jestem bardzo hojny dla tych, którzy ze mną współpracują. Mówiłem poważnie. Mam nadzieję, że puścimy w niepamięć naszą sprzeczkę.

- Proszę mi wierzyć, że pragnę przejść przez to, unikając jakichkolwiek nieprzyjemności. - Malone wbił wzrok w ciemność za oknem. - Czy mógłby mi pan powiedzieć, dokąd lecimy?

- Na południe Francji. Mam willę pod Niceą.

- Tam jest pańska żona?

- Tak. Czeka cierpliwie. - Bellasar zmrużył swe ciemnobrązowe oczy. - Czy fakt, że zajmuję się handlem bronią, był powodem, dla którego nie chciał pan przyjąć mojej propozycji?

- Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czym się pan zajmuje.

- Ale w Sotheby's przekazał pan tę informację całemu światu. Jak się pan o tym dowiedział?

Pytanie wydawało się rzucone od niechcenia, lecz Malone nie miał wątpliwości, że jest sprawdzany.

- Odwiedził mnie na Cozumel mój przyjaciel. Jest specjalistą od ochrony. Opowiedziałem mu, co się stało. Gdy wspomniałem pańskie nazwisko, powiedział, że słyszał o panu. Radził mi trzymać się od pana z daleka. Powiedział, że jest pan bardzo niebezpieczny.

- To pewnie pan Wainright.

- Kazał pan mnie obserwować?

- Lubię być dobrze poinformowany. Zdaje się, że korzysta z urlopu.

- To znaczy, że buldożery nie zburzyły jeszcze mojego domu?

- Zostały odesłane. Jak obiecałem, pańskie życie wróci na dawne tory. Panu chyba rzeczywiście nie podoba się moja praca.

- Chyba nie dają mi spokoju te wszystkie dzieci ginące od min przeciwpiechotnych, które pan sprzedaje dyktatorom przejmującym władzę w krajach Trzeciego Świata.

- Większość tych dzieci i tak zmarłaby z głodu. - Wzrok Bellasara powędrował w stronę nadchodzącego Pottera.

- Telefon.

- Pilny?

Milczenie Pottera było wielce wymowne. Bellasar odwrócił się do Malone'a.

- Następnym razem pomówimy o pańskiej pracy, nie mojej.

5

Tuż po dziesiątej rano odrzutowiec Bellasara znalazł się nad lotniskiem w Nicei. Błękit Morza Śródziemnego przywiódł Malone'owi na myśl Morze Karaibskie. Palmy też przypominały mu o domu. Lecz gęsto zabudowana linia brzegowa oraz spalinowy smog zupełnie nie dawały się porównać z cudowną samotnością i czystym powietrzem, którymi napawał się na Cozumel. Rozżalony odwrócił się od okna. Odrobina chablis wypitego do kolacji, której prawie nie tknął, nieco go odprężyła. Udało mu się nawet zdrzemnąć, choć spał niespokojnie, nawiedzany obrazami wysadzanych w powietrze dzieci i rozkładającej się w trumnie twarzy pięknej kobiety.

Nie musieli wychodzić na lotnisko. Urzędnicy celni i imigracyjni podeszli do odrzutowca i stanęli na płycie lotniska, rozmawiając z Potterem, który widocznie umówił się już nimi, gdyż zajrzeli tylko na chwilę do samolotu, ruchem głowy przywitani się z pasażerami i podstemplowali paszporty, które wręczył im Potter. Prawdopodobnie w bardziej dyskretnych okolicznościach mieli otrzymać wynagrodzenie za swój pośpiech. Pozwalając Potterowi samodzielnie zająć się szczegółami, Bellasar przeszedł w głąb kabiny, zanim jeszcze pojawili się urzędnicy. Nie dał Potterowi swego paszportu, a więc nie istniał żaden dowód, że Bellasar przybył do Francji. Malone pomyślał, że o jego bytności we Francji też nikt się nie dowie.

Kiedy Potter zbierał od wszystkich paszporty, zabrał też paszport Malone'a, lecz zamiast pokazać go urzędnikowi, schował dokument do kieszeni. Malone ponownie zdał sobie sprawę, jak łatwo jest zniknąć z powierzchni ziemi.

Wszyscy pasażerowie wysiedli z samolotu i podzielili się na dwie grupy. Większość została, żeby przenieść bagaże do czekającego helikoptera, natomiast Bellasar, Potter, trzech ochroniarze oraz Malone przeszli do drugiego śmigłowca. Znajomy warkot łopat wcale nie działał uspokajająco. Podczas startu, na widok

lotniska, które robiło się coraz mniejsze, Malone przeniósł się w myślach dziesięć lat wstecz, udając, że wykonuje misję wojskową. Powrót do tamtej mentalności, nakazywał sobie w duchu. Zaczynaj myśleć jak żołnierz. A co ważniejsze, zaczynaj czuć jak żołnierz.

Zerknął w stronę układu sterowniczego, porównując dźwignie, pedały i inne urządzenia z tymi, które znał. Zauważył kilka zmian konstrukcyjnych oraz grupę przełączników o niewiadomym przeznaczeniu, których pilot nie używał, lecz w gruncie rzeczy zasada sterowania tego typu maszyną nie zmieniła się. Udało mu się nawet oderwać myśli od czyhających na niego niebezpieczeństw, wyobrażając sobie, że jest na miejscu pilota i steruje śmigłowcem.

Bellasar coś powiedział.

- Co? - Malone odwrócił się. - Nic nie słyszę. Przez ten hałas.

Bellasar powtórzył, tym razem głośniej.

- Mówiłem, że wykupiłem wszystkie towary z najlepszego sklepu z artykułami malarskimi w Nicei. Materiały znajdują się do pańskiej dyspozycji w mojej willi.

- Był pan tak pewny tego, że się w końcu zgodzę?

- Najważniejsze, że w ten sposób będzie pan mógł przystąpić do pracy bezzwłocznie.

- I tak nie złączą od razu.

- Nie rozumiem.

- Nie mogę natychmiast rzucić się do farb. Muszę najpierw zapoznać się z obiektem.

Bellasar nie odpowiadał przez chwilę.

- Oczywiście.

Potter ze skupieniem wpatrywał się w oczy Malone'a.

- Tylko żeby nie zapoznawał się pan zbyt długo - dodał Bellasar.

- Nie wspominał pan o ograniczeniach czasowych. Miałem mieć pełną swobodę. Gdybym wiedział, że będą jakieś warunki, nigdy...

- Nie ma żadnych warunków. Ale być może niedługo żona i ja będziemy musieli wyjechać w interesach. Gdyby do tego czasu zakończył pan przygotowania, może resztę pracy wykonałby pan bez niej. Na przykład ze szkicu.

- Ja tak nie pracuję. Prosił mnie pan o uczciwy portret. Malowanie ze szkicu to gówno. Jeśli nie da mi pan malować po swojemu, w ogóle nie zacznę. Kupuje pan nie tylko mój autograf na płótnie.

- Najpierw nie chciał pan przyjąć zlecenia, a teraz upiera się pan, żeby robić wszystko prawidłowo i bez pośpiechu. - Bellasar odwrócił się do Pottera. - Imponujące.

- Bardzo. - Potter nie spuszczał wzroku z Malone'a.

- Proszę spojrzeć. - Bellasar wskazywał palcem przez okno.

Malone powędrował wzrokiem za jego palcem. Przed nimi po prawej stronie, ukryty wśród skalistych, pokrytych lasem wzgórz, lśnił w porannym słońcu trzypiętrowy zamek zbudowany z ogromnych kamiennych bloków. Gdyby Malone miał go namalować, wybrałby styl impresjonistyczny, stapiając w jedno liczne balkony, wieżyczki i kominy, wokół których wirowałyby starannie utrzymane kwietniki, przyszczyżone krzewy i rozłożyste cyprysy.

Pilot przemówił po francusku do małego mikrofonu doczepionego do hełmu, zapewne przedstawiając siebie członkom ochrony na ziemi. Gdy helikopter schodził do lądowania, Malone dostrzegł stajnie, korty tenisowe, basen i jeszcze jeden duży kamienny budynek z dzwonnica, który przypominał mu klasztor. Za wysokim murem rozciągały się pola, winnice i pastwiska. Z dużej wysokości widać było małe postaci pracujących tam ludzi, lecz gdy helikopter zszedł niżej nad lądowisko przy zamku, postaci zrobiły się większe i Malone mógł stwierdzić, że są to głównie uzbrojeni ochroniarze.

- Da się wytrzymać? - Głos Bellasara brzmiał ironicznie.

- Jest pięknie - przyznał Malone - jeśli nie zwraca się uwagi na strażników.

- Zamek należał do mojego ojca, dziadka i pradziadka, od czasów wojen napoleońskich.

Dzięki sprzedaży broni, pomyślał Malone.

Helikopter osiadł na ziemi, a warkot łopat zamienił się w skowyt.

- Ci ludzie zaprowadzą pana do pokoju - rzekł Bellasar. - Spodziewam się pana na koktajlu w bibliotece o siódmej. Zapewne nie może się już pan doczekać spotkania z moją żoną.

- Owszem - odparł Malone. - Za siedemset tysięcy dolarów jestem ciekaw, jak wygląda mój model.

W obitej dębową boazerią przestronnej sypialni stało duże łóżko z baldachimem, na którym po kąpieli czekał na Malone'a biały pluszowy szlafrok. Okazało się, że jego torba została rozpakowana i leżała teraz na podłodze przy szafie. Otworzywszy szafę, Malone zauważył, że w jednej szufladzie ułożono jego skarpety i bieliznę, a w drugiej golfy i parę luźnych bawełnianych spodni. Skorzystał z nowiutkiej szczoteczki do zębów i maszynki do golenia, które znalazł na półce nad marmurową umywalką. Teraz przyniósł do łazienki swoją kosmetyczkę i poukładał jej zawartość na półce, wyrzucając dostarczony mu przez Bellasara drogi szampon i krem do golenia. Ten drobny buntowniczy gest usatysfakcjonował go. Założył spodnie i zielony golf. Szukając jasnobrązowych butów, które zapakował do torby, znalazł je w garderobie obok noszonych już adidasów. Zatrzymał się ze zdziwieniem przed nowymi dresami i smokingiem wiszącym obok jego skórzanej kurtki. Zanim przymierzył jeden z dresów, wiedział już, że będą idealnie pasować. Tak, Bellasar wiedział o nim bardzo dużo, pomyślał niespokojnie Malone. Oprócz najważniejszej rzeczy: Bellasar nie wiedział o jego umowie z Jebem. Malone przyjął to za pewnik, bowiem w przeciwnym razie, już dawno by nie żył.

Z czasów służby w wojsku Malone pamiętał, że nie wolno ucinać sobie drzemki nawet po długim locie, bez względu na ogrom zmęczenia. Drzemka przestawiłaby i tak już rozregulowany wewnętrzny zegar. Należało wytrwać do końca dnia i położyć się o zwykłej porze. Nazajutrz rano można było wrócić na stanowisko.

Malone otworzył drzwi sypialni i zastał na korytarzu mężczyznę. Miał przy sobie pistolet kalibru 9 mm „Beretta” oraz krótkofalówkę. Ze słabym francuskim akcentem zwrócił się do Malone'a doskonałą angielszczyzną.

- Pan Bellasar poprosił mnie, żebym służył panu, jako przewodnik po posiadłości.

- Niewątpliwie dba o swoich gości.

Idąc korytarzem, Malone słuchał swego przewodnika, który wskazywał na wyeksponowane obrazy, meble i naczynia, wszystkie pochodzące z okresu francuskiej Regencji. Dowiedział się, że pozostałe korytarze urządzone są według innych motywów, a każdy przedmiot posiada wartość muzealną.

Zeszli krętymi schodami do foyer, gdzie wisiał najokazalszy kryształowy żyrandol, jaki Malone kiedykolwiek widział.

- Ma pięćset lat - objaśnił mu ochroniarz. - Z pałacu doży w Wenecji. Marmur podłogowy pochodzi z tego samego pałacu.

Malone kiwnął głową. O tak, Bellasar jest niewątpliwie kolekcjonerem.

Na zewnątrz słońce przyjemnie grzało, lecz Malone nie zwracał na to uwagi. Koncentrował się jedynie na najbliższej okolicy, przemierzając z ochroniarzem ogrody, mijając przystrzyżone krzewy i stawy i zbliżając się do basenu.

Nagle odwrócił się. Padł strzał.

- To ze strzelnicy - wyjaśnił ochroniarz, wskazując teren położony za sadem.

Rozległo się jeszcze kilka wystrzałów, jakby toczyła się tam jakaś mała wojna. Ochroniarz celowo omijał tamte rejony, podobnie jak trzymał się z dala od położonego w tym samym kierunku dużego kamiennego budynku z dzwonnica, który Malone'owi przywodził na myśl klasztor.

- Klauzura - wyjaśnił ochroniarz. - Przed rewolucją francuską mieszkali tu mnisi, ale po skonfiskowaniu ziem należących do Kościoła, wykupił je jeden z przodków pana Bellasara. Niestety, motłoch zdążył już zniszczyć wszystkie religijne symbole. Wciąż znajduje się tam pomieszczenie, które musiało być kaplicą. Przekonałby się pan, gdyby wolno mu było tam wejść. Ale to zabronione.

Malone wzruszył ramionami, udając, że interesuje go tylko to, co pokazuje mu ochroniarz, nic poza tym. Tymczasem najbardziej interesował go wysoki kamienny mur otaczający posiadłość z zainstalowanymi na nim kamerami. Wejścia z przodu i z tyłu były zabezpieczone solidnymi metalowymi barierkami i pilnowali ich uzbrojeni strażnicy. Ucieczka nie mogła być łatwa.

Coś wybuchło za sadem, a eksplozja rozniosła się grzmiącym echem. Żaden ze strażników nie zareagował. Towarzysz Malone'a nawet nie raczył spojrzeć w tamtym kierunku.

- Pokażę teraz, gdzie są pańskie przybory do malowania. Pan Bellasar proponuje, żeby pracował pan w pomieszczeniu przy tarasie. Tam jest najlepsze światło.

7

Gdy Malone wrócił do swego pokoju, na szafce przy łóżku leżała gruba broszura. Papier zbrązowiał ze starości. Wziął ją ostrożnie do ręki i przewrócił kilka sztywnych, łamliwych kartek. Tekst był angielski, autorstwa Thomasa Malthusa, nosił tytuł *Prawo ludności*. Towarzyszyła mu odręczna notatka *Pomyślałem sobie, że zechce pan poczytać dla relaksu*. Dla relaksu? Z takim tytułem? Na wewnętrznej

stronie przeczytał, że broszurę opublikowano i wydrukowano w Londynie w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym. Bezcenne pierwsze wydanie. Notatka kończyła się przypomnieniem: *Na kolacji obowiązuje ubiór galowy*. Żeby nie pozostawić żadnych niedomówień, smoking, który wcześniej wisiał w garderobie, został rozłożony na łóżku obok wyprasowanej białej koszuli, spinek do mankietów i kołnierza z czarnymi perłami, czarnego jedwabnego pasa i czarnej muszki.

Malone nie miał na sobie tak uroczystego stroju od ośmiu lat, od ślubu swego marszanda. Nie lubił tego, czuł się skępowany. Ale za nic w świecie nie chciał dopuścić do tego, żeby Bellasar wyczuł jego dyskomfort. Gdy dwie godziny później zszedł do biblioteki, wyglądał, jakby nosił smoking codziennie.

Duże, wysokie na dwa piętra pomieszczenie obudowane było półkami ze wszystkich stron, od podłogi po sufit. Poza drzwiami i oknami, każdą przestrzeń na ścianach wypełniały książki. Drabiny na kółkach umożliwiały dostęp do najwyższych półek na głównym poziomie. Podobne drabiny na kółkach znajdowały się na przejściu na drugim poziomie. Światło z kolorowych lamp odbijało się w skórzanych obiciach foteli i w blatach dobrze wypolerowanych stolików.

Obok większego stołu na środku sali Bellasar podniósł do ust kieliszek z czerwonym płynem. Wyglądał władczo w smokingu, a elegancki strój nadawał jeszcze większego dramatyzmu jego czarnym włosom i śródziemnomorskim rysom twarzy. W tle czekał dyskretnie na jego polecenia służący.

- Wypoczęty? - zapytał Bellasar.

- Czuję się wspaniale. - Malone podniósł broszurę. - Zwracam ją. Aż strach pomyśleć, że coś mogłoby się z tym stać w moim pokoju.

- Tylko dlatego, że to pierwsze wydanie?

- Bardzo droga lektura do poduszki.

- Wszystkie te książki są rzadkimi egzemplarzami. Nie przeczytałbym niczego w innej formie. A po co kolekcjonować przedmioty, których się później nie używa?

- Po co w ogóle je kolekcjonować?

- Żeby odczuwać z nich dumę.

Malone położył broszurę na stole.

- Wydanie w miękkiej oprawie jest chyba bardziej w moim stylu.

- Miał pan czas ją przejrzeć?

- To klasyczna rozprawa o przyczynach przeludnienia i sposobach kontrolowania tego problemu. Słyszałem kiedyś o Malthusie. Ale nigdy nie czytałem jego prac.

Bellasar sączył dalej swój czerwony napój.

- Czego chciałby się pan napić? Podobno lubi pan tequilę.

- Nic nie umknie pańskiej uwagi.

- Wychowano mnie tak, żeby traktować niedoinformowanie, jako grzech. Czy mogę polecić panu gatunek z prywatnej plantacji w meksykańskim regionie Jalisco? Sok z agawy jest destylowany trzykrotnie i dojrzewa przez dwadzieścia lat. Produkuje je w ograniczonych ilościach jedna rodzina i sprzedaje wybranym klientom. Ten rocznik liczy sobie tylko dwadzieścia butelek. Wykupiłem je wszystkie.

- Z przyjemnością skosztuję to, czego nie może reszta świata.

Służący nalał płyn do kieliszka.

- Dla mnie jeszcze raz to samo - powiedział Bellasar.

Służący kiwnął głową.

- Skoro jest pan koneserem, którą wódkę dodaje pan do Krwawej Mary? - zapytał Malone.

- Wódkę? Na Boga, nie. To nie jest Krwawa Mary, tylko koktajl ze świeżych soków z warzyw. Nie pijam alkoholu. Uszkadza komórki mózgowe i wątrobę.

- Ale nie przeszkadza panu, że reszta gości pije?

- Malthus mógłby powiedzieć, że alkohol jest sposobem na zmniejszenie liczby ludności. - Nie wiadomo było do końca, czy Bellasar żartuje, czy mówi poważnie.

Z lewej strony otworzyły się nagle drzwi i do sali wkroczyła kobieta. Najpiękniejsza, jaką Malone kiedykolwiek widział.

8

Malone'owi zapało dech w piersiach.

Teraz rozumiał, dlaczego Bellasar upierał się, aby koktajl i kolacja miały uroczysty charakter. Chciał przygotować odpowiednie tło do prezentacji kolejnego eksponatu.

Miała na sobie czarną suknię wieczorową, która iskrzyła się w otaczającym ją świetle lamp. Suknia nie miała ramiączek, dzięki czemu elegancka linia opalonych kobiecych ramion pozostała niczym nieskalana. Głęboki dekolt odsłaniał gładką skórę

piersi. Talia nie pozostawiała żadnych wątpliwości, co do jędrności brzucha. Suknia spływała zmysłowo po biodrach aż do kostek, podkreślając urodę długich i kształtnych nóg.

Lecz największe wrażenie robiła jej twarz. Zdjęcie na okładce magazynu nie oddawało w pełni koloru jej skóry. Koloru sieni palonej. Miała doskonale proporcjonalne rysy. Linia podbródka znajdowała się równolegle do linii brwi, które z kolei harmonizowały ze sposobem, w jaki spięła swe długie, gęste i ciemne włosy. Lecz wdzięk symetrii tylko częściowo tłumaczył urodę tej kobiety. Kluczem były jej oczy i fascynująca osobowość, która się w nich kryła.

Fascynująca, choć sprawiała wrażenie zmartwionej.

- Pozostali goście się spóźniają? - Jej głos przywiódł Malone'owi na myśl winogrona i gorące letnie wieczory.

- Nikogo więcej się nie spodziewamy - wyjaśnił Bellasar.

- Ale gdy zawiadomiłeś mnie, że to uroczysty wieczór, myślałam...

- Spędzimy wieczór we trójkę. Chcę, żebyś poznała Chase'a Malone'a. Jest artystą. Być może słyszałeś o nim.

Malone poczuł gorąco na policzkach, kiedy spojrzała na niego.

- Chyba tak. - Mówiła z amerykańskim akcentem, a w jej głosie wyczuwało się wahanie.

- Nie dziwiłbym się, gdyby nie znała pani moich prac - oznajmił Malone. - Świat sztuki jest szalenie zaabsorbowany samym sobą.

- Ale poznasz pana prace - zapowiedział Bellasar.

Wyglądała na skonsternowaną.

- Będzie cię malował. Panie Malone, przedstawiam panu moją żonę: Siena.

- Nigdy o tym nie mówiłeś - odezwała się Siena.

- Rozwahałem tę możliwość od jakiegoś czasu i gdy miałem szczęście zetknąć się z panem Malone, zaproponowałem mu zlecenie, które on łaskawie przyjął.

- Ale dlaczego...

- Żeby cię uwiecznić, kochanie.

Przez cały dzień Malone zastanawiał się, czy Jeb mówił prawdę o niebezpieczeństwie, które groziło Sienie. Przecież Jeb powiedziałby wszystko, żeby uzyskać zgodę Malone'a na współpracę. Ale ciemne tony w głosie Bellasara przekonały go. Siena nie zdawała sobie sprawy, że ociera się o śmierć.

- Możesz zacząć pozować jutro rano? - zapytał ją Bellasar.

- Jeśli tego chcesz. - W jej głosie pobrzmiwało niezdecydowanie.
 - Jeśli ty chcesz. Nikt cię do niczego nie zmusza - powiedział Bellasar.
- Odwracając się do Malone'a, Siena wyglądała właśnie tak. Na zniewoloną.
- O której?
 - O dziewiątej. Nie za wcześnie?
 - Nie, zazwyczaj wstaję przed szóstą.
 - Siena uwielbia jazdę konną - wyjaśnił Bellasar. - Jeździ, co rano.

Malone'owi wydawało się, że pochwały Bellasara są nieszczerze. Znów wyczuł ciemne tony w jego głosie i przypomniał sobie, że trzy poprzednie żony Bellasara zginęły w wypadkach. Czy w ten sposób Bellasar planował usunąć Sienę: fingując wypadek podczas jazdy konnej? Pokiwał głową.

- Jako dziecko też jeździłem konno. A więc umawiamy się na dziewiątą. W pokoju przy tarasie.

- Świetnie. - Gdy Bellasar pochylił się, żeby pocałować Sienę w prawy policzek, coś w okolicy jej oka przykuło na moment jego uwagę.

- Coś się stało? - zapytała.

- Nic. - Odwrócił się do Malone'a. - Zapomniał pan na śmierć o swojej tequili.

9

W ogromnym kominku w jadalni paliły się drewniane kłody. Stół był na tyle długi, że mogłoby przy nim zasiąść czterdzieści osób, a że kolację spożywały tylko trzy, wydawał się jeszcze dłuższy. Bellasar zajął miejsce u szczytu stołu, a Malone i Siena po bokach, twarzą do siebie. Świece skwierczały, a ruchy służących odbijały się echem w przestronnej sali.

- Jedzenie i seks - odezwał się Bellasar.

Malone pokręcił głową zdumiony. Zauważył, że Siena nie podnosi wzroku, koncentrując się na posiłku. A może nie chciała zwracać na siebie uwagi Bellasara?

- Jedzenie i seks? - powtórzył Malone.

- Dwa z czterech założeń wywodu Malthusa. - Bellasar spojrział na talerz z gotowanym pstrągiem, który przed nim postawiono. - Ludzie muszą jeść. Ulegają potężnemu popędowi płciowemu.

- A pozostałe dwa?

- Przyrost ludności następuje w postępie geometrycznym: jeden, dwa, cztery, osiem, szesnaście, trzydzieści dwa. Natomiast przyrost środków żywności następuje w postępie arytmetycznym: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Nasze zdolności reprodukcyjne są zawsze nadmierne w stosunku do możliwości wyżywienia ludności. W konsekwencji znaczna część społeczeństwa skazana jest na życie w nędzy.

Bellasar przerwał, delektując się smakiem pstrąga.

- Oczywiście możemy próbować zmniejszać przyrost ludności za pomocą antykoncepcji, celibatu i ograniczeń liczby dzieci w rodzinie. Niektóre społeczeństwa polecają aborcję. Ale popęd płciowy jest zbyt silny i liczba ludności wciąż wzrasta. Tylko w tym roku populacja całego świata wzrosła o liczbę równą liczbie mieszkańców Skandynawii i Wielkiej Brytanii. Zbliżamy się do granicy sześciu miliardów, a szacuje się, że do połowy dwudziestego pierwszego wieku liczba ta wzrośnie do dziesięciu miliardów. Nie wystarczy żywności dla wszystkich. To niemożliwe. Ale w grę wchodzi też inne czynniki. Dzięki ingerencji litościwego Boga, gdy tylko dochodzi do drastycznego zakłócenia równowagi między liczbą ludności a zaopatrzeniem w żywność, przywracają ją epidemie i wojny.

- Dzięki ingerencji litościwego Boga? - Malone nie dowierzał własnym uszom.

- Tak twierdził Malthus. A ja się z nim zgadzam. A propos, Malthus był anglikańskim pastorem. Wierzył, że bieda jest częścią boskiego planu. Ma być ona naszym sprawdzianem: czy pokonując przeciwności losu, potrafimy się zmobilizować i wzmocnić nasze charaktery? Ci, którzy stawili czoło wyzwaniom i stali się lepszymi ludźmi, otrzymują po śmierci wieczną nagrodę.

- A tymczasem na ziemi głód, choroby i wojny zamieniły ich życie w piekło - wtrąciła Siena.

- Jak widać, nie słuchałaś uważnie, moja droga. W przeciwnym razie zrozumiałabyś, o czym mowa.

Siena wbiła wzrok w talerz.

- A więc wojna jest zjawiskiem pozytywnym - skomentował zjadliwie Malone. - A handlarze bronią to aniołowie.

- Łatwo jest potępiać coś, czego się nie rozumie. A wracając do Malthusa, mój praprapradziadek przyjaźnił się z nim.

- Co?

- Po publikacji pierwszego wydania swego eseju Malthus odbył podróż z Anglii na kontynent europejski. Mój przodek miał szczęście spotkać go na przyjęciu w

Rzymie. Spędzili razem wiele wieczorów, wymieniając poglądy. Broszura, którą panu pożyczyłem, była prezentem dla mojego przodka od samego Malthusa.

- Chce mi pan powiedzieć, że pański przodek zajął się handlem bronią pod wpływem idei Malthusa?

- Uważał to zajęcie za powołanie. - Bellasar rzucił zatroskane spojrzenie w stronę Sieny. - Kochanie, chyba nie smakuje ci ten pstrąg. Mam nadzieję, że królik bardziej przypadnie ci do gustu.

10

Malone pogrążony w myślach leżał w swej ciemnej sypialni i wpatrywał się w sufit. To był jeden z najdziwniejszych wieczorów, jakie dotąd przeżył. Rozmowa toczyła się na tak abstrakcyjnym poziomie, że czuł się zdezorientowany i kręciło mu się w głowie bardziej niż wtedy, gdy Bellasar wstrzyknął mu środek uspokajający.

Zmęczenie po podróży samolotem dawało o sobie znać. W końcu zamknął ciężkie powieki. Śniło mu się dwóch mężczyzn w perukach i długich, falbaniastych szatach, którzy w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym roku w zadymionej gospodzie przy ogniu zapamiętali roztrząsali kwestie społeczne. Śnił również o Sienie, która galopując wśród cyprysów, nie zauważyła linki, o którą potknął się koń, i skreśliła kark. Przyśnił mu się również helikopter, który podchodzi do lądowania, pozostaje przez chwilę na ziemi i zaraz potem znów odlatuje, a hałas silnika milknie w oddali. Malone otworzył oczy, zdając sobie sprawę, że helikopter wcale nie był snem.

Wyskoczył z łóżka i podszedł do dużego okna. Wyglądając przez nie, ujrzał cienie drzew w ogrodzie i odbicie księżyca w stawach. Reflektory zalewały światłem wszystkie dziedzińce i zaułki. W polu widzenia pojawił się strażnik; zgasił papierosa i przerzucił karabin z lewego ramienia na prawe. Z dala dochodziły rozgniewane głosy dwóch mężczyzn, lecz były tak stłumione, że Malone nie mógł zrozumieć, o co się kłócili. Strażnik nie zwracał na nich żadnej uwagi. Kłótnia dobiegła końca. Gdy nad posiadłością zaległa cisza, Malone przesunął dłonią po zmęczonej twarzy i wrócił do łóżka. Morzył już go sen, kiedy usłyszał odległy strzał. Gotów był się założyć, że i tym razem strażnik nie zwrócił na to żadnej uwagi.

Część trzecia

1

Wystraszony nagłym pojawieniem się helikoptera, koń Sieny, ogier arabski, **W**zawahał się przy strumieniu, który miał przeskoczyć, i niemal zrzucił ją do wody. Tracąc równowagę, ścisnęła konia mocniej udami. Gdy pojawiło się niebezpieczeństwo, że koń stoczy się do strumienia, zmniejszyła nacisk prawego uda, przyciskając mocniej z lewej strony i jednocześnie tak samo pokierowała lejcami. Zawracając konia znad strumienia, przycisnęła strzemiona, po mistrzowsku popuściła lejce i zatrzymała się w chwili, gdy helikopter przelatywał z hukiem nad jej głową. Przerwa między drzewami pozwoliła jej rzucić na niego okiem, tymczasem, żeby dostrzec ją, ktoś musiałby patrzeć prosto w dół. Po chwili helikopter zniknął, zbliżając się do wzgórz.

Klepiąc araba po szyi i szepecząc mu słowa otuchy, Siena czekała, aż warkot całkowicie ucichnie. Było tuż przed ósmą rano. Bellasar miał dwa helikoptery i o świcie, gdy dochodziła do stajni, odleciał pierwszy. Zastanawiała się, czy Derek nie znajdował się na pokładzie któregoś z nich. A właściwie miała taką nadzieję. Odczuwała strach na myśl, że wróci do zamku, zastanie go tam i będzie musiała czynić wysiłki, żeby dopasować się do nastroju, w jakim się znajdował tego ranka. Ostatnio wyjechał na sześć dni, a przez pierwsze trzy nie mogła przeboleć, z jakim chłodem traktował ją przed wyjazdem. Przez ostatnie kilka miesięcy nie potrafiła dotrzeć do niego, choć bardzo się starała. Nie była już w stanie interpretować jego myśli.

Czasem zastanawiała się, co by się stało, gdyby pojechała, gdzie ją oczy poniosą, omijając drogi i ścieżki, w stronę wzgórz. Jak daleko by zajechała? I co by zrobiła z dala od posiadłości męża bez jedzenia i wody? A gdyby zapakowała do toreb przy siodle prowiant przed poranną przejażdżką, wzbudziłaby podejrzenia. Nie była w stanie tego udowodnić, ale podejrzewała, że Derek każe ją obserwować z daleka, gdy galopuje przez najdalsze krańce jego posiadłości. Gdyby zdołała udowodnić, że jest

obserwowana, Derek wzruszyłby pewnie ramionami i powiedział, że chodzi mu tylko o jej bezpieczeństwo. Nie miała dostępu do pieniędzy. Derek się o to postarał. Mogła wprawdzie wykraść trochę biżuterii, ale gdzie na wsi znajdzie na nią kupca? Bez pieniędzy nie była w stanie się wyżywić, wynająć pokoju w hotelu czy nawet kupić biletu autobusowego, gdyby zechciała uciec od Dereka. Jakkolwiek na to patrzyła, znajdowała się w potrzasku. Może dlatego helikopter nadleciał w tę stronę - żeby przypomnieć jej, że nigdy nie jest sama i nie ma szans na ucieczkę.

Wracając konno do stajni, prawie w ogóle nie zwracała uwagi na skąpaną w słońcu okolicę. Była zbyt pochłonięta myślami, wiedząc, że za niespełną godzinę będzie musiała stawić czoło nowemu problemowi stworzonemu przez Dereka: artyście, którego wynajął, żeby ją namalował. Artysta? Nic nie rozumiała. Derek nigdy nie ulegał nagłym zachciankom. O co mu chodziło? Pocierając lewe ramię, które jej boleśnie wykręcił przed wyjazdem tydzień temu, stwierdziła w myślach, że niestety wkrótce się dowie.

2

Gdy stajnie znalazły się w polu widzenia, zsiadła z konia, zdjęła kask i potrząsnęła głową, pozwalając, aby gęste włosy spłynęły jej na ramiona. Prowadząc araba ścieżką wysadzaną cyprysami, zdawała sobie sprawę, że mogła poprosić stajennego o odprowadzenie konia, ale intymny związek ze zwierzęciem, którym się opiekowała, sprawiał jej taką samą przyjemność jak jazda. Odwróciła się, żeby poklepać go po karku i szepnąć mu parę czułości, spojrzała przed siebie i zawahała się na widok malarza, który wyszedł ze stajni i oparł się o ogrodzenie.

Wczorajszy uroczystry strój sprawił, że trudno jej było ocenić jego sylwetkę. W smokingu męczyzna zawsze wygląda na postawniejszego niż w rzeczywistości. Teraz jego sportowe ubranie - adidas, džinsy i niebieska koszula z podwiniętymi rękami - ułatwiły jej zadanie. Był wysoki, około stu osiemdziesięciu centymetrów, szczupły, lecz muskularny, zapewne przyzwyczajony do ćwiczeń fizycznych. Miał opaloną twarz o surowej urodzie i piaskowe włosy, kręcące się przy karku. Ze sposobu, w jaki zakładał ręce, wyczuwało się, że nie jest skrępowany.

- Dzień dobry. - Miał ujmujący uśmiech. - Udana przejażdżka?

- Bardzo - skłamała. - Ale chyba straciłam poczucie czasu. Mieliśmy się spotkać o dziewiątej. Spóźniłam się?

- Nie, to ja jestem za wcześnie. Studiowanie pani w miejscu, gdzie mamy pracować, wydawało mi się istotnym ograniczeniem. Pomyślałem, że byłoby lepiej, gdybym spotkał się z panią tam, gdzie czuje się pani swobodnie.

- Ja wszędzie czuję się swobodnie, panie Malone.

- Proszę mówić mi po imieniu. Chase.

- Mój mąż nie wspominał o tym wczoraj, ale kiedyś byłam modelką. Będę czuć się swobodnie, gdziekolwiek mnie ustawisz do pozowania.

- Ależ ja nie chcę, żeby pani mi pozowała.

Skonsternowana, pokręciła głową.

- Więc jak zamierzasz namalować te portrety?

- Nad tym będę się później zastanawiał.

Z oszołomienia wyrwał ją nagły kuksaniec od tyłu, przez który omal nie straciła równowagi. Winowajcą był koń.

- Przepraszam - powiedziała. - Ale on nie lubi być ignorowany.

- No jasne. Proszę się nim zająć.

- Znasz się na koniach. - Szybko przypomniała sobie. - Racja. Wczoraj mówiłeś, że jako dziecko jeździłeś konno.

- W gospodarstwie mego dziadka. Czy mam pani przynieść uździenicę?

- Czemu nie? Jest w...

- W komódce w stajni. Pierwsze drzwi na prawo. Rozejrzałem się już trochę.

Gdy wrócił z uździenicą, Siena zdjęła z ogiera wędzidło i cugle i poprowadziła konia do ogrodzenia. Podniosła lewe strzemień i odpięła siodło.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że później będziesz się zastanawiał, jak namalować portrety?

- Nie jestem portrecistą. Specjalizuję się w pejzażach.

- Co? - Siena wyprostowała się. - Więc czemu mój mąż wynajął właśnie ciebie?

- Nie wynajął, tylko zaproponował mi zlecenie. Nie lubię tego słowa. Pani mężowi podobają się po prostu moje prace, a poza tym, strasznie trudno mu odmówić.

- Zgadza się, tak to jest.

- Ale wiem, jak się maluje, pani Bellasar.

- Nie wątpię. Proszę mówić mi po imieniu.

- Jesteś już po śniadaniu?

- Zjedliśmy parę jabłek: ja i mój przyjaciel ten tutaj.

- Więc może zjemy razem?

3

Obserwowani z tarasu przez strażnika, zasiedli przy stole z kutego żelaza w cieniu parasola.

- Chase? - Popijała kawę. - Dziwne imię.

- Właściwie jest to przezwisko. Naprawdę mam na imię Charles, ale w jednej ze szkół, do których chodziłem...

- Jednej ze szkół?

- Chodziłem do wielu. To długa historia. Nauczycielka wywiesiła na tablicy listę naszych nazwisk, żebyśmy szybciej się poznali. Żeby nie marnować czasu, stosowała skróty. Zamiast Richarda Rich, zamiast Daniela Dan, zamiast Charlesa Chas. Po skrócie stawiała kropkę z małym zawijasem, przez co kropka wyglądała jak litera „e”, więc dzieciaki zaczęły robić sobie żarty i nazywały mnie „Chase”. Nie przejmowałem się tym. Wydawało mi się nawet, że fajnie brzmi, więc zatrzymałem sobie to imię.

- Nie ma w tym żadnej metafizyki? Może wciąż jesteś ścigany albo gonisz za szczęściem? - Siena wzięła do ręki rogalik.

- W wielu przypadkach, zwłaszcza podczas służby w wojsku, miały miejsce gonitwy. A swoje szczęście już dogoniłem - będąc artystą. Ale kto tu ma malować portret? To ja muszę poznać ciebie.

- Myślałem, że o tej porze będzie pan już pracować - przerwał im czyjś głos.

Siena odwróciła się i zobaczyła męża, który stał w otwartych drzwiach prowadzących na taras. Poczula ucisk w żołądku. Straciła apetyt i odłożyła rogalik.

Tymczasem Chase ugryzł swoją bułkę i odpowiedział spokojnie:

- Już zaczęliśmy.

- Ma pan dziwne metody pracy.

- Malowanie to najłatwiejsza część. Najtrudniej natchnąć obraz myślą. Nie marnuję czasu: jem śniadanie i jednocześnie studiuje obiekt.

Chase starał się, żeby zabrzmiało to jak żart, ale gdy zerknął na nią, Siena zdała sobie nagle sprawę, jak badawcze było spojrzenie jego błękitnych oczu. Choć spoglądał na nią jak gdyby od niechcienia, odnosiła wrażenie, że jeszcze nigdy - nawet wtedy, gdy pracowała, jako modelka - nikt nie przyglądał jej się tak intensywnie.

Spokój zakłóciła seria z broni maszynowej na strzelnicy za klauzurą. Siedząca jak na szpilkach Siena wykonała nagły ruch głową w tamtą stronę. Udało się jej jednak opanować nerwy i znów skoncentrowała uwagę na mężu. Zauważyła, że ani on, ani Chase nie zareagowali na strzały.

- Brzmi jak pięćdziesiątka - ocenił Chase.
- Ma pan dobre ucho.
- No cóż, dość często strzelano z nich do mnie.
- Jeden z moich inżynierów pracuje nad szybszym podajnikiem.
- Jak sobie radzą ze wzrostem temperatury?
- Tu właśnie tkwi problem.

Ta rozmowa zirytowała ją. Nie. Pokręciła w duchu głową i poprawiła się. Zirytował ją raczej fakt, że mężczyzna, z którym rozmawiała, artysta wykazujący się podczas konwersacji wrażliwością, teraz równie swobodnie rozmawiał z jej mężem o broni. Niczym się nie różnili.

Wstała.

- Przepraszę was i pójdę wziąć prysznic, uczeszę się i przygotuję do sesji. - Spojrzała z wymuszoną obojętnością na Chase'a. - Co mam na siebie założyć?

- Wystarczą buty, bryczesy i skórzana kurtka, które teraz nosisz. I jeśli zwykle kąpiesz się o tej porze, wołałbym, żebyś tego nie robiła. Chcę dowiedzieć się, jaka jesteś, a nie jak chcesz być widziana. Proszę nie układać włosów i nie odświeżać makijażu. Proszę specjalnie się nie szykować. Chciałbym tylko ciebie poobserwować.

Znów jego spojrzenie było niezwykle intensywne. Aż zadrżała.

Wtem usłyszeli warkot powracającego helikoptera: odległy pyłek na niebie zamienił się w monstrualną ważkę, która osiadła na lądowisku między zamkiem i klauzurą.

- Z niecierpliwością oczekuję rezultatów - oznajmił jej mąż, a w jego głosie zabrzmiało delikatne ostrzeżenie. Ale nie ulegało wątpliwości, że opuszczając ich, myślami był już gdzie indziej. Zszedł z tarasu i mijając różany ogród i fontannę, zbliżał się przyspieszonym krokiem do mężczyzny, który wysiadł z helikoptera.

4

Mężczyzna z helikoptera stał zbyt daleko, żeby Malone mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Serdeczny sposób, w jaki uścisnęli sobie z Bellasarem ręce i pokleпали po

ramionach, niezbitcie świadczył o tym, że są dobrymi znajomymi i dawno się nie widzieli. Szerszy w biodrach i talii niż w klatce piersiowej, przybysz miał zaokrąglone, lekko zgarbione ramiona, przez co można się było domyślać, że spędza mnóstwo czasu pochylony nad biurkiem. Ubrany był w garnitur i krawat, miał jasną karnację, a włosy rosły mu tylko po bokach głowy. Na odległość trudno było określić jego wiek, mógł mieć około czterdziestu pięciu lat. Odwrócił się niespokojnie w stronę dużych drewnianych skrzyń, które wyładowywano z helikoptera. Każda z nich ważyła tyle, że potrzeba było aż dwóch mężczyzn, żeby je podnieść. Gdy jeden z nich potknął się i omal nie upuścił skrzyni, przybysz gwałtownie się cofnął i zaczął wściekle gestykulować. Jego napomnienia, żeby bardziej uważać, dobiegały do odległego o sto metrów tarasu.

- Nic, tylko być artystą - odezwał się drwiący głos.

Malone niechętnie odwrócił uwagę od helikoptera i ujrzał Pottera, który wyszedł z zamku.

- Rozmówki przy późnym śniadaniu - kontynuował. - Żadnego planu zajęć, którym trzeba by się przejmować.

- Rozmawiałem już o tym z pańskim szefem - stwierdził Malone.

- Więc nie ma sensu się powtarzać. - Potter zdjął okulary i zaczął je wycierać. - Nigdy nie kwestionuję metod pracy, jeśli widzę jej efekty. Dzień dobry, Sieno.

- Dzień dobry, Alex.

- Udana przejażdżka? - Nie czekał na odpowiedź. - Jak ci się współpracuje z panem Malone? Często bywa przykry dla otoczenia.

- Nie zauważyłam.

- A zatem jest przykry tylko dla mnie. - Potter założył z powrotem okulary i zszedł z tarasu.

Jego przysadzista sylwetka oddalała się tą samą trasą obok ogrodu różanego i fontanny, którą wcześniej obrał Bellasar. Dołączył do reszty i wszyscy zniknęli w budynku klauzury.

- Najwidoczniej nie darzy mnie sympatią - stwierdził Malone - ale, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ciebie też traktuje dość chłodno?

- Doskonale rozumie się tylko z jedną osobą: z moim mężem.

- Pierwszorzędny z niego pies obronny.

5

W pokoju przy tarasie czuć było stęchlizną. Była to piętrowa przybudówka zamku z brukowaną podłogą, która ciągnęła się aż na taras. Wychodząca na południe ściana była w całości oszklona, a w suficie znajdowały się świetliki.

- Musi być tu o dziesięć stopni cieplej niż na zewnątrz - zgadywał Malone. - Przypuszczałbym, że tutaj jesz śniadanie, gdy robi się chłodno.

- Nie, odkąd tu zamieszkałam, nigdy nie korzystano z tego pokoju.

- Z takim widokiem...

- Derek nie lubi tego miejsca.

Pokój był przestronny, wysoki i prawie pusty, nie licząc kilku drewnianych stołów z lewej strony, toteż rozchodził się w nim pogłos.

- Rzeczywiście mam się nie przebierać? - upewniała się Siena.

- Chciałbym, żebyś zachowywała się zwyczajnie. - Malone usiadł na jednym ze stołów, dyndał nogami. - Widzisz, problem polega na tym, że muszę w portrecie uchwycić duszę. Żeby ktoś, kto ciebie zna, mógł powiedzieć: „Tak, to naprawdę Siena. Nie tylko tak wygląda, ale taka jest”.

- Bez względu na to, jaka.

Malone roześmiał się.

- Widzę, że nic ciebie nie rozluźnia tak, jak poważna rozmowa.

- Nie musisz mnie zabawiać.

- Po co więc całymi tygodniami uczyłem się gry na banjo?

Uśmiechnęła się półgębkiem.

Przez następnych kilka sekund Malone studiował linię jej lekko rozchylonych warg, które w półuśmiechu stanowiły unikalne połączenie wesołości i subtelności.

- Co robisz?

- Co robię?

- Sposób, w jaki... Nawet, gdy pracowałam jako modelka, nikt nigdy mi się tak nie przyglądał.

- Przepraszam. - Malone poczuł pieczenie na policzkach. - Nie chciałem być niegrzeczny. Ale muszę przyglądać się tobie w ten sposób. Wkrótce będę znał twoją twarz lepiej niż czyjąkolwiek inną. Mogę ci zadać pytanie?

Wyglądała na niezdecydowaną.

- Opowiedziałem już, skąd się wzięło moje. A twoje?

- Nie...

- Imię.

- Ach. - Odetchnęła z ulgą. - Nie ma, o czym opowiadać. Moi rodzice byli Amerykanami włoskiego pochodzenia. Mieszkali, w małym miasteczku w Illinois. Z kolei ich rodzice przybyli z Włoch, ze Sieny i wiecznie wspominali, jak pięknie jest w tamtych rejonie Italii. Więc gdy rodzice wybierali się w podróż poślubną, pojechali właśnie tam. Nie mogli wymyślić bardziej odpowiedniego imienia dla mnie.

- Twoi rodzice byli Amerykanami włoskiego pochodzenia?

- Zmarli, gdy miałam dwanaście lat.

- Przykro mi - wybąkał Malone.

- Mama zginęła w wypadku samochodowym. Ojciec dwa miesiące później miał atak serca. Zawsze uważałam, że dosłownie pękło mu serce.

- Kochałaś ich.

- Bardzo. A czy można nie kochać rodziców?

- Są różne sytuacje.

- Tobie nie ułożyło się z rodzicami?

Malone dziwił się, że w ogóle poruszył ten temat.

- Nigdy nie kłóciłem się z ojcem. - Dziwił się sobie jeszcze bardziej. - Trudno spierać się z kimś, kogo się nigdy nie poznało.

Rozmowę przerwała im kolejna seria z broni maszynowej. Malone odwrócił się w stronę otwartych drzwi. Warkotliwy dźwięk odbijał się echem zza klauzury.

- Nie działa ci to na nerwy?

- Właściwie bardziej przeszkadzają mi chwile ciszy - wyznała. - Było tak samo, gdy mieszkałam na Manhattanie. Tak bardzo przyzwyczałam się do odgłosów z ulicy, nawet w środku nocy, że gdy znajdowałam się w cichym miejscu, czułam, że coś jest nie w porządku.

- Tutaj głośniej już być nie może.

6

Malone przyniósł z kąta krzesło i ustawił je w oświetlonym miejscu. Było drewniane i miało oparcie z podłużnymi otworami.

- Nie wygląda na zbyt wygodne. Powinniśmy przynieść poduszkę z...

- Nie ma żadnego problemu. - Lecz gdy Siena zajęła miejsce na krześle, widać było, że nie czuje się swobodnie. - Co mam robić?

- Robić? Nic. Proszę tylko siedzieć.

- Ale co chcesz? Mam przechylić głowę wprawo lub lewo? Oczy podnieść do góry czy spuścić?

- Zachowuj się naturalnie. - Malone wziął do ręki duży szkicownik i pudełko czarnego węgla. - To na razie etap przygotowawczy.

- A mogę stać?

- Pod warunkiem, że twoja twarz będzie zwrócona w moją stronę.

Węgiel zaskrzypiał na papierze.

Wyglądała na jeszcze bardziej zażenowaną.

- Fotografowie nie znosili, gdy stałam nieruchomo. Kazali mi się ruszać. Często grała muzyka rockowa. Gdy skończył się jeden film, szybko oddawali aparat asystentowi i żeby nie tracić czasu, chwyтали następny. Często ustawiali wentylator, który rozwiewał mi włosy. Kazali mi też ciągle roztrzepywać je rękami.

Węgiel Malone'a przestał skrzypieć.

- Co się stało? - zapytała.

- Dla mnie będziesz musiała siedzieć nieruchomo. Bez przesady oczywiście. Ale jeśli mam namalować dobrą podobiznę, prosiłbym o minimum ruchu.

- Mogę chociaż mówić? Fotografowie też tego nie lubili.

- Proszę bardzo. - Malone skrzypnął jeszcze kilka razy węglem, po czym wyrwał kartkę ze szkicownika i położył ją na stole.

- Ten się nie udał? Za bardzo się ruszałam?

- Nie, wszystko w porządku. - Malone wrócił do szkicowania. - To tylko studium. Będę potrzebował ich setki, zanim przystąpię do wersji ostatecznej.

- Setki?

- Żeby wyczuć twoją twarz.

- Fotografowie, z którymi pracowałam, robili czasem setki zdjęć podczas jednej sesji.

- To na pewno potrwa dłużej.

Siena podniosła brwi. Wyglądała cudownie.

- Świetnie.

7

- Proszę pani, czy podać lunch?

Malone odwrócił się skonsternowany do ubranej w fartuszek służącej, która stała w drzwiach.

- Tak wcześnie?

- Dochodzi druga, proszę pana.

Konsternacja Malone'a zamieniła się w zdumienie, gdy spojrzął na stół za sobą. Pokryty był stertą szkiców.

- Mój Boże - zwrócił się do Sieny - musisz być wykończona.

Siedziała na krześle.

- Trochę. Ale byłeś tak pochłonięty pracą, że nic nie chciałam mówić. Zresztą to było interesujące. - Podziękowała służącej.

- Interesujące? - Malone wyszedł za Sieną na taras. Oczy powoli przyzwyczajały się do światła. - Obserwowanie mnie przy pracy?

- Nie, rozmowa z tobą.

Malone próbował przypomnieć sobie, o czym rozmawiali. Był tak zaabsorbowany pracą i jednoczesnym ukradkowym spozieraniem w stronę lądowiska i klauzury, że rzeczy, o których mówili, rozplynęły mu się w pamięci.

- Od dawna z nikim tak długo nie rozmawiałam. - Siena usiadła przy stole i zwróciła się do służącej: - Poproszę tylko sałatkę i mrożoną herbatę.

Malone zamówił to samo.

- Tak, twój mąż jest tak zapracowany, że pewnie dużo czasu spędzasz sama.

Siena nie odpowiedziała, ale wyraz jej oczu wzbudził w nim podejrzenie, że nawet, gdy jej mąż wracał, nie rozmawiali wiele.

- Nigdy nie poznałeś swego ojca?

Pytanie zupełnie go zaskoczyło. Minęło parę chwil, zanim przypomniał sobie ich niedokończoną poranną rozmowę. Siena spojrzała na niego przeprasząco.

- Proszę nie odpowiadać, jeśli pytanie jest zbyt osobiste.

- Nic nie szkodzi. Nie mam nic przeciwko rozmowie na ten temat. Moja matka była alkoholiczką. - Malone starał się, żeby zabrzmiało to obojętnie, lecz do jego głosu i tak wkradła się nuta goryczy. - Miała wielu facetów, do których miałem się zwracać „tato”, ale nigdy tego nie robiłem.

- W stajni wspominałeś o dziadku.

- O ojcu matki. Zajmował się mną, gdy nie ciągnęła mnie ze stanu do stanu z którymś ze swych kochasiów. Dużo czasu spędzałem samotnie. Wtedy też zacząłem rysować.

- A więc nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. - Wypowiedziała te słowa, jak gdyby sama pragnęła w nie uwierzyć.

- Wspaniale - powiedział Bellasar, nadchodząc z pokoju dziennego. - Praca rozpoczęta.

Siena zeszywniała.

- Widział pan szkice? - zapytał Malone.

- Są szalenie obiecujące. Każdy z nich mógłby stanowić podstawę wspaniałego portretu - stwierdził Bellasar.

- Tak się prawdopodobnie nie stanie. Mam jeszcze dużo pracy.

- Najlepsze są pierwsze odczucia. Czasem można przedobrzyć.

- Racja.

- Cieszę się, że panuje między nami zgoda. Nie każde zadanie musi być trudne i trwać całe wieki. Moja żona jest niezwykle piękną kobietą. Pan musi jedynie sportretować to piękno.

- Ale jest piękna na sto różnych sposobów - odparł Malone. - A ponieważ nie mogę namalować setki portretów, muszę zdecydować, który z tych sposobów najbardziej odzwierciedla jej naturę.

Siena wbiła wzrok w swoje dłonie.

- Wybacz nam, najdroższa - zwrócił się do niej Bellasar.

- Co mam wam wybaczyć?

- Że rozmawiamy o tobie, jakby cię tu nie było. Powrót do pracy nie był zbyt nużący?

- Ależ skąd. Było bardzo interesująco.

- A zatem - oświadczył Bellasar - miejmy nadzieję, że tak już pozostanie.

8

Na pewno tak już pozostało dla Malone'a. Przyszło mu do głowy przysłowie, które porównywało piekło do interesujących czasów. Dni mijały według określonego schematu. Co rano przed pracą ćwiczył calisthenics przy basenie. Wolalby wprowadzić bieganie, ale musiał pozostać w miejscu, z którego mógł obserwować lądowisko i

klauzurę. Po powrocie Sieny z przejażdżki razem spożywali śniadanie, po czym rozpoczęli sesję, podczas której usiłował ukrywać swe zainteresowanie tym, co się działo na zewnątrz. Popołudniami proponował zakończenie sesji na wypadek, gdyby była zmęczona. Zawsze odpowiadała mu, że chce kontynuować. Gdy rozstawali się o piątej, wiedział, że znów ją spotka na koktajlu o siódmej.

Do wieczornych zajęć Bellasara zaliczał się koktajl, (podczas którego Bellasar ograniczał się do soku) oraz kolacja (zawsze w galowych strojach). Malone miał nadzieję, że ktoś jeszcze zostanie zaproszony: mężczyzna, który pierwszego ranka przyleciał helikopterem i tak bardzo zdenerwował się nieuważnym rozładunkiem przywiezionych skrzyń. Malone chciał mu się bliżej przyjrzeć. Być może dowiedziałby się czegoś o jego związkach z Bellasarem. Ale z tego, co wiedział Malone, mężczyzna ten pozostał w klauzurze.

Czasem Malone znajdował na szafce przy łóżku kilkusetletnie pierwsze wydania książek, które Bellasar analizował podczas obiadu. Jedną z nich był *Leviathan* Hobbesa, traktat z tysiąc sześćset pięćdziesiątego pierwszego, w którym stwierdzono, że wojna jest stanem naturalnym i tylko dyktator może utrzymać pokój. Bellasar dawał tym samym do zrozumienia, że dostarczanie broni represyjnym reżimom nie było takim złem, jak sobie wyobrażano. Dyktatorzy oraz handlarze bronią ratowali życie wielu jednostek, nie dopuszczając do tego, by masy ulegały swym naturalnym instynktom i rzucały się sobie do gardeł.

Po tego rodzaju rozmowie, podczas której Siena zawsze zachowywała milczenie, Malone wchodził krętymi schodami do swej sypialni na piętrze, trzymając się na baczności tak jak podczas służby w wojsku. Po zazwyczaj niespokojnym śnie budził się następnego rana jeszcze bardziej skoncentrowany na równowadze, którą musiał utrzymać. Gdyby zbyt interesował się Sieną, pojawiłoby się ryzyko, że przeoczy coś ważnego w klauzurze. Natomiast gdyby nie poświęcał należytej uwagi swojej modelce, ucierpiałaby, jakoś jego prac, co mogłoby okazać się równie niebezpieczne, jeśliby Bellasar doszedł do wniosku, że artysta się nie stara.

9

- Dzisiaj nie pozujesz.

Siena wyglądała na rozczarowaną.

- Dlaczego?

- Jesteśmy gotowi do rozpoczęcia kolejnego etapu. Muszę teraz przygotować powierzchnię. - Malone pokazał jej spory kawałek dykty leżący na stole.

- Myślałam, że malarze używają płótna.

- Farba, którą będę malował, to tempera. A ona potrzebuje mocniejszej powierzchni niż płótno. Ten kawałek dykty jest tak stary, że nie będzie się wyginał. Wyparowały z niego chemikalia, które mogłyby wejść w reakcję z farbą. Ale na wszelki wypadek zabezpieczymy dyktę klejem. - Wskazał na kociołek z białą lepłą mazią na grzejniku.

- Pachnie kredą.

- Bo to nie jest nic innego. - Malone zanurzył pędzel w kociołku i nałożył substancję na deskę.

Gdy skończył, odłożył pędzel i zaczął rozmazywać palcami ciepły klej.

- Czemu to robisz?

- Żeby usunąć pęcherzyki powietrza.

Siena wyglądała na zaintrygowaną.

- Chcesz spróbować? - zapytał.

- Mówisz poważnie?

- Jeśli tylko nie przeszkadza ci, że się upaśćkasz?

Zawahała się. Jej cynamonowe oczy rozbliły, gdy dotknęła palcami warstwy kleju.

- Przypomina mi się przedszkole, gdzie malowaliśmy palcami.

- Tyle, że tym razem nie zostawiamy żadnych wzorów. - Malone rozproszony gładko podkład.

- Nigdy bym nie pomyślała, że malowanie pociąga za sobą nie tylko rysowanie kształtów i używanie kolorów.

- Jeśli chcemy, żeby obraz był trwały, malowanie pociąga za sobą wiele innych rzeczy. - Malone wręczył jej pędzel. - Może teraz ty nałożysz kolejną warstwę?

- A jeśli coś mi się nie uda?

- Zajmę się tym.

Zanurzyła pędzel w kociołku.

- Nie za dużo, tak?

- O to chodzi.

- Jest jakaś specjalna technika nakładania kleju?

- Wybierz sobie jakiś fragment.

Zdecydowała się na górny prawy róg.

- Teraz posuwaj pędzlem w lewo. Możesz stosować krótkie machnięcia w jedną i drugą stronę, ale gdy przychodzi do wykończenia, posuwaj pędzlem tylko w lewo. Trochę do dołu i znów w lewo. Doskonale. Postaraj się, żeby było gładko. Czujesz pod pędzlem jakieś tarcia?

- Niewielki opór.

- Dobrze. Teraz przerwij. Chcemy, żeby zaczęło wysychać, ale żeby nie stwardniało.

- Skoro przechodzisz do następnego etapu, pewnie już zdecydowałeś, jak mam ci pozować.

Malone kiwnął głową.

- No i jak? Jak będę wyglądać?

- Zobacz sobie. - Wskazał na szkic leżący na innym stole. Przez kilka długich sekund nie odzywała się.

- Uśmiecham się, ale wyglądam smutno.

- Jesteś delikatna, ale też pewna, że nie dasz się więcej zranić.

Głos Sieny zamienił się niemal w szept.

- Taką mnie widzisz?

- Między innymi. Masz jakieś obiekcje?

Nie przestawała wpatrywać się w szkic.

- Nie, nie mam.

- Twoja twarz jest bardzo ekspresyjna, ale przeważnie nie ujawniasz, co się dzieje w twojej głowie. Początkowo uznałem, że to przyzwyczajenie z czasów, gdy byłaś modelką. W końcu firmy, która cię zatrudniała do pozowania w sprzedawanych przez nią strojach, w ogóle nie interesowało, w jakim jesteś nastroju podczas sesji. Wymagali od ciebie jedynie, żeby sukienka wyglądała na tobie jak najlepiej. Przypuszczam, więc, że wykonywałaś swe zadanie, uśmiechałaś się, robiłaś szczęśliwą minę i spuszczałaś zasłonę na to, co działo się w środku.

- Wiele razy tak było.

- Ale co jakiś czas, gdy badałem cię wzrokiem...

- Co zresztą już mi nie przeszkadza. Zdumiewające, że się do tego przyzwyczaiłam. Gdy pracowałam, jako modelka, spojrzenia, które mi posyłano, były zwykle zachłanne. Tymczasem twoimi spojrzeniami nie czuję się zagrożona. Sprawiają, że czuję się dobrze sama z sobą.

- Zwykle tak się nie czujesz?
- Człowiek, który wykonał ten szkic, zna odpowiedź.
- Czasami w trakcie szkicowania, zasłona z twojej twarzy zniknęła i wtedy jawiłaś mi się taka jak tutaj. Twój smutek i delikatność sprawiają, że jesteś piękna. A może jest odwrotnie.
- Odwrotnie?
- Zastanawiam się, czy to nie twoja uroda sprawia, że jesteś smutna i delikatna.
- Na szkicu patrzę w prawo. Na co? - zapytała głosem, jakby zaschło jej w gardle.
- Na coś, co jest dla ciebie ważne.
- Wiatr z tamtej strony rozwiewa mi włosy. Udało ci się stworzyć złudzenie, że to, na co patrzę, omija mnie.
- Omija nas wszystkich.

10

Siena pospiesznie pokonała stopnie prowadzące na zalany słońcem taras i gdy nie ujrzała Chase'a przy stole z kutego żelaza, gdzie zwykle wspólnie jedli śniadanie, o mało nie stanęła jak wryta. Pomyślała sobie, że zjawiała się trochę za wcześnie i że Chase wkrótce nadejdzie. Zanim jednak zdążyła usiąść, ujrzała służącego, który wnosił do pokoju dużą miskę z tajemniczą zawartością.

Zaintrygowana poszła za nim. Gdy weszła do pracowni, służącego już tam nie było. Ujrzała natomiast Chase'a, który wpatrywał się w widoczną już teraz zawartość miski. Jajka.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się.
- Dzień dobry. Masz zamiar tutaj jeść śniadanie?
- Pewnie w ogóle nie będę jadł śniadania. Za bardzo zależy mi na tym, żeby zacząć. - Chase wziął do ręki jajko, rozbił je, podzielił skorupkę na dwie połówki i przelewał żółtko z jednej w drugą, aby białko spłynęło do miski.

Wciąż sądząc, że Chase zamierza zjeść jajka na śniadanie, Siena zapytała:

- Jak zamierzasz je przyrządzić?
- Nie zamierzam. Będę z nich robił farbę.
- Co?

Chase wyłożył żółtko ze skorupki na papierowy ręcznik i obracał nim delikatnie, usuwając pozostałości białka.

- Masz wprawę - przyznała Siena. - W moich rękach żółtko już dawno by pękło.

- Wierz mi, zanim nabrałem wprawy, zmarnowałem wiele jajek. - Kciukiem i palcem wskazującym podniósł żółtko za błonę i zatrzymał je nad czystym słoikiem. - Pomożesz mi?

- Popękają mi.

- W końcu muszą. Weź ten nóż i przekłuj żółtko na dole. Ostrożnie. Dobrze. - Żółtko spłynęło z błoniastego woreczka, po czym Chase delikatnie wycisnął z niego resztki.

- Proszę. - Podał jej jajko.

- Słucham?

- Pomóż mi przygotować żółtka.

- Ale...

- Widziałaś, jak się to robi. Najgorsze, co może nam się przytrafić, to posłać po więcej jajek.

Roześmiała się.

- Wczoraj malowałam palcami. Dzisiaj urządziłeś mi zabawę artykułami spożywczymi. - Ale gdy rozbiła skorupkę i oddzieliła białko od żółtka, nie była przygotowana na wrażenia towarzyszące obracaniu nienaruszonego żółtka na papierowym ręczniku i usuwaniu zbędnego białka. Miękki woreczek wydawał się szalenie delikatny i należało się z nim obchodzić z najwyższą uwagą. Przeniosła żółtko na dłoń i ze zdziwieniem skonstatowała, że jest suche i lekko drży, a odczucia dotykowe nasilały się.

- Dziękuję - powiedziała.

- Za co?

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam jakieś nowe przyjemne doświadczenie.

- Jeśli oddzielanie żółtek to dla ciebie świetna zabawa... - Teraz z kolei roześmiał się Chase.

Podobało jej się brzmienie jego śmiechu.

- Ile ci potrzeba?

- Osiem. - Przekłął żółtko, które trzymał właśnie w ręku.

- Co z nimi zrobisz?

- Wczoraj po kolacji wróciłem tu, żeby zmielić barwniki, które widzisz w tamtych słoikach.

Siena przyjrzała się im. Biały, czarny, czerwony, niebieski, zielony, żółty, fioletowy i brązowy. Poza jednym były to popularne kolory, choć nigdy nie widziała ich w formie równie czystej i intensywnej.

- Ten odcień brązu jest wyjątkowy.

- Siena palona.

Nagle doznała olśnienia.

- Taki kolor ma twoja skóra - wyjaśnił Chase. - Twoi rodzice dali ci odpowiednie imię. Tak się składa, że to mój ulubiony kolor.

Spoglądała ze zdziwieniem raz na słoik, raz na swoje ramię.

- Poznaje się go po lśniącym, przejrzystym i ognistym półtonie, który szczególnie pasuje do lśniącej i świetlistej farby, jaką jest tempera - kontynuował Chase.

Dodając po jednym barwniku do każdego z żółtek, wymieszał powstałe mikstury z wodą destylowaną, aż zyskały konsystencję, która pozwalała nakładać je na powierzchnię.

- A teraz możemy przystąpić do meritum.

11

Dykta ustawiona była na sztalugach, a jej kredowa powierzchnia została pokryta wersją szkicu wybranego przez Chase'a.

- Więc teraz pomalujesz szkic? - zapytała Siena.

- Nie, to trochę bardziej skomplikowane. - Poprowadził ją do krzesła, które wcześniej umieścił przed sztalugami. - Szkic jest tylko projektem.

Dotąd sądziła, że jego spojrzenie było najintensywniejsze z możliwych. Teraz zdała sobie sprawę, że się myliła. Siła koncentracji, którą kierował w jej stronę, była niesamowita. Z odległości półtora metra jego wzrok zdawał się jej dotykać. Czula go na szyi, ustach, powiekach i brwiach. Niewidzialne palce łaskotały jej skórę. Czula, że bije od niego siła, która ogrzewają, stapia się z nią w jedno.

- Wszystko w porządku?

- Słucham? - Wyprostowała się na krześle.

- Wyglądasz, jakbyś zasypiała. Jeśli chcesz odpocząć, spróbujemy znowu później.

- Nie - odpowiedziała szybko. - Czuję się świetnie. Kontynuuj.

Chase zdołał utrzymać na niej swe intensywne spojrzenie i jednocześnie zanurzył pędzel w słoiku, wycisnął dwoma palcami lewej ręki nadmiar farby z pędzla i naniósł ją na twardą powierzchnię. Czasem jego ręka wędrowała do powierzchni automatycznie, jakby wiedział, co zamierza stworzyć bez potrzeby spoglądania na obraz, i cały czas pozostawał skoncentrowany na Sienie, tylko sporadycznie rzucając okiem na swe dzieło.

Oszołomiona, czuła potrzebą rozmowy, lecz nie wiedziała, o czym mają rozmawiać. Powiedziała, zatem pierwszą rzecz, która jej przyszła do głowy:

- Czuję, jak mnie malujesz.

- Jeśli czujesz się skrępowana...

- Nie. Wcale mi to nie przeszkadza. Ile potrwa malowanie portretu?

- Tyle, ile będzie trzeba. To jedna z zalet tempery. Mogę tygodniami nakładać kolejne warstwy, zanim żółtko wreszcie osiągnie stan, w którym nie przyjmie następnego poziomu. Ale nie ma się czym martwić. To nie będzie ciągnęło się tygodniami.

Siena ze zdziwieniem pomyślała, że wcale by się nie zmartwiła, gdyby tak się stało.

Okna zadrżały pod wpływem stłumionej eksplozji.

- Co oni tam robią? - zapytał Chase.

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałam tamtej części posiadłości.

Chase okazał zdziwienie.

- Gdy poślubiłam Dereka, zapowiedział, że nie mam tam wstępu. Nie wiedziałam, że mówił poważnie, do czasu, gdy z ciekawości chciałam tam zajrzeć. Nie dotarłam nawet do połowy drogi, a już zatrzymał mnie strażnik. Tego wieczoru rozmowa przy kolacji nie należała do przyjemnych. Drugi raz nie próbowałam.

- Nie wiedziałaś, jak zarabia pieniądze, gdy za niego wychodziłaś?

Siena pocierała dłonią czoło.

- Przepraszam, to nie moja sprawa.

- Nie, w porządku. - Westchnęła ze znużeniem. - Sama powinnam była zadawać więcej pytań. Miałam mgliste pojęcie o tym, czym się zajmował, ale pewnych spraw

nie kojarzyłam. Jak to się mówi? Diabeł tkwi w szczegółach. Gdy zaczęłam poznawać szczegóły, wołałam pozostać w niewiedzy.

Chase znalazł się przy niej w jednej chwili.

- Dobrze się czujesz?

Jej ramię zadrżało od dotyku jego ręki.

- Nic takiego. Boli mnie głowa.

- Może przerwiemy i spotkamy się znów po lunchu.

- Nie, zbyt dobrze nam idzie.

12

- Jest przepiękny. - Malone nigdy jeszcze nie widział u Bellasara tak promiennego uśmiechu, który podkreślał opaleniznę jego szerokiej i urodziwej twarzy. - Lepszy, niż mogłem oczekiwać. Bardziej natchniony, niż mogłem sobie wymarzyć. Prawda Alex?

- Tak - odpowiedział Potter bez entuzjazmu.

Rozmowa ta miała miejsce osiem dni później. Znajdowali się w bibliotece, gdzie na życzenie Bellasara miała miejsce specjalna uroczystość odsłonięcia portretu. Wszystkim - oczywiście oprócz Bellasara - podano szampana.

- Jest w nim coś mrocznego, niepokojącego. Jednocześnie aż pulsuje radością - oceniał Bellasar. - Studium kontrastu. Paradoks piękna.

- Taki miałem zamysł - odparł Malone.

- Który zrozumiałem. - Bellasar wyglądał na zadowolonego. - Widzi pan, cokolwiek pan o mnie myśli, znam się trochę na sztuce. Przyznaję, że był moment, gdy pańskie metody pracy skłaniały mnie do zastanowienia, czy wybrałem właściwego artystę.

Potter kiwnął głową, wpatrując się zza okularów nie w obraz, lecz w Malone'a.

- A ty, kochanie, co sądzisz? - Bellasar odwrócił się do Sieny, która stała zawstydzona w oddaleniu. - Jak się czuje kobieta, której uroda została uwieczniona? Gloryfikacja piękna i smutek, że nie trwa ono wiecznie. Ale tu, na tym obrazie, zostało utrwalone na zawsze. - Bellasar spojrzał na Malone'a, oczekując potwierdzenia. - Mówił pan przecież, że wybrał materiały, które mogą przetrwać wyjątkowo długo.

- Farba olejna na płótnie po kilkuset latach zwykle pęka - odparł Malone. - Ale tempera na drewnie... z sześcioma warstwami podkładu pod farbą i glazurą na wierzchu...

- Tak? - Spojrzenie Bellasara było bardzo intensywne.

- ...nawet za tysiąc lat powinna wyglądać tak samo.

- Za tysiąc lat. Wyobraźcie sobie. - Bellasar był oczarowany. - Nietrwale piękno utrwalone na wieki. Beatrycze Dantego.

Choć Malone zrozumiał aluzję, Bellasar poczuł się w obowiązku wyjaśnić ją.

- Gdy Dante miał dziewięć lat, ujrzał dziewczynę kilka miesięcy młodszą od niego. Jej uroda tak go olśniła, że do jej śmierci szesnaście lat później nie przestawał jej wielbić na odległość. Miała na imię Beatrycze i była dla Dantego natchnieniem do rozważań o ideale piękna, czego owocem stała się „Boska komedia”. Uroda Sieny natchnęła pana w podobny sposób. I oczywiście natchnienie będzie jeszcze większe, gdy zacznie pan pracę nad drugim portretem.

- Drugim portretem? - Siena wyglądała na skonsternowaną. - Ale pierwszy jest tak udany, dlaczego chcesz...

- Ponieważ drugi obraz podkreśli piękno twego ciała, nie tylko twarzy.

- Mojego ciała?

- To będzie akt.

- Akt? - Siena zwróciła się do Malone'a. - Wiedziałeś o tym?

Niechętnie i nieśmiało odpowiedział, że tak.

Odwróciła się szybko do Bellasara.

- Nie zamierzam mieć z tym nic wspólnego.

- Ależ przeciwnie. Porozmawiamy o tym na górze. - Chwycił Sienę za ramię tak mocno, że pod jego palcami zbieleła jej ciemna skóra, gdy prowadził ją przez bibliotekę. W drzwiach odwrócił się do Malone'a. - Jeśli historia Dantego i Beatrycze zaintrygowała pana, Rossetti przetłumaczył autobiografię Dantego. - Wskazał władczą stronę przeciwległej ściany. - Znajdzie pan tam wydanie *Wczesnych poetów włoskich* z tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku, choć oczywiście ja wolę czytać w oryginale po włosku.

Chwilę później Bellasar i Siena zniknęli, zostawiając Malone'a z Potterem i służącym, który nalewał szampana.

Potter przestał wreszcie rzucać ponure spojrzenia w stronę Malone'a i zwrócił uwagę na portret. Lekkie kiwnięcie głowy mogło oznaczać aprobatę, ale sarkazm w jego głosie nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

- Sztandarowe dzieło. Szkoda tylko, że nikt z zewnątrz go nie zobaczy. - Ruchem ręki dał sygnał służącemu, który odstawił butelkę Dom Perignon i narzucił na portret kawałek płótna.

- Idzie pan? - Potter zapytał Malone'a. - Będzie pan chciał przebrać się do kolacji.

- Zostanę chyba jeszcze trochę i znajdę tę książkę.

Ze spojrzeniem, które zdawało się mówić, że cokolwiek Malone zrobi, on i tak nie będzie zadowolony, Potter opuścił salę.

Malone odwrócił się w stronę półek, udając, że szuka książki. Usłyszał, że służący podniósł portret ze sztalug i wyniósł go z biblioteki.

Odczekał dziesięć sekund i ruszył za nim. Dotarł do westybulu w chwili, gdy służący zaczął wnosić portret po krętych schodach. Utrzymując bezpieczną odległość, Malone poszedł za nimi służący natomiast minął następny poziom i ruszył dalej.

Wykładzina na schodach tłumiła odgłosy kroków Malone'a. Służący nie słyszał, że jest śledzony. Wyglądając zza ostatnich stopni, Malone obserwował służącego, który doniósł portret do drzwi pośrodku korytarza.

Gdy służący zapukał do drzwi, Malone powoli wycofał się po schodach.

Część czwarta

1

elicopter oderwał się od ziemi i odleciał z łoskotem, a jego łopaty połyskiwały w porannym słońcu. Mężczyzny, którego przyłot Malone widział pierwszego dnia, prawdopodobnie nie było na pokładzie. Kończąc gimnastykę przy basenie, Malone rozejrzał się po posiadłości. Nie miał pojęcia, w jaki sposób można było wydobyć stąd Sienę. Po ukończeniu portretów i wyjeździe - jeśli pozwolą mu wyjechać - miał poradzić Jebowi, jak ją uratować. Teraz, gdy zbadał już system ochronny posiadłości, był przekonany, że nawet najlepsza grupa ratownicza będzie miała problemy.

Jego niepokój pogłębił jeszcze fakt, że po raz pierwszy Siena nie wyjechała na przejażdżkę konną. Uważał, że tylko ważne powody mogły skłonić ją do rezygnacji z jazdy, która stanowiła jakże istotny dla niej punkt codziennego rozkładu dnia. Czyżby Bellasar doszedł do wniosku, że wystarczy mu jeden portret i że nadszedł wreszcie czas, aby pozbyć się niechcianej małżonki?

W drodze powrotnej do swej sypialni, gdzie miał wziąć prysznic i ubrać się, próbował przekonać siebie samego, że ojej nieobecności zdecydowały jakieś niewinne powody. Może na przykład nie czuła się najlepiej. Tylko, że w takim przypadku zawiadomiłaby go o tym podczas śniadania za pośrednictwem służącego. Ale przez cały czas, gdy siedział samotnie na tarasie, nie przybył żaden posłaniec.

- Zastanawiam się - zapytał służącego, który wniósł kawę - dlaczego pani nie dołączyła do mnie dziś rano? Słyszał pan może, że jest chora?

- Nie, proszę pana, nic takiego nie słyszałem.

Pół godziny później Sieny wciąż nie było i Malone musiał się pogodzić z myślą, że nie przyjdzie. Ze ściśniętym żołądkiem stwierdził, że pozostaje mu poprosić służącego, by zapukał do jej drzwi i zasięgnął języka. Przeczucie, iż Siena znalazła się w tarapatach, przyspieszyło mu puls. Leżała może nieprzytomna od narkotyków,

które zaaplikował jej Bellasar. Zdenerwowany, wstał od stołu, żeby poprosić służącego o przeprowadzenie wywiadu, lecz zamarł w bezruchu: na tarasie pojawiła się Siena.

2

Ubrana była w zakurzone buty, wytarte dżinsy i drelichową koszulę, jak gdyby ubrała się do jazdy konnej, ale coś ją zatrzymało. Jej długie włosy związane były w kucyk, eksponując klasyczny zarys dolnej części twarzy. Lecz zaczesane do tyłu włosy podkreślały również surowość spojrzenia, którego Malone jeszcze nie widział. Była rozgniewana. Coś musiało się wydarzyć. Delikatność, która stanowiła ojej urodzie, tego ranka gdzieś się rozplynęła.

- Cieszę się, że jesteś - powiedział Malone. - Gdy nie przyszedłeś na śniadanie, zacząłem się martwić.

Siena bez słowa podeszła do niego; buty i dżinsy uwydatniały jej długie nogi i wąską, mocno ściśniętą paskiem talię.

- Coś się stało? - zapytał Malone. - Wyglądasz jakby...

- Spóźniłam się. - Mówiła z zaciśniętymi zębami. - Tracimy czas.

- Tracimy czas? O czym ty mówisz?

- Zabierajmy się do pracy.

- O co chodzi? Powiedz mi, o...

Siena obróciła się i pomaszerowała przez taras do pokoju.

Oszołomiony, poszedł za nią, odnotowując jej zdecydowany krok i wyprostowaną postawę. Choć w pokoju było jasno, słońce operowało mocniej na tarasie i musiała upłynąć chwila, zanim jego oczy przyzwyczyły się do zmiany.

Jeszcze bardziej oszołomiony, a także nieco przerażony patrzył, jak Siena ze złością rozpiną koszulę i rzuca ją na podłogę.

- Chwileczkę - powiedział. - Dlaczego... Zsunęła stanik i cisnęła nim obok koszuli.

- Czy możesz mi łaskawie wytłumaczyć, co się dzieje? - zapytał Malone. - Nie...

- Przygotowuję się do pozowania! - Zdjęła buty i skarpety.

- Na miłość boską, przestań! Co się stało? Powiedz mi, dlaczego...

- Wykonuję polecenia mojego męża! - Wściekle rozpięła pasek, zrzuciła dżinsy i klamra zabrzęczała w kontakcie z podłogą. Po dżinsach przyszła kolej na białe majtki bikini. W ostatnim buntowniczym geście rozpięła spinkę przytrzymującą włosy i

rozpuściła je na ramiona. Stała przed nim, płonąć gniewem, od stóp do głów w kolorze sieni palonej.

- Na co czekasz? - zapytała. - Bierz się za ten cholerny szkicownik! Zaczynaj!

Malone nie mógł wydusić z siebie słowa. Wziął głęboki wdech, po czym udało mu się wykrztusić:

- Nie tego oczekiwałem.

- Mam przyjąć bardziej wyzywającą pozę?

- Nie.

- Więc czego oczekiwałeś, do cholery? Wyrażaj się jasno! Powiedz mi, co mam robić!

- Załóż to. - Podniósł koszulę i podał jej.

Utkwiła w nim wzrok pełen wściekłości.

- Mówię poważnie - namawiał ją.

- Przecież przyjąłeś zlecenie.

- Oczywiście.

- I wiedziałeś, że drugim portretem ma być akt?

- Owszem.

- Nie sądzisz, że wypadało mnie o tym poinformować? Gdy przyglądałeś mi się, pochlebiali mi to. Nie czułam się, jakbyś rozbierał mnie spojrzeniem. - Usiłowała uporządkować myśli. - Patrzyłeś i... podziwiałeś. Bez zachłanności. Sprawileś, że dobrze się ze sobą czułam. Myślałam sobie: wreszcie człowiek, który rozumie mnie, jako osobę, a nie rzecz. A teraz dowiaduję się, że dla ciebie to tylko praca. Masz sprawić, żebym czuła się swobodnie i robić to, za co ci płacą.

- Nie - zaprzeczył Malone. - To nie była tylko praca. Proszę. - Wciąż trzymał w wyciągniętej ręce koszulę.

Wyrwała mu ją, nie spuszczać z niego gniewnego wzroku, ale on też nie odwracał oczu, żeby przypadkiem sobie nie pomyślała, że kłamie. Założyła na siebie koszulę.

- Posłuchaj - rzekł Malone. - Na początku, przyznaję, to była tylko praca. Nie znałem ciebie. Nasze pierwsze spotkanie było niezbyt udane. Wyglądało na to, że możemy nie znaleźć wspólnego języka. Sądziłem, że czeka mnie najtrudniejsze zadanie, jakiego się kiedykolwiek podjąłem, i żalowałem, że wyraziłem zgodę na jego wykonanie.

Wciąż wpatrywała się w niego wzrokiem pełnym wściekłości.

- Ale z każdym dniem poznawaliśmy się coraz lepiej - tłumaczył Malone. - Co więcej, rozmowa sprawiała nam wielką przyjemność. Cieszyłem się na każde spotkanie z tobą, nie mogąc się doczekać śniadania i wspólnej pracy. Cały projekt stał się dla mnie bardzo ważny. Zdałem sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie stworzyłem lepszego dzieła - ponieważ nigdy nie miałem tak dobrego obiektu.

Wpatrywała się w niego coraz intensywniej.

- I z każdym dniem, gdy praca nad pierwszym portretem zbliżała się do końca - kontynuował - czułem narastające napięcie, ponieważ wiedziałem, że wkrótce będę musiał rozpocząć drugi portret. Nie chciałem jednak kończyć tego pierwszego. Rozmowy z tobą, utożsamianie się z tobą, przelewanie mojej wyobraźni na ciebie - wszystko to stało mi się tak drogie, że nie chciałem kończyć. Wiedziałem oczywiście, że w końcu będę musiał. Nie mogłem wiecznie przekładać terminu jego ukończenia. Ale nie mogłem też oswoić się z myślą, jak to będzie, gdy zacznę malować cię w innych okolicznościach, gdy będziesz spięta, a ja będę musiał znów ci się przyglądać, poznawać twoje ciało tak dobrze jak twoją twarz. Mogę namalować wszystko, co zechcę. Lecz jeśli ma to być moje najlepsze dzieło, nie mogę być obiektywny. To, co ci teraz powiem, będzie pewnie najdziwniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek usłyszałaś od mężczyzny. Biorąc pod uwagę kontakt, który nawiązaliśmy, oglądanie cię nago było ostatnią rzeczą, której pragnąłem. Zadowolilibym się studiowaniem twojej twarzy i nie miałem pojęcia, jak poradzę sobie z tym problemem, gdy nie będzie go już można dłużej unikać.

Ostatnie słowa Malone'a odbiły się echem i rozplynęły w nicości. Zapadła cisza, przerwana w końcu szuraniem jego butów po bruku, gdy podszedł do dzinsów, podniósł je i podał Sienie. Koszula, którą na nowo zapięła, była na tyle długa, że zakrywała ją. Mimo to chciał, żeby czuła się zupełnie swobodnie.

Po lewym policzku zaczęła jej spływać łza.

- Po co Derek w ogóle zamówił te portrety? Nic z tego nie rozumiem.

- Jedyne powód, jaki znam, to ten, który ci podał - skłamał. - Chce utrwalić twą urodę, uwiecznić ją.

- W tym także moje ciało.

- Zgadza się.

- Wkrótce każe mnie zastrzelić i wypchać - stwierdziła.

Jej słowa były tak bliskie prawdy, że Malone z trudnością się opanował, żeby nie zareagować.

- Skoro jestem taka piękna, dlaczego nie chce na mnie patrzeć? - Głos Sieny zadrżał. - Nigdy nie mogę mu dogodzić. Sposób, w jaki mnie traktuje. To nie tyle dezaprobata, ile pogarda. Po co mu portret kogoś, kto wzbudza w nim wstręt?

Łzy zalały jej twarz, zaczerwieniły oczy i uwydatniły ogień pod jej brązową skórą. Zanim Malone zdążył się zorientować, przytuliła się do niego, obejmując go z desperacją, która przywiodła mu na myśl tonącego walczącego o życie. Łkała głośno, a szloch wstrząsał jej ramionami. Wyczuł w jej włosach woń moreli, a jej skóra pachniała gałką muszkatołową. Czuł, jak jej łzy spadają mu na koszulę, przesiakając i paląc mu pierś. Jednocześnie czuł jej piersi pod koszulą. Napierały na niego, a on nie mógł odpędzić od siebie myśli o dżinsach, których nie założyła. Miała obnażone nogi. A także biodra pod koszulą. A także...

- Czy takich technik uczą was w Akademii Sztuk Pięknych? - zapytał Bellasar, stojąc w drzwiach.

3

Siena odskoczyła od Malone'a z przerażeniem i odwróciła się do męża.

- Jakiś rodzaj artystycznej zachęty? - dopytywał się Bellasar. - Ale czy to artysta zachęca modelkę, czy modelka artystę?

- To nie to, o czym myślisz - powiedziała Siena.

- Skąd wiesz, o czym myślę? Przecież wiedziałem, że miałaś się rozebrać. Nie martw się, nie podejrzewam cię o romans. Nigdy ani przez chwilę nie zwątpiłem w twoją wierność. Nie miałabyś odwagi mnie zdradzić.

Siena wzdrygnęła się.

- Poza tym nigdy nie słyszałem, żeby podczas schadzki kobieta próbowała erotycznie pobudzić mężczyznę, zalewając go łzami. - Bellasar podszedł do żony i przesunął dłonią po jej mokrych policzkach. - Jak ty wyglądasz, moja droga. Zupełnie jak podczas naszego pierwszego spotkania w Mediolanie. Wtedy nie nadawałaś się do pozowania, a i teraz wolałbym nie uwiecznić ciebie takiej na portrecie.

Szlochy Sieny wyrywały się z jej piersi.

- Kapie ci z nosa. Twoja buzia... Jak, u diabła, ten człowiek ma pracować?

Malone zauważył, że Bellasar ani razu nie spojrzął w jego stronę.

- Wracaj do swojego pokoju i doprowadź się do porządku - rozkazał Bellasar. - Gdy wrócisz po lunchu, spodziewam się, że zdążysz naprawić szkody, które wyrządziłaś swej urodzie, i będziesz mogła pozować.

Usta Sieny zadrżały.

- Do jasnej cholery, na co jeszcze czekasz? - zdenerwował się Bellasar. - Rusz się. Raz w życiu zrób coś jak trzeba.

Spojrzała załzawionymi oczami na Bellasara, po czym zwróciła swą wymęczoną twarz ku Malone'owi i wybiegła szybko z pokoju.

Malone musiał zebrać całą siłę woli, żeby nie powstrzymać Bellasara od ponizania jej. Gniew, który popchnął go do przyjęcia zlecenia, teraz płonął w nim ze zdwojoną siłą. Pragnął się na nim odegrać jeszcze bardziej. Ale nie tutaj, nie teraz, powtarzał sobie. Pobicie Bellasara za to, co właśnie zrobił, połamanie mu rąk, nóg i tyłu kości, ile zdążyłby połamać przed nadejściem ochroniarzy, nie było karą, na którą zasłużył. Nie pomógłby Sienie. Nie wy dostałaby się stąd. Zachowaj spokój, powtarzał w duchu Malone.

Gdy Siena zniknęła za oszkloną ścianą, zapadła cisza. Malone odniósł wrażenie, jakby pokój zaczął się kurczyć.

- Chciałbym poprosić pana o fachową poradę - odezwał się Bellasar.

- Jeśli chce pan dowiedzieć się czegoś z dziedziny malarstwa, służę pomocą.

- Nie chodzi o malarstwo.

4

Terkot broni maszynowej przybierał na sile. Zbliżając się do strzelnicy, Malone zauważył, że wysadzana krzewami ścieżka omijała łukiem klauzurę. Jego uwagi nie uszedł również fakt, że zwiększyła się liczba strażników i przypomniał sobie słowa Sieny, która twierdziła, że nigdy nie wpuszczono ją do tej części posiadłości.

Więc po co Bellasar mnie tam prowadzi, pomyślał Malone. Czy uważa, że może mi pokazać strzelnicę, bo wie, że jako truposz nikomu nic nie wyjawię?

Odgłosy strzelaniny umilkły, po czym znów rozbrzmiały. Po sile serii strzałów Malone rozpoznał broń: działko maszynowe kalibru pięćdziesiąt. Zdziwiająco szybkie tempo wystrzałów dało mu do zrozumienia, że rozwiązano już problem, o którym Bellasar wspominał wcześniej: jak zrekompensować wzrost temperatury wytwarzanej przez szybszy podajnik.

Krzewy ustąpiły miejsca otwartej przestrzeni, gdzie znajdowało się kilka drewnianych stanowisk strzelniczych. Przypominały przydrożne stragany, z tą tylko różnicą, że choć każde z nich było zadaszone, nie miały tylnej ściany. Tam, gdzie normalnie wystawiono by owoce i warzywa, tu znajdowały się klamry i zaciski do przytwierdzenia broni, której przyrząd celowniczy wymagał kalibrowania.

Między dwoma takimi stanowiskami ustawiono na trójnogu działko maszynowe. Mężczyzna w szarych ogrodniczkach wyjął z uszu zatyczki, pochylił się nad działkiem, po czym sięgnął do stojącej obok torby z narzędziami. Taśmy z nabojami grubymi i długimi jak palce zasilają działko z dużej metalowej skrzyni z prawej strony. Na ziemi leżały porzrzucone mosiężne łuski, błyszczące w słońcu.

Lecz Malone nie zwracał szczególnej uwagi na te szczegóły, za bardzo był pochłonięty miejscem, w które wycelowano broń. Była to duża przestrzeń, około kilkuset metrów kwadratowych, gdzie znajdowała się cała wioska zdewastowana od eksplozji i kul. Z betonowych murów zionęły wielkie, poszarpane otwory. Ściany porozpadały się, sufity zwały na ziemię. Krajobraz gruzów i wyrw po pociskach dopełniały jeszcze wypalone szkielety porzuconych samochodów i ciężarówek.

Malone skierował swą uwagę z powrotem na mężczyznę w ogrodniczkach, który wyprostował się na dźwięk nadchodzących kroków. Wzrok Pottera spoważniał za okularami na widok Malone'a.

- Jest pan bardziej wszechstronny, niż myślałem - stwierdził Malone.

- Zdziwiłby się pan, gdyby wiedział, co jeszcze potrafię. - Potter zwrócił się do Bellasara. - Co on tu robi?

- Chcę mu coś pokazać.

- To wbrew pańskim zasadom.

- A skoro to są moje zasady, mogę je łamać. - Bellasar wskazał na działko maszynowe. - Jeśli już jest wyregulowane, ustaw nam cel.

- Ale...

- Rób, co ci każe. Nie płacę ci, żebyś ze mną dyskutował.

Mięśnie twarzy Pottera zadrżały. Rzucając Malone'owi spojrzenie, które nie pozostawiało mu wątpliwości, kogo wini za reprimendę, którą właśnie otrzymał, podszedł do jednego ze stanowisk strzelniczych i włączył przycisk. Malone przez chwilę miał wrażenie, że zawodzi go wzrok. Oto zdewastowana wioska ożyła. Żołnierze zaczęli biegać między budynkami, cywile rozpierzchli się w poszukiwaniu schronienia, jeepy ruszyły po usianych wrakami pojazdów ulicach. Z prawej strony

ukazał się terkoczący pojazd opancerzony. Za nim popędziły dwie duże kryte brezentem ciężarówki.

Nic nie działało się jednak naprawdę. Żołnierze i cywile byli odpowiednio przebranymi manekinami. Ich ruchy pozwalały się domyślić, że są przytwierdzone do prowadnic umieszczonych w podłożu. Na tej samej zasadzie poruszał się pojazd opancerzony i ciężarówka.

- Imponujące - przyznał Malone.

Bellasar kiwnął głową, jak gdyby taki komentarz był oczywisty.

- Moi klienci chcą, by broń demonstrowano im w warunkach jak najbardziej zbliżonych do rzeczywistości.

- Zupełnie jakby miał pan potężny zestaw kolejki elektrycznej.

Bellasar wyglądał na zaintrygowanego.

- Chodziłem kiedyś do szkoły z chłopcem, który budował makiety kolejki elektrycznej, żeby potem za pomocą petard wysadzać mosty, wieże strażnicze i wagony towarowe - wyjaśnił Malone. - Nigdy nie znałem kogoś, kogo bardziej pociągałoby niszczenie.

- Przekonajmy się, jak pana ono pociąga.

- Nie rozumiem.

- Proszę tu podejść i wypróbować to działa. Służył pan w piechocie morskiej. Chciałbym usłyszeć opinię znawcy o tym, jak się strzela pięćdziesiątką z szybszym podajnikiem.

- Obawiam się, że moja opinia nie jest wiele warta. Od dziesięciu lat nie miałem w ręku broni.

- Strzelanie jest niczym jazda na rowerze. - Jego stwierdzenie było rozkazem. - Tego nigdy się nie zapomina.

- Derek - wtrącił się Potter.

- Nie mieszaj się do tego. - Bellasar nie spuszczał wzroku z Malone'a.

- Świetnie. - Malone podniósł ręce w geście uległości. - Nie wiem, co pan chce udowodnić, ale dobrze.

Gdy Malone zbliżył się do działka, Potter włożył do uszu zatyczki i wsunął prawą rękę za pazuchę. Żeby wyciągnąć broń, gdy sytuacja wymknie się spod kontroli, pomyślał Malone. Strażnicy zdjęli z ramion karabiny.

- Będzie pan ich potrzebował - powiedział Bellasar, rzucając mu parę zatyczek, po czym sam zatkał sobie uszy.

Malone wcisnął zatyczki. Widząc, jak bardzo Potter się denerwuje, trzymał działo cały czas wycelowane w stronę zrujnowanej wioski.

- Mam rozwalić coś konkretnego?

- Ciężarówkę z prawej strony. - Ze względu na zatkane uszy, głos Bellasara był przytłumiony.

Gdy Malone wycelował i pociągnął za spust, gwałtowne ruchy i odgłosy działa sprawiły, że poczuł, jakby usiłował przytrzymać jakąś potężną żywą istotę. Spodziewał się kopa i odpowiednio napiął mięśnie, ale siła maszyny przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Szarpnięcie spowodowane wystrzałem w niewyobrażalnym wprost tempie podrzuciło lufę gwałtownie do góry. Malone zapanował nad nią, wycelował w ciężarówkę i gdyby nie koncentrował się tak bardzo na utrzymaniu działa pod kontrolą, szkody, które wyrządził, również wprawiłyby go w zdumienie. Potężny grad kul całkowicie zniszczył najpierw tył, a później przód ciężarówki, rozbijając ją w drobny mak. Gdy Malone puścił spust, drżały mu dłonie i ramiona. Był przekonany, że osoba nieobeznana z pięćdziesiątką skończyłaby z wybitymi barkami ze stawów.

- Czy te naboje mają jakiś szczególnie potężny ładunek?

Bellasar wzruszył ramionami.

- Co pan myśli o ulepszeniach?

- Jeśli nie znajdziecie sposobu na ustabilizowanie wstrząsów, nikt nie będzie w stanie się z tym obchodzić.

- Nie wiem, o jakich wstrząsach pan mówi. - Bellasar podszedł do działka, wycelował i pociągnął za spust.

Malone nie był na to przygotowany.

Rozległ się dźwięk przypominający miarowy stukot lokomotywy pędzącej pełną parą, lecz Bellasar z łatwością panował nad działem: jego ramiona kontrolowały tendencję potężnej maszyny do odskakiwania w górę. Puste naboje latały w powietrzu z prędkością, która uniemożliwiała śledzenie ich wzrokiem. Szerokie bary, muskularna klatka piersiowa i wyprostowana sylwetka już wcześniej zwróciły uwagę Malone'a, który doszedł do wniosku, że Bellasar często ćwiczy, prawdopodobnie z obciążeniem, dzięki czemu znajduje się w doskonałej formie jak na mężczyznę po sześćdziesiątce. Lecz to, co zobaczył teraz, stanowiło brawurową demonstrację siły, która przekraczała wszelkie jego wcześniejsze wyobrażenia. Łatwość, z którą Bellasar panował nad potężnymi szarpnięciami działa, była niesamowita. Rozwalił drugą ciężarówkę, przeniósł cel na jeepy, je również unicestwił, później żołnierzy, cywili i

wreszcie skierował lufę w stronę pojazdu opancerzonego, wyrządzając wydawałoby się niemożliwe w tego typu pojeździe szkody: odpadły mu gąsienice, osłona została podziurawiona, a ze środka zaczął wydobywać się dym i płomień. Boże, te naboje mają główce, które dziurawią opancerzenie pojazdów i ładunek z materiałów wybuchowych, pomyślał Malone, gdy Bellasar zdjął palec ze spustu i wycelował działo w jego stronę.

Zamarło mu serce w piersi. I chyba nie tylko jemu. Widząc, jak lufa śmiga mu przed nosem, Potter zrobił krok do tyłu, żeby nie znaleźć się w polu rażenia. W oddali strażnicy skryli się za drzewami.

Bellasar spoglądał zza lufy w pierś Malone'a. Pomimo wysiłku, który musiał włożyć w utrzymanie działa podczas ostrzału wioski, wyglądał, jakby zużył tyle energii, co podczas jazdy samochodem.

- A teraz poczuje pan, jak to jest po drugiej stronie lufy - powiedział Bellasar. - Życzy pan sobie, żeby podziurawiło pana kilkaset nabołów?

- Czegoś tu nie rozumiem.

- Nie sądzę. Wie pan doskonale, w czym rzecz.

Chryste, czyżby wiedział, że współpracuję z Jebem?, zastanawiał się Malone. Błefuj, nakazał sobie. Nie wolno mu się domyślić. Nie mogę dać po sobie poznać, że poczuwam się do jakiegokolwiek winy.

- Żeby uniknąć nieporozumień, proszę mówić konkretnie.

- Myśli pan, że jestem głupcem?

- Ależ skąd.

- Sądził pan, że nie domyśle się, jaki wpływ może mieć na pana codzienne obcowanie z moją żoną? Sądził pan, że nie przewidziałem, co będzie pan czuł, gdy ona się rozbierze? Wiedziałem, że będzie się pan zastanawiał, jak to jest kochać się z nią.

Serce Malone'a uspokoiło się nieco. A więc nie chodziło o Jeba.

- Myli się pan co do...

- Milczeć. Chcę, żeby pan coś dobrze zrozumiał. Nie mogę kontrolować pańskich uczuć, gdy przebywa pan z moją żoną. Ale jeśli kiedykolwiek da pan upust swoim uczuciom, jeśli tylko dotknie jej pan w sposób bardziej lubieżny, niż to niedawno widziałem. Jeśli tylko pańskie zachowanie wobec niej wykroczy poza malarskie obowiązki, zaciągnę pana tutaj i... Moja żona należy do mnie. Nie podoba mi się, gdy ktoś dotyka mojej własności. Czy to jasne?

- Bardzo.

- Jest pan pewien?

- Całkowicie.

Bellasar przesunął lufę z powrotem w kierunku wioski i pociągnął za spust, krusząc ściany kilku budynków, aż ostatni nabój przeszedł przez mechanizm strzelniczy i działo zamarło. Wpatrywał się gniewnie w ruiny i drżał lekko, lecz nie z powodu silnych wstrząsów działa. Gdy wreszcie przemówił, słowa wydobywały się ze ściśniętego gardła.

- A teraz niech pan, do diabła, wraca do pracy.

5

- Przepraszam.

Malone podniósł wzrok znad szkicu, który rysował z pamięci. Siena stała w drzwiach do pokoju. Nie pomyślałby, że można w tak krótkim czasie doprowadzić do porządku zalaną łzami twarz. Miała na sobie luźną bluzę i spódnicę do kostek w kolorze przypominającym mu lazur morza, który zwykł był podziwiać z plaży koło swego domu na Cozumel. Zwykłem był, zaznaczył w myślach. Choć Bellasar obiecał mu, że przywróci całej posiadłości jej pierwotny wygląd, Malone obawiał się, że już nigdy tam nie wróci.

- Za co mnie przepraszasz? - zapytał.

- Za scenę.

- To twój mąż zrobił scenę.

- Nie. Przepraszam, że zachowałam się nieprofesjonalnie. Oboje mieliśmy zadania do wykonania. Ja nie wywiązałam się ze swojego zbyt dobrze.

- Nie ma o czym mówić. Musieliśmy wyjaśnić sobie parę spraw.

- A teraz, gdy wszystko zostało wyjaśnione... - Siena chwyciła za dół bluzy i zaczęła zdejmować ją przez głowę.

- Przestań.

- Nie chciałabym jeszcze bardziej zdenerwować Dereka. Nigdy nie widziałeś go, gdy się naprawdę rozzłości. Musimy skończyć drugi portret. Im szybciej, tym lepiej.

- Usiądź.

- Chcesz, żebym pozowała na siedząco?

- Chcę, żebyś rozluźniła się na chwilę. Porozmawiajmy.

- Nie, musimy pracować. Jeśli Derek pomyśli, że marnujemy czas...

Malone napiął mięśnie.

- To ja maluję ten portret. Pozwól, że ja się będę martwił o twojego męża. Chciałbym, żebyś usiadła. Proszę.

Siena rzuciła nerwowe spojrzenie w stronę drzwi. Z wahaniem spełniła jego prośbę.

Malone przysunął drugie krzesło i usiadł na nim okrakiem, opierając ręce o oparcie. Miał nadzieję, że ta swobodna pozycja uspokoi ją. Wreszcie przemówił cichym głosem.

- Gdy twój mąż zjawiał się tu dziś rano, wspomniał coś o tym, jak wyglądałaś w Mediolanie. I że wtedy nie nadawałaś się do pozowania.

Siena wlepiła wzrok w swe dłonie.

- O co mu chodziło? - zapytał Malone.

Coś w jej spojrzeniu odeszło gdzieś daleko. Milczała tak długo, że Malone stracił już nadzieję na uzyskanie odpowiedzi.

- To był fatalny okres w moim życiu - odezwała się wreszcie.

- Kiedy?

- Pięć lat temu.

Malone czekał.

- Ja...

Rzucił jej zachęcające spojrzenie.

- Musisz zrozumieć... - Wzięła głęboki wdech. - Modelki są kobietami, które czują się najbardziej zagrożone.

Malone nie odpowiedział. Obawiał się, że jeśli się odezwie, Siena zawstydzi się i przestanie mówić.

- Wciąż sobie wmawiamy, że nie jesteśmy tylko pięknymi opakowaniami. Mamy obsesję na punkcie starzenia się. Zawsze martwimy się, że najlepsze dni mamy już za sobą.

Malone zmuszał się, żeby zachować milczenie.

- Są oczywiście wyjątki - kontynuowała. - Ale ja do nich nie należałam. Wyobraź sobie. Musiałam być tak szczupła, że gdy tylko cokolwiek zjadłam, na zdjęciach widać było wybrzuszenie w okolicach żołądka. Głodziłam się albo jadłam i później wymiotowałam. W końcu odkryłam kokainę. Nie przybywa ci od tego kilogramów, a przez chwilę czujesz się lepiej, więc nie przestawałam brać. I ponieważ tylu ludzi próbowało mną manipulować, zaczęłam marzyć o mężczyźnie, który byłby

od nich wszystkich silniejszy i pomógł mi się pozbierać. I gdy myślałam, że znalazłam takiego mężczyznę, okazało się, że jest sukinsynem, który chce kontrolować całe moje życie i...

Siena mówiła coraz szybciej i nagle zdała sobie sprawę z obecności Malone'a.

Zaryzykował wreszcie i odezwał się.

- Powiedz, co miał na myśli twój mąż, mówiąc, że wtedy nie nadawałaś się do pozowania.

- Jadłam tak mało, że wreszcie zrobiłam się za chuda. Co gorsza, przez kokainę miałam wiecznie błędny wzrok. Na domiar złego facet, z którym wtedy żyłam, rozciął mi wargę i podbił oczy.

Malone poczuł, że jest mu niedobrze. Poruszyła nerwowo palcami.

- To wszystko działo się w Mediolanie. Pojechałam tam na jesienne pokazy, ale ponieważ byłam pobita, rzecz jasna nie mogłam pracować. Siedziałam w hotelu, a mój ówczesny facet wyszedł, żeby przerznąć wszystko, co stanie mu na drodze. Nagle usłyszałam pukanie do drzwi. Otworzyłam je, i ujrzałam Dereka. Nigdy tego nie zapomnę. Miał na sobie smoking i trzymał w ręku bukiet czerwonych róż. Zamroczone kokainą, przyglądałam się temu przystojnemu opalonemu mężczyźnie i przez chwilę pomyślałam, że to ten włoski aktor, Rossano Brazzi. Nie mam pojęcia, skąd wiedział, gdzie mieszkam i co mi się przytrafiło. Wziął mnie pod brodę i powiedział: „Zabieram cię stąd. Nie musisz się pakować. Zabierz płaszcz i chodź ze mną”. Zamrugałam oczami. Kiwnęłam głową. Zapomniałam nawet o płaszczu. Zamknęłam tylko drzwi i zeszłam do limuzyny.

- Mówiłaś przecież, że miałaś kochającą rodzinę. Czemu więc miałabyś się czuć zagrożona?

- Nie mówiłam, że mam kochającą rodzinę, tylko kochających rodziców.

- Nie rozumiem.

Siena przełknęła ślinę.

- Po śmierci rodziców, gdy miałam dwanaście lat, posłano mnie do domu wuja. Nie potrafił trzymać rąk przy sobie. Kiedy tylko nie było ciotki, próbował...

Malone poczuł cierpki smak w ustach.

- Kilka razy zmusił mnie, żebym...

- Jezu.

- Ostrzegał mnie, że jeśli komukolwiek o tym powiem, wyrzuci mnie z domu. Mówił mi, że skończę w rynsztoku. Byłam rozkojarzona. Źle mi szło w szkole.

Płakałam do późna w nocy. Wreszcie znalazłam pocieszenie w świecie fantazji. Bez przerwy czytałam magazyny mody i marzyłam o pracy modelki i luksusowym życiu. I tak aż do szesnastych urodzin. Gdy znów zakradł się do mojego pokoju, zaczęłam krzyczeć, że więcej nie będę tego robić. Obudziłam ciotkę i ich dzieci. Ciotka nie uwierzyła w moje rewelacje, a on zbił mnie na kwaśne jabłko za - jak to ujął - kłamstwa na jego temat. Tak mnie pobił, że przez dwa dni musiałam leżeć w łóżku. Trzeciego dnia, kiedy oboje byli w pracy, wzięłam pieniądze spod słoika, gdzie ukrywała je przed mężem ciotka. Miałam nadzieję, że o ich kradzież oskarży wuj, który mógł je wydać na wódkę. Spakowałam się i autokarem pojechałam do Chicago. Wynajęłam pokój i miałam się najgorszych zajęć, jakie można sobie wyobrazić. Ale nie przestałam marzyć, żeby zostać jedną z tych kobiet z okładek kolorowych magazynów. Znalazłam wieczorową szkołę dla modelek. Pracowałam najciężej, jak tylko można, żeby zrealizować swe marzenia. Zaczęłam od reklamowania bielizny, później przyszła pora na zdjęcia w kostiumach kąpielowych do katalogów, zdjęcia do „Vogue” i w końcu trafiłam na okładkę „Cosmopolitana” i wszystkich innych ważniejszych magazynów mody. Moje marzenie się spełniło. Tyle tylko, że marzenia odbiegały od rzeczywistości. Życie nie zamieniło się w bajkę. Stałam się jednym z towarów do sprzedaży.

- Co się stało po twoim wyjeździe z Bellasarem?

- W limuzynie w drodze na lotnisko obejrzał moje siniaki. Powiedział, że nie może dopuścić, aby zmarnowano taką piękność. Obiecywał, że nikt już nie oszpeci mojej twarzy i że ja sama nie zrobię sobie krzywdy. Sprowadził mnie tutaj. Czekał już na nas chirurg plastyczny, który postarał się o to, aby nie pozostały mi na twarzy blizny po obrażeniach. Lekarze odtruli mój organizm. A psycholog, który specjalizował się w leczeniu zaburzeń żywieniowych, przekonał mnie, że jedzenie nie jest moim wrogiem. Po sześciu miesiącach rezultaty terapii zadowolili Dereka. Był taki dumny. Mówił, że stworzył mnie na nowo. Chodził wokół mnie i przyglądał mi się ze wszystkich stron. Rozpromieniony powtarzał, że moja uroda nie zaistniałaby bez niego. - Wzruszyła ciężko ramionami. - Miał rację. Staczałam się na dno tak szybko, że w ciągu sześciu miesięcy, podczas których postawił mnie na nogi, byłabym martwa.

- A więc dał ci to, czego potrzebowałam. Wreszcie ktoś się tobą zaopiekował.

- Do czasu. Zaczęło się trzy miesiące temu.

Malone zmarszczył brwi.

- Co się zaczęło?

- Wrócił z podróży w interesach i nagle zupełnie się zmienił. Zaczął narzekać na moje zmarszczki, które pojawiły się w kącikach oczu. Twierdził, że zauważył siwe pasmo w moich włosach. Ostrzegł mnie, żebym nie marszczyła czoła, gdyż zaczęły mi się robić na nim bruzdy. Zadawałam sobie pytanie, co go tak odmieniło podczas tej podróży. Czyżby zakochał się w innej kobiecie? Gdy poruszyłam tę kwestię, wściekł się. Krzyczał, że mam bujną wyobraźnię i muszę coś ze sobą zrobić. Ufarbowałam więc włosy, zrobiłam peeling twarzy, starałam się go we wszystkim zadowolić. Ale on coraz bardziej tracił wobec mnie cierpliwość. Cokolwiek robiłam, wszystko było nie tak. Zaczęłam się nawet cieszyć, gdy zapowiadał wyjazd. Jego podróże dawały mi trochę wytchnienia. Ale za każdym razem, kiedy wracał, robił się jeszcze bardziej niezadowolony.

Malone otworzył usta, żeby ją pocieszyć, lecz nie zrobił tego, gdyż Siena zeszywniała na widok czegoś za jego plecami. Zerwała się na równe nogi.

- Przrzekam, Derek, rozmawiamy tylko o tym, jak mnie ustawić do pozowania. Zaraz mieliśmy zacząć. Naprawdę.

W drzwiach stał Bellasar.

- Lecimy do Stambułu. Masz być gotowa o piątej. - Spojrzał w stronę Malone'a ze zmrużonymi oczami. - A pan ma dwa tygodnie na dokończenie pracy.

- Mogę nie zdążyć.

- Musi pan zdążyć.

- Gdy przyjmowałem pańskie zlecenie, mówiłem, że zrobię to, ale na moich warunkach. Wtedy pan się zgodził.

- Ale zmieniłem zdanie.

- Jak mam pracować bez obiektu? Kiedy Siena wraca?

- Gdy przyjdzie na to czas.

- Im dłużej jej nie będzie, tym później skończę obraz.

Bellasar zasepił się.

- Alex chyba miał rację. Popełniłem błąd, angażując pana. Odlatujemy o piątej.

- Odwrócił się ze złością i wyszedł z pokoju.

Obserwując, jak przechodzi przez taras, Siena zadrżała.

- Która jest godzina?

- Tuż po trzeciej.

- Boże, mam bardzo mało czasu.

Gdy wstała, Malone zapytał ją:

- Co jest w Stambule? Co jest takie ważne?

Odpowiedziała z zaciśniętym gardłem.

- Zawsze chodzi o interesy. Paru klientów Dereka lubi moje towarzystwo. Kiedy jestem w pobliżu, łatwiej mu negocjować z nimi.

Malone kiwnął głową. No tak, w ich oczach Bellasar dużo zyskiwał, mając tak piękną żonę.

- Nie mogę dłużej rozmawiać.

Siena wybiegła z pokoju, a Malone został tam zatopiony w myślach. No tak, taka uroda mogła olśnić klienta, wpłynąć na jego decyzje. Ale gdy uroda zacznie tracić blask? Co wtedy? Fatalnie dla interesów. Fatalnie dla wybrednego męża, którego zadowala tylko ideał. Fatalnie pod każdym względem. Gdy ktoś przestaje spełniać swoją funkcję, należy znaleźć zastępstwo.

6

Słońce zeszło tak nisko, że taras był już zacieniony, lecz promienie słoneczne odbijały się jeszcze od wirujących łopat helikoptera. Malone patrzył, jak Siena, Bellasar, Potter i trzech ochroniarze wchodzi na pokład śmigłowca. Siena miała na sobie elegancki kostium. Jej włosy były nienagannie ułożone. Nawet na odległość jej uroda olśniewała. Malone dostrzegł z daleka, jak niechętnie wchodziła na pokład. Wyglądała jak doskonale ubrana więźniarka, którą transportuje się na proces. Albo na pogrzeb.

Porównanie to sprawiło, że poczuł się nieswojo. Helikopter odlatywał z warkotem, a on zdał sobie sprawę, że już za nią tęskni.

Część piąta

1

alone poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, gdy dochodziła siódma: **M**przyzwyczał się już, że co wieczór o tej właśnie godzinie spotykał się ze Sieną na koktajlu. O tej porze schodziłbym do biblioteki, pomyślał. Tym razem snuł się po posiadłości, a raczej po tych jej częściach, do których go dopuszczano, niczym sfrustrowane zwierzę próbujące złagodzić napięcie. Gdy zachód słońca zabarwił wreszcie krzewy, posągi i stawy, postanowił, że spróbuje coś zjeść. Siedząc samotnie przy długim, oświetlonym świecami stole, poskubał tylko trochę przygotowany dla niego kotlet cielęcy. Bez przerwy myślał o Sienie: gdzie jest i co robi.

Czy jeszcze żyje.

Nagle nawiedziły go potworne wizje: wyobrażał sobie, jak to Bellasar wyrzuca ją z helikoptera, a jej ciało roztrzaskuje się na skałach... Potter strzela jej w głowę, a ciało zrzuca do morza... Nie!, powtarzał sobie. Zachowanie Bellasara wskazywało na to, że jej potrzebuje. Przynajmniej na razie. Kryzys nadejdzie dopiero po ich przylocie ze Stambułu.

Spał niespokojnie. Rano, usiłując uspokoić umysł, wydłużył ćwiczenia z jednej do dwóch godzin, lecz strach o Sienę nasilał się. Poszedł do pracowni i rozłożył szkice. Rysował z pamięci i wyobrażał sobie, że Siena siedzi przed nim i prowadzą rozmowę.

Poszedł do biblioteki. Wdychając zapach pleśni wydobywający się ze starych tomów, wspiął się po drabinie do środkowych półek. Właśnie w ich kierunku wskazał Bellasar tego wieczoru, gdy nastąpiło odsłonięcie pierwszego portretu. Wtedy Bellasar porównał Sienę do Beatrycze Dantego, będącej inspiracją dla *Boskiej Komedii*. „Jeśli historia Dantego i Beatrycze zaciekała pana, Rossetti przetłumaczył autobiografię Dantego”, powiedział wówczas Bellasar. „Znajdzie pan tam wydanie *Wczesnych poetów włoskich* z tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku”.

Bellasar powiedział wtedy coś jeszcze: że Beatrycze zmarła młodo i od tamtej pory Dante miał na jej punkcie obsesję. Malone nie był w stanie uniknąć nasuwającego się porównania: czy Siena też umrze młodo?

Muszę przestać myśleć o śmierci.

Ponieważ książki zostały ułożone w porządku alfabetycznym według nazwisk autorów, Malone bez problemu znalazł tom, którego szukał. Pomyślał, że to ciekawe, iż Rossetti miał na imię Dante, tak jak poeta, którego autobiografię przetłumaczył. Usiadł w skórzanym fotelu, otworzył książkę i doszedł do opisu pierwszego spotkania Dantego i Beatrycze.

Ukazała się w szacie barwy najszlachetniejszej, skromnego i zacnego szkarłatu... W tejże chwili, powiadam prawdziwie, duch żywota, mieszkający w najskrytszej komorze serca, zadrżał tak mocno, że odbiło się to w najmniejszych drobinach pulsu.

Tak, pomyślał Malone.

2

Dwa dni później Siena jeszcze nie wróciła.

Malone leżał sfrustrowany na łóżku, przysłuchując się odgłosom strażników patrolujących okolicę w ciemnościach za oknem. Męczyło go, że czas tak wolno płynie, lecz z drugiej strony miał okazję ułożyć sobie plan.

Przed nim leżała otwarta autobiografia Dantego w przekładzie Rossettiego.

...przedziwna pani zjawiała się znowu w najjaśniejszej bieli... a że słowa jej wtedy po raz pierwszy doszły moich uszu, napełniły mię taką słodyczą, że jakby upojony usunąłem się spośródka tłumu...

Pot zrosił mu czoło. Poszedł do łazienki, opłukał twarz zimną wodą, po czym zgasił światło w swoim pokoju i podszedł do okna naprzeciw łóżka, przyglądając się grze światel i cieni w ogrodach i na ścieżkach.

Zerknął na zegarek i okazało się, że dochodziła północ. Za kilka chwil z prawej strony miał pojawić się strażnik, który przejdzie zwirowaną ścieżką, chrzęszcząc po żwirze butami. Malone schował się za framugą, żeby nie było widać nawet jego cienia. Czekał.

Wreszcie. Zanim się pojawił, słychać było odgłosy jego kroków. Malone kiwnął głową. Dziesięć minut później powinien nadejść następny strażnik, tym razem z lewej

strony. Pięć minut po nim zza przebiegalni przy basenie wyłoni się trzeci strażnik, kierując się w stronę lądowiska. Rozkład ten nie zmienił się od czasu, gdy Malone zwrócił uwagę na ruchy strażników.

Zabrał ze sobą książkę i wyszedł z pokoju. Na słabo oświetlonym korytarzu nie było ani żywej duszy. Wykładzina, która pokrywała podłogę, tłumiała odgłosy jego kroków. Dotarł do krętych schodów i gdy zaczął schodzić, usłyszał czyjeś kroki na marmurowej posadzce piętro niżej. Z pokoju po prawej stronie wyłonił się strażnik.

- Nie mogłem usnąć. - Malone pokazał strażnikowi książkę. - Przyszedłem po następną.

Strażnik wydawał się zdumiony faktem, że ktoś po skończeniu jednej książki chce jeszcze coś czytać.

Malone nie wdawał się w wyjaśnienia. Przeszedł korytarzem i otworzył drzwi biblioteki. W ciemności, którą miał przed sobą, zapachniało duszną stęchlizną, która przypominała mu zakład pogrzebowy, gdzie wystawiono zwłoki jego dziadka. Brakowało tylko ciężkiego aromatu zbyt wielu kwiatów.

Przestań myśleć o śmierci, napominał samego siebie Malone.

Włączył światło, zmrużył oczy w blasku żyrandoli i zamknął za sobą drzwi. Książki były ułożone nie tylko według nazwisk autorów, lecz również zostały podzielone na kategorie: beletrystyka, literatura faktu i księgozbiór naukowo - informacyjny, ten ostatni usytuowany po prawej stronie.

Gdy Malone zmierzał w tym kierunku, usłyszał, że otwierają się za nim drzwi. Odwrócił się i ujrzał strażnika. Malone uklonił mu się i wrócił do poszukiwań. Z łatwością odnalazł encyklopedię *Britannica*. Nie znał się na białych krukach, ale poznał już gust Bellasara i mógł się założyć o wszystko, że to konkretne wydanie - z tysiąc dziewięćset jedenastego roku, o czym informowała strona o prawach autorskich - było klasyczną wersją preferowaną przez kolekcjonerów.

Strażnik nie spuszczał z niego wzroku. Malone znów mu się uklonił, lecz tym razem z lekką niecierpliwością, jakby zdawał się mówić: „Dobrze, zrozumiałem. Jesteś świetnym psem łańcuchowym. A teraz wracaj na obchód i pozwól mi poczytać w spokoju”. Strażnik odwrócił wzrok i wyszedł na korytarz, a jego kroki po marmurowej posadzce odbijały się echem. Malone podszedł do drzwi i zamknął je odpowiednio głośno, dając strażnikowi do zrozumienia, że wolałby, aby mu nie przeszkadzano.

Przeniósł wybrany tom - z hasłami na literę „R” - do fotela. Gdy przewracał sztywne kartki ciężkiego tomu, wdychając zapach pleśni, próbował się uspokoić. Wszystko będzie dobrze, zapewniał samego siebie. Działaj tylko zgodnie z planem.

Znalazł hasło, którego szukał.

Rossetti, Dante Gabriel: angielski malarz i poeta, współzałożyciel prerafaelitów, urodzony w tysiąc osiemset dwudziestym ósmym, zmarł w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim. (Przestań myśleć o śmierci!)

Oryginalnymi imionami Rossettiego były Gabriel Charles Dante, lecz obsesja na punkcie średniowiecznego włoskiego poety sprawiła, że należało, by zwracano się do niego Dante. Ta sama obsesja sprawiła również, że utożsamił swą piękną żonę Elizabeth z Beatrycze Dantego i poświęcił się pełnemu pasji przekładowi o przywiązaniu Dantego do tej kobiety, w konsekwencji opisując miłość, którą sam czuł dla Elizabeth. Po śmierci Elizabeth, która nastąpiła niedługo po ich ślubie, Rossetti pochował wraz z nią manuskrypty wszystkich swoich wierszy i namalował symboliczny portret swej wyidealizowanej miłości do niej. Nazwał go „Beata Beatrice” - Błogosławiona Beatrycze.

I znów wrócił do tematu śmierci. Usiłując skierować myśli na inny tor, Malone doszukał się pewnych podobieństw między sobą i Rossettim. Obydwaj byli malarzami, a ich życie uległo odmianie dzięki kobietom, w których się zakochali, malując ich portrety.

Miłość. Po raz pierwszy Malone zdał sobie sprawę, że świadomie użył tego słowa, opisując swe uczucia.

3

Pół godziny później, gdy strażnik znów zajrzał do biblioteki, Malone udawał, że zasnął w fotelu z rozłożoną encyklopedią na kolanach: miał zamknięte oczy i pochyloną głowę. Tym razem, wychodząc, strażnik zamknął drzwi. Malone natychmiast wstał, zgasił światło i podszedł do okna. Nie widząc nikogo na zewnątrz, otworzył je, w gęstym mroku powoli zsunął się na ziemię, zamknął za sobą okno i schował się za krzakiem. Jeśli strażnik wróci do biblioteki, uzna, że Malone się obudził i wrócił do siebie.

W skulonej pozycji Malone obejrzał reflektory penetrujące ciemność. Przekonawszy się, że w okolicy nikogo nie ma, przebiegł przez ścieżkę, dotarł do

krzewów i pod ich osłoną zaczął się czołgać w kierunku klauzury, której dzwonnica rysowała się na tle gwiazdzistego nieba. Poruszając się ostrożnie zacienionym szlakiem, w ciągu pół godziny pokonał dystans, którego przejście zajęłoby mu normalnie pięć minut.

Spocily mu się dłonie. Musiał pracować nad kontrolowaniem emocji: minęło już dziesięć lat, odkąd służył w wojsku. Waliło mu serce. Wydawało mu się, że nie może nabrać w płuca wystarczająco dużo powietrza. Opuszczając kryjówkę, jaką stanowiła fontanna, dotarł do kępy iglaków i przywarł do ziemi, spoglądając w stronę łukowatych okien klauzury. Choć większość z nich pogrążona była w ciemnościach, ku jego zdumieniu okazało się, że wszystkie okna na parterze są jasno oświetlone. Gdy zastanawiał się, czy zaryzykować i podczołgać się bliżej, nagle otworzyły się drzwi, ukazując cień mężczyzny na tle dobiegającego z wewnątrz światła. Strażnik z karabinem zamknął za sobą drzwi, spojrzął w górę na gwiazdziste niebo i zapalił papierosa. Malone dziękował w duchu, że nie zdecydował się w końcu podkraść do okien na parterze.

W porządku. Poczekam, aż wejdzie do środka lub pójdzie dalej, ocenił w myślach. Ale strażnikowi nie spieszyło się: na terenie posiadłości nie było w końcu ani Bellasara, ani Pottera. I rzeczywiście, po wypaleniu papierosa, strażnik zgasił go butem i nie ruszał się z miejsca. Dopiero gdy otworzyły się drzwi i wyszedł inny mężczyzna - ten miał na sobie biały fartuch sięgający do kolan - strażnik przybrał żołnierską postawę, udając, że cały czas stał na baczność i pilnował drzwi.

Malone nigdy nie widział tego mężczyzny. Był wysoki, miał ciemne włosy, grube rysy twarzy i silną budowę ciała. Korzystając ze światła, które padało na zewnątrz z korytarza, Malone przyjrzał mu się uważnie, próbując zapamiętać jego szerokie wargi, grube brwi i kwadratową twarz. Miał mało czasu. Mężczyzna w białym fartuchu wskazał na niedopałek i powiedział coś ostrego, w związku, z czym strażnik wyprostował się jeszcze bardziej. Kolejna krytyczna uwaga zapędziła strażnika z powrotem do środka. Drzwi zamknęły się za nimi z hukiem, odcinając wewnętrzne światło. Ale zapalone okoliczne lampy dawały niezłą widoczność i Malone po dłuższej obserwacji znów zaczął się zastanawiać, czy nie podejść do okien.

Dziwił się czemu mężczyzna z klauzury nosił biały fartuch? Wyglądał jak lekarz ze szpitala. Albo naukowiec z laboratorium. Co się znajdowało za tymi oknami? Lekceważąc metalową obręcz, która zdawała się zaciskać wokół jego klatki piersiowej, przygarbił się i śmignął w stronę krzewów rosnących pod klauzurą. Gdy tylko skrył się

za jednym z nich, za rogiem rozległy się kroki. Ktoś minął go w tak bliskiej odległości, że Malone słyszał brzęk metalu: pewnie karabin uderzał o pas.

Tymczasem jego uwagę zwróciły inne dźwięki: stłumione głosy, zgrzyt czegoś, co brzmiało jak pocieranie drewna o kamień. Ostrożnie zajrzał do okna, pozostając jak najbliżej krawędzi, żeby nikt go nie zauważył. Ale jego wysiłki na nic się zdały: światło sączyło się przez zasłonięte żaluzje. Głosy zdawały się nadchodzić skądś dalej i gdy Malone zakradł się do następnego okna, korzystając z osłony innego krzewu, okazało się, że w tym oknie, zamiast żaluzji zainstalowano wewnętrzne okiennice, których skrzydła były niedomknięte.

Ujrzał fragment pokoju: część kamiennej podłogi, stoły, szafy, sprzęt laboratoryjny, komputery i różne elektroniczne urządzenia. Dwie duże maszyny ustawione pod przeciwległą ścianą wyglądały jak przemysłowa lodówka i zamrażarka. Głosy stały się wyraźniejsze, gdy strażnik i mężczyzna w białym fartuchu znaleźli się w polu widzenia. Mężczyzna mówił w obcym języku brzmiącym jak rosyjski, którego strażnik zdawał się nie rozumieć, Malone zresztą też, lecz sens jego wypowiedzi był jasny: mężczyzna w kitlu chciał, żeby strażnik otworzył drewnianą skrzynię.

Gwoździe zaskrzypiały, gdy strażnik podważył wieko łomem. Pociągnął jednak za mocno i jedna z desek pękła, co wywołało kolejny okrzyk protestu. Wtedy pojawił się trzeci mężczyzna. On również ubrany był w biały fartuch do kolan. Gestykulował zapalczywie i wyrzucał w zdenerwowaniu rosyjskie słowa, których sens również można było z łatwością wychwycić: Ostrożnie. Malone już gdzieś widział te gesty. Skądś znał tego mężczyznę... Łysiejąca głowa, zgarbione ramiona... No przecież widział go, gdy wysiadał z helikoptera pierwszego dnia po przylocie do posiadłości Bellasara. Wtedy zdenerwował się, że ludzie Bellasara nieostrożnie przynosili sprowadzone przez niego skrzynie. Teraz też był zdenerwowany.

Malone maksymalnie się skoncentrował, żeby zarejestrować jego rysy w pamięci: głęboko osadzone oczy, wysokie czoło, owalna twarz...

Malone wzdrygnął się nagle na dźwięk odległego warkotu. Gdy warkot zamienił się szybko w huk, poczuł, jak lodowata ręka ściska go za serce. Helikopter. Jezus Maria. Czyżby Bellasar wracał? Ze Sieną?

Huk helikoptera stał się tak głośny, że usłyszeli go mężczyźni w klauzurze i spojrzeli w stronę okna. Malone odsunął się odruchowo. Nic nie wskazywało na to, że go zauważyli, lecz przy zaostrej ochronie po powrocie Bellasara, istniało wielkie

prawdopodobieństwo, że natknie się na któregoś ze strażników. W zamku zrobi się tak rojno, że Malone nie będzie wstanie przemknąć się do środka.

Jedyną szansą było wykorzystanie krótkiego okresu zamieszania powstałego podczas lądowania. Między zamkiem i klauzurą zapalono oślepiające światło, które zalało lądowisko. Chwilę później ten sam teren został oświetlony z nieba, z dzioba szybko schodzącego w dół śmigłowca.

Strażnicy będą pochłonięci lądowaniem, pomyślał nerwowo Malone. Lecz gdy tylko helikopter osiadzie na ziemi, wszystko wróci do normy. To moja jedyna szansa. Biegnij.

Kiedy szykował się do sprintu spod klauzury w kierunku większej kępy krzewów, przebiegł obok niego strażnik. Malone w ostatniej chwili zdążył się zreflektować. Rozejrzał się, czy nie biegnie drugi strażnik. Tak, są chwilowo rozproszeni, przekonywał samego siebie. Uda mi się.

Śmigłowiec wisiał w powietrzu, a jego reflektor omiatał ziemię. Malone wyrwał się spod muru i dobiegł do kępy krzewów w chwili, gdy drzwi klauzury otworzyły się z hukiem i rozmawiający po rosyjsku mężczyźni udali się w stronę lądowiska. Nie oglądał się za siebie. Nie zatrzymywał się. Przedostanie się tu zajęło mu trzydzieści minut, kryjąc się za posągami, fontannami, żywopłotami i innymi schowkami, które zdołał znaleźć. Teraz jednak musiał pokonać ten sam dystans szybciej niż podczas zwykłego spaceru.

Przemieszczając się ukradkiem i starając się stopić z tłem, Malone usłyszał, jak śmigłowiec ląduje po jego prawej stronie, a wirnik maszyny zwalnia. W każdej chwili Bellasar lub jakikolwiek inny pasażer helikoptera (Boże, oby Siena była cała i zdrowa) wyjdzie na zewnątrz i ruszy w stronę zamku Bellasar zapyta strażników jak sprawował się Malone podczas jego nieobecności. Strażnik, który widział Malone'a w bibliotece, zamelduje, że gdy ostatni raz sprawdzał, Malone wciąż przebywał w bibliotece, śpiąc w fotelu. Bellasar zechce przekonać się o tym naocznie. A jeśli nie będzie mnie w tym fotelu, gdy do biblioteki zajrzy Bellasar, pomyślał Malone, może nabrać podejrzeń i zajrzeć do mojego pokoju.

Nagle pojawił się kolejny strażnik. Malone kucnął przy jednym z posągów i zastygł w bezruchu, modląc się, aby nie spojrzął w jego stronę. Po prawej stronie, przez prześwit między krzakami Malone ujrzał mocno oświetlone lądowisko. Z helikoptera wyszedł rozłoszczony Bellasar. Zanim mężczyźni w białych kitlach zdołali do niego dotrzeć, on ruszył w drugą stronę. Szedł szybkim krokiem w kierunku

zamku, a za nim ochroniarze. Potter jeszcze się nie pokazał. A co ważniejsze, gdzie Siena? Mój Boże, czy coś się z nią stało? W następnej chwili ktoś poruszył się w helikopterze. Powoli ukazała się postać. Ulgę, którą Malone poczuł na widok Sieny, natychmiast zastąpiła obawa, gdy ujrzał, jak niepewnie wychodzi z helikoptera. Nawet z takiej odległości sprawiała wrażenie zamroczonej.

Ruszaj się!, popędził samego siebie Malone. Teraz nie możesz jej pomóc, a jeśli nie dotrzesz do biblioteki przed Bellasarem, w ogóle nie będziesz jej w stanie pomóc. Do diabła, nie będziesz mógł pomóc nawet samemu sobie.

Strażnik, który blokował mu przejście, wreszcie odszedł. Malone spojrzał raz jeszcze na Sienę, zauważył, jak chwiejnie kroczy po lądowisku, po czym ruszył biegiem w stronę zamku. Na górnych piętrach rozbłysły światła, prawdopodobnie w apartamencie Bellasara. Być może ma zamiar iść od razu spać. Może sprawdzi mnie dopiero jutro rano.

Malone dyszał ciężko, gdy dotarł do ostatniej osłony krzewów. Rozejrzał się nerwowo, żeby mieć pewność, że w okolicy nie ma nikogo, kto mógłby zauważyć, jak przemyka się przez zwirowaną ścieżkę, otwiera okno do biblioteki i wpełza do środka. Wiedząc, że musi zaryzykować po raz ostatni, wykonać jeszcze jeden wysiłek, zebrał się w sobie i... ośladnął nim zimny paraliż: w bibliotece rozbłysły nagle światła.

4

- Mówiłeś, że był tutaj! - krzyknął Bellasar, mrużąc oczy przed jasnym górnym światłem.

- Bo był - zapewniał strażnik. - Godzinę temu widziałem go, jak spał w tym fotelu.

- No więc, do cholery jasnej, gdzie jest teraz?

- Pewnie się obudził i wrócił do pokoju.

- Nagle zainteresował się starymi książkami? Nagle snuje się po bibliotece o północy? Widziałeś go, jak wraca do pokoju?

Strażnik rozłożył bezradnie ręce.

- Nie.

Bellasar podbiegł do okna i przyjrzał się jego skrzydłom. Zauważył, że jedno z nich jest lekko uchylone: na tyle, żeby ktoś, kto wy dostał się tędy, mógł wsunąć palce i uchylić je szerzej.

- Do diabła, znaleźć go. Przeszukać jego pokój! Chcę wiedzieć, gdzie teraz jest!

Gdy strażnik wybiegł pospiesznie na korytarz, Bellasar ruszył za nim. Wezwał do siebie trzech ochroniarzy, którzy przyszli tu z nim. Przeskakując trzy stopnie naraz, minął na krętych schodach strażnika, którego wysłał przed sobą. Gdy dochodził do końca, zwolnił, żeby reszta mogła go dogonić, i ruszył korytarzem do drzwi pokoju Malone'a. Pchnął je, włączył światło i mrużąc oczy, ujrzał puste łóżko, z którego nie zsunięto nawet narzuty.

- Przeszukać posiadłość! Szukać wszędzie!

Strażnicy posłusznie rzucili się do drzwi.

Idąc w ich ślady, Bellasar spotkał Sienę, gdy zadyszana wspięła się po schodach na ostatnie piętro.

- Zniknął - oznajmił Bellasar. - Jeśli znajdę go tam, gdzie nie powinien zaglądać, nie będziesz już musiała martwić się o pozowanie do aktu. Artysta zginie.

Ocierając się o nią, Bellasar zaczął zbiegać po schodach.

- Sprawdzić każdy pokój! - rozkazał grupie strażników, którzy słysząc gwar, wbiegli do zamku. Widząc w drzwiach wejściowych Rosjan i drugą grupę strażników, polecił im: - Przeszukać klauzurę! Daj mi swój pistolet! - zwrócił się do przebiegającego obok strażnika. Upewnił się, czy w magazynku Sig-Sauera znajdują się naboje, stanął na chwilę, żeby sprawdzić, czy jego rozkazy zostały wykonane, po czym wybiegł na zewnątrz i dołączył do poszukiwań.

Światła latarek penetrowały ciemność, gdy strażnicy zaglądali w krzaki i między drzewa.

Z lewej strony Bellasar usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Później rozległy się głosy. Jeden z nich, głośniejszy niż pozostałe, zabrzmiał bardzo wyraźnie.

- Mamy go! Tutaj! Jest tutaj!

5

Udając, że został wyrwany ze snu, Malone zerwał się z kanapy, na której leżał w ciemnościach. Strażnicy z taką siłą wtargnęli do pokoju, że oszklone drzwi uderzyły o okno i obydwie szyby roztrzaskały się. Szkło uderzyło o kamienną podłogę i rozpadło się na jeszcze mniejsze kawałki i zostało zmiażdżone butami tych, którzy wpadli do środka z wymierzonymi pistoletami i latarkami i zerwali go z łóżka.

- Co się... - Malone starał się sprawiać wrażenie zdezorientowanego. Jeden ze strażników wybiegł na zewnątrz.

- Mamy go! Tutaj! Jest tutaj!

- Co się, do diabła, tutaj dzieje? - wybąkał Malone. - Dlaczego... - Nikt nie zapalił światła i latarki świeciły mu prosto w oczy. Jedna z nich była tak blisko, że podniósł lewe ramię, by ją odsunąć, lecz skończyło się na tym, że siłą opuszczono mu ramię i dostał latarką po twarzy.

Uderzenie sprawiło, że zobaczył tęczę. Kolory na chwilę zawirowały. Ugięły się pod nim kolana. Zaczął tracić równowagę, ale strażnicy przytrzymali go i gdy do pokoju wbiegło jeszcze kilka osób, dostał latarką po raz drugi.

- Gdzie on jest? Pokażcie mi sukinsyna - zażądał Bellasar.

Zapaliło się górne światło. Ciosy w głowę chwilowo przytępiły wzrok Malone'a, lecz ujrzał, jak Bellasar przeciska się między strażnikami. Gniew wykrzywił jego zazwyczaj urodziwe rysy twarzy.

- Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, byłeś przywiązany do krzesła. Załatwiłeś się w majtki. - Zakładając rękawiczki, Bellasar oddychał ciężko pod wpływem silnych emocji.

- Nie rozumiem - stwierdził Malone. - Czemu...

- Zamknij gębę - Bellasar uderzył go w twarz.

Głowa Malone'a odskoczyła. Przed oczami stanęła mu jeszcze większa feeria barw. Dzwoniło mu w uszach. Gdy minęło oszołomienie, poczuł, że z brody skapuje mu krew, która spływała dwoma strumieniami z rozciętej wargi i pulsującej rany od uderzeń latarką na policzku.

- Gdy po raz pierwszy cię ujrzałem i spojrzałem na kałużę pod twoim krzesłem, powiedziałem, że jesteś głupcem, bo nie przystałeś na współpracę ze mną. - Głos Bellasara drżał. - Ale powiedziałem wtedy również, że jestem rozsądnym człowiekiem i że jestem gotów dać ci drugą szansę. Jednakowoż ostrzegłem cię wtedy. - Znów uderzył go pięścią w twarz, jeszcze bardziej kalecząc mu wargi. - Nigdy nie daję trzeciej szansy.

Siła jego uderzenia odrzuciła do tyłu mężczyzn, którzy podtrzymywali Malone'a.

Malone potrzebował kilku sekund dłużej, żeby przestało mu się kręcić w głowie.

- Ja też nigdy nie daję trzeciej szansy. Uderzyłeś mnie dwa razy. Spróbuj jeszcze raz.

- Co?

- Tylko bez strażników.

- Przed śmiercią masz czelność mówić do mnie w ten sposób?

- Dlaczego, na Boga, mi grozisz?

- Naprawdę sądzisz, że uda ci się z tego wykręcić?

- Z czego?

- Zaprzeczasz, że wykradłeś się z biblioteki przez okno?

- Wykradłem się z biblioteki przez okno? Czy ty nie słyszysz, jak to niedorzecznie brzmi?

- A więc zaprzeczasz, że tam byłeś?

- Oczywiście, że tam byłem! Narobiłeś tyle szumu wokół Dantego i Beatrycze, że przeczytałem polecaną przez ciebie książkę! Chcesz mnie sprawdzić? Chcesz, żebym ci powiedział, jaką sukienkę miała na sobie Beatrycze, gdy Dante po raz pierwszy ją ujrzał? Czerwoną! A następnym razem? Białą! Po raz trzeci ujrzał ją w kościele! Następnie...

- Dlaczego okno w bibliotece było lekko uchylone?

- A skąd mam wiedzieć? Nie wiedziałem, że było.

- Strażnik nie widział cię, gdy wychodziłeś z biblioteki.

- To jesteśmy kwita, bo ja też go nie widziałem. - Malone otarł krew z twarzy. - Czytając o Beatrycze, zacząłem się zastanawiać, czy nie naszkicować Sieny bez pozwania. Przyszedłem więc tutaj i zacząłem coś nowego, lecz zmorzył mnie sen i zdrzemnąłem się na kanapie. Ocknąłem się dopiero wtedy, gdy twoi komandosi wparowali tutaj.

- Udowodnij to! Gdzie jest nowy szkic?

- Na podłodze przy kanapie. Jeden z twoich strażników na nim stoi. Obawiam się, że jest nieco zbryzgany moją krwią.

Strażnik, który stał na rysunku, zrobił krok do tyłu. Marszcząc brwi na widok krwi i śladów po butach, Bellasar podniósł zmiętą kartkę.

- Widziałem wszystkie twoje dotychczasowe szkice. Jeśli to jeden z... - Głos uwiązł mu nagle w gardle.

Szkic ten powstał dwa dni wcześniej, gdy zatroskany o los Sieny, stworzył wyidealizowany obraz jej urody.

Bellasar otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Gdy wreszcie wydusił z siebie słowa, wypowiedział je szeptem.

- Cudowny.

- Tak, zwłaszcza ze śladami butów i krwi. Nie mogę się doczekać, żeby go wstawić w ramki.

Bellasar utkwił wzrok w szkicu, nie posiadając się z zachwytu.

- Fenomenalny. - Opuścił wreszcie kartkę. - ...Chyba się pomyliłem.

- Mojej twarzy i tak już wszystko jedno.

- Poślę po lekarza.

- Skoro jest pan tak łaskawy, może kazałby pan swoim zbirom, żeby zabrali łapy?

Bellasar posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. Skinął głową do swoich ludzi, którzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki puścili go.

Otarł znów krew z twarzy. Spoglądając w stronę Bellasara, ujrzał w drzwiach Sienę. Wydawała się jeszcze bardziej nieprzytomna.

Bellasar zauważył ją.

- Nie ma się czym martwić, moja droga. Jutro będziesz mogła pozować.

Siena nie odpowiedziała. W jej oczach czał się mrok, a na twarzy malowała apatia. Malone pomyślał, że Siena jest pod wpływem narkotyków.

6

Na ostro oświetlonym tarasie czekali dwaj Rosjanie. Gdy Bellasar wyszedł na zewnątrz, żeby zamienić z nimi słowo, Malone poczynił kolejną próbę zapamiętania ich twarzy. Wiedząc jednak, że nie może bez przerwy się na nich gapić, zrobił to, na co miał największą ochotę: spojrzął na Sienę, żeby zorientować się, co się wydarzyło w Stambule, o czym myślała, co czuła. Serce niemal w nim zamarło, gdy - nie wiadomo, czy ze strachu - Siena odwróciła wzrok. A może po prostu nie mogła patrzeć na jego poranioną twarz. Ale w takim razie, gdyby, choć trochę jej na nim zależało, czyż nie spojrzalaby na niego ze współczuciem?

Tak, chyba że bała się reakcji Bellasara.

Gdy Bellasar wrócił po rozmowie z Rosjanami, on, Siena i Malone przeszli przez drzwi na taras do zamku. Za nimi pomaszzerowali trzej ochroniarze.

Wspinając się po krętych schodach, Bellasar powiedział:

- Od tej pory, jeśli zechce pan pracować w nocy, proszę zwrócić się do strażnika, żeby pana eskortował.

- Zdaje się, że zostałem więźniem.

Bellasar nie odpowiedział i poprowadził Sienę na ostatnie piętro. Dwaj ochroniarze poszli za nimi, a jeden został, żeby pilnować Malone'a. Z góry dobiegło do niego słabe echo słów Bellasara:

- Nie, kochanie, jeszcze nie skończyłem naszej rozmowy.

Malone poczuł ucisk w żołądku, ale ponieważ obserwował go ochroniarz, przybrał minę, jakby nie dbał o to, co właśnie usłyszał. Wtedy po schodach wszedł przysadzisty mężczyzna z torbą lekarską i przez pewien czas Malone miał czym zająć umysł.

Lekarz dokonał oględzin w pokoju Malone'a, zmył krew, po czym zdezynfekował rany płynem o mocnym zapachu. Rana spowodowana uderzeniem latarką w policzek wymagała pięciu szwów. Pokaleczone wargi, stwierdził lekarz, same się zagoją.

- Proszę nie moczyć szwów. - Lekarz mówił po angielsku z silnym obcym akcentem. - Co sześć godzin zażywać dwie takie pigułki. Złagodzą ból. Przyjdę zbadać pana jutro.

Gdy lekarz wyszedł, ochroniarz pozostał na korytarzu. Malone zamknął drzwi na klucz, ściągnął zakrwawione ubrania i wrzucił je do kosza. Pamiętając o radzie lekarza, odchyłał głowę do tyłu przed strumieniem wody z natrysku, gdy odkręcił kurek. Zmył krew z klatki piersiowej, ramion i rąk, lecz szorując mocno swe ciało, cały czas czuł się brudny.

Dranie, powtarzał w myślach. Złość mieszała się z niepokojem. Sytuacja wymykała się spod kontroli.

Wycierając energicznie ręcznikiem ciało, przemógł się i spojrzał w lustro. Wygląd zmasakrowanej twarzy przeraził go. Początkowo, będąc w szoku, nie czuł ran, lecz teraz ból chwycił go w swe szpony. Mimo to nie mógł połknąć pastylek dostarczonych mu przez lekarza. Ryzyko było zbyt duże. Nie wiedział, jaki to lek i jak silny. Bellasar mógł polecić lekarzowi, żeby podał mu narkotyki. „Muszę myśleć trzeźwo”.

Założywszy bokserki i podkoszulek, Malone wziął do ręki mały szkicownik, który zawsze trzymał przy szafce nocnej. Usiadł na łóżku i na chwilę zamknął oczy, żeby się skoncentrować. Otworzył oczy i zaczął rysować twarz Rosjanina, którego

widział już pierwszego dnia pobytu i ponownie dziś wieczór. Owalna twarz, głęboko osadzone oczy, wysokie czoło. Malone rysował pospiesznie, usiłując sobie przypomnieć, czy mężczyzna miał wystający czy cofnięty podbródek, łukowate czy proste brwi. Gdy podobizna nabierała kształtu, doskonalił ją i z każdym dodanym szczegółem stawała się coraz bardziej żywa. Po dwudziestu minutach i trzech próbach, wreszcie zadowolony, odłożył rysunek i zaczął szkicować drugiego Rosjanina, wysokiego, krępego mężczyznę z grubymi brwiami i grubymi rysami twarzy. Tym razem potrzebował więcej czasu i dopiero po półgodzinie odczuł zadowolenie.

Natychmiast odwrócił obydwie szkice czystą stroną do góry, żeby go nie korciły, i rozpoczął cały proces od nowa. Szperając w pamięci i stosując skróty, które poznał podczas rysowania pierwszego szkicu, stworzył drugą podobiznę pierwszego Rosjanina dużo szybciej, w niespełna dziesięć minut. Tak samo postąpił ze szkicem drugiego Rosjanina. Porównał nowe rysunki z poprzednimi i okazało się, że są mniej więcej identyczne, że pamięć go nie zawodzi. Powtórzył cały proces jeszcze raz. I jeszcze raz. Do sporządzenia każdej kolejnej wersji potrzebował mniej czasu i wszystkie były takie same.

Gdy uzyskał pewność, że w przyszłości będzie mógł dowolnie odtwarzać z pamięci wizerunki obydwu mężczyzn, złożył każdą kartkę w harmonijkę. Ustawił je w umywalce w łazience, potarł zapalną i podpałił od góry wszystkie harmonijki. Tak złożone kartki spalały się równomiernie i całkowicie. Co ważne, prawie w ogóle nie dymyły. Sztuczki tej nauczył się w szkole podczas jedynej lekcji fizyki, którą zapamiętał. Kto twierdzi, że nauka idzie w las?, pomyślał, zmywając popiół z umywalki. Mógł równie dobrze podrzeć rysunki na małe kawałki i spuścić je w ubikacji, ale zawsze istniała możliwość, że później kawałki papieru wypłyną z powrotem, tak jak się czasem dzieje z papierem toaletowym, i zauważy je pokojówka sprzątająca pokój. Bellasar mógł ją poinstruować, że jeśli zauważy coś podejrzanego, ma go o tym poinformować. Gdyby Bellasar dowiedział się, że Malone naszkicował portrety Rosjan, nie szukałby dalszych dowodów winy.

Otwierając okno, żeby usunąć wszelkie pozostałości dymu, Malone czuł, jak pulsują mu wargi i kość policzkowa. Uznał, że wszystko jest w porządku, zgasił światło i wsunął się do łóżka. Dochodziła piąta nad ranem.

Nie zasnął jednak.

Część szósta

1

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Nie było cię na śniadaniu - wytknął jej Malone.

Siena stała w drzwiach do pracowni, spuszcżając wzrok.

- Nie byłam głodna.

Choć jej ruchy były bardziej zdecydowane niż zeszłej nocy, wciąż wydawała się trochę nieobecna. Miała spuchniętą twarz, bladą skórę i cienie pod oczami. Wciąż odwracała od niego wzrok, być może właśnie dlatego, że nie wyglądała najkorzystniej. A może nie chciała patrzeć na to, jak jego urządzili.

- Bardzo boli? - zapytała, nie patrząc mu w twarz.

- Z chęcią wykrzywiłbym usta w podkówkę, lecz mam zbyt pokaleczone wargi. - Spróbował zażartować, lecz w tej chwili, zmęczony po nie przespanej nocy i pełen obaw, co do jej reakcji na wiadomości, które zamierzał jej przekazać, nie był w stanie wymyślić nic lepszego. Co gorsza, jak miał przeprowadzić z nią tę rozmowę, skoro w ogóle na niego nie patrzyła? Rana na policzku spuchła, a usta miał pokryte strupami. Dziwne, że na jego widok nie uciekła.

- A ty? - zapytał łagodnie. - Jak się czujesz?

- Nienajlepiej.

- Jak było w Stambule?

- Parno, pełno ludzi.

- Miałem na myśli...

- Wiem, co miałeś na myśli. Chyba powinniśmy zmienić temat. - Miała na nogach sandały, ubrana była w luźną spódnicę do kostek z białego lnu. Bluza miała kolor ecru. Miętosila jej dolną część i nagle przestała, gdy na zewnątrz rozległy się

czyjeś kroki. Odwróciła głowę. Nie rozluźniła się, choć dostrzegła, że to tylko przechodził służący. - Zaczynajmy.

Miała wzrok skarconego zwierzęcia, które pogodziło się z niewolą.

- Derek zmienił zdanie - oznajmiła. - Chce, żebym pozowała rozebrana tylko do pasa.

Nagła zmiana planu zaintrygowała Malone'a, lecz był zbyt pochłonięty jej zachowaniem. Zupełnie jakby nie spędzili razem tylu tygodni, jakby dzieliły ich miliony kilometrów.

- Gdzie mam usiąść? - zapytała.

Nie tak wyobrażał sobie ponowne spotkanie. Przypuszczał, że będzie bardziej komunikatywna, że da mu szansę. Tymczasem odnosił wrażenie, że stoją po przeciwnych stronach barykady.

- Tam, przy ścianie, w świetle.

Wykonała jego polecenie.

Sposób, w jaki się poruszała, sprawił, że Malone zeszywniał.

- Zaraz. Czy ty przypadkiem nie utykasz?

- Co? - Zareagowała, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku.

- Ty utykasz.

- Nie.

- Ależ oczywiście. Jakby chodzenie sprawiało ci ból.

- Nic takiego. Zdrętwiały mi nogi od siedzenia przez tyle godzin w samolocie.

- Nie wierzę ci. Wróć, podejdź do mnie.

- Mówię ci, to tylko...

- Podejdź do mnie.

Stała w miejscu.

Malone zbliżył się do niej, przyglądając się jej badawczo.

- Co się stało?

Odwróciła wzrok.

- Co on ci zrobił?

- Nic. Nie rozumiem, o czym mówisz.

Malone poczuł, że musi działać szybko. Zawsze uważał na słowa w pracowni, podejrzewając, że Bellasar założył tu podsłuch. Kilka razy, gdy trochę przesadził, nagle zjawiał się Bellasar i przypominał mu, kto tu rządzi. Lecz teraz sytuacja wymykała się

spod kontroli i Malone wiedział, że musi podjąć ryzyko, nie zważając na ochronę, jaką otoczona była Siena.

- No dobrze - ustąpił.

Wyglądała na zaskoczoną, jak gdyby była przygotowywana na jego dalsze namowy, nie oczekując, że tak szybko się wycofa.

- Skoro nic cię nie boli, możemy przystąpić do pracy. Twój mąż nie lubi, gdy się marnuje czas. Zresztą już wybrałem pozę. Możemy darować sobie dalsze szkice. Zaczynam malować od razu.

Mówiąc te słowa, wziął ją pod rękę i poprowadził w głąb pracowni.

- Co ty...

Ale nie pozwolił jej dokończyć.

- Muszę przynieść z magazynu materiały. Poczekaj tu. Zaraz wracam.

Wbrew swoim słowom, pociągnął za sobą Sienę.

Przez drzwi w głąb pracowni weszli do magazynu.

2

Pokój był mały, wilgotny, słabo oświetlony i przepełniony materiałami malarskimi. Nie miał okien.

- Co ty robisz?

- Ciszej. - Malone zamknął drzwi i poprowadził ją do zlewu, mijając sztalugi i pudła. Nie miał pewności, czy i tutaj nie zainstalowano podsłuchu. Ale biorąc pod uwagę, jak ciasne było to pomieszczenie, Bellasar prawdopodobnie wykluczył możliwość, że będą się w nim toczyły jakieś rozmowy. Dmuchając jednak na zimne, Malone odkręcił krany, mając nadzieję, że płynąca woda zagłuszy ich głosy. - Obawiam się, że zainstalowano tutaj mikrofony.

- Mikrofony? - Gdy dotarło do niej, o czym mowa, oparła się o zlew.

- Powiedz mi, co ci zrobił.

- Nie. Musimy stąd wyjść. Jeśli Derek...

- Mogę ci pomóc.

- Nikt nie może mi pomóc.

- Proszę, daj mi szansę.

Stali nieruchomo, mierząc się wzrokiem. Powoli podniosła palec do jego pokancerowanej twarzy. Niemal dotknęła pokaleczonych ust. Nakreśliła niewidzialną linię wokół szwów na spuchniętym policzku.

- Przepraszam - wyszeptała. - Wczoraj w nocy, gdy zobaczyłam, co ci zrobił, chciało mi się płakać.

- Ale co on zrobił tobie?

Oczy zaszyły jej mgłą. Pokręciła głową.

- Widziałeś, na co go stać. Nie mieszaj się w to.

- Muszę.

Posłała mu najsmutniejsze spojrzenie, jakie kiedykolwiek widział, i schyliła się powoli. Kiedy uniosła spódnicę, drżały jej ręce.

Nad kostki.

Nad kolana.

Malone gapił się na purpurową masę siniaków nad jej kolanami. Uda oglądały jak surowe mięso.

- O Jezu - wymamrotał.

Odczuwając ból, opuściła brzeg spódnicy do kostek. Wyprostowała się i lekko odchyliła bluzę, ukazując dalszy ciąg siniaków, które dochodziły do górnej części bioder.

- Do jasnej cholery, co on...

- Mężczyzna, z którym spotkał się Derek, prawie w ogóle mnie nie zauważył. - Siena zadrżała. - A właściwie nie mógł się doczekać, kiedy wyjdę. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy. Gdy Derek wrócił do naszego apartamentu o trzeciej nad ranem, był wściekły. Twierdził, że przeze mnie negocjacje niemal zostały zerwane. Powiedział, że nie jestem mu już potrzebna, że nie może na mnie patrzeć, że...

Malone dotknął jej ramienia.

- Spokojnie. Nie przeżywaj tego tak bardzo.

- Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, zacisnął pięść, żeby mnie uderzyć. Jakbym wróciła do Mediolanu sprzed pięciu lat, gdzie bił mnie mój chłopak. - Wzdrygnęła się, jak gdyby przed oczami znów stanęła jej ta pięść. - Wtedy zdał sobie sprawę z tego, co robi, i wyglądał na zmieszanego. Sądziłam zawsze, że na jedną rzecz mogę liczyć: Bellasar nigdy mnie nie uderzy. Ale nagle zaczął mnie kopać, tak jak się kopie piłkę nożną, czubkami butów. Wybierał miejsce, gdzie nie będzie widać siniaków, nad brzegiem sukienki. Próbowалам się bronić, schować za stołem, ale on

nie przestawał mnie kopać i wkrótce potem leżałam już na podłodze. Cały czas mnie kopał. Gdyby nie Alex, który wszedł do apartamentu, obawiam się, że mógł...

- A gdzie jest Alex? Czemu nie wrócił z wami?

- Został w Stambule. W związku z negocjacjami. Derek znalazł jakiś sposób, żeby wyrzucić presję na człowieka, z którym prowadzi rozmowy, i Alex się tym teraz zajmuje. Wraca dziś po południu.

- Dziś po południu?

Siena zmarszczyła brwi.

- Dlaczego tak się tym przejąłeś?

- Muszę ci coś wyjaśnić.

- Nie. Jeśli Derek zobaczy, że nie robimy postępów... Zdaję sobie sprawę, że wyglądam jak wiedźma, ale to nie fotografia, tylko portret. Można co nieco upiększyć. Możesz sprawić, że będę wyglądała jak...

- Posłuchaj mnie.

- Błagam. Nie chcę, żeby znów mnie skopał. Nie chcę...

- Nie martw się. - Głos Malone'a stwardniał. - Zrobię wszystko, żeby twój mąż już nigdy cię nie kopnął. Ani nikt inny.

- Nie rozumiem.

- Gdybym potrafił cię stąd wydostać, poszłabyś ze mną? Podjęłabyś to ryzyko i spróbowała uciec?

Wreszcie. Wyartykuował od tak dawna tłumione słowa. Teraz nie mógł się wycofać. Wstrzymał oddech, obawiając się jej reakcji. Jeśli źle ją ocenił, jeśli Bellasar zdominował ją do tego stopnia, że nie potrafi wyobrazić sobie ucieczki od niego, oznaczałoby to, że podpisał właśnie na siebie wyrok śmierci. Pewnie spojrzy na niego z niedowierzaniem. Oskarży go o to, że wyrobił sobie o niej złe mniemanie, i powtórzy wszystko Bellasarowi.

- Uciec? - Siena postarała się, żeby słowo to zabrzmiało absurdalnie. - Oszalałeś?

Boże, pomyliłem się, pomyślał Malone. No to jestem ugotowany.

- Przecież to niemożliwe - stwierdziła.

- Co? - Malone pokręcił głową, zdezorientowany.

Nie takiej odpowiedzi spodziewał się po kimś, kto miałby się przeciw niemu zwrócić.

- Myślisz, że się nad tym nie zastanawiałam? Myślisz, że nie uciekłabym, gdybym znalazła sposób?

- A więc uciekniesz ze mną?

- Jak? Gdzie? Nawet gdyby nam się udało stąd uciec, Derek nie spocznie, póki nas nie dopadnie. Użyje wszystkich swoich pieniędzy i wpływów, wszystkich dostępnych mu środków, żeby nas odszukać.

Ale nie będziemy sami, chciał ją pocieszyć Malone. Jeśli się stąd wydostaniemy, otrzymamy najlepszą pomoc. Ale nie odważył się jej tego powiedzieć. Gdyby pomyślała, że jest szpiegiem, gdyby domyśliła się, że chce ją wykorzystać...

- Musimy zaryzykować - powiedział.

- Nie możemy! Słuchaj, nie musisz tego robić. Nie musisz dla mnie narażać życia. Dokończ portret i wyjedź stąd.

- A co będzie z tobą?

- Od dwunastego roku życia troszczę się sama o siebie. Przeżyłam incydent w Stambule, przetrwam najgorsze, jeśli Derek będzie mnie tolerował. Ale gdyby się dowiedział, że go zdradziłam, byłoby po mnie.

- Posłuchaj. - Malone zawahał się. Niełatwo mu było przekazać taką wiadomość. - On planuje cię zabić.

- Co?

- Był już żonaty trzy razy.

- Co ty wygadujesz?

- Wszystkie jego żony były piękne. Ale gdy przekraczały trzydziestkę i zauważał u nich oznaki nadchodzącej starości, ginęły w różnych wypadkach.

Siena otworzyła usta, ale wydawało się, że straciła mowę.

- Przed każdym z tych wypadków twój mąż angażował wybitnego artystę, który malował jego aktualną żonę: żeby uwiecznić jej urodę, mieć trofeum i pamiątkę po niej. Teraz nadeszła twoja kolej.

- Nie... Skąd niby o tym wszystkim wiesz?

- Po trosze od innych artystów - skłamał. - Resztę... Nie ma czasu na wyjaśnienia. Na trzecim piętrze znajduje się pokój. W połowie środkowego korytarza na lewo.

Siena skupiła myśli, usiłując przezwyciężyć szok.

- Tak, Derek trzyma tam swoje dokumenty.

- Byłaś w tym pokoju? Widziałaś dokumenty?

- Nie, ten pokój jest zawsze zamknięty na klucz. Gdy tu zamieszkałam, zapytałam go, co się tam mieści, i to właśnie mi powiedział.

- Tam trzyma portrety swych żon.

- Niemożliwe...

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

3

Starając się nie okazywać strachu, Siena weszła na ostatnie piętro. Z obolałymi nogami przeszła przez środkowy korytarz i niemal podskoczyła, gdy drzwi do sypialni Dereka otworzyły się nagle. Ale to nie Derek wychodził, tylko służący. Skinąwszy mu głową, Siena szła dalej w stronę swojego pokoju. Weszła do niego, zostawiając lekko uchylone drzwi, i nasłuchiwała, czy służący już odszedł.

Kiedy oddalające się kroki całkowicie ucichły, otworzyła ostrożnie drzwi, rozejrzała się i stwierdziła, że korytarz jest pusty. Natychmiast podeszła do drzwi, o których wspomniał Chase. Były zamknięte na klucz. Choć spodziewała się tego, musiała spróbować. Podeszła do następnego pokoju, z którego niedawno wyszedł służący, wślizgnęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi.

W pokoju Dereka była tylko raz, pięć lat wcześniej. Odpędzając wspomnienia tamtej nocy, skonstatowała, że chyba nic się od tamtej pory nie zmieniło. Pokój nadal zdobiły antyki z czasów włoskiego renesansu, między innymi łoże z baldachimem z czterema kunsztownie rzeźbionymi słupkami. Zwróciła uwagę na drzwi po prawej stronie, które prowadziły do interesującego ją pokoju. Choć i one były prawdopodobnie zamknięte, z nadzieją w sercu sprawdziła je. Zniechęcona, opuściła głowę: nawet nie drgnęły. Potrzebuję klucza, pomyślała.

Derek był pedantycznie sumienny. Każda ważna rzecz miała duplikat, często nie jeden. Na pewno dorobił zapasowy klucz i trzymał go gdzieś w zasięgu ręki.

Rozejrzała się po pokoju. Stojące przed nią piętnastowieczne biurko przywołało dalsze wspomnienia chwil, które tu spędziła. Derek poczekał ze ślubem do czasu, gdy zdjęto jej z twarzy bandaż, a jej uroda, jak to ujął, została odtworzona. Uroczystość miała miejsce w różanym ogrodzie na terenie posiadłości z udziałem tylko pary młodej, księdza oraz Pottera w roli świadka. Była mu bardzo wdzięczna za ratunek i nie żałowała nawet, że ceremonia jest tak skromna. W jadalni kwartet smyczkowy grał walce. Tańczyli. Pokroili tort weselny i poczęstowali nim służbę. Dostała w prezencie

ślubnym diamentowy naszyjnik. Przypomniała sobie, jak jej ciążył, gdy Derek odprowadzał ją do swego pokoju.

Tam rozpoczęła się gehenna jej małżeństwa. Pragnąc jak najszybciej kochać się z mężczyzną, którego poślubiła trzy godziny wcześniej, objęła go, lecz ze zdumieniem spostrzegła, że jego zapal zamienia się w niezdecydowanie, frustrację i wreszcie w gniew. Próbowwała wszystkiego, żeby mu pomóc. Ostatnia próba zakończyła się tym, że zepchnął ją na podłogę.

- Derek, nic się nie stało - próbowała go pocieszyć. - Takie rzeczy się zdarzają. Jesteś zaaferowany ślubem. Potrzebujemy tylko trochę czasu.

- Wynoś się stąd.

Była pewna, że źle usłyszała.

- Słucham?

- Wynocha. Na końcu korytarza jest twój pokój. Tam będziesz spała.

- Nie będziemy więc dzielić...

- Cholera jasna, kazałem ci się wynosić!

Rzucił jej szlafrok. Ledwie zdążyła go na siebie narzucić, wypchnął ją za drzwi. W swoim pokoju rozplakała się, usiłując zrozumieć, co się stało. Miała nadzieję, że zaśnie, ale była tak rozdygotana, że w końcu wstała i wróciła do jego pokoju.

- Derek, jeśli jest jakiś problem, porozmawiajmy o nim. Cokolwiek to jest, można... - zaczęła, otwierając drzwi.

Derek zamknął z trzaskiem szufladę i odwrócił się do niej. Nigdy nie widziała u niego tak wykrzywionej gniewem twarzy.

- Nigdy nie wchodzi do tego pokoju!

Zdumiona siłą tego wybuchu, wycofała się na korytarz. Zatrzasnęła drzwi, a ona zdała sobie sprawę, że trafiła z jednego piekła do drugiego. Następnego dnia rano, pełna obaw co do swej przyszłości, przez dłuższy czas nie schodziła na dół. Gdy wreszcie się przełamała, ku jej zdziwieniu Derek przywitał ją bardzo szarmancko, jak gdyby spędzili cudowną noc. Nigdy nie wracali do tego incydentu. Nigdy więcej nie próbowali uprawiać seksu. A ona nigdy więcej nie weszła do jego pokoju. Tak było dużo rozsądniej; wolała nie denerwować Dereka.

Nigdy jednak nie zapomniała, jak szybko Derek wówczas zasunął szufladę.

Jakby coś tam ukrywał.

Podeszła do antycznego biurka. Otworzyła drzwiczki i wysunęła środkową szufladę. Znalazła w niej kaszmirowe swetry. Nic więcej.

Mylłam się, pomyślała.

Zniechęcona, już miała wychodzić z pokoju. Wyglądał wtedy, jakby coś ukrywał, przekonywała samą siebie. Ale gdzie?

Może to coś nie znajduje się w szufladzie.

Może...

Puknęła w dno szuflady. Rozległ się pusty dźwięk. Przesunęła palcami po wewnętrznej części, i jeszcze raz, tym razem pod spodem. Zastygła w bezruchu, gdy wyczuła z tyłu jakiś zatrzask. Nacisnęła, a wtedy dno szuflady odskoczyło do góry. Drżącymi rękami podważyła je. W płytkiej skrytce znajdowało się kilka paszportów, pistolet i pojedynczy klucz na złotym łańcuszku.

Sięgając po klucz, zmarszczyła brwi, widząc, jak bardzo trzęsły jej się ręce. Wcisnęła dno na miejsce, zamknęła szufladę, biurko i odwróciła się w stronę korytarza, skąd dochodziły czyjeś kroki. Gdy gałka przy drzwiach poruszyła się, Siena pospieszenie kucnęła za dużym wyściełanym krzesłem. Wstrzymała oddech. Gdyby wszedł teraz Derek... Gdyby ją znalazł...

Drzwi otworzyły się. Ktoś wszedł do łazienki. Chwilę później osoba ta minęła krzesło i wyszła z pokoju, zamykając drzwi.

Siena odetchnęła. Prawdopodobnie służący przyniósł świeże ręczniki lub coś innego do łazienki. Przykucnięcie za krzesłem sprawiło, że ból w nogach nasilił się. Wyprostowała się sztywno i nasłuchiwała dźwięków z korytarza. Nic nie słyszała, podeszła więc szybko do drzwi i sprawdziła, czy klucz pasuje do zamka. Z coraz szybciej bijącym sercem stwierdziła, że tak. Miała dziwne przeczucie, że będzie to najważniejszy próg, jaki przekroczy w całym swoim życiu. Pchnęła drzwi, wkroczyła do środka, zamknęła drzwi i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że znalazła się między duchami.

4

Półmrok, w którym tonął pokój, pogłębiał tylko to wrażenie. Grube zasłony zatrzymywały światło z zewnątrz. Przed Sieną wśród cieni zdawały się unosić twarze kilku kobiet. Choć rozpoznała portret namalowany przez Chase'a, odniosła niepokojące wrażenie, że widzi swoje odbicie w kilku lustrach: pozostałe portrety tak bardzo ją przypominały. Ale jak to możliwe, skoro nie pozowała do żadnego z nich?

Włączyła światło i zmrużyła oczy w ostrym świetle, z rosnącym przerażeniem oglądając portrety na ścianie.

Było ich siedem: jeden autorstwa Chase'a i trzy pary obrazów: w każdej portret twarzy i pełen akt. Każdy dwuczęściowy zestaw wyróżniał się stylem innego artysty. Lecz twarze były zastraszająco do siebie podobne, prezentowały te same kształty i proporcje. Na pewno łączyła je identyczna fryzura: długie rozpuszczone włosy. Derek zawsze nalegał, żeby tak właśnie się czesała. Z pewnej odległości lub w słabym świetle można było pomylić pozostałe kobiety ze Sieną. A Sienę można było pomylić z nimi. Mój Boże, pomyślała. Drżąc, podeszła do obrazów. Niektóre namalowano farbą olejną, inne akwarelami. Podpisy na płótnach potwierdziły, że każda para portretów wyszła spod pędzla innego artysty. Ich nazwiska znajdowały się w panteonie najwybitniejszych dwudziestowiecznych malarzy; były tak znane, że rozpoznawalne nawet przez tych, którzy nie interesowali się sztuką.

Daty obok podpisów również wzbudziły w niej niepokój. Pierwsza para obrazów powstała piętnaście lat temu, druga pięć, a trzecia dziesięć lat później. Przy czym wiek modelki nie zmieniał się - miała około trzydziestu lat, co dowodziło, że jeśli były to prawdziwe podobizny, do każdej z nich pozowała inna kobieta. Z jeszcze większym niepokojem Siena zauważyła, że ostatni komplet powstał w tym samym roku, w którym Derek zabrał ją z Mediolanu. O Jezu, pomyślała, znudził się moją poprzedniczką, gdy zaczął u niej zauważać pierwsze oznaki procesu starzenia. Pozbył się jej i wybrał kogoś młodszego, podobnego do niej, do nich wszystkich. Mnie.

Lecz gdy Derek zjawił się w jej hotelu pięć lat temu, czemu nie zniechęciła go jej zmizerowana twarz i siniaki? Zadrżała na wspomnienie chirurga plastycznego, który czekał tu na nią. Twierdził, że nie chce dopuścić do powstania blizn na jej zmasakrowanej twarzy. Po zdjęciu bandaży zauważyła, że wygląda nieco inaczej. Ani gorzej, ani lepiej, po prostu inaczej. Miała na przykład nieco bardziej wydatne kości policzkowe, ale przypisała to nieuniknionym konsekwencjom ukrycia blizn. Teraz uświadomiła sobie, że Derek kazał chirurgowi upodobnić ją do pozostałych kobiet.

Rozejrzała się z niesmakiem po pokoju. Zrobiło jej się tak zimno, że na widok fotografii na drugiej ścianie aż zaszczekała zębami. Zdjęcia były czarno-białe i kolorowe. Były wśród nich zbliżenia i zdjęcia grupowe. Niektóre zrobiono w plenerze, inne w pałacowych wnętrzach. Wszystkie miały jednak wspólną cechę. Na wszystkich znajdowała się ta sama kobieta. Choć wcześniejsze fotografie utrudniały nieco identyfikację, jako nastolatka i młoda kobieta była bezbłędnie rozpoznawalna.

Podobna do mnie, pomyślała Siena. I do pozostałych kobiet na obrazach. A właściwie odwrotnie. To my wyglądamy jak ona. Dlatego Derek nas wybrał.

Ale kim, na Boga, jest ta kobieta? Na półkach ustawione były damskie buty. Jej buty, pomyślała Siena. Stały tam manekiny ubrane w eleganckie suknie. Jej suknie, pomyślała. Sięgnęła po oprawiony w skórę album. Spojrzała na pierwszą stronę i zadrżała na widok metryki urodzin Christiny Gabrieli Bellasar. Siostry Dereka?

Urodziła się czternastego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku w Rzymie.

Rok po narodzinach Dereka.

Spoglądając z narastającym przerażeniem na wiszące fotografie, Siena dostrzegła jeszcze jedną wspólną cechę: na żadnym ze zdjęć ich bohaterka nie była stara. Z walącym sercem Siena przekartkowała album do końca i znalazła dokument, logicznie wieńczący całość rozpoczynającą się metryką urodzin: akt zgonu. Na ostatniej stronie znajdował się pożółkły wycinek z rzymskiej gazety. Derek nakłonił Sienę, żeby uczyła się włoskiego. Nie miała więc problemów ze zrozumieniem krótkiego tekstu.

Christina Gabriela Bellasar (nazwisko wskazywało na to, że nie wyszła za mąż) zmarła w Rzymie dziesiątego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku - wypadła z balkonu na dwudziestym piętrze hotelu. Siena policzyła. Christina miała wtedy trzydzieści lat.

Tyle co ja, pomyślała Siena. Tyle co kobiety z pozostałych obrazów. Ze strachem, który zmroził jej duszę, poczuła potrzebę spojrzenia w kąt pokoju, gdzie na antycznym stole stała urna. Urna wyglądała na bardzo starą. Ozdobiona była wyblakłym malowidłem przedstawiającym grupę dziewcząt leżących przy strumyku w idyllicznym lesie. Siena doskonale wiedziała, czyje prochy znajdowały się w urnie. Równie dobrze zdawała sobie sprawę, co zrobiłby Derek, gdyby dowiedział się, że skalala jego kapliczkę. Nie czekałby na zakończenie drugiego portretu. Od razu by ją zabił.

5

Schodząc po schodach, Siena była pewna, że każdy mijany służący i ochroniarz dostrzeże strach, który usiłowała stłumić. Pomimo bólu w udach czuła przemożną

potrzebę rzucenia się do ucieczki, lecz nikt nie przyglądał jej się podejrzliwie, a ciało nie odmawiało jej posłuszeństwa, wykonując pozornie swobodne ruchy.

Gdy weszła do pracowni, spostrzegła, że Chase zrezygnował z tempery na rzecz farby olejnej. Szkicował coś, umocowawszy płótno na ramie. Zbliżała się od strony, która uniemożliwiła jej obejrzenie rysunku. Zresztą nie dbała o to. Zależało jej tylko na jednym: żeby mogli porozmawiać w miejscu, gdzie nie będą musieli obawiać się mikrofonów.

Chase spojrział na nią, zaniepokojony zdeterminowanym wyrazem jej twarzy.

- Zastanawiałam się, czy nie powinnam pozować na zewnątrz - wypowiedziała słowa przeznaczone dla tego, kto podsłuchiwał.

- Ach tak?

- Pierwszy portret powstał w środku. Drugi powinien mieć inne tło. Na tarasie jest takie miejsce, które mogłoby się nadawać.

- Gdzie?

Gdy wzięła go pod rękę, zmarszczył brwi, czując, jak drżą jej palce. Wyszli na słoneczny taras, a Siena poprowadziła go do rogu kamiennej balustrady.

- Tutaj - rzekła. - Myślałam o czymś takim. - Udała, że prezentuje mu pozę, zniżając jednocześnie głos. - Sądzisz, że jesteśmy podsłuchiwani?

W oddali zaterkotał karabin maszynowy.

- Nie, ale jeśli pozostaniemy na zewnątrz zbyt długo, możemy wzbudzić podejrzenia. Czego się dowiedziałaś?

- Mówiłeś poważnie o wydostaniu mnie stąd?

- Absolutnie.

- Naprawdę sądzisz, że istnieje jakaś szansa ucieczki?

- W przeciwnym razie nie namawiałbym cię. Ale jeśli zostaniesz tutaj, zaprzepaścisz wszelkie szanse.

- Zrób to - wykrztusiła z siebie szybko.

- To, co widziałaś, było aż tak straszne?

- Jak najszybciej.

- Dziś po południu - odparł Chase.

Poczucie, że wszystko zaczyna przyspieszać, przyprawiło ją o zawrót głowy.

- Ale jak?

Gdy opowiedział jej i wyjaśnił, co będzie musiała zrobić, jeszcze bardziej zakreśliło się jej w głowie.

6

Jeszcze nigdy czas nie mijał jej tak szybko, a jednocześnie tak powoli. Odnosiła wrażenie, że działają na nią dwie siły: jedna pcha ją do przodu, druga do tyłu. Zanim się obejrzała, już wybiła pora lunchu, lecz sam posiłek zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Wpadł do niej na chwilę Derek, żeby wyrazić zadowolenie z postępów osiągniętych od rana. Siena starała się nie okazać zdziwienia, zastanawiając się, o czym on mówi. Postępów? Przecież w ogóle nie pracowali. Ale gdy wróciła z Chase'em do pracowni, okazało się, że przez cały ranek była zbyt pochłonięta myślami, żeby zauważyć, jak dużo pracy wykonał Chase.

Szkic został zakończony. Ukazywał ją od pasa w górę, nagą. Stała wyprostowana z rękami założonymi do tyłu i mierzyła buntowniczym wzrokiem każdego, kto patrzył na płótno. Brak detali w tle dawał efekt oddzielenia ciała od ducha, jakby modelka izolowała się od otoczenia, tak bardzo denerwował ją fakt, że zmuszono ją do obnażenia się.

Nie było to przesadą. Czekające ich niebezpieczeństwa przerażały ją tak bardzo, że cały świat wokół niej spowijała mgiełka. Nawet Chase wydawał jej się ulotnym dymem. Co do swego półnagiego ciała, prawie o nim nie myślała. Jedyne rzeczywistość istniała w jej wyobraźni, gdy dumiała nad przyszłością. Zadrzała, lecz nie dlatego, że była obnażona.

Może to nie jest dobry pomysł, zastanawiała się. Może nie powinniśmy ryzykować.

Ale muszę, to moja jedyna szansa.

Może powinniśmy wszystko jeszcze raz przemyśleć. Może to nie jest odpowiedni moment. Może powinniśmy poczekać na...

Seria z broni maszynowej, która rozległa się na strzelnicę, otrzeźwiła ją. Pracownia zmaterializowała się. Mgiełka rozproszyła się. Poczowała na sobie wzrok Chase'a, który przeniósł szybkim ruchem pędzel na płótno.

Oknami wstrząsnęła odległa eksplozja. Chwilę później kolejny dźwięk sprawił, że zadrzały szyby: przeraźliwy warkot nadlatującego helikoptera.

7

Poprawiając sobie okulary na nosie, Potter spojrział w dół na mury, drzewa, stawy i ogrody posiadłości Bellasara. Zdawały się powiększać, gdy helikopter schodził coraz niżej. Małe punkciki zamieniły się w ludzi: strażników na warcie, ogrodników zajmujących się ogrodami i krzątających się służących. Z rejonu strzelnicy wznosił się dym od niedawnej eksplozji.

Lecz w okolicy lądowiska nic się nie działo. Nie zebrali się tam strażnicy, nikt nie czekał z powitaniem. Derek na pewno już dawno usłyszał warkot helikoptera. Miałby wystarczająco dużo czasu, żeby przerwać to, co właśnie robił, i wyjść na powitanie. Ale to nie było w stylu Dereka, pomyślał Potter z nutką żalu. Nie, Derek lubił, żeby wszyscy przychodzili do niego. Nieistotne, jak bardzo był ciekaw wiadomości Pottera, nigdy nie zniżyłby się do tego, żeby zrobić cokolwiek, co sugerowałoby, że zależy mu na pomocy Pottera. Wszystkich traktował jak gorszych od siebie.

Z wyjątkiem artysty, pomyślał ze złością Potter; Derek wykazywał niezwykłą tolerancję wobec jego nadużyć. Potter był świadkiem, jak Derek kazał zabijać ludzi, którzy nawet w połowie nie dorównywali bezczelnością Malone'owi, a mimo to Derek znosił zachowanie Malone'a, ponieważ zależało mu na portretach. Potter nie miał pojęcia, dlaczego Derek tak strasznie pragnie tych portretów. Derek chciał pozbywać się swych żon - trudno. Ale wystarczyłoby przecież zrobić kilka fotek na pamiątkę i zaaranżować wypadek. Jego obsesja na punkcie portretów była zastanawiająca i niebezpieczna. Rano, gdy Potter komunikował się z Derekiem przez telefon, dowiedział się o wczorajszym incydencie, o zniknięciu Malone'a i podejrzaniach Dereka, który sądził, że Malone próbował ustalić, co znajduje się w klauzurze. Fałszywy alarm, przekonywał go Derek.

Wcale nie, pomyślał Potter. Co za zbieg okoliczności, że incydent miał miejsce pod ich nieobecność. Wyjaśnienia Malone'a wydawały mu się zbyt zagmatwane. Potter zamierzał przeprowadzić mozolne śledztwo i złapać Malone'a na niekonsekwencji. Na przykład, skoro artysta pod wpływem nagłego natchnienia postanowił poszpicować trochę nocą w pracowni, musiałby włączyć światło, ale czy zapytano któregoś ze strażników, czy paliło się tam światło?

Przylapię go na kłamstwie, przysięgł sobie Potter. W ogóle nie powinniśmy byli się z nim zadawać. Ukaraliśmy go za nieprzyjęcie zlecenia i na tym powinniśmy zakończyć sprawę. Nie zapomniałem, jak na strzelnicy dzięki jego manipulacjom

dostałem reprimendę od Dereka. Tyle razy robił ze mnie głupca. Ale koniec z tym. Teraz moja kolej.

Gdy helikopter dotknął ziemi, Potter rozpiął pasy i pchnął drzwi, czekając z niecierpliwością na zredukowanie prędkości obrotu łopat. Chciał jak najszybciej wysiąść i odnaleźć Dereka. Wycie obracających się łopat raniło mu uszy. Wywołany przez nie wiatr szczypał go w oczy i mierzwił przerzedzające się włosy. Nie mógł już dłużej czekać. Niski wzrost sprawiał, że trudno mu było zejść na ziemię, i musiał wykonać mały skok na betonową powierzchnię. Ściskając pod pachą teczkę, przy kontakcie z ziemią zgiął kolana. Choć był niski, biegł pochylony pod wirującymi łopatami. Popychany podmuchami wiatru, ruszył pospiesznie w stronę strzelnicy.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk i zatrzymał się. Krzyk? To niemożliwe, powiedział do siebie. Będąc tak blisko helikoptera, ryk wirników zagłuszyłby wszelkie inne dźwięki. A mimo to mógł przysiąc, że usłyszał stłumiony krzyk. Zaintrygowany odwrócił się i spojrzał w stronę helikoptera. Zwątpiwszy w sprawność swego słuchu, teraz miał nie mniejsze wątpliwości, czy może zaufać swoim oczom. Scena, która się za nim rozgrywała, była zupełnie nieprawdopodobna.

8

Gdy Malone usłyszał nadlatujący helikopter, jego dłoń z pędzlem zastygła nad płótnem. Ze zdumieniem rozpoznał u siebie wszelkie symptomy udaru. Lecz zaraz potem serce zaczęło mu łomotać w piersi, a ciało odzyskało mobilność. Odwrócił się do Sieny, która wyglądała przez okna, wsłuchując się w coraz głośniejszy warkot śmigłowca.

- Już - powiedział.

Odniósł wrażenie, że go nie usłyszała. Mechanicznie założyła bluzę i w roztargnieniu nadal wpatrywała się w okno.

- Gotowa?

Wciąż nie odpowiadała.

Z rosnącym zdenerwowaniem Malone odłożył pędzel i podszedł do niej.

- Spójrz na mnie. - Położył dłoń na jej twarzy, odwracając ją w swoją stronę. - Jeśli mamy uciec, musimy zrobić to teraz. - Nie przejmował się już ukrytymi mikrofonami. Gdyby ta próba miała się nie powieść, podsłuch byłby najmniejszym z jego problemów.

- Nie wiedziałam, że tak bardzo będę się bała.

- Jeśli zostaniesz tu, zginiesz. Nie możemy już czekać. Musimy lecieć.

Dźwięki śmigłowca wydawały się bliższe.

Spojrzała na niego badawczo, z intensywnością, która nie ustępowała sposobowi, w jaki on od kilku tygodni studiował jej ciało. Z jej oczu było zdecydowanie.

- Tak.

Wykonała polecenie Malone'a i zamieniła sandały na adidasy. Podeszli do drzwi, obserwując helikopter, który zbliżał się do lądowiska. Pomimo odległości wyraźnie widać było zza osłony kabiny surowe rysy Pottera. Wydawało się, że jest jedynym pasażerem. Nikt na niego nie czekał. Kilku patrolujących strażników spoglądało w kierunku śmigłowca. Większość nie przerywała swoich zajęć.

Malone chwycił szpicownik, żeby inni skojarzyli ich pojawienie się na zewnątrz z pracą.

Helikopter wylądował.

Opuścili pracownię, przeszli przez taras i po kamiennych schodkach zstąpili na dróżkę prowadzącą do klauzury.

Malone usłyszał szybki oddech Sieny. Lecz tempo wznoszenia się i opadania jego własnej klatki piersiowej uświadomiły mu, że nie tylko jej groziła hiperwentylacja.

Strażnik zastąpił im drogę.

- Nie możecie zbliżyć się do klauzury.

- Musimy porozmawiać z panem Potterem. - Siena wskazała na helikopter, z którego wyskoczył rzeczony osobnik, kierując się w stronę strzelnicy. - Alex! - Potter nie mógł jej usłyszeć w takim hałasie, ale dzięki temu strażnik mógł pomyśleć, że Siena rzeczywiście próbuje zwrócić na siebie jego uwagę.

- Możemy tu stać cały dzień, a i tak... - Siena zrobiła krok do przodu. - Alex!

Lecz Potter oddalał się spiesznie w stronę klauzury.

- Alex! - Siena zawołała ponownie, idąc coraz szybciej w stronę helikoptera. Malone zauważył, że pozostali rozrzucony po okolicy strażnicy nie zwracali na nich uwagi.

- Alex! - Siena zaczęła biec, a Malone za nią.

Od helikoptera dzieliło ich tylko pięćdziesiąt metrów. Pilot nie wyłączył jeszcze silników. Łopaty nadal się obracały.

Strażnik zawołał coś za nimi, lecz warkot łopat zagłuszył jego gruby głos.

Malone wyobraził sobie, że strażnik marszczy brwi i zsuwa karabin z ramienia. Ale czy odważy się strzelić? Na linii ognia znajdował się śmigłowiec. Jego celem byłaby żona szefa. Nie zdecyduje się. Tymczasem od śmigłowca dzieliło ich już tylko trzydzieści metrów. Jeśli strażnik zawaha się, mierząc do Sieny, co do Malone'a nie powinien mieć skrpułów. Poczuł, jak plecy w jednym miejscu robią się zimniejsze i sztywniejsze w oczekiwaniu kuli, która roztrzaska mu kręgosłup.

Biegając co sił w nogach, przekonywał samego siebie, że jego obawy są bezpodstawne. Strażnik nie miał powodów, żeby sądzić, że ich celem jest helikopter. Pewnie nikt im nie powiedział, że Malone był kiedyś pilotem. Strażnicy mieli tylko za zadanie pilnować dostępu do klauzury.

- Alex! - zawołała znów Siena.

Inny strażnik krzyknął jakieś ostrzeżenie.

Dwadzieścia metrów.

Cudem Potter usłyszał krzyki pomimo warkotu helikoptera i odwrócił się.

Sposób, w jaki Potter rozdziawił usta ze zdziwienia, dał Malone'owi krótką chwilę satysfakcji, pomimo szalejących w nim emocji. Dobiegli wreszcie do maszyny. Strażnik rzucił się w ich stronę. Gdy Malone mocował się z nim, powalając go na ziemię, Siena wykonała jego instrukcje. Nie oglądając się za siebie, bez cienia wahania, wspięła się do kabiny przez otwarte drzwi. Malone stracił ją z oczu, obiegając samolot z drugiej strony. Chwycił zaskoczonego pilota, który patrzył w stronę Sieny, zwolnił pasy bezpieczeństwa i wyrzucił go z fotela na zewnątrz. Siadając przed tablicą przyrządów, zapinając pasy i zwiększając szybkość zwalniających wirników, czuł, że zbliżają się strażnicy. Widząc, jak wzmożony hałas i wiatr odpycha Pottera, Malone przeżył kolejną krótką chwilę satysfakcji, ale gdy zajął się przyrządami sterowniczymi, jego poczucie zwycięstwa wyparowało. Helikopter z trudem wleciał półtora metra w górę, opadł i znów wzniósł się niepewnie, po czym skręcił w stronę zamku, jak gdyby kierował się własnymi impulsami.

9

- Zapinaj pasy! - zawołał Malone.

Siena wyczuła palcami zamek i wykonała jego polecenie. Adrenalina i hałas dochodzący spoza otwartych drzwi sprawiały, że musiała krzyczeć.

- Bałam się, że spadniemy!
- Wszystko w porządku! Nie ma się czego...
- Uważaj! Zaraz...

Lecąc w stronę zamku na wysokości około sześciu metrów, Malone poderwał maszynę ostro w górę, czując, że żołądek wcina mu się w kręgosłup.

Siena jęknęła.

Usiłując osiągnąć pożądaną wysokość, Malone ujrzał zbliżające się szybko górne piętra zamku, później tylko trzecie piętro, a w końcu zamglone niebo. Nagle helikopter zatrzęsł się.

- Co to...
- Coś uderzyło w ster!
- Coś?
- Strzelają do nas!

Kolejny wstrząs targnął maszyną. Gdy śmigłowiec skręcił w lewo i przechylił się, Sienę wyrzuciło z fotela przez otwarte drzwi i zawisła połową ciała nad ziemią, przytrzymywana tylko pasami.

- Zamknij drzwi! - ryknął Malone.
- ...Próbuję!

Choć bał się o nią, nie miał czasu spojrzeć w jej stronę: musiał opanować przyrządy sterownicze.

- Dosięgniesz?
- Chyba... udało się!

Kątem oka zarejestrował jej rozpaczliwe próby zamknięcia drzwi. Natężenie hałasu zmniejszyło się nagle. W tym samym czasie zdołał sprowadzić helikopter do poziomu. Zatrzaskując drzwi ze swojej strony, przez moment napawał się relatywnym spokojem. Ryk silników został na tyle stłumiony, że nie musieli już do siebie krzyczeć.

Zbadał wzrokiem tablicę z nieznanymi mu przełącznikami, które zaintrygowały go podczas lotu do posiadłości Bellasara. Pilot wówczas ich nie używał, więc Malone nie miał pojęcia, do czego służyły, ale na eksperymenty nie było czasu: helikopter tracił prędkość. Przelatując nad polami i kamiennymi ogrodzeniami, Malone czuł, że przyrządy zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Przed nimi pojawiło się porośnięte cyprysami wzgórze. Chciał poderwać maszynę do góry, lecz ta zareagowała leniwie.

- Co się dzieje?

Malone spojrział nerwowo na wskaźniki.

- Spada ciśnienie oleju. Kula musiała trafić... - Kierował się w stronę najniższej części wzgórza. Maszyna z ledwością wzniosła się nad nim, choć jedna z płoz zahaczyła o wierzchołek drzewa i Malone skrzywił się od kolejnego wstrząsu.

- Czy my... - Siena sprawiała wrażenie przerażonej.

- Nie! Jeśli uznam, że grozi nam katastrofa, zdążę wylądować!

- Ale nie uciekniemy zbyt daleko! Wciąż znajdujemy się nad posiadłością Dereka! On... - Wyjrzała za okno. - Dym!

Z silnika nad nimi wydobywały się kłęby czarnego dymu.

- Gdyby tylko udało nam się jeszcze trochę przelecieć... - Malone spojrzął na kompas na tablicy przyrządów. - Przed nami znajduje się małe lądowisko.

- Gdzie? Nie widzę.

- W następnej dolinie.

- Skąd wiesz?

Jeszcze na Cozumel, gdy Malone zgodził się na współpracę z Jebem, opracowali kilka planów ucieczki, gdyby Malone'owi udało się wykraść Sienę Bellasarowi. Jeden z nich przewidywał dotarcie do kawiarni w Nicei, której właściciel pracował dla CIA i ukryłby Malone'a i Sienę do czasu przybycia grupy ratunkowej. Według innego planu mieli dotrzeć do Cannes i skontaktować się z właścicielem wypożyczalni łodzi, który kiedyś był związany z Agencją. Lecz teraz lecieli w odwrotnym kierunku. Kierowali się w głąb lądu, a nie w stronę morza, co pozostawiało mu jeszcze jedną opcję: lądowisko, o którym wspomniał Jeb. Malone zapamiętał jego położenie. Jeb obiecał, że będzie tam na nich czekał mały samolot z pilotem.

- Jeśli dotrzesz do tego lądowiska - obiecywał Jeb - to tak, jakbyś znalazł się za granicą.

- Nie rozumiem - powiedziała Siena. - Skąd wiesz o tym lądowisku?

- Nie mam czasu na wyjaśnienia.

- Wiedziałaś o portretach byłych żon Dereka. - Helikopter opadł nagle, przyprawiając ją o utratę tchu. - Skąd masz tyle informacji...

Malone usiłował opanować maszynę.

- Opowiem ci wszystko, gdy tylko...

- Mój Boże, czy ty...

- Co?

- Czy ty jesteś szpiegiem?

10

Gdy inżynier wycelował kolejny pocisk w czołg na terenie strzelnicy, Bellasar znieruchomiał, słysząc strzały dochodzące z okolicy zamku. Wyrwał jednemu ze strażników pistolet i ruszył biegiem wysadzaną żywopłotem ścieżką w kierunku klauzury. Upewniwszy się, że ten rejon nie został zaatakowany, pobiegł inną dróżką, która prowadziła do zamku. Zatrzymał się raptownie na widok znajdującego się pod ostrzałem strażników helikoptera, który przelatywał nad budynkiem, zahaczając niemalże płozami o dach.

- Co się, do cholery, stało?

Zauważywszy Pottera, popędził w jego kierunku. Potter był siny z wściekłości, odprowadzając wzrokiem odlatujący helikopter.

- Porwali go!

- Co ty wygadujesz?

- Malone i twoja żona! Odlecieli tym helikopterem!

- Siena?

- Poczekali, aż wyląduję! Zanim pilot wyłączył silnik, przekonali strażnika, że muszą ze mną porozmawiać! Chwilę potem wystartowali!

Zdumienie odebrało Bellasarowi mowę.

- A ja ostrzegałem! - przypomniał Potter. - Mówiłem, że jemu nie można ufać!

Helikopter zniknął z pola widzenia, skrywając się za zamkiem, lecz chwilę potem pojawił się na nowo, coraz bardziej się oddalając. Kołysał się i wydawał terkotliwe dźwięki. Ciągnęła się za nim smuga czarnego dymu.

- Trafiony! - powiedział jeden ze strażników.

- Zrobił z ciebie głupca! - kontynuował Potter. - Co według ciebie robili przez cały ten czas, który spędzali razem?

- Nie nazywaj mnie głupcem! - Bellasar dzielił Pottera pięścią w brzuch.

Ten zgiął się wpół i padł na kolana.

Łapiąc ustami powietrze, Potter podniósł wzrok. Okulary zsunęły mu się z nosa, a ból wykrzywił jego rysy.

- Może tak byś się zdecydował - udało mu się złapać oddech - kto jest twoim przyjacielem, a kto wrogiem.

Helikopter nie przestawał terkotać w oddali.

Bellasar odwrócił się do strażników. Drugi helikopter miał za trzydzieści minut wrócić z ładunkiem sprzętu laboratoryjnego. Do tego czasu jedyną szansę na doścignięcie Malone'a i Sieny dawały im pojazdy. Bellasar wydał rozkazy.

Gdy strażnicy rozbiegli się, żeby je wykonać, Potter jęknął. Ściskając żołądek, próbował wstać.

- Jeśli się nie mylę - cedził słowa - nie chodzi tylko o Malone'a i twoją żonę. To może mieć związek z tym, co prawdopodobnie udało mu się wczoraj w nocy podejrzeć w klauzurze.

Bellasar spojrział z ukosa na smugę dymu wlokącą się za helikopterem, który na skutek uszkodzeń stracił prędkość. Doszedł do wniosku, że jego pojazdy zdołają dogonić uciekinierów, a dym ułatwi im pościg.

- Pomóż mi ich złapać!

11

Urządzenia sterownicze w kabinie działały tak opornie, że Malone z ledwością nimi poruszał. Śmigłowiec kołysał się gwałtownie, przyprawiając ich o mdłości. W pewnej chwili opadł trzy metry tak raptownie, że Malone poczuł żołądek w gardle. Z całych sił próbował powstrzymać maszynę od dalszego opadania. Lecz pomimo największych starań, nie mógł utrzymać śmigłowca w ryzach. Przez chwilę czuł się jak w Panamie, gdzie próbował utrzymać kontrolę nad trafionym helikopterem.

- Trzymaj się! Znajdź płaskie miejsce, gdzie moglibyśmy wylądować!

- Nic takiego nie widzę!

Spoglądając w dół, Malone też nie widział odpowiedniego lądowiska. Lecieli nad skalistym, porośniętym rzadko krzewami zboczem. Helikopter tymczasem nie miał szans, żeby przelecieć nad szczytem wzgórza. Kabina zatrzęsa się mocno. Jeśli natychmiast nie wyląduje, pomyślał, maszyna podejmie decyzję za niego. Wykorzystując wszystkie zapamiętane umiejętności, wyprowadził maszynę z lotu spiralnego i dostrzegł miejsce między dwoma głazami. Przeprowadzając ostatni manewr nieposłuszną maszyną, opadł na ziemię.

Wstrząs był tak silny, że szczęknął zębami. Lekceważąc ból, który przeszył jego szczękę, wyłączył silniki, uwolnił się z pasów i spojrział na Sienę. Siedziała ze spuszczoną głową. O Boże, czyżby...

Ale zanim zdążył skończyć myśl, Siena podniosła rękę do karku i zaczęła się masować, trzęsąc głową z niedowierzaniem.

- Nic ci się nie stało? - wybąkał.

- ...boli mnie głowa.

- Musimy się stąd wynieść. - Zakaszła od czarnego dymu, który kłębił się wokół niego, drapiąc go w gardle. - Maszyna może eksplodować.

Nie trzeba jej było dwa razy powtarzać. Rzuciła mu jeszcze jedno niedowierzające spojrzenie, po czym nagle się ożywiła, odpięła pasy i zaczęła mocować się z drzwiami po swojej stronie.

- Zacięły się! Nie mogę...

Malone podjął rozpaczliwą próbę otworzenia drzwi ze swojej strony i jęknął, gdy się okazało, że i one się zacięły. Uderzenie o ziemię musiało je uszkodzić. Wytężając wszystkie siły i zalewając się potem, zdołał je w końcu uchylić. Podczas lądowania jedna z łopat wygięła się. Wirując, trafiła w głaz i znieruchomiła, blokując wirnik, dzięki czemu pozostałe łopaty również znieruchomiały.

Przynajmniej nie muszę się martwić, że któraś z nich wyrwie się i utnie mi głowę, pomyślał.

Miał jednak wiele innych zmartwień. Gdy zeskoczył na ziemię, odwrócił się, pomógł Sienie wydostać się ze śmigłowca i ujrzał karmazynowe języki w kłębach dymu na szczycie helikoptera. Nie chodziło zatem tylko o przegrzanie silnika. Maszyna płonęła. Jezu, jeśli płomienie dotrą do zbiornika z paliwem...

Zeskakując na ziemię, Siena również zauważyła płomienie. Jej przerażone spojrzenie zdawało się mówić, że nie musi już wydawać jej poleceń. Pędzili z boczem, mijając głazy i krzewy. Gardło Malone'a, już podrażnione oleistym dymem, rozboleło go na dobre od szybkich, głębokich i świszających oddechów. Biegł najszybciej, jak tylko potrafił. Obok niego pędziła co sił w nogach Siena.

Słyszając za sobą huk, Malone rozpoznał charakterystyczny dźwięk płomieni docierających do zbiornika z paliwem. Ujrawszy przed sobą rów, wskoczył do niego. Wylądował, turlając się, a Siena padła obok niego. Poczul w uszach falę uderzeniową eksplozji. Była dużo potężniejsza niż wybuch zwykłego zbiornika z paliwem. Liczne późniejsze eksplozje niemal dorównywały siłą pierwszej. Rozlegały się również trzaski kul. O Boże, czyżby na pokładzie znajdowała się amunicja?, zastanawiał się Malone, gdy eksplodowało coś jeszcze. Kawalki dymiącego metalu uderzały z brzękiem o

kamienie i odbijały się od nich, po czym zapadła cisza, przerywana ich chrapliwymi próbami odzyskania oddechu i trzaskiem niewidzialnych płomieni.

Spoglądali na siebie niespokojnie z pytaniem w oczach, czy nic im się nie stało. Każde z nich odpowiadało wzrokiem: Nic mi nie jest, a tobie? Czując w ustach smak potu, dymu i kurzu, Malone zbadał ręce i nogi. Gdy Siena zrobiła to samo i kiwnęła uspokajająco głową, podnieśli się ostrożnie, żeby wyjrzeć z rowu na płonący kadłub helikoptera.

- Jak daleko stąd jest to lądowisko? - Twarz Sieny była umorusana sadzą.

- Jakiś kilometr.

- Tracimy czas. - Siena wygramoliła się ciężko z rowu. - Ale gdy tylko uda nam się uciec, masz mi powiedzieć, skąd wzięłeś te informacje.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Zresztą nie to było najważniejsze. Wspinając się po skalistym zboczu, dobiegł ich kolejny dźwięk. Malone poczuł w ustach metaliczny smak strachu, gdy odwrócił się i ujrzał cztery czterokołowe pojazdy, śmigające między drzewami drogą w dół. Skręciły na wyboiste pole, kierując się w ich stronę.

Może ludzie z pobliskiego gospodarstwa? Czyżby widzieli lądowanie helikoptera i pospieszyli z pomocą? Nowoczesne pojazdy, o niemal wojskowej linii, zasiały jednak w nim wątpliwości. Podejrzana była również determinacja, z jaką ich pasażerowie znosili katusze jazdy po tak nierównym terenie.

- To Derek - oznajmiła Siena.

Odwróciła się i nie zważając na posiniaczone nogi, pobiegła dalej w stronę szczytu.

12

Samochód Bellasara podskakiwał na polnych wybojach. Chwycił mocniej kierownicę i wpatrywał się w buchające z wraku helikoptera dym i płomienie.

- Przeżył ktoś?

Zwiększając prędkość pomimo wstrząsów, lustrował skaliste zbocze. Rozprzestrzeniający się dym utrudniał rozróżnianie kształtów, a jazda po nierównym terenie rozmazywała mu obraz. Mimo to odnosił wrażenie, że po prawej stronie płonącego helikoptera poruszają się jakieś postaci. Wdepnął mocniej pedał gazu, napinając mięśnie szyi, żeby na wertepach nie odskakiwała mu głowa.

Oby tylko przeżyli, pomyślał, skręcając ostro w prawo. Nie dbał już oto, że czynił przecież przygotowania do zlikwidowania Sieny. Teraz ponad wszystko pragnął dostać ją żywą. Ją i Malone'a. Pragnął spojrzeć im w oczy i ujrzeć w nich strach, gdy będzie wymierzał im karę.

- Widzę jakieś ruchy! - Strażnik siedzący obok Bellasara wskazał na prawo w stronę, gdzie Bellasar kierował samochód.

Nawet najmocniejszy cywilny czterokołowy pojazd miałby już dawno zerwane zawieszenie: skalisty teren był tak trudny do przebycia. Lecz zespół inżynierów Bellasara opracował wersję wojskową pojazdu. Miał on wprawdzie sylwetkę zwykłego samochodu, lecz był ciężko opancerzony i mógł poradzić sobie niemal z każdą przeszkodą. Grupa magnatów narkotykowych i dyktatorów zamówiła ten model, lecz przed wyekspediowaniem pojazdów Bellasar chciał przeprowadzić jeszcze jeden test. Z wielką satysfakcją przyznał, że bez wątpienia niczego im nie brakuje.

Sądzicie, że uda wam się przede mną uciec? krzyknął w myślach do dwóch ledwo widocznych postaci, które z trudem wdrapywały się na szczyt. Sądzicie, że macie choćby cień szansy?

Samochód podskoczył, wjeżdżając na zbocze wzgórza, przy czym Bellasar nie zredukował nawet prędkości. Dym rozwiął się na tyle, że mógł potwierdzić tożsamość uciekinierów. Siena i Malone. Podniósł wieko na tablicy rozdzielczej, odsłaniając przycisk i dwa małe joysticki. Po naciśnięciu przycisku otworzyły się komory pod każdym ze świateł mijania, ukazując wylot luf wbudowanych dział kalibru 30 mm.

Obydwa niezależne od siebie działa mogły obracać się w promieniu trzydziestu stopni w poziomie i w podobnym zakresie w pionie. Bellasar nie martwił się, że strzały ściągną mu na głowę policję. Wciąż przebywał na terenie swojej posiadłości i czasem tutaj również przeprowadzał próby. Okoliczni rolnicy przyzwyczaili się do tego. Określając odległość i kąt, przesunął prawy drążek i nacisnął guzik na jego końcu. Strumień kul przy prawie nieodczuwalnych wibracjach ostrzelał z warkotem wzgórze z prawej strony uciekającej pary. Nie chciał ich zabić. Broń Boże. Chciał ich jedynie wystraszyć i przekonać, że dalsza ucieczka nie ma sensu. Chciał dopaść ich żywych, żeby zadać im cierpienia.

Siena i Malone gwałtownie zmienili kierunek, skręcając w lewo i cały czas wspinali się do góry. Bellasar przesunął drugi drążek, wcisnął guzik i posłał serię nad nimi, rozpylając kurz, roztrzaskując skały i niszcząc krzewy. Przesuwając drążek,

kierował kule do dołu i do góry, blokując im drogę ucieczki. Siena i Malone cofnęli się, pochylili nisko i zawrócili, biegnąc znów w lewo, w stronę szczątków helikoptera.

Bellasar gonił ich kulami z lewego działa. Już miał nacisnąć guzik i ostrzelać zbocze jeszcze dalej, gdy musiał oderwać rękę od drążka i chwycić za kierownicę. Potrzebował obydwu rąk, żeby ominąć głaz, który się przed nim wyłonił. W chwili, gdy niebezpieczeństwo minęło, znów złapał za drążek i skupił wzrok na biegnących postaciach.

A raczej próbował. W ciągu kilku sekund, które zabrało mu ominięcie głazu, Siena i Malone zniknęli w dymie wydobywającym się z wraku. Nie mając dostatecznej widoczności, Bellasar skręcił w lewo za nimi, pędząc do góry po zboczu. Nagle zupełnie niespodziewanie drogę zablokował mu rów. Wdepnął hamulec tak mocno, że rzuciło nim boleśnie do przodu, a pasy bezpieczeństwa wbiły mu się w ciało. Strażnicy na tylnych siedzeniach polecili do przodu. Hamulce zadziały, samochodem zarzuciło, a rów przybliżył się, zrobił się szerszy i głębszy. Bellasar nie uświadamiał sobie, że wstrzymał oddech, i dopiero gdy pojazd stanął w miejscu, balansując przodem na krawędzi, mógł odetchnąć.

Natychmiast sięgnął po mikrofon z deski rozdzielczej.

- Nie spuszczać ich z oczu! Zajechać im drogę!

Odezwały się działa z pozostałych samochodów, strzelające w dym.

- Nie zabijcie ich, do cholery! Chcę ich żywych! Ogniem blokujcie im drogę! - Zmienił szybko częstotliwość i połączył się z Potterem w zamku.

Głos Pottera zachrypiał w głośniku.

- Przyleciał drugi helikopter.

- Sprowadźcie go. Znalazłem ich. - Bellasar błyskawicznie określił swoje położenie. - Włączam sygnał naprowadzający. Kierujcie się nim.

Bellasar odrzucił mikrofon, wyciągnął pistolet i wyskoczył z samochodu.

- Rozdzielić się! - rozkazał strażnikom. - Ukrywają się w kłębach dymu. Z tego, co mi wiadomo, Malone nie jest uzbrojony. Nie możecie ich zabić. Odnaleźć ich i sprowadzić do mnie!

Szykując się do pokonania rowu, Bellasar przez chwilę podziwiał dwa pojazdy, które pędziły do góry zboczem po lewej stronie, omijając krzewy i głazy i doskonale radząc sobie na tak trudnym terenie. Silniki ryczały solidnie i potężnie. Za pięć minut miał pojawić się Alex w drugim helikopterze. Rozkaże pilotowi, by zawisł nad wrakiem helikoptera. Prąd powietrza z wirujących łopat rozproszy dym, ułatwiając

zlokalizowanie Sieny i Malone'a między skałami. To tylko kwestia czasu, zapewniał samego siebie Bellasar. Wkrótce ich dopadną. Nagle z odgłosami pojazdów zmieszał się jakiś głęboki dźwięk i Bellasar pomyślał przez chwilę, że drugi helikopter nadleciał szybciej, niż oczekiwał. Lecz gdy dźwięk ten zamienił się w łoskot, Bellasar zdał sobie sprawę, jak bardzo się mylił.

13

Dręczony silnym kaszlem, który niemal doprowadził go do wymiotów, z zażawionymi od wszędobylskiego dymu oczami, Malone usłyszał ryk pojazdów, które pokonywały wzniesienie i zbliżały się do nich. Płonący helikopter i dym pożaru chwilowo dawały im schronienie, lecz pojazdy nieugięte pruły do przodu i mogły wkrótce stanąć przed nimi.

Skulona obok niego za jednym z głazów Siena kasłała równie mocno.

- Zobaczmy, czy uda nam się to poruszyć.

- Co?

- Ten głaz.

Pojazdy słyhać było coraz głośniejsze i Malone'a nagle olśniło. Dym przerzedził się na tyle, że ujrzał w jej zaczerwienionych i podrażnionych oczach błysk nadziei. Podnieśli się nieco i oburącz pchnęli głaz, napierając z całej siły.

Mocniej! Jęcząc z wysiłku, Malone poczuł, że coś w nim zadrżało, gdy głaz poruszył się.

Jeszcze! Kamień zaczął toczyć się z łoskotem, coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie zniknął im z oczu.

Podbiegli do następnego głazu. Ponieważ rozpacz dodawała im sił, poradzili sobie z nim szybciej niż z poprzednim i natychmiast podbiegli do następnego. Staczali głazy z jednej i drugiej strony płonącego helikoptera, zabezpieczając obydwie flanki.

Połączony łoskot toczących się kamieni przypominał Malone'owi grzmot pioruna. Ale grzmot oddalał się coraz bardziej. Zbyt długo to trwało. Głazy pewnie minęły pojazdy Bellasara i potoczyły się dalej. Lecz nagle z dołu dobiegł ich trzask skały, szkła i metalu. Drugie zderzenie było jeszcze głośniejsze. Zanim silniki zamarły, Siena wzięła już nogi za pas. Pędziła do góry, kaszląc i usiłując wydostać się z zadymionego powietrza. Trzecie uderzenie dodało Malone'owi skrzydeł i pognał jej śladem.

Przyciskając dłoń do ust, wydostał się z obłoków dymu, lecz był zbyt oszołomiony, żeby cieszyć się czystym słodkim powietrzem, które wypełniło mu płuca. Szczyt wzgórza znajdował się w odległości ledwie trzydziestu metrów, ale równie dobrze mogły to być dwa kilometry. Nie miał pojęcia, jak bardzo pojazdy zostały uszkodzone. Wolał nie tracić czasu i nie oglądać się za siebie. Jeśli działa maszynowe wciąż działają, nie mamy szans, pomyślał.

I rzeczywiście: usłyszał strzały, lecz pojedyncze, a nie seryjne. Kule odbijały się od skał pod nim, co oznaczało, że strzelano niecelnie. Żeby trafić we wspinający się cel, musieli celować nieco wyżej, pozwalając, aby cel sam znalazł się w polu rażenia. Malone nie miał jednak żadnych wątpliwości, że wkrótce wprowadzą tę poprawkę.

Siena ze strachu biegła tak szybko, że Malone miał problemy z dotrzymaniem jej kroku. Szczyt wzgórza zdawał się wcale nie przybliżać. Pojedyncze kule padały coraz bliżej i Malone z niepokojem skonstatował, że wcale nie strzelano do nich niecelnie. Specjalnie strzelają za nisko, pomyślał. Nie chcą nas zabić. Celują w nogi. Chcą nas okaleczyć, żeby Bellasar mógł nas wziąć żywcem.

Coś, co brzmiało jak grupa superszybkich os, przeleciało mu obok nogi. Jedna z nich przecięła mu spodnie i użądliła go w lewą łydkę. Przyspieszając, spojrzął do góry. Mógł przysiąc, że wzrok płata mu figle, gdyż wszystko wyglądało teraz jak powiększone, a szczyt nagle się przybliżył. Ujrzał, jak Siena znika za krawędzią i chwilę później, ścigany przez kule, dołączył do niej, chwiejąc się na płaskim grzbiecie wzgórza, którego łagodny stok z drugiej strony sięgał do gaju oliwnego w dolinie. W oddali ujrzał szarą wstęgę betonu otoczoną z obu stron garstką maleńkich jak pudełka zapalek budynków. Znaleźli lądowisko.

14

Na dźwięk łamanego metalu i tłuczonego szkła Bellasarowi zrobiło się niedobrze. Mdłości szybko przeszły w gniew o nieznaną mu dotąd intensywności. Jego inżynierowie zapewniali, że pojazdy wytrzymają ataki pocisków, granatów, a nawet bliską eksplozję rakiety. Tymczasem głązy zmiażdżyły maski samochodów, przebiły się przez kuloodporne szyby i przygniotły siedzących z przodu mężczyzn.

Bellsasar krzyknął z wściekłości. Ze strażnikami ze swego samochodu oraz niedobitkami, którzy wygramolili się z pozostałych pojazdów, zaczął strzelać w stronę Sieny i Malone'a. Pragnąc bardziej niż kiedykolwiek wziąć ich żywcem, opróżnił

magazynek, celując im w nogi, ale zanim zdążył na nowo załadować broń, zniknęli za grzbietem wzgórza.

Przeklinając, Bellasar wskoczył z powrotem do samochodu. Towarzyszący mu mężczyźni ledwie zdążyli zasiąść w środku, gdy wrzucił wsteczny, wycofał się znad rowu, rozkopując kołami ziemię, skręcił ostro i ruszył do góry.

Zbocze stawało się coraz bardziej strome, a podłoże nierówne. Silnik, nadwyrężony do granic możliwości, nie mógł dłużej napędzać ciężaru opancerzonej karoserii. Im bardziej zwalniał, tym mocniej Bellasar naciskał pedał gazu, aż wreszcie z łoskotem, który wstrząsnął maszyną, wysiadł napęd i pojazd zaczął się staczać do tyłu. Bellasar wdepnął hamulec, skręcił kierownicą i pociągnął za dźwignię hamulca ręcznego. Zasiliwszy pistolet nowym magazynkiem, wy dostał się z samochodu i rzucił się biegiem w stronę szczytu.

15

Gdy Malone skrył się wreszcie w gaju oliwnym u stóp wzgórza, zaryzykował kilka cennych sekund, żeby złapać oddech i obejrzeć się za siebie. Ale nadzieja, że Bellasar został na dobre w tyle, rozwiąła się, gdy ujrział maleńkie postaci mężczyzn, którzy pojawili się na grzbiecie wzgórza. Na czele, w garniturze i krawacie, które w jakiś sposób nadawały mu bardziej groźny wygląd niż poszarpane ubrania jego strażników, biegł Bellasar, którego poznał po szerokich barach i silnej klatce piersiowej.

Malone popędził dalej. Drzewa oliwne były na tyle gęste, że nie widział przed sobą Sieny, lecz świst gałęzi i chrzęst kroków podpowiadały mu, gdzie ma biec. Pomimo doskonałej kondycji miał trudności ze zmniejszeniem dzielącego ich dystansu. W pewnej chwili mignęła mu przed oczami: jej ubranie w kolorach ziemi pozwalało jej stopić się w jedną całość z drzewami, między którymi śmigła. Udało mu się wreszcie ją dogonić, gdy drzewa ustąpiły miejsca polom, ogrodzeniu, barakom i pasowi startowemu.

Przez cały czas, gdy pędzili przez pole, Malone nie przestawał myśleć o miejscu na plecach, gdzie oczekiwał postrzału. Siena pierwsza dobiegła do ogrodzenia, padła na plecy, podniosła najniższy drut i przecisnęła się pod nim. Okrzyki z gaju oliwnego przyspieszyły ruchy Malone'a. Oparł się o słupek i przesadził jednym sussem ogrodzenie.

Gdy dotarł do baraków, zauważył, że zżera je rdza. Z pęknięć na pasie startowym wyrastała trawa. Chryste, tutaj nie ma żywej duszy, pomyślał. Jeb, gdzie ty mnie przysłałeś? Ale w chwili gdy ogarnęły go wątpliwości, okrążyli barak i wpadli niemal na ciężarówkę. Za nią zaparkowany był renault sedan i wysłużone kombi. Przy pasie startowym stały trzy małe samoloty.

Zamierzając wejść do największego z baraków, Malone zderzył się niemal z brodatym mężczyzną, który wyszedł ubrany w kombinezon mechanika z brudną szmatą w ręku.

Łamaną francuszczyzną Malone wybąkał przeprosiny i dodał szybko:

- Szukam człowieka, który nazywa się Harry Lockhart.

Zdziwiony Francuz podniósł brwi i ręce.

- Harry Lockhart. - Malone zauważył, że Siena marszczy brwi. - Zna pan człowieka, który nazywa się...

Malone dał za wygraną na widok zakłopotanego wyrazu twarzy Francuza.

- Proszę mówić po angielsku, *monsieur*. Nie rozumiem pana. Nigdy nie słyszałem o człowieku nazwiskiem Lockhart.

- Ale on miał tu na mnie czekać!

Siena coraz bardziej marszczyła brwi.

- Może zaszła jakaś pomyłka? - stwierdził Francuz.

- A w okolicy jest jakieś inne lądowisko?

- Nie.

- Więc nie ma mowy o pomyłce.

- Pan krwawi, *monsieur*.

- Co?

- Na twarzy. Pan krwawi.

Malone sądził, że wilgoć, którą czuł na twarzy, to pot. Przez moment zastanawiał się, czy nie został postrzelony. Ale zaraz przypomniał sobie, że krew płynęła z ran na policzku i wargach. Wysięk znów je otworzył.

Z baraku wyłonili się dwaj inni mężczyźni. Oni również ubrani byli w kombinezony i choć jeden z nich wydawał się tęższy, wyglądali jak bracia.

Mężczyzna, z którym rozmawiał Malone, odwrócił się do nich i powiedział coś po francusku.

Na dźwięk słów „Harry Lockhart” pokręcili głowami i z konsternacją przyglądali się zakrwawionej twarzy Malone’a.

Cholera jasna, Jeb, obiecałeś, że będzie tutaj czekał!, wyrzekął w myślach Malone.

- Co wam się stało? - zapytał po angielsku Francuz. - Macie coś wspólnego z eksplozjami, które słyszeliśmy?

Siena oglądała się co chwila nerwowo na pole, przez które przebiegli.

- Nie możemy dłużej czekać. Jeśli tego faceta nie ma tutaj... - Zaczęła biec.

Coraz bardziej rozgorączkowany Malone podjął rozmowę z Francuzami.

- Czy w ciągu ostatnich tygodni pojawił się tu ktoś, twierdząc, że czeka na Chase'a Malone'a?

- Nie, *monsieur*. Oprócz naszej trójki i paru innych osób z okolicy, które lubią latać starymi samolotami, nikogo tu nie było.

Jeb, ty draniu. Obiecałeś, że mi pomożesz.

Wzrok Francuzów powędrował w stronę nieba, skąd dochodził coraz głośniejszy warkot śmigłowca.

Niech to diabli, przeklął w duchu Malone. Ściągnął z nadgarstka stalowo-złoty zegarek i wcisnął go do ręki Francuza.

- Jest wart sześć tysięcy dolarów. Jak szybko może pan wzbić się tą maszyną w powietrze?

16

Bellasar zatrzymał się na środku pola, słysząc terkot, a później buczenie małego samolotu. Silnik nabierał rozpędu i wszystko wskazywało na to, że samolot zaraz wystartuje. Nie! wściekał się Bellasar, podejmując pościg. Szybciej! Jeśli Siena i Malone są na pokładzie tego samolotu...

Silnik osiągnął maksymalne obroty i dało się słyszeć charakterystyczne brzmienie samolotu pędzącego po pasie startowym. Wymknęli mi się!, pomyślał Bellasar. Zatrzymał się, dysząc ciężko. Przesiąknięty potem garnitur i biała koszula przylegały do jego ciała, gdy spoglądał w stronę nieba nad metalowymi barakami. Podniósł pistolet, to samo zrobili jego ludzie. Zamierzał otworzyć ogień w chwili, gdy samolot znajdzie się w polu widzenia. Wiedział jednak, że działa pochopnie, biorąc pod uwagę fakt, że na lądowisku prawdopodobnie znajdują się świadkowie. Martwiło go również, że zabłąkane kule mogłyby zabić Sienę i Malone'a, a chciał tylko

sprowadzić samolot na ziemię. Ale, na Boga, musiał coś zrobić. Nie mógł przecież stać i patrzeć, jak Malone odlatuje z jego żoną.

17

Kiedy Potter ujrział dymiący wrak helikoptera, a następnie trzy porzucone samochody, z których dwa zostały zniszczone, a trzeci miał otwarte drzwi, jak gdyby pasażerowie opuścili go w pośpiechu, uświadomił sobie, że podobną scenę zaobserwował miesiąc wcześniej na Bałkanach. Tyle że w tym przypadku nie widział żadnych ciał. Gdzie... Już miał poinstruować pilota, żeby zachował dystans, dopóki nie ustalą, co się stało, gdy usłyszał sygnał telefonu komórkowego.

- Jestem za wzgórzem! - krzyczał Bellasar. - Jest tu pas startowy! Siena i Malone znajdują się w samolocie, który zaraz wystartuje!

Słuchając wskazówek Bellasara, Potter czuł niezwykle w jego przypadku przyływ euforii. Helikopter zwiększył prędkość, przelatując nad szczytem wzgórza. Natychmiast jego oczom ukazało się lądowisko, a zaraz później zarys małego samolotu, który wzbijał się w powietrze. Choć samolocik wzlatywał coraz wyżej, helikopter z turbodoładowaniem wznosił się dużo szybciej, co dodawało Potterowi energii i wywoływało przyjemny ucisk w brzuchu.

Samolot osiągnął pożądaną wysokość i wziął kurs na zachód w stronę poszarpanych wzgórz. Helikopter ruszył za nim, doścignął uciekiniera i szybko wyrównał się z nim z lewej strony.

Potter przyjrzał się sylwetkom pasażerów na tylnych siedzeniach i pokazał pilotowi, że ma wylądować.

Pilot zignorował go.

Samolot dał nagle nura w dół.

Helikopter zrobił to samo.

Samolot skrzył ostro w prawo.

Helikopter też.

- Wyprzedź go - rozkazał Potter. - Odetnij mu drogę. Zmuś go do powrotu na lądowisko.

Ale zanim pilot zdążył wykonać polecenia, samolot wzbił się wyżej. Helikopter zrobił to samo.

Niespodziewanie samolot runął w dół i przechylając się, skręcił pod helikopterem, uciekając w przeciwnym kierunku.

Pilot wymamrotał coś pod nosem, ruszając w pogoń za samolotem i zmniejszając odległość między nimi. Od tej pory naśladował wszystkie manewry ściganej maszyny, zlatując niżej, zataczając koła i wznosząc się w ślad za nią. Z każdym manewrem zbliżał się do samolotu, by w końcu przejść do ofensywy i wyprzedzić go, zmuszając do odwrotu. Gdy samolot zleciał niżej, pilot helikoptera odgadł jego plany i zablokował go, zmuszając do odwrotu. Kiedy wzbił się wyżej, i tym razem helikopter stanął mu na drodze.

Odległość między helikopterem i samolotem stopniowo malała, dzięki czemu brodata twarz pilota samolotu stała się bardziej widoczna. Choć plastikowa osłona była porysowana i brudna, na jego twarzy wyraźnie malował się strach. Potter doskonale znał francuski, w równym stopniu też opanował umiejętność czytania z ust. Pilot klął pod nosem.

Francuz sięgnął po mikrofon, a pilot śmigłowca wyszukał częstotliwość, na której nadawał.

- Co wy, do diabła, wyprawiacie? - Francuz zażądał wyjaśnień.

- Wracaj pan na lądowisko. Zejść na ziemię - rozkazał mu Potter.

- Nie macie prawa.

- Pańscy pasażerowie dają mi prawo.

- Jacy pasażerowie?

Potter powziął podejrzenie, które do głębi nim wstrząsnęło.

- Na siedzeniach za panem!

- To są płócienne worki!

- Zbliżyć się! - Potter nakazał pilotowi. Gdy pilot sprzeciwił się, twierdząc, że to zbyt niebezpieczne, Potter krzyknął: - Wykonać! - Potter miał wrażenie, że maszyna powiększyła się. Wbił wzrok w brudną szybę, pragnąc zidentyfikować ciemne kształty, które wziął za Malone'a i Sienę. O nie!, pomyślał, rozpoznając w rzekomo ludzkich kształtach płócienne worki.

- Wracamy! - zawołał do swego pilota.

18

- Ile ci zapłacili? - zażądał odpowiedzi Bellasar.

Tęgi mężczyzna w kombinezonie wyglądał na skonfundowanego.

- Mnie? Nic. Nie wiem, co tu się dzieje! Podarowali Pierre'owi drogi zegarek za to, co i tak miał zrobić: za lot do Marsylii!

- Gdzie teraz są?

Mężczyzna pokazał palcem ścieżkę, która wiodła między drzewami po przeciwnej stronie pasa startowego.

- Ukradli dwa rowery.

Na pewno, pomyślał Bellasar. A może sprzedałeś im je za jedną z bransoletek Sieny.

- A więc nie jest jeszcze za późno. Daleko nie uciekną. - Wyciągnął plik banknotów i wyłuskał kilka o dużych nominałach. - Daj mi kluczyki do kombi.

- Nic z tego.

- Co takiego?

Mężczyzna wskazał na przednią prawą oponę.

Była przebita. Podobnie jak opony w furgonetce i sedanie.

- Zrobił to, zanim odjechali.

- Naprawić je! - Rozjuszony utratą czasu, Bellasar nie czekał na powrót Pottera. Pobiegnął w stronę ścieżki. Potter będzie lustrować okolicę z góry, pocieszał się. Z łatwością zlokalizuje mężczyznę i kobietę na rowerach. Pościg trwa. Nie spocznie, póki ich nie złapiemy.

19

Pedałując z całych sił, Malone wziął zakręt, za którym drzewa ustąpiły miejsca asfaltowej jezdni. Nacisnął dźwignię hamulca na rączce kierownicy. Z prawej strony, zza łuku, słychać było nadjeżdżającą ciężarówkę.

Siena zatrzymała się obok niego.

- Szybko - rzucił Malone. - Musimy dostać się na drugą stronę.

Zsiadł z roweru i szybko przeszedł przez jezdnię. Położył rower na szosie przed niewidoczną jeszcze ciężarówką. Przeciągnął dłonią po twarzy, rozmazując krew i położył się na drodze, przykrywając się rowerem.

- Sprawiaj wrażenie przerażonej - poinstruował Sienę. - Daj znać kierowcy, żeby się zatrzymał.

Pędząca ciężarówka pojawiła się w polu widzenia. Rozciągnięty na ziemi Malone, który trzymał się za nogę z bolesnym wyrazem twarzy, przeraził się nagle, że ciężarówka jedzie zbyt szybko i nie będzie mogła w porę się zatrzymać. Przygnieciony rowerem, nie zdąży się spod niego wykaraskać i przetoczyć na pobocze.

- O Jezu! - Siena machała do kierowcy jak oszalała. - Zaraz nas przejedzie!

Gdy rzuciła się, żeby ściągnąć z Malone'a rower, zapiszczały hamulce. Ale widocznie się zablokowały, gdyż ciężarówka nadal pędziła w ich stronę. Siena odrzuciła rower na bok i ściągnęła Malone'a z jezdni, a tymczasem hamulce zapiszczały jeszcze głośniejsze, a z opon zaczął wydobywać się dym. Ciężarówkę zarzuciło i w końcu zatrzymała się dwadzieścia metrów za miejscem, gdzie uprzednio leżał Malone.

Ciężarówka, większa nieco od pikapu, miała drewnianą platformę przykrytą brezentem. Przewoziła drabiny, kozły do rżnięcia drewna i drzewo. Drzwi kierowcy otworzyły się z hukiem. Opalony mężczyzna w posypanym trocinami ubraniu wyskoczył z kabiny i zaczął wyrzekać głośno. Mówił zbyt szybko, żeby Malone mógł go zrozumieć, lecz Siena odpowiedziała mu równie szybko, gestykulując w stronę zakrwawionego Malone'a.

Złość kierowcy przeszła w zaskoczenie, a następnie w szok. Przez chwilę stał jak sparaliżowany, lecz wyrwał się z bezruchu i podbiegł do Malone'a, żeby pomóc mu dojść do ciężarówki.

- Powiedziałaś mu, że potrafił cię samochód! Zabiera cię do lekarza! - wyjaśniła Siena.

- Zapytaj go, czy z tyłu znajdzie się miejsce na rowery.

Gdy kierowca pomagał Sienie ukryć rowery pod brezentem, Malone wdrapał się do kabiny i oparł głowę o fotel, jak gdyby dokuczał mu ból. Po chwili mężczyzna wskoczył za kierownicę, a Siena usiadła obok Malone'a. Kierowca wrzucił pierwszy bieg i ciężarówka pomknęła szosą.

- Twierdzi, że za dziesięć minut będziemy w szpitalu - powiedziała Siena.

- Nie wiem, czy to nie za długo. - Malone starał się mówić, jakby straszliwie cierpiał. Pomimo terkotu ciężarówki, usłyszał w oddali warkot helikoptera. Mając nadzieję, że kierowca przyspieszy, skrzywił się i zaczął jęczeć.

Z ust Francuza popłynął kolejny potok słów.

Malone nie zwracał na nie uwagi, koncentrując się na coraz głośniejszych odgłosach helikoptera. Przypuszczał, że ciężarówka wkrótce zwróci uwagę ich

prześladców. W końcu na drodze nie było żadnych innych pojazdów. Ile czasu zajmie Bellasarowi dojście do wniosku, że dojechali do szosy i złapali okazję?

Pojawiły się pierwsze budynki. Gdy ciężarówka wzięła kolejny zakręt, Malone ujrzał samochody, ciężarówki, rowery i przechodniów. Dojechali do miasta, gdzie znaki ograniczenia prędkości zmusiły kierowcę do wolniejszej jazdy. Wyobrażając sobie, jaki widok mają pasażerowie helikoptera, ujrzał w myślach, jak punkcik ciężarówki miesza się z innymi punkcikami. Na widok pojazdów rozjeżdżających się w czterech kierunkach na skrzyżowaniu, rozluźnił się wreszcie, uznając, że na razie Bellasar nie ma szans na ich odnalezienie.

Na razie. Malone wiedział jednak, że Bellasar nie zaniecha poszukiwań, a on sam miał jeszcze mnóstwo innych problemów na głowie. Musiał przekonać kierowcę, żeby nie odprowadzał go do szpitala. Musiał znaleźć miejsce, gdzie będzie mógł się umyć. Może w toalecie w izbie przyjęć. Później będzie trzeba jakoś wydostać się z miasta, zanim zjadą tu ludzie Bellasara. Przy pierwszej nadarzającej się okazji zadzwoni pod numer, który podał mu Jeb. I tu pojawiał się kolejny problem. Dlaczego Jeb nie zastosował się do planu ucieczki, który razem opracowali? A to pytanie z kolei uświadomiło Malone'owi, że niedługo będzie musiał stawić czoło innemu problemowi: surowe spojrzenia Sieny dawały mu do zrozumienia, że jego towarzyszyca chce jak najszybciej się dowiedzieć, skąd wiedział o lądowisku w dolinie i o co w tym wszystkim chodzi.

Część siódma

1

- Kim jest Harry Lockhart? - zapytała Siena konfidencyjnym tonem, nie chcąc zwracać uwagi innych pasażerów autobusu, lecz jej pytanie i tak zabrzmiało jak rozkaz.

- Nie wiem. Nigdy go nie widziałem. Pilot o takim nazwisku miał na nas czekać.

Zajmowali tylne siedzenie. Kasjerka na dworcu tak długo zastanawiała się, czy przyjąć dolary, które Malone wziął ze sobą ze Stanów, że na autobus zdążyli w ostatniej chwili. Gdy minęli przedmieścia, zapadł mrok, a w domach gdzieś gdzieś pozapalały się światła. Malone zerknął do tyłu, żeby sprawdzić, czy nie śledzi ich żaden samochód.

Siena nie dawała za wygraną.

- Kto miał wysłać tam Lockharta?

- Przyjaciel.

- Tyle, że nie zrobił tego. To ten sam przyjaciel, który opowiedział ci o byłych żonach Dereka? - Przybrała ostrzejszy ton.

- Tak.

- Od pierwszego dnia planowałeś wydostać mnie stamtąd?

- Tak.

- Co oznacza, że od samego początku zamierzałeś wykorzystać mnie przeciw Derekowi.

- Nie - odparł Malone. - Było inaczej.

Silnik autobusu znajdował się akurat pod nimi i jego chrapliwe dźwięki zagłuszały ich rozmowę.

- Dla kogo pracujesz?

- Dla nikogo.

Tył autobusu tonął w mroku.

- Niedawno przyznałeś, że pewni ludzie dostarczają ci informacje. Jakaś grupa miała zapewnić ci pomoc.

- To nie jest... Współpracuję z pewnymi ludźmi, owszem, ale nie pracuję dla nich.

- CIA?

- Tak - przyznał niechętnie.

- Jezus Maria. - Siena załamała ręce. - Jeśli Derek się dowie, jeśli wyjdzie na jaw, że współpracuję z...

- Nie jestem szpiegiem.

- Do cholery jasnej, jak więc to nazwiesz?

Podnieśli nieco głos, przez co siedzący przed nimi pasażerowie odwrócili się.

- Uspokój się. Pozwól mi wyjaśnić... - powiedział cicho Malone.

- Na nic innego nie czekam. - Kontrolowanie przesyconego emocjami głosu kosztowało ją tyle wysiłku, że na szyi zarysowały jej się wyraźnie mięśnie.

- W porządku. - Malone wziął głęboki wdech i opowiedział jej, co się stało na Cozumel. - Twój mąż w większości zniszczył to wszystko, co było mi drogie. I gdy pojawił się kolega, proponując, żebym wyrównał z nim rachunki, zgodziłem się.

- I wykorzystałeś mnie, żeby zemścić się na Dereku.

- Nie dlatego...

- Zaufałam ci! Myślałam, że jesteś moim przyjacielem. Ale ty przez cały czas kłamałeś, odgrywałeś przedstawienie, żeby...

- Nigdy nie kłamałem.

- Na pewno nie powiedziałeś mi prawdy.

- Nie powiedziałem ci całej prawdy. Ale jak byś zareagowała, gdybym to zrobił?

Otworzyła usta, ale chyba nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

- Twój mąż naprawdę planował twoje zabójstwo. Ale gdybym ci powiedział, w jaki sposób się o tym dowiedziałem, uwierzyłybyś mi? Uciekłabyś ze mną, czy może podejrzewałybyś mnie o próbę oszustwa?

Nadal nie wiedziała, co powiedzieć.

- Ależ jestem twoim przyjacielem. - Malone wyciągnął do niej rękę. Nie podała mu swojej.

- Nigdy tobą nie manipulowałem - przyrzekł. - Nie zależy mi, czy piśniesz choćby słówko agentom CIA. Dla mnie liczy się tylko to, że cię stamtąd wyostałem.

Siena siedziała bez ruchu i wydawało się, że nawet nie oddycha.

- Nie wiem już, w co mam wierzyć.

Popatrzyła na niego przeciągle. Gdy wreszcie ścisnęła jego rękę, zrobiła to tak, jak gdyby stała na krawędzi przepaści i tylko on mógł uratować ją przed upadkiem.

2

Autobus dotarł do Nicei około północy. Miasto, w którym ciemność mieszała się z oślepiającymi światłami, nie wywarło na Malone żadnego wrażenia. Nie zarejestrował nawet słonego zapachu od morza: spaliny autobusowe tak bardzo przytępiły jego zmysł węchu.

Zdając sobie sprawę, że ludzie Bellasara mogą czekać na nich na dworcu autobusowym, Malone wybrał ruchliwe skrzyżowanie i poprosił kierowcę, żeby się zatrzymał. Gdy tylko wysiedli, Malone i Siena wtopili się w tłum.

- Nie mam pojęcia, co się stało na lądowisku - wyjaśnił - ale Jeb i ja opracowaliśmy alternatywny plan.

Weszli do nocnego sklepu, gdzie Malone wydał niemal wszystkie pozostałe pieniądze na kanapki, owoce, wodę i kartę telefoniczną.

- Teraz poszukajmy aparatu.

Znaleźli go za rogiem. Siena stanęła w pobliżu i niecierpliwie mu się przyglądała, gdy wsunął kartę i wybrał numer, który Jeb kazał mu zapamiętać. Już niedługo, pomyślał. Wkrótce się stąd wydostaniemy.

Po drugiej stronie telefon zadzwonił dwukrotnie i został odebrany. Z bijącym jak oszalałe sercem Malone zaczął wypowiadać umówione hasło, „malarz”, gdy usłyszał nagrany głos. Wiadomość wypowiedziano po francusku zbyt szybko, żeby mógł ją zrozumieć. Połączenie zostało zerwane.

- Co do...

Siena podeszła bliżej.

- Jakiś problem?

- Chyba wybrałem zły numer.

Spróbował jeszcze raz, lecz znów odezwał się ten sam nagrany głos.

- Nie rozumiem, co ona mówi. Ty spróbuj. - Podyktował Sienie numer.

Słuchała nerwowo. Kilka sekund później zmarszczyła brwi i odwiesiła słuchawkę.

- Ten numer został odłączony.

- Co?

- Może CIA nie płaci rachunków telefonicznych - powiedziała gorzko. - Ta linia nie jest obsługiwana.

Jeb, ty draniu, pomyślał Malone. Co ty narobiłeś? Co się stało?

3

Dochodziła pierwsza w nocy, gdy ruszyli przypadkowo wybraną wąską uliczką.

- Tamten hotel wygląda całkiem do rzeczy - stwierdziła Siena.

- Z pewnością.

Lecz minęli kuszące wejście, wiedząc, że nie mogą tam przenocować. Nie mając gotówki na wynajęcie pokoju, Malone musiałby skorzystać z karty kredytowej. Do tej pory Bellasar zapewne nakazał swym informatykom, aby dostali się do baz danych wszystkich banków i szukali transakcji na nazwisko Malone. Gdyby Malone skorzystał z karty kredytowej, Bellasar i jego ludzie wpadliby do ich pokoju hotelowego jeszcze przed świtem.

- Mam trochę biżuterii - przypomniała Siena - ale będziemy ją mogli sprzedać dopiero jutro rano, gdy otworzą komisje.

- Chyba będziemy musieli poczekać nieco dłużej.

- Jak to?

- Twój mąż sprawdzi, czy nie brakuje biżuterii. Domyśli się, że zechcesz ją sprzedać, i może zastawić na nas pułapkę.

- Pułapki czyhają chyba wszędzie.

Dotknął jej twarzy, na której malował się strach.

- Nie zapominaj, że nie jesteś sama.

- Nie jestem sama.

Okazało się, że uliczka doprowadziła ich do parku, skąd rozciągał się widok na port. Między palmami stała ławeczka, zapraszając ich do odpoczynku. W oddali błyszczały światła jachtów. Z jednego z nich dochodziła muzyka. Ktoś grał na pianinie melodię „I Concentrate on You”, a ubrani w wieczorowe stroje mężczyźni i kobiety rozmawiali i popijali drinki.

- Koktajl? - Malone otworzył i podał jej jedną z butelek wody.

- Nie odmówię.

- Przystawka? - Malone wyłożył kanapki: z jajkiem, tuńczykiem i kurczakiem.

- Co za wybór.

- Najlepszy w mieście.

- Obsługa wyśmienita. Będziemy musieli polecić to miejsce wszystkim przyjaciółom.

- I zostawić suty napiwek.

- Jak najbardziej. Suty napiwek.

Fakt, że Siena chętnie przyłączyła się do jego błazeństw, nappełnił go optymizmem. Dopóki nie upadniemy na duchu, mamy szansę, pomyślał. Lecz gdy wiatr musnął liście palm nad nimi, zauważył, że Siena zadrżała i skuliła się.

- Weź moją kurtkę.

- Wtedy tobie będzie zimno.

- Usiądę blisko ciebie. - Wstał i narzucił na nią kurtkę, przytrzymując dłużej ręce na jej ramionach. Wtedy zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony, i opadł z powrotem na ławkę. Był tak spragniony, że aby wypić kwartę wody z butelki, wystarczyło mu tylko kilka głębokich łyków. Kanapka z jajkiem smakowała jak folia, w którą została owinięta. Chleb nie grzeszył świeżością. Ale Malone nie zwracał na to uwagi. W tych okolicznościach wydawało mu się, że spożywa najsmaczniejszy posiłek na świecie. Na pobliskim jachcie pianista zmienił melodię na „The Days of Wine and Roses”.

- Zatańczymy? - zapytał.

Siena spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Przypomniał mi się tekst tej piosenki - wyznał. - O rozczarowaniu i mijającym czasie. Dla innej pary w tym samym miejscu byłaby to cudowna noc. Wszystko chyba jednak zależy od nas, co zrobimy z tą chwilą.

- ...tak, chciałabym zatańczyć.

Gdy wstali i stanęli przed sobą, Malone poczuł ucisk w klatce piersiowej. Starał się, żeby nie zatrzęsała mu się ręka, gdy obejmował ją wokół talii. Natomiast lewa dłoń Sieny zadrżała, gdy położyła mu ją na ramieniu. Zwrócili się powoli ku dochodzącej z oddali melancholijnej muzyce. Przy jej dźwiękach Malone wyobraził sobie łąkę, przez którą biegają dzieci, lecz nigdy nie docierają do drzwi, za którymi rozciągają się nieskończone możliwości. Mając trudności z oddychaniem, Malone przysunął Sienę bliżej siebie, przekonany, że zemdleje, jeśli nie dostarczy swym płucom więcej powietrza. Czuł, jak unoszą się i opadają jej piersi, gdyż i ona usiłowała odetchnąć głębiej. Obracając się powoli, ujrzał pograżoną w mroku ścieżkę, a na niej parę

starszych ludzi z pudlem, którzy zatrzymali się, żeby popatrzeć, jak tańczą. Staruszkowie spojrzeli na siebie i znów na Malone'a i Sienę. Uśmiechając się, mężczyzna wziął kobietę za rękę i poszli dalej przez park. Malone zapomniał o całym świecie, czując tylko Sienę w swych ramionach. Gdy nastrojowa melodia dobiegła końca, Malone przypomniał sobie samotne noce z tekstu piosenki. Gdy pocałował Sienę, poczuł się jak za dawnych czasów beztroskiej młodości, jakby całował po raz pierwszy.

4

Przesiedzieli całą noc na parkowej ławce. Siena spała, opierając głowę o jego ramię. Malone objął ją i drzemał, gdyż natrętne myśli nie pozwalały mu zasnąć. W oddali światła na jachtach stopniowo gasły. Odgłosy ruchu ulicznego ucichły. Przez pewien czas Malone wyobrażał sobie, że znajduje się ze Sieną w ich prywatnym wszechświecie, lecz wiedział, że rzeczywistość wkrótce zaskrzeczy. Bellasar nie zaniecha poszukiwań i w chwili, gdy sprzedadzą biżuterię Sieny albo Malone zapłaci kartą kredytową, teren jego poszukiwań zawęzi się. Musimy wydostać się z Nicei, pomyślał. Do diabła, musimy wydostać się z tego kraju. Z Europy. Ale nawet gdyby mieli pieniądze, nie mogliby wyjechać - Bellasar miał ich paszporty. Bez pomocy Jeba nie mamy żadnych szans, Malone niechętnie przyznał się do tego przed samym sobą.

5

Kelner o wąskiej twarzy zmrużył oczy w porannym zamglonym słońcu i obrzucił pełnym dezaprobaty spojrzeniem Malone'a i Sienę, którzy zbliżali się do niego, lawirując między wystawionymi na chodnik stolikami. Poranni klienci podnosili wzrok znad kawy i marszczyli brwi. Malone mógł sobie wyobrazić, jakie robi wrażenie w swym pomiętym ubraniu, z nieogoloną twarzą oraz z opuchniętymi i pokrytymi strupami wargami i policzkiem. Niektórzy bezdomni wyglądają lepiej niż ja, pomyślał. Mogę się założyć, że kelner wyrobił sobie o mnie odpowiednie zdanie. Pewnie spodziewa się, że poproszę go o datek. Malone był również pewien, że choć on sam już tego nie wyczuwał, cuchnęło od niego dymem z płonącego helikoptera, a także potem i strachem.

Dzięki Bogu Siena wygląda lepiej, pomyślał. Wprawdzie jej ubranie również było wygniezione, a po makijażu nie pozostał żaden ślad, ale nadal prezentowała się rewelacyjnie. Kilka ruchów pożyczonym od niego grzebieniem sprawiło, że włosy Sieny znów załśniły. Jej opalona skóra rozkwitła. Malone doszedł do wniosku, że ona po prostu nie może źle wyglądać, choćby była w najgorszym nastroju.

- Monsieur. - Kelner podniósł ręce, żeby Malone zachował dystans. Choć mówił po francusku bardzo szybko, sens jego wypowiedzi zdawał się być jasny. Od gości kawiarni wymagano pewnego poziomu i byłoby lepiej, gdyby Malone udał się gdzie indziej.

Siena nie pozwoliła kelnerowi skończyć. Pospieszne pytanie, które mu zadała, zawierało słowo, które brzmiało jak „właściciel”. Odpowiedź kelnera wzbogacona bogatą gestykulacją sugerowała, że właściciel nie jest potrzebny do rozwiązania tego problemu.

Siena odwróciła się do Malone’a.

- Pamiętasz nazwisko właściciela?

- Pierre Benet.

Nazwisko szefa przykuło uwagę kelnera. Wtedy Siena wypowiedziała nazwisko Malone’a i wskazała na niego, dodając po francusku coś, co mogło znaczyć: „Pański szef nas oczekuje”.

Efekt był natychmiastowy. Kelner odrzucił głowę do tyłu, a z jego ust popłynął potok słów. Siena wyglądała na wstrząśniętą.

- Co jest? - zapytał Malone. - Co on powiedział?

- Wiedzą, kim jesteś, ale nie spodziewali się nas.

- Co?

- Operacja została odwołana.

- Jezu Chryste, tylko nie to.

- Co gorsza, oni myśleli, że nie żyjesz.

6

- Chase, to straszne! Nie masz pojęcia, jak okropnie mi wstyd! - lamentował Jeb. Od rozmowy pod kawiarnią minęło dwanaście godzin. Jeb wbiegł po schodach do mieszkania nad lokalem i dyszał ciężko. Wyglądał masywniej niż ostatnim razem, a jego kanciasta twarz była bardziej czerwona niż zwykle. - Gdy nadeszła wiadomość,

byłem w Waszyngtonie. Przyleciałem jak najszybciej. Nie chcę, żebyś pomyślał, że zostawiliśmy cię na lodzie.

- Myśl ta przemknęła mi przez głowę.

- Chryste. - Jeb klepnął Malone'a po udach. - Stary, tyle razem przeszliśmy. Uratowałeś mi życie. Przysięgam: nigdy świadomie nie zostawiłbym cię bez pomocy. Dobrze się tobą opiekowali?

Malone wskazał na stos zużytych kubków, szklanek i talerzy na stole.

- Nie wiem, co im powiedziałaś przez telefon, ale zjawiali się tu chyba co godzina z jedzeniem i kawą.

- Mój Boże, co z twoją twarzą? Co się stało?

- Powinieneś był ją widzieć, zanim została opatrzona. - Malone opowiedział mu, w jakich okolicznościach doznał obrażeń.

- Drań.

- Wybrałbym raczej jakieś mocniejsze określenie.

- A co z... - Jeb odwrócił się do Sieny. Malone przedstawił ich sobie, gdy tylko Jeb pojawił się w pokoju, lecz od tamtej pory rozmowa składała się niemal wyłącznie z przeprosin Jeba. Sprawiał wrażenie zawstydzonego, jak gdyby jej uroda onieśmiewała go. - A pani nic się nie stało?

- Nie. - Siena zmierzyła go wzrokiem. - Ale po tym wszystkim, nie mogę powiedzieć, żebym nabrała do was bezgranicznego zaufania.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby doszła pani do wniosku, że jestem partaczem. Ale proszę mnie wysłuchać. - Jeb przesunął niecierpliwie dłonią po swych krótkich blond włosach. - Chase, po awanturze z Bellasarem w domu aukcyjnym zniknąłeś z powierzchni ziemi. Ostatni raz widziano cię, gdy Bellasar dźgnął cię swoim sygnetem, a jego ludzie wywlekli cię z Sotheby's.

Siena nie знаła szczegółów tego wydarzenia. Pochyliła się, zaniepokojona.

- Wiedzieliśmy, że odjechałeś w limuzynie Bellasara, po czym ślad po tobie zaginął. Dwa dni później z East River wyłowiono zmasakrowane ciało bez palców i bez zębów, którego nie można było zidentyfikować. Twarz denata była spalona lampą lutowniczą.

Siena pobladła.

- Był ubrany jak ty. Wzrost i waga zgadzały się. W kieszeni kurtki znaleziono klucz do pokoju w hotelu „Parker Meridian”, w którym się zatrzymałeś. Możesz chyba zrozumieć, że wniosek nasuwał się sam.

- Tyle tylko, że ludzie Bellasara zabrali moje bagaże i wymeldowali mnie z hotelu - przypomniał Malone. - Gdy dowiedziałeś się, że nie mieszkam już w hotelu, powinieneś się zorientować, że jeszcze żyję.

- Problem polega na tym, że nikt cię nie wymeldował.

- Co takiego?

- Wciąż figurowałeś na liście gości. Gdy weszliśmy do twojego pokoju, twoje rzeczy wciąż tam były.

- To nie były moje rzeczy. Moje bagaże znajdowały się w odrzutowcu Bellasara. Czy pokwapiliście się, żeby porównać próbki włosów ze znalezionych ubrań z próbkami włosów z mojego domu na Cozumel? Próbowaliście porównać próbki DNA...

- Z czym? Chase, nie masz już domu! Po twoim zniknięciu został zrównany z ziemią. Resztki odholowały ciężarówki.

Malone'a zamurowało.

- Ale Bellasar powiedział mi, że odesłał buldożery. Obiecał, że przywróci... - Jego głos zrobił się chrapliwy. - Powiedział mi też, że jego ludzie wymeldowali mnie z hotelu.

- Ale nawet wtedy - wtrącił Jeb - nie dawałem za wygraną. Próbowalem dowiedzieć się, czy ktoś widział cię, jak wchodzisz na pokład odrzutowca. Bez skutku. Sprawdziłem na lotnisku w Nicei, czy odnotowali twoje przybycie do Francji. Bez skutku. Czekałem na sygnał od ciebie. Nic. Minęło pięć tygodni, Chase. Na Boga, wyprawiliśmy nawet po tobie stypę. Nie spodziewałem się, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę. Robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby mój przełożony nie zamknął sprawy, ale w końcu postawił na swoim.

Malone wlepił wzrok w dłonie.

- Rozumiem, że jesteś na mnie wkurzony - kontynuował Jeb - ale co ty byś zrobił na moim miejscu? Przysięgam, nie ma tu niczyjej winy.

Marynarka Jeba była pognieciona po długim locie. Miał zaczerwienione ze zmęczenia oczy. Jego krzepka sylwetka sprawiała wrażenie spuchniętej od zbyt długiego siedzenia.

- W porządku - odezwał się wreszcie Malone.

- Naprawdę chciałbym, żebyśmy puścili całą sprawę w niepamięć, Chase. Nie chcę, żebyś myślał, że cię zawiodłem.

- Nie ma o czym mówić. Wszystko jest po staremu.

- Na pewno? Nie gniewasz się?

- Nie.

- Proszę nie zapominać, że mój mąż wciąż mnie szuka. - Ostry ton Sieny uzmysłowił im, że bez względu na odczucia Malone'a, ona sama nie czuje się bezpieczna. - Cały czas się boję, że w każdej chwili może tu wpaść ze swoimi ludźmi. Jak zamierzacie nam pomóc?

Po raz pierwszy Jeb spojrział jej prosto w oczy.

- Pragnę pani udowodnić, że jestem prawdziwym zawodowcem.

7

Po zapadnięciu nocy trzydzieści kilometrów na wschód od Nicei na wąskiej przybrzeżnej drodze zatrzymała się furgonetka. Wysiedli z niej Malone i Siena w towarzystwie Jeba i trzech uzbrojonych mężczyzn. Gdy furgonetka odjechała, zesłi skalistym zboczem do zatoczki, w której czekała na nich motorówka. Pół mili od brzegu weszli na pokład małego frachtowca i popłynęli w kierunku Korsyki.

- Za dwa dni dostaniecie się na amerykański lotniskowiec, który przebywa w tym regionie na manewrach - wyjaśnił Jeb po potwierdzeniu tego planu drogą radiową. - Stamtąd odleciecie do bazy we Włoszech, a potem - rozłożył ręce - do domu.

- Gdziekolwiek on jest - wybąkała Siena.

Siedzieli we trójkę w anemicznie oświetlonej kuchni pokładowej. Ich eskorta i załoga statku pozostała na pokładzie, obserwując okolicę.

- Mogę was czymś poczęstować? - zapytał Jeb. - Kawa? Gorąca czekolada? Coś mocniejszego?

- Napiłabym się gorącej czekolady - powiedziała Siena.

- Ja też - stwierdził Malone.

- Już podaję. A później... biorąc pod uwagę, przez co przeszliście, na pewno jesteście wykończeni... na rufie są koje.

- Jestem zbyt podenerwowana, żeby zasnąć - oświadczyła Siena.

- Może więc porozmawiamy o tym, co nas tutaj sprowadza.

- Nie można poczekać z tym do jutra? - zapytał Malone.

- Nie chcę was do niczego zmuszać. - Jeb rozerwał torebkę z proszkiem gorącej czekolady. - Niech Siena zadecyduje.

W powietrzu unosił się swąd spalin.

- W porządku. - Westchnęła znużona. - Niech mam to już za sobą.

- To potrwa trochę dłużej, niż myślisz - ostrzegł ją Malone. Frachtowiec zakołysał się, przepływając przez fale.

- Chase, chciałbym w miarę możliwości oszczędzić Sienie przykrości - odezwał się Jeb. - Nie będziemy jej poganiać.

- Więc zacznę ja - zaproponował Malone, dając jej możliwość odpoczynku. - Na terenie posiadłości widziałem dwóch mężczyzn.

Jeb znieruchomiał, nasypując do filiżanki proszek.

- Rosjan - kontynuował Malone. - Jeden z nich sprowadził na pokładzie helikoptera skrzynie ze sprzętem. Gdy strażnicy o mało nie upuścili jednej z nich, Rosjanin bardzo się zdenerwował, jak gdyby obawiał się skutków uszkodzenia jej zawartości. Udało mi się podkraść do budynku, w którym przebywali Rosjanie. Zajrzałem przez okno. W skrzyniach znajdował się sprzęt laboratoryjny.

Siena zmarszczyła brwi, zdając sobie sprawę, jak mało wiedziała o poczynaniach Malone'a w posiadłości jej męża.

- Sprzęt laboratoryjny? - powtórzył Jeb. - Po co?

- Mnie nie pytaj.

- Opisz mi tych Rosjan.

- Mam lepszy pomysł.

- Nie rozumiem. - Jeb spojrzał na niego z zaciekawieniem, które również odmalowało się na twarzy Sieny.

- Masz tu jakiś papier?

Jeb zajrzał do kilku szuflad i znalazł wreszcie ołówek i zeszyt z żółtymi kartkami.

Malone uporządkował myśli i przystąpił do pracy, nie tyle wywołując z pamięci twarze mężczyzn, ile przypominając sobie liczne portrety, które narysował przed dwoma dniami. Odtwarzał ich rysy tyle razy, że bez trudu powielał ruchy, które prowadziły do stworzenia podobizn. Od czasu do czasu, gdy frachtowiec przechylał się pod naporem fali, nie trafiał ołówkiem w zamierzone miejsce, lecz szybko korygował błędy i dodawał nowe szczegóły.

Wydawało mu się, że czas stanął w miejscu. Dopiero później, gdy jego ołówek znieruchomiał, a praca została zakończona, uświadomił sobie, że minęło dwadzieścia minut. Rysując, wydawało mu się, że otacza go cisza. Podsunął szkice Jebowi.

- Przypominają ci kogoś?

- Obawiam się, że nie. - Jeb zbliżył je do światła. - Ale są bardzo udane. Jestem pewien, że ktoś w CIA będzie w stanie ich zidentyfikować. Udane? Co ja mówię? To prawie zdjęcia. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Malone odwrócił się do Sieny.

- Jeśli nie jesteś zmęczona, chciałbym cię o coś zapytać.

- Tak?

- Myślę, że skróci to twoje przesłuchanie. Możemy jednak poczekać do jutra, jeśli...

- Nie, zaciekawileś mnie.

- Czy mężczyzna, z którym twój mąż miał spotkanie w Stambule, wymienił swoje nazwisko?

Pytanie zaskoczyło Jeba, który pochylił się do przodu.

- Jaki mężczyzna?

- Nigdy nie znałam nazwisk osób, z którymi Derek robił interesy - oznajmiła Siena. - Kiedy wykorzystywał mnie jako przynętę, ludzie, z którymi się spotykał, unikali nawet zwracania się do siebie po imieniu.

- Stambuł? - zastanawiał się Jeb. - Kiedy to było?

Siena podała mu szczegóły.

- Spotkanie było ważne, gdyż Derek bardzo się przed nim denerwował.

- Próbujemy śledzić poczynania twojego męża - powiedział Jeb - tymczasem pierwsze słyszę o tym spotkaniu.

- Nie brzmi to pocieszająco - skomentowała Siena.

Jeb spuścił wzrok na swoją filiżankę.

Malone przygotował ołówek.

- Opisz mi go.

Siena kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Typ bliskowschodni.

- Opisz kształt twarzy.

Spojrzała przed siebie, szukając w pamięci.

- Prostokątna.

- Wąska?

- Bardzo.

- Zarost?

- Cienki wąsik.

- Prosty czy podwinięty?

Pod okiem Jeba Malone zaczął wyczarowywać ołówkiem twarz zgodną z opisem Sieny. Większość jego pytań dotyczyła geometrii - interesował go kształt ust, nosa i oczu. Wysokie czy niskie czoło? Wiek? Zbliżał się do pięćdziesiątki? Malone dodał kurze łapki wokół oczu i zmarszczki na czole.

- Zaczyna go przypominać?

- Miał pełniejsze wargi.

Malone naniósł poprawki.

- Miał bardziej surowy wzrok.

- Świetnie.

Malone wyrwał kartkę i zaczął nowy rysunek, kopiując szczegóły z pierwszego próbnego szkicu, za to pomijając ślady po gumce i gąszcz niepotrzebnych linii. Pracując nad rysunkiem oczu, nadał im surowy wyraz, o czym wspomniała Siena.

- A kości policzkowe?

- Często miał minę, jakby połknął coś kwaśnego. Miał zapadnięte policzki.

Ołówek Malone'a poruszał się szybciej.

Jeb zajrzał mu przez ramię.

- O rany, rozpoznaję tego faceta.

- Co?

- Gdy przydzielono mnie do sprawy Bellasara, musiałem zapoznać się z innymi handlarzami bronią na czarnym rynku. To jest Taria Ahmed, jego główny konkurent. Kilka lat temu podzielili się strefami wpływów. Bellasarowi przypadła Afryka, Europa i Ameryka Południowa. Ahmedowi Bliski Wschód i Azja. Mimo to Bellasar sprzedawał broń w Iraku, a Ahmed w Etiopii. Lecz z reguły nie dochodziło między nimi do konfliktów, zwłaszcza że mieli problemy z innymi handlarzami bronią, którzy próbowali odebrać im część terytoriów. Ale po co się spotkali teraz? Czyżby rozejm zaczął się kruszyć?

- Nie mam bladego pojęcia - odparła Siena. - Mój mąż nigdy nie omawiał interesów w mojej obecności. O tym, jak dorobił się fortuny, dowiedziałam się przypadkowo.

- Twierdzi pani zatem, że ani razu nie wymienił przy pani nazwiska lub szczegółów transakcji.

- Zgadza się.

- Więc o czym rozmawialiście?

- O niewielu sprawach. Gdy Derek mnie poślubił, stałam się jedną z jego rzeczy, częścią majątku.

Jeb wyglądał na zawiedzionego. Na pewno spodziewał się, że usłyszy coś więcej.

- Dlatego chciałem od razu dać ci te rysunki - wytłumaczył Malone. - Nic więcej z nas nie da się wyciągnąć.

- Może nie. Trudno przewidzieć, co się wydarzy podczas przesłuchania: a nuż coś sobie przypomnicie, jakieś zasłyszane gdzieś słowa, które wówczas wydały się wam niezrozumiałe lub mało istotne.

- Im szybciej to się stanie, tym szybciej będę wolna. Zaczniemy z samego rana?
Jeb kiwnął głową.

Gdy Siena i Malone wstali, kierując się w stronę koi na rufie, Jeb dodał:

- Chase, moglibyśmy jeszcze zamienić słówko?

- Jasne.

- Na pokładzie.

- Jasne - powtórzył Malone, zaintrygowany. Dotknął ramienia Sieny. - Do zobaczenia.

Odwzajemniła jego dotyk, po czym znikła na zatopionej w mroku rufie.

Malone ruszył za Jebem, który po schodach wydostał się na ciemny pokład. Nad nimi rozpościerał się firmament gwiazd. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział ich aż tyle. Chłodna bryza rozwiewała mu włosy.

- Musisz mi coś wyjaśnić - powiedział Jeb.

- Tak?

- Chciałbym się tylko upewnić, czy to prawda. Tak bardzo się o nią troszczysz...
Dotknąłeś teraz jej ramienia w taki sposób... Słuchaj, czy jest coś między wami?

- Słucham?

- To nie jest chyba trudne pytanie. Czy łączy was jakieś uczucie?

- Nie twoja rzecz.

- Słuchaj, odpowiadam za tę sprawę.

- Naprawdę?

- Nie miałeś szkolenia psychologicznego, więc pozwól sobie powiedzieć, że sytuacja robi się pogmatwana, gdy agent zakochuje się w informatorze. Tracisz między innymi swój obiektywizm. Pojawia się ryzyko, że przegapisz coś, co jest nam potrzebne.

- Mówisz, jakbym dla was pracował - stwierdził Malone.

- A czy tak nie jest?

- Gdy mnie wciągnęliście, mówiłem, że to dla mnie sprawa osobista, nie mająca nic wspólnego z CIA.

- Teraz bez wątpienia jesteście ci potrzebni - oznajmił Jeb - więc może przemyśl swoje stanowisko. Siena jest najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem. Nic dziwnego, że ci się podoba. Ale to głównie jej poszukuje Bellasar. Jeśli przy niej zostaniesz, zwiększy się prawdopodobieństwo, że wpadniesz mu w łapy.

- Tylko jeśli wy coś spartaczycie.

Jeb spojrział w stronę czarnego jak smoła morza, próbując się uspokoić.

- Próbuję ci tylko pomóc. Robisz błąd.

- Błędem byłoby przepuścić szansę związania się z nią.

- Chase, robię wszystko, żeby zachować się taktownie - odparł Jeb. - Taka sytuacja nie zdarza się po raz pierwszy. W dziewięciu przypadkach na dziesięć, gdy agent angażuje się w uczuciowy związek z informatorem, ich miłość gaśnie, gdy tylko opadną emocje związane z operacją. Chłopie, sam kopiesz pod sobą dół.

- Radzę ci, żebyś od tej pory - głos Malone'a brzmiał lodowato - nie zakładał, że jestem jednym z waszych agentów.

- Jak sobie życzysz.

- No właśnie - rzekł Malone. - Tego sobie życzę.

8

Przesłuchanie rozpoczęło się rano. Trwało do następnego dnia, aż zostali przeniesieni na pokład lotniskowca. Podczas lotu do bazy we Włoszech odpoczęli trochę, lecz gdy tylko amerykański samolot transportowy C-130 wystartował stamtąd, Jeb wznowił przesłuchanie. Asystował mu jeden z uzbrojonych członków eskorty, rozmawiając raz z Malone'em, raz ze Sieną, lecz za każdym razem w odosobnionych miejscach, gdzie nie można ich było podsłuchać. Jeb i jego asystent zmieniali się: chodziło o to, by przesłuchiwana osoba nie przyzwyczaiła się do konkretnego stylu indagacji, a ponadto przesłuchujący mógł ponowić pytanie partnera, lecz sformułować je w taki sposób, który obudzi coś w pamięci przesłuchiwanego.

Nie było to przesłuchanie *sensu stricto*, chociaż uprzejme, acz uporczywe i pozornie niekończące się pytania przypominały takowe. Od Sieny wymagano

arcytrudnego zadania zrekonstruowania pięciu lat małżeństwa. Malone miał do zrelacjonowania jedynie pięć tygodni, lecz im dłużej kazano mu wracać do tego okresu, tym większe odczuwał znużenie. Współczuł Sienie, która musiała być naprawdę wyczerpana, mając o wiele trudniejsze od niego zadanie.

Od samego początku przesłuchań nie pozwalano Malone'owi i Sienie spotykać się. Teoretycznie mogli bowiem porównywać swoje zeznania, mimowolnie kształtując wzajemnie wspomnienia i upodabniając swoje wersje wydarzeń. Tylko Jeb i jego asystent byli uprawnieni do dokonywania porównań i z zapalem wynajdowali niespójności, które wykorzystywali do zadawania jeszcze bardziej wyrafinowanych pytań, aby sięgać do coraz głębszych pokładów ich pamięci.

Gdy samolot wylądował w bazie lotniczej Andrews, całą grupę przetransportowano helikopterem do posiadłości leżącej wśród lasów i wzgórz Wirginii. Na miejscu, ku niezadowoleniu Malone'a, znów nie pozwalano mu widywać się ze Sieną. Z leśnej polany, gdzie wylądował helikopter, przewieziono ich osobnymi samochodami do nowoczesnej, rozległej rezydencji z metalu i szkła. Była mniejsza od zamku Bellasara. Budulec i projekt obydwu budynków całkowicie się różniły, lecz Malone z niepokojem skonstatował, że niewiele się zmieniło i znów znalazł się w punkcie wyjścia. Ogrodnicy, którzy nie wykazywali żadnego zainteresowania ogrodem i wyglądali zupełnie nie na miejscu o tej porze roku, potwierdzili tylko jego podejrzenia: byli strażnikami.

Samochód Sieny zajechał pierwszy. Gdy Malone wysiadł ze swojego, trzech mężczyźni prowadzili już ją przez podwójne drzwi do środka. Zanim zniknęła za drzwiami, zdążyła się jeszcze odwrócić, rzucając Malone'owi smutne spojrzenie, który przywiodło mu na myśl zamknięte w klatce zwierzę. Nigdzie nie widział Jeba. Nie znajdując nikogo, komu mógłby się poskarżyć, Malone pozwolił wprowadzić się do środka.

Podłogi w rezydencji wyłożone były klepką, a sufity podtrzymywane belkami. Korytarze prowadziły na prawo, na lewo i prosto. Malone nie potrafił stwierdzić, gdzie umieszczono Sienę, lecz jego poprowadzono na lewo do sypialni na samym końcu korytarza. Był to przestronny i funkcjonalnie urządzone pokój. Malone zwrócił jednak największą uwagę na duże pojedyncze okno, którego nie mógł otworzyć i które było wyjątkowo grube - zapewne miało kuloodporną szybę. Wyjrzał przez nie na basen osłonięty wciąż zimową siatką. Za nim wznosiły się wzgórza pokryte bezlistnymi drzewami. Dostrzegł kort tenisowy, stajnię, teren jeździecki: odniósł jednak wrażenie,

że od dawna nikt z nich nie korzystał. Wątpił też, czy miejsca te zostaną udostępnione jemu i Sienie. Zauważył przyglądającego mu się „ogrodnika”. Odwrócił się i obejrzał miejsce w górnym rogu pokoju, gdzie mogła kryć się miniaturowa kamera.

Bolały go nogi od zbyt długiej podróży w powietrzu. Dokuczala mu też głowa po zmianie strefy czasowej. Z braku snu piekły go oczy. Od dwóch dni nie dano mu możliwości porozmawiania ze Sieną. Gdzie ją trzymali? Co z nią robili? Wydawało mu się, że znalazł się z powrotem w posiadłości Bellasara. - Co za kurestwo - skierował te słowa do miejsca, gdzie przypuszczalnie ukryto kamerę i mikrofon.

Podszedł do drzwi, spróbował je otworzyć, lecz okazało się, że są zamknięte. Tarcza numerowa z prawej strony wskazywała na to, że aby wyjść, musi wcisnąć numer kodowy.

- Hej! - Zaczął walić w drzwi. - Niech ktoś mnie wypuści!

Bez odzewu.

Zaczął walić głośniej.

- Otwierać te cholerne drzwi!

Nic.

- Doskonale. - Podniósł lampką nocną i cisnął nią w okno. Lampka rozbiła się na kawałki, lecz szyba pozostała nienaruszona. Chwycił lampkę z drugiej strony łóżka i rzucił nią w lustro nad biurkiem, zasłaniając twarz przed latającymi odłamkami szkła. Wyciągnął szufladę z komody i walnął nią o stolik ze szklanym blatem w kącie pokoju. Drugą szufladę cisnął w instalację świetlną na suficie, niszcząc ją kompletnie. Chwycił już trzecią szufladę, gotów udać się do łazienki, gdy metaliczny dźwięk skierował jego uwagę na drzwi.

Ktoś przekręcił gałkę. Drzwi otworzyły się.

W progu pojawił się Jeb, kręcąc głową z niezadowoleniem. Sprawiał wrażenie, jakby się dusił w krępującym jego potężną sylwetkę ubraniu.

- Co ty wyrabiasz?

- Gdzie jest Siena?

- Kiedy skończymy, będziesz się mógł z nią zobaczyć.

- Nie, zobaczę się z nią zaraz. - Malone ruszył w jego stronę.

Jeb położył mu na ramieniu dłoń, żeby się opamiętał.

- Jest jeszcze za wcześnie.

- Zejdź mi z drogi.

- Słuchaj, jest regulamin, którego musimy przestrzegać.

- Nie teraz. Gdzie ona jest?

- Chase, robisz...

Malone odepchnął go.

- Zatrzymaj się!

Malone wymaszerował z sypialni.

Nagle wyrósł przed nim uzbrojony mężczyzna, który podniósł do góry dłoń.

- Będzie pan musiał wrócić do...

- Idź do diabła. - Malone precyzyjnie się obok niego. - Siena!

- Zatrzymaj się! - powtórzył Jeb.

Na korytarzu zastąpił mu drogę strażnik i zaczęli się przepychać. Malone udał, że stracił równowagę, i gdy pewny siebie strażnik podszedł do niego, żeby znów go popchnąć, usztywnił palce prawej dłoni i grzmotnął strażnika w przepoń. Mężczyzna pobladł nagle i charcząc, padł na kolana. Malone obrócił się i otwartą dłonią zdzielił w klatkę piersiową drugiego strażnika, który do niego podbiegł. Ten odskoczył do tyłu, jak gdyby pociągnięty niewidzialną linką i runął na ziemię.

Malone przyjął postawę ofensywną, szykując się do walki z Jebem.

- Teraz twoja kolej?

- Panie Malone.

Odwrócił się w stronę mężczyzny pod sześćdziesiątkę o surowym wyglądzie urzędnika.

- Wydaje mi się - oznajmił - że powinniśmy porozmawiać.

9

Mężczyzna miał rzadzące włosy, był średniego wzrostu i średniej budowy ciała, lecz sztywno wyprostowana sylwetka i władcze spojrzenie oczu, powiększonych jeszcze przez szkła okularów w metalowej oprawie, dawały złudne wrażenie, że jest postawniejszy niż w rzeczywistości. Opuścił właśnie w towarzystwie dwóch asystentów pokój w głębi korytarza. Drzwi pozostały uchylone.

- Jest tam Siena?

Mężczyzna rozłożył ręce.

- Proszę samemu zobaczyć.

Malone minął pierwszego strażnika, nie zwracając uwagi na jego próbę podniesienia się. Minął też szybko „urzędnika” i wszedł do pokoju - biura ze

szklanymi półkami, komputerem na biurku i kilkoma monitorami telewizyjnymi, z których jeden pokazywał bałagan w pokoju Malone'a. Nie znalazł Sieny ani w pokoju, ani na żadnym z monitorów.

- Powiedziałem wam już wszystko - oznajmił Malone, gdy do pokoju wszedł nieznajomy z dwoma asystentami, a na końcu Jeb, zamykając drzwi. - Nie po to angażowałem się w całą tę sprawę, żeby traktowano mnie jak więźnia. Gdzie jest Siena? Chcę się z nią zobaczyć.

- No tak, z pańskich akt wynika, że ma pan problem z subordynacją.

- Zaraz wam pokażę problem - Malone podniósł monitor komputera i cisnął nim o ziemię. Ekran rozbił się. - Może jeszcze jeden?

- To pan jest największym problemem. Postawił pan sprawę jasno. Proszę teraz mnie dać szansę.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że wciąż się nie rozumiemy?

- Dziesięć minut.

- Co?

- Po upływie tego czasu będzie pan mógł się z nią zobaczyć.

Malone znieruchomiał, przyglądając się podejrzliwie nieznajomemu.

- Ma pan za sobą długą podróż. Proszę usiąść. Ma pan ochotę na coś do jedzenia lub picia?

- Traci pan swoje dziesięć minut.

- Nazywam się Jeremy Laster.

- Wątpię, czy podałyby mi pan prawdziwe nazwisko, ale niech tak zostanie: nazywa się pan Jeremy Laster.

Laster westchnął.

- Co do pańskiego związku z panią Bellasar - położył nacisk na słowo „pani”, jak gdyby sądził, że trzeba o tym przypomnieć Malone'owi - mogę zrozumieć, dlaczego z taką niecierpliwością czeka pan na spotkanie z nią, ale przez jakiś czas nie możemy na to pozwolić.

- Przez jaki czas?

- Ciężko powiedzieć.

- Tylko się panu tak wydaje. - Malone ruszył w stronę drzwi. Jeb i dwaj asystenci Lastera zastąpili mu drogę.

- Zostało mi jeszcze dziewięć minut - przypomniał Laster.

Malone zastanawiał się, czy spróbować wyjść na siłę, lecz odpowiedział Lasterowi:

- Proszę bardzo.

- Powtarza pan, że nie ma z nami nic wspólnego. Trudno więc szczerze z panem rozmawiać. Agenci CIA muszą być dobrze poinformowani, ale jeśli chodzi o kogoś z zewnątrz... - Laster bezradnie rozłożył ręce.

- Mam zasilić szeregi CIA, a wtedy powiecie mi, co się dzieje?

- Niezupełnie. Znam pana na tyle, żeby wiedzieć, że nie chcemy pana.

- Cieszę się, że w tej sprawie panuje między nami zgoda.

- Próbuję panu uświadomić, że gdyby nie nadzwyczajne okoliczności, niczego nie musiałbym panu tłumaczyć. - Laster podszedł do biurka i wziął do ręki jednostronicowy dokument. - To oświadczenie zobowiązuje pana do zachowania tajemnicy. Nie wolno panu wyjawiać ani słowa z tego, co zaraz panu powiem. Za złamanie tego zakazu grozi surowa kara.

- Na przykład bezimienny grób w lesie.

- Proszę zachowywać się poważnie.

- A czy ja żartuję? - Malone przeczytał dokument. - Mam więc to podpisać, a wtedy powiecie mi, co się dzieje?

Laster podał mu długopis.

Malone skreślił niecierpliwie swój podpis.

- Dobrze. Teraz proszę mówić.

- Wreszcie robimy postępy. - Laster włożył dokument do teczki i wyciągnął czarno-białe zdjęcie mężczyzny, którego Siena poznała w Stambule. Fotografia przypominała szkic Malone'a. - Jak panu wiadomo, pan Wainright rozpoznał tego mężczyznę. To Taria Ahmed, handlarz bronią. Bardzo nas interesuje cel ich spotkania. Sądzymy, że dwaj mężczyźni, których widział pan na terenie posiadłości Bellasara, stanowią klucz do odpowiedzi na to pytanie. - Laster wyciągnął jeszcze dwa czarno-białe zdjęcia. - Dzięki pańskim dokładnym szkicom pracownicy naszej rosyjskiej komórki ustalili ich tożsamość. Są to Wasilij Gribanow i Sergiej Bułganin. - Laster zrobił pauzę. - Specjalizują się w broni biologicznej.

- Bio...

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim Rosjanie stworzyli ośrodek badań nad bronią biologiczną zwany Biopreparat. Gribanow i Bułganin znaleźli się w

nim w osiemdziesiątym trzecim. Każdy z naukowców miał swoją specjalizację. Karbunkuł, zaraza płucna. Gribanow i Bułganin wybrali ospę.

Malone poczuł zimny dreszcz.

- Myślałem, że ospa została opanowana.

- Owszem, ogólnie rzecz biorąc, została wytępiona. Ostatni znany przypadek zanotowano w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym. Ale na wypadek gdyby znów miała zaatakować, postanowiono zamrozić niewielką ilość wirusa dla celów badawczych. Część znajduje się w Stanach. Część w Rosji. Naukowcy - to leży w ich naturze - uwielbiają wprowadzać ulepszenia. Gribanow i Bułganin uznali, że ospa w swej naturalnej formie nie jest wystarczająco niebezpieczna, więc zmienili budowę genetyczną wirusa, żeby uczynić go bardziej agresywnym.

- Ależ to szaleństwo. - Malone poczuł swędzenie, jakby sam został właśnie zarażony.

- Gribanow i Bułganin pracowali razem przez osiem lat, prowadząc eksperymenty i wykonując testy. Ale w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym, gdy Związek Radziecki rozpadł się, przestały napływać pieniądze na badania. Okazało się, że są bezrobotni. Zaproponowali więc swe usługi innemu pracodawcy.

- Bellasarowi.

Laster kiwnął głową.

- Jak się okazuje, Ahmed przywiązuje mniejszą wagę do środków bezpieczeństwa niż Bellasar. Nasilając inwigilację jego współpracowników, udało się nam dowiedzieć o spotkaniu w Stambule. Wygląda na to, że Bellasar chętnie sprzeda broń biologiczną każdemu, kto będzie gotów zapłacić odpowiednią cenę, nie chce jednak, aby bezpośrednio łączono go z transakcją. Wolałby sprzedać broń Ahmedowi i pozwolić mu zadysponować nią według uznania. Dlatego spotkanie nie przebiegło tak gładko, jak życzyłby sobie Bellasar. Ahmed doszedł do wniosku, że jeśli ma ponieść ryzyko sprzedaży tej broni, Bellasar powinien zaproponować mu lepsze warunki finansowe. Bellasar twierdzi z kolei, że Ahmed nie powinien być chciwy, gdyż sprzedaż broni i tak gwarantuje mu pokaźny zysk.

- Kto będzie kupcem?

- Mamy nadzieję, że pani Bellasar odpowie nam na to i inne pytania.

- Ona nic nie wie.

Laster bezustannie mierzył go wzrokiem. Malone pokręcił głową z niesmakiem.

- W jaki sposób ta broń jest aktywowana?

- Za pomocą rozpylanego mikroskopijnego proszku. Najlepiej otworzyć pojemniki z proszkiem, przelatując nad miastem. Według szacunków naszych ekspertów sześć pojemników opróżnionych w wietrzny dzień skazi kilka kilometrów kwadratowych.

- Ale wtedy epidemia wymknie się spod kontroli - powiedział Malone. - Zanim u niektórych pojawią się pierwsze symptomy, mogą przenieść wirus, choćby przelatując samolotem do którejś ze światowych metropolii. Wybuchłaby wtedy globalna epidemia.

- Nie w tym przypadku - wyjaśnił Laster. - Broń ma zabezpieczenie, które nie pozwala na rozprzestrzenienie się choroby poza wyznaczony cel.

- Zabezpieczenie?

- Broń ta jest dlatego tak unikatowa, że Gribanow i Bułganin dokonali genetycznych zmian w budowie wirusa, dzięki którym jest on niegroźny, chyba że nastąpi połączenie z innym wirusem, łagodnym, lecz rzadkim.

- Dlaczego? Jakemu celowi ma to służyć?

- Najpierw wypuszcza się łagodny wirus. Po zainfekowaniu danej populacji wypuszcza się drugi wirus, śmiertelny. Lecz na kogoś, kto nie został zarażony łagodnym wirusem, śmiertelny wirus nie działa, co oznacza, że nawet jeśli nosiciel śmiertelnego wirusa odleci samolotem przed ujawnieniem się symptomów, nie doprowadzi do wybuchu epidemii w innym kraju, ponieważ populacja, do której trafi, nie została zainfekowana wirusem łagodnym.

- Chyba, że nosiciel łagodnego wirusa wcześniej przybył do tego kraju.

- To niemożliwe.

- Naprawdę?

- Żywotność wirusa łagodnego wynosi sześć godzin, jeśli nie dochodzi do połączenia z wirusem śmiertelnym. Nie znosi dobrze podróży. Zginie, zanim ktoś doleci z Tel Awiwu do Rzymu, Paryża lub Nowego Jorku. Zatem nosiciel śmiertelnego wirusa nie może go dalej przekazać.

- Jezu.

- Jest to ogromne osiągnięcie w dziedzinie konfliktów militarnych - stwierdził Laster. - Masowa, kontrolowana zagłada istnień ludzkich bez niszczenia dóbr materialnych.

- Po co ktoś chciałby tworzyć taką broń? - wtrącił się Jeb. - Czyż Bellasar nie jest wystarczająco bogaty?

- To nie jest kwestia pieniędzy. Chodzi o władzę - skonstatował Malone.

Laster kiwnął głową.

- Podobnie twierdzą nasi analitycy, lecz ich konkluzja jest czysto teoretyczna. Nigdy nie mieliśmy dostępu do osoby, która spędziła z nim tyle czasu, co pan. Nie licząc...

- Sieny.

- Ona zna mechanizmy, które rządzą jego emocjami. W naszych próbach uniemożliwienia mu dalszej działalności, każda uwaga jego żony może okazać się niebywale cenna.

- A zatem przesłuchanie może potrwać całą wieczność?

Laster rozłożył ręce fatalistycznie.

- Ty bydlaku.

- W grę wchodzi życie milionów istnień ludzkich.

- Co nie znaczy, że musicie ją więzić.

- Bellasar nigdy nie przestanie jej szukać. Naprawdę pan sądzi, że jeśli ją stąd wypuścimy - nieistotne pod jakim nazwiskiem - nie wpadnie w końcu w jego ręce? Nie ma dla niej bezpieczniejszego miejsca na całym świecie.

- Więc dlaczego nie pozwalacie mi się z nią spotkać?

- Ponieważ jeśli odwzajemnia pańskie uczucia, im dłużej będzie trzymana z dala od pana, tym bardziej będzie się czuła nieszczęśliwa. Dzięki temu mamy na nią wpływ. Nie jesteśmy pewni, czy możemy jej zaufać. Może żałuje teraz, że zdradziła męża. Może skrywa przed nami najważniejsze informacje. Ale jeśli wie, że nie może się z tobą zobaczyć, dopóki nie przekona nas, że zeznała już wszystko, będzie miała większą motywację do zwierzeń.

- „Bydlak” był jednak zbyt łagodnym określeniem - stwierdził Malone. - Chcicie uniemożliwić Bellasarowi działalność? Wyślijcie tam brygadę, niech go zamordują. Zbombardujcie jego posiadłość, zrównajcie ją z ziemią i posypcie solą.

- Bardzo byśmy chcieli.

- Więc dlaczego nie...

- Ponieważ musimy mieć pewność, że broń biologiczna jest bezpieczna. Poślemy tam naszych ludzi, gdy nadejdzie właściwy moment, a my będziemy odpowiednio przygotowani.

- Powiedzieliśmy wam wszystko, co wiemy.
- To się jeszcze okaże.
- Chcę ją zobaczyć.
- Bardzo proszę. - Laster wskazał na jeden z monitorów telewizyjnych.

Malone podszedł do monitora i poczuł, jak przyspiesza mu puls. Odwrócona plecami do kamery Siena wyglądała przez okno, podobne do tego, które znajdowało się w jego pokoju. Obraz był czarno-biały, niewyraźny i zniekształcony, a kamera filmowała ją z góry z głębi pokoju. Nic jednak nie mogło przyćmić jej urody.

- Dziś wieczorem zamierzamy przesłuchać ją ponownie na temat siostry Bellasara - oświadczył Laster. - Nikt z nas o niej nie wiedział. Zależy nam na dalszych szczegółach.

- Wypchajcie się.

10

Gdy Malone wrócił do swego pokoju, przywrócono w nim już porządek: wymieniono lampki, stolik i lustro, usunięto potłuczone szkło. Drzwi od szafy były uchylone. Zajrzał do środka i znalazł ubrania na wieszakach - sportową kurtkę, dwie koszule, parę dżinsów, parę spodni - wszystkie nowe i w jego rozmiarze. No tak, pomyślał, zupełnie jak u Bellasara.

Za oknem pociemniało niebo, zanosiło się na deszcz, a bezlistne gałęzie kołysały się na wietrze. Podszedł do okna i obserwował na szybie pierwsze krople deszczu. W pokoju nie paliło się światło. Niebo robiło się coraz bardziej szare, przez co późne popołudnie wyglądało jak wieczór.

Powiniennem być jeszcze raz spróbować ją odnaleźć.

Gdy dwóch strażników czeka tylko na pretekst, żeby się z nim policzyć? Nie wspominając już o jednym z asystentów Lastera, który miał ze sobą podejrzenie wyglądającą płaską czarną teczkę: taką, w której lekarze przechowują strzykawki. Malone był pewien, że gdy ponownie spróbuje dostać się do Sieny, zaaplikują mu środki uspokajające.

Tak jak Bellasar w domu aukcyjnym, gdzie dźgnął go swoim sygnetem. Uspokój się, strofował siebie. Musisz się kontrolować. Jeszcze raz wszystko przemyśl. No dobrze, pomyślał. Nawet gdyby pozwolono im stąd odejść, co dalej? Malone liczył na to, że CIA rozwiąże ten problem, lecz Laster niczego im nie obiecywał. Bellasar nie

zaniecha poszukiwań i jako człowiek o ogromnych możliwościach, w końcu trafi na ich ślad. Tymczasem każdy cień będzie ich przyprawiał o drżenie. Potrzebowali też pomocy Agencji choćby w sprawie nowych dokumentów. Jak mieli się ukrywać bez nowych kart kredytowych, praw jazdy i paszportów?

Deszcz bębnił o szybę. Na zewnątrz zrobiło się tak ciemno, że Malone dostrzegł w oknie swoje zmartwione odbicie.

Ktoś zapukał do drzwi. Odwracając głowę, zauważył, że drzwi się otwierają, a jego gość nie ma w ręku klucza. Doszedł do wniosku, że wprawdzie aby wydostać się z pokoju, potrzebny jest kod, od zewnątrz drzwi otwierają się poprzez przekręcenie gałki.

Gościem okazał się Jeb, który miał niepewną minę. W jednym ręku trzymał zgrzewkę sześciu Budweiserów, a w drugim butelkę Jacka Danielsa.

- Między nami zgoda?
- Zawiodłem się na tobie.
- Odebrano mi tę sprawę.
- Czy kiedykolwiek ją kontrolowałeś?
- Tak mi się zdawało, ale myliłem się. Mogę wejść?.
- Od kiedy pyta się tu więźniów o zgodę?
- Od teraz.

Malone odetchnął ciężko i machnięciem dłoni zaprosił go do środka.

- Czego sobie życzysz? - Jeb ustawił na biurku whisky i piwa.
- Przydałyby się paszporty.

Jeb zmarszczył brwi.

- Nowe dowody osobiste, które dałyby mi złudne poczucie, że jest przede mną jakaś przyszłość.

Jeb otworzył usta, lecz zaraz je zamknął, zamyślił się i wreszcie powiedział:

- Zobaczę, co się da zrobić.
- A ja miałem nadzieję, że nowe dokumenty są w trakcie wyrabiania.

Jeb unikał tego tematu.

- Co zjesz na kolację?
- Jesteś teraz kierownikiem stołówki?
- Próbuję tylko cię zadowolić.
- Niedługo zaczniesz zostawiać czekoladki na łóżku.

- Słuchaj, przyznaję, że jesteś w trudnej sytuacji. Ale tak jak mówią o prawdziwym więzieniu: odsiadkę można sobie albo umilić, albo uprzykrzyć. Więc może damy sobie gazu, wtrząśniemy po schabowym na kolację i pooglądamy wieczorem koszykówkę w telewizji? Mogłoby być gorzej.

- ...Chcę się z nią zobaczyć.

- Wiem, stary.

- Zaprowadź mnie do niej.

- Przykro mi. Naprawdę. Jeśli cię to pocieszy, ona też domaga się spotkania z tobą.

Malone poczuł ukłucie w piersi.

- Niczego innego nie chce - kontynuował. - Posłuchaj, gdyby decyzja zależała ode mnie... - Jeb odkręcił korek z butelki. - Ale Laster uparł się, żeby zmotywować ją do większej koncentracji. Jego zdaniem, gdyby dostała, o co prosi, nie miałyby powodu, żeby nam pomagać.

- Pewnego dnia on i ja odbędziemy na ten temat długą rozmowę.

Deszcz coraz głośniejsze walił w szybę.

- Masz jakieś szklanki? - zapytał Jeb.

- Może są w łazience.

Trzasnął piorun.

- Zobaczę - zaproponował Jeb.

Kolejny grzmot wstrząsnął budynkiem. Szyba w oknie nie była wystarczająco gruba, żeby nie przepuścić stłumionego krzyku. Jeb zatrzymał się w miejscu i znieruchomiał.

- To nie był piorun - oznajmił Malone.

- Chryste. - Jeb rzucił się do wyjścia i wystukał kod na tarczy. Gdy szarpnął drzwi, Malone ruszył za nim, słysząc zamieszanie na korytarzu, szybkie kroki, strzępy rozmów.

- ...od tyłu!

- Wdarli się...

Na zewnątrz po serii z broni maszynowej rozległ się krzyk i kolejna eksplozja. Jeb pobiegł korytarzem, wołając do Malone'a:

- Zostań tu!

Niedoczekanie, pomyślał Malone i rzucił się za nim. Dwaj strażnicy, z którymi wcześniej miał do czynienia, mierzyli z pistoletów w stronę głównego wejścia. Inni rozbiegli się po korytarzach.

Ostrzał nasilił się, gruchnęła trzecia eksplozja.

Muszę odnaleźć Sienę, pomyślał Malone.

Skierował się w stronę środkowego korytarza. Laster i jego dwaj asystenci wybiegli z pokoju po lewej stronie. Poblądły Laster zatrzasnął za sobą drzwi, zatrzymał przebiegającego strażnika i zasypał go pytaniami.

Malone odwrócił się do strażnika, którego wcześniej uderzył w brzuch.

- Daj mi pistolet.

Wpatrując się w główne wejście ze zroszonym potem czołem, strażnik sprawiał wrażenie, jakby go nie słyszał.

- Do diabła, posłuchaj, muszę mieć pistolet!

- Proszę wracać do swego pokoju! - rozkazał mu zbliżający się Laster.

- Gdzie jest Siena?

Kolejna eksplozja zatrzęsała frontowymi drzwiami. Na końcu środkowego korytarza pojawił się dym. Choć na zewnątrz dom zbudowany był z metalu i wzmocnionego szkła, w środku drewniane ściany i belki zajęły się ogniem. Krzyki na zewnątrz wzmogły się. I nagle strzelanina przeniosła się do środka. Malone usłyszał raniącą uszy serię z broni maszynowej. Po niej nastąpiły szybkie pojedyncze strzały z pistoletów. Dym robił się coraz gęstszy.

- Proszę wracać do... - chciał powtórzyć Laster, lecz przerwały mu strzały.

- Powiedzcie mi, gdzie jest Siena!

- Nie rozumiem, jak... - Laster odwrócił się do jednego z asystentów. - Sprowadź tu tę kobietę.

Asystent spojrział na podchodzący coraz bliżej dym i cofnął się.

- Sprowadzić ją! - powtórzył Laster.

- Gdzie ona jest? - zażądał odpowiedzi Malone. - W pokoju, z którego właśnie wyszliście?

Laster odwrócił głowę w stronę eksplozji na zewnątrz.

- Niech was szlag. - Malone wziął głęboki wdech i przecisnął się między nimi. Dym, który otoczył go ze wszystkich stron, szczypał w oczy i zamazywał pole widzenia. Domyślał się, że wypuszczono trujący gaz, ale wolał nie zastanawiać się nad tym.

Musiał odnaleźć Sienę. W powstałej wirującej mgłę nie był w stanie określić, jaki przeszedł dystans.

Dotarł do jakichś drzwi, przekręcił gałkę i pchnął je.

- Siena!

Do środka nie dostał się jeszcze dym. W jego płucach znalazło się słodkie powietrze. Lecz dym zaraz zaczął sączyć się do pokoju. Ale wtedy Malone wiedział już, że nie ma w nim Sieny. Na łóżku nie było nawet pościeli.

Wykorzystując resztki nieskażonego dymem powietrza, wziął jeszcze jeden głęboki wdech i wrócił na zadymiony korytarz, kontynuując poszukiwania.

- Siena! - Pchnął następne drzwi i znalazł kolejny pusty pokój. Wydawało mu się, że z dalszej części korytarza usłyszał stłumiony krzyk. - Chase! - Czyżby się przesłyszał? Wyobraził sobie coś, co bardzo chciał usłyszeć? Podbiegł do następnych drzwi i tym razem, gdy wtargnął do środka, ujrzał przed sobą Sienę. Natychmiast znalazła się przy nim. Kaszląc, chciał zatrzaskać za sobą drzwi, żeby dym nie wdzierał się do środka, lecz przypomniał sobie, że nie byłoby w stanie wydostać się z pokoju i że musi zostawić uchylone drzwi. Chwycił krzesło i wcisnął je między drzwi i framugę.

Chciał przytulać ją jak najdłużej, lecz Siena zadrżała na dźwięk strzelaniny, a w pokoju zbierało się coraz więcej dymu.

- Pomóż mi - poprosił. - Potrzebujemy mokrych ręczników.

W łazience nalał zimną wodę do umywalki. Siena chwyciła dwa ręczniki i zanurzyła je w wodzie.

Odgłosy strzelaniny zbliżały się. Dym zaczął sączyć się do łazienki.

Kaszląc, Malone przycisnął ociekający ręcznik do twarzy. Choć ciężko było mu oddychać, wilgoć zatrzymywała część dymu. Wiedział, że nie na długo. Gdy Siena przykryła twarz drugim ręcznikiem, ruszyli w stronę drzwi.

Odsunął krzesło, chwycił Sienę za rękę i pogrążył się w panującym na korytarzu chaosie. Ktoś przebiegł obok, nie widząc ich w dymie. Słyszac strzały na końcu korytarza, Malone przykucnął i pociągnął za sobą Sienę. Poprowadził ją do miejsca, gdzie rozmawiał z Lasterem i jego asystentami. Jeb? Gdzie on się podziewał?

Nie widząc podłogi, Malone potknął się o coś. O zwłoki. Siena wydała z siebie zduszony dźwięk. Puścił jej rękę i pochylił się nad ciałem. Dotknął ręką lepkiej cieczy na nieruchomej klatce piersiowej. Wyczuł garnitur i zastanawiał się, czy jest to ciało Lastera lub jednego z jego asystentów. W prawej dłoni zabitego znalazł pistolet, który

wsunął sobie za pas. Przeszukał wewnętrzne kieszenie i znalazł portfel. On też mógł się później przydać.

Wepchnął portfel do kieszeni džinsów i natychmiast poprowadził Sienę dalej korytarzem. Oddychanie przez mokry ręcznik było coraz trudniejsze, a dym zagęszczał się. Siena zakasłała. Malone nie obawiał się, że dźwięki te zwrócą na nich czyjąś uwagę, bowiem dookoła dało się słyszeć wiele innych odgłosów: strzały, krzyki, tupot nóg, huk ognia na końcu korytarza za nimi.

Trzymał się blisko ściany. Nagle ściana skończyła się. Dotarł do głównego holu. Wokół nie było ani żywej duszy. Strzały, krzyki i tupot nóg wtajemniczy sposób umilkły, a jedynym dźwiękiem był odgłos pożaru za nimi. Czyżby wszyscy zginęli?, zastanawiał się.

- Chase! - zawołał ktoś. Malone odwrócił się na pięcie.

- Chase!

Ochryply głos należał do Jeba. Dochodził z prawej strony. Obawiając się, że ktoś może ukrywać się za Jebem, Malone odjął ręcznik od ust, żeby szepnąć do Sieny:

- Złap się mnie z tyłu za pasek. Nie puszczaj go.

Ręcznik znów powędrował do jego twarzy, choć nie dawało to już większych rezultatów. Dym był zbyt silny. Gdy Siena chwyciła go za pasek, wyciągnął znaleziony przy zwłokach pistolet.

- Chase! - Głos Jeba wydawał się bliższy. Naraz wyłonił się z dymu z czerwoną od kaszlu twarzą i zdumioną miną na widok wymierzonego w niego pistoletu.

Malone z ledwością wykrztusił przez podrażnione dymem gardło:

- Wydostań nas stąd!

Jeb pociągnął go za ramię, prowadząc ich za sobą. Dwa strzały z zewnątrz sprawiły, że Siena mocniej chwyciła pas Malone'a. Jeb dotarł do drzwi, otworzył je i wciągnął ich do słabo oświetlonego pomieszczenia. W tej części domu nie było tyle dymu, więc Malone i Siena oddychali głęboko, chcąc wypełnić tlenem płuca. Jeb szybko zamknął drzwi.

Malone pomyślał przez chwilę, że to pułapka. W jaki sposób wydostaniemy się z tego budynku? Wtem ujrzał prowadzące w dół schody.

- Tunelem dostaniemy się do domku przy basenie - wyjaśnił Jeb.

Malone'owi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Szybko zbiegł ze Sieną na dół. Zatrzymali się na moment w tunelu, żeby Jeb mógł znaleźć przełącznik i zapalić

światło. Po obu stronach betonowego tunelu znajdowały się drzwi. Pod sufitem ciągnęły się rury, a także wisały - w pewnych odstępach - mocne żarówki.

Biegając, Malone słyszał echo swego ciężkiego oddechu. Wyrzucili ze Sieną ręczniki. Nagle usłyszeli, że ktoś z hukiem otworzył za nimi drzwi. Przyspieszyli.

Korytarz skręcił ostro w lewo i znaleźli się na nieoświetlonym odcinku tunelu. Było tam chłodno, wilgotno i unosiła się woń pleśni. W chwili gdy Malone znalazł się za zakrętem, skrył się w mroku, trzymając w pogotowiu wymierzony do tyłu pistolet.

Z końca korytarza dobiegł ich tupot nóg po schodach. W polu widzenia znalazło się czterech mężczyzn. Mieli ze sobą karabiny, a jeden z nich krzyknął:

- Sprawdzić każdy pokój!

Mężczyźni rozdzielili się i Malone nie otworzył ognia. Było ich zbyt wielu. Znajdowali się zbyt daleko. Spojrzał na Jeba, którego zmęczone oczy próbowały przeniknąć jego myśli. Jeb skinął głową w stronę dalszej części tunelu, jak gdyby chciał powiedzieć: „Mamy szansę, jeśli w tej chwili się stąd wyniesiemy”.

Mając nadzieję, że mężczyźni będą hałasować na tyle, że nie usłyszą innych dźwięków, Malone, Siena i Jeb pospieszyli dalej. Ale im bardziej oddalali się od światła tunelu, tym brnęli w coraz gęstsza ciemność. Musieli w końcu zwolnić, idąc po omacku z wyciągniętymi przed siebie rękami, żeby nie wpaść na...

Malone nie spodziewał się natknąć na stopnie i uderzył w jeden z nich prawym butem. Wymacał metalową poręcz po prawej stronie i zaczął się wspinać, gdy nagle zeszywniał, słysząc rozwścieczony głos w dalszej części tunelu:

- Słyszałem coś!

Malone zaczął szybciej wspinać się po schodach. Siena biegła tuż za nim. Przed nimi Jeb przy czymś majstrował, po czym dał się słyszeć dźwięk otwieranego zamka.

- Tędy! - zawołał z tyłu ten sam rozgniewany głos.

O Jezu, pomyślał Malone. Gdy kroki ich prześladowców zbliżały się, Jeb pchnął drzwi. Do tunelu wpadło szare światło. Zawiasy drzwi zaskrzypiały.

- Za zakrętem!

Mężczyźni wyszli zza zakrętu w tunelu i podnieśli karabiny: ich sylwetki rysowały się wyraźnie na tle światła.

Malone strzelił, trafił jednego z nich i strzelił ponownie. Pozostała trójka rzuciła się z powrotem za zakręt. Jeden z nich zaklął, lecz Malone prawie nic nie słyszał: dzwoniło mu w uszach tak potwornie, jakby ktoś w niego uderzył.

Obrócił się i pokonał ostatnie stopnie prowadzące do pomieszczenia, w którym Siena przysuwała już stół. Jeb zamknął za nim drzwi. Słabe światło wpadające przez przeciwległe drzwi ukazywało pompę, filtr i ogrzewacz wody do basenu, lecz Malone nie zwracał na nie większej uwagi. Nie mieli klucza, nie mogli więc zamknąć drzwi od zewnątrz. Podbiegł do Sieny, żeby pomóc jej w przesuwaniu stołu, blokując drzwi w chwili, gdy łupnęła w nie z drugiej strony kula. Drzwi były metalowe i kula nie przebiła ich. Lecz stół nie mógł stanowić wystarczającej przeszkody dla trzech mężczyzn, gdyby próbowali siłą odblokować drzwi.

Jeb podniósł duży plastikowy pojemnik z napisem „TABLETKI CHLORU” i ustawił go na stole. Malone zrobił to samo z drugim pojemnikiem. Był niedostatecznie ciężki. W każdej chwili mężczyźni zaczęli napierać na drzwi.

Malone popędził za Sieną i Jebem pod namiot rozstawiony przy basenie. W gasnącym świetle deszcz bębnił w plastikową osłonę basenu. Z naszykowanym pistoletem Malone zlustrował trawnik, stajnię, kort tenisowy i zamglone wzgórza. Odwracając się w lewo, ujrzał płonący dom i chaotycznie biegające wokół niego postaci. Pożar zapewne zagłuszył jego strzały. Nie wiadomo było, czy są to ludzie Lastera czy Bellasara. Jeśli ci drudzy, Malone nie mógł ostrzelać mężczyzn wybiegających z domku przy basenie. Ryzykowałby bowiem, że na otwartej przestrzeni odgłosy strzałów ściągną uwagę innych. Mieli tylko jedno wyjście: biec dalej.

Stajnia, pomyślał Malone. Ruchem ręki wskazał Jebowi i Sienie, żeby pobiegli w prawo w stronę furtki, za którą ciągnęła się ścieżka. Po gorączkowych przeżyciach padający deszcz przyniósł mu ulgę. Lecz gdy mokre ubrania przyłgnęły do nóg, pleców i torsu, wstrząsnął nim dreszcz.

Poślizgnął się na błocie. Nie chcąc stracić równowagi, biegł z coraz większym trudem. Deszcz i zapadający zmierzch ograniczały widoczność. Malone modlił się w duchu, żeby nie dojrzeli ich spod płonącego domu lub znad basenu. Stajnia wyłaniała się z mroku coraz wyraźniej. Rozchlapując kałuże, dotarli wreszcie do drzwi.

Prostokątny budynek przez jakiś czas stał nieużywany. Przyczepę do transportu koni pokrywały pajęczyny. W dziesięciu pustych boksach po obu stronach leżała tylko stara słoma i tam też nie brakowało pajęczyn.

Z trudem łapiąc oddech, Malone wyjrzał przez otwarte drzwi w stronę basenu. Korzystając z chwili wytchnienia, sprawdził, ile mu zostało naboju w magazynku. Nie mógł przecież zakładać, że był pełen w chwili, gdy go podniósł - mężczyzna, do

którego należał, zapewne wystrzelił kilkakrotnie, zanim sam padł martwy. Miał rację. Pistolet kalibru 9 mm „Beretta”, taki sam, jakiego używał w wojsku, mógł pomieścić aż szesnaście naboji, tymczasem zostało tylko dziewięć.

- Widzisz kogoś? - zapytał Jeb.

- Patrzcie. - Siena wskazała na pokrytą kałużami ścieżkę. W ich kierunku pędził mężczyzna z karabinem.

- Nie widzę pozostałych. - Malone pojął w mig plan przeciwników. - Jezus Maria, rozdzielili się. Podejdą nas z trzech różnych stron.

Jeb wyciągnął pistolet.

- Są tylko jeszcze jedne drzwi po drugiej stronie. Będę je obserwował.

- Mogę wam jakoś pomóc? - zapytała Siena.

- Nie mamy już broni. Ukryj się.

- Widzę jednego z nich - powiedział Jeb z drugiego końca budynku. - Jest jeszcze daleko. Nie trafiłbym go.

Malone wpatrywał się w mężczyznę biegnącego ścieżką w ich stronę. Przykucnął przy ogrodzeniu.

- Mój ukrył się. Przyczał.

- A gdzie trzeci? - zapytał Jeb.

Wyteżając wzrok, Malone zwrócił się do Sieny.

- Lepiej schowaj się za tymi wiązkami siana.

Lecz gdy odwrócił się w jej stronę, Siena gdzieś zniknęła. Spojrzał w drugą stronę i dostrzegł drabinę prowadzącą na wysoką platformę. Wdrapywała się właśnie na górę.

- Co ty... - Lecz urwał szybko, koncentrując się na mężczyźnie, który pojawił się nagle przy otwartej furtce i pobiegł w padającym deszczu w stronę baraku, za którym się ukrył.

Malone czekał z wymierzonym pistoletem, aż wyłoni się z prawej lub lewej strony.

Z góry usłyszał głos Sieny pośród dudniącego o metalowy dach deszczu.

- Tu jest okno - oznajmiła.

- Na miłość boską, bądź ostrożna. - Nie przestawał mierzyć.

- Stąd widzę go za barakiem. Teraz... Urwała nagle, a Malone znieruchomiał.

- Teraz pokazuje coś komuś po twojej prawej stronie - kontynuowała. - Wskazuje na boczną ścianę stajni. Ten trzeci pewnie się do niej zbliża. Będzie się tamtędy zakradał.

Po stronie Jeba rozległo się kilka szybko następujących po sobie stłumionych dźwięków, które brzmiały jak kule wbijające się w drewno.

- Chryste, wszystko w porządku? - zapytał Malone. - Nie słyszałem strzałów.

- Używa tłumika - wyjaśnił Jeb.

Malone'owi przysłała do głowy pewna myśl, ale zanim zdążył wyciągnąć wnioski, mężczyzna zza baraku trzy razy wystrzelił w stronę otwartych drzwi. Gdy Malone przywarł do ściany, kule roztrzaskały deski w boksie za nim. Ale i tym razem nie słyszał strzałów i nie z powodu dzwonienia w uszach. On też używał tłumika. Ale dlaczego?

- Ten za barakiem znów patrzy w twoją prawą stronę - informowała z góry Siena. - W stronę ściany stajni. Wydaje mi się, że ten trzeci posuwa się wzdłuż niej.

Malone zrozumiał. Strzelec za barakiem miał zwracać na siebie uwagę Malone'a, podczas gdy trzeci mężczyzna zakradnie się pod drzwi i zaczeka, aż Malone odpowie ogniem. W chwili gdy Malone ujawni swe położenie, trzeci strzelec wkroczy do akcji.

- Facet za barakiem właśnie kiwnął głową - kontynuowała Siena. - Są gotowi.

Czekając na pojawienie się mężczyzny zza baraku, Malone pociągnął za cyngiel w chwili, gdy dostrzegł ruch: jeden strzał, drugi, trzeci. Za każdym razem pistolet odskakiwał w jego rękach. Strzelec padł do tyłu, a wtedy Malone dał nura przez otwarte drzwi, wylądował w błocie i otworzył ogień w stronę, gdzie według przewidywań Sieny powinien znajdować się trzeci mężczyzna. Zaskoczony, wykrzywił twarz i zanim zdążył wycelować, dosięgły go kule Malone'a. Trafiony w klatkę piersiową, padł na ziemię.

Malone na czworakach wpelzł z powrotem do stajni. Przekonawszy się, że mężczyźni, do których strzelał, nie ruszają się, zdał sobie nagle sprawę, że obok niego znalazła się Siena.

Zresztą Jeb również.

- Ten trzeci uciekł do lasu. Lecz w naszą stronę biegną ludzie spod domu.

- To ludzie Lastera - oświadczył Malone.

- Skąd wiesz?

Myśl, która nie dawała mu spokoju, wreszcie wykrystalizowała się.

- Ci, do których strzelałem, używali tłumików, nie chcąc, aby ludzie przy domu ich usłyszeli. Agenci Lastera zdołali odeprzeć atak.

- Masz rację - przyznał Jeb. - Widzę Lastera.

- Wyjdź i powiedz, że jesteśmy bezpieczni - poprosił Malone.

- Nie idziecie ze mną?

- Siena i ja potrzebujemy chwili dla siebie.

Jeb wahał się, masując lewe udo, w które został postrzelony podczas inwazji panamskiej, kiedy to Malone uratował mu życie.

- Jasne. - Wciąż się wahał. - Należy wam się.

Wyszedł na deszcz, kierując się w stronę szybko nadchodzących mężczyzn, których sylwetki w zapadającym zmierzchu rysowały się na tle płonącego domu.

Obserwując oddalającego się Jeba, Malone poprowadził Sienę w głąb stajni.

- Zmarnowali swoją szansę. Nie są w stanie zapewnić nam ochrony. Twój mąż nie znalazłby nas tak szybko, gdyby nie miał wtyczki w CIA.

Oczy Sieny pociemniały na myśl o Bellasarze.

- Dowie się o każdym kolejnym miejscu, w którym będą nas chcieli umieścić. Mamy szansę tylko ukrywając się na własną rękę. Nie pozwolimy, żeby więzili nas, i to oddzielnie.

- Nie chcę, żeby nas rozdzielili - powiedziała.

Malone wziął ją za rękę i poprowadził do drzwi w głębi stajni. Zimny deszcz zamienił się w mżawkę, gdy ruszyli biegiem w stronę ciemnych drzew. Za kilka minut zrobi się zbyt ciemno, żeby Laster i jego ludzie mogli puścić się w pogoń. Może uda nam się okrążyć posiadłość i ukraść samochód, zastanawiał się Malone. A może... Otwierały się przed nimi pewne możliwości. Miał portfel zastrzelonego mężczyzny. Miał pieniądze, karty kredytowe, nową tożsamość. Wiedział, że Laster w końcu ustali, pod kogo się podszył. Szpieg Bellasara przekaże tę wiadomość dalej. Ale tym problemem będzie się martwił później. Teraz oboje cieszyli się wolnością, znikając w tonącym we mgle lesie.

Część

ósmą

1

Malone był wyczerpany, a hipnotyzujący stukot kół pociągu pogłębiał jeszcze jego zmęczenie. Siedział obok Sieny w zamkniętym przedziale, prawie nie zauważając świateł mijanych miast. Dochodziła północ. Godzinę wcześniej wsiedli do pociągu w Waszyngtonie na Union Station, gdzie dojechali skradzionym samochodem. Malone zrealizował bowiem swój pomysł i gdy ludzie Lastera przeszukiwali las, on odjechał samochodem sprzed płonącego domu. Pragnąc zmylić pościg, zostawił wóz na parkingu przed restauracją, a na dworzec dostali się taksówką. Skorzystał z karty kredytowej ze zdobycznego portfela i kupił dwa bilety do Dallas. Pomimo deszczu pożar prawdopodobnie całkowicie nie wygasł. Ludzie Lastera nie znajdą ciała jeszcze przez pewien czas. A nawet gdy już rozpoczną przeszukiwanie zgliszczy, ogień zapewne strawił ubranie zabitego i nikt się nie zorientuje, że zginął portfel. Gdy rachunki za kartę kredytową nie przestaną napływać po śmierci jej właściciela, wówczas Laster zrozumie, co się stało, ale wtedy będzie już za późno. Tymczasem Malone i Siena byli razem. O niczym innym nie marzył.

- Głodna?

Siena spojrzała na torbę kanapek, które kupili. Pokręciła głową.

- Powiedz, co teraz zrobimy.

- Zależy, czego oczekujesz. Niestety, nie mogę stworzyć ci warunków, do których przywykłaś jako żona Bellasara.

- Wcale bym nie chciała.

- Nie chodzi mi o stresy, na które cię narażał. Mówię o otaczającym cię w jego posiadłości luksusie. Mam wprawdzie mnóstwo pieniędzy, ale gdybym je ruszył, twój mąż i CIA natychmiast dowiedzieliby się, gdzie jesteśmy. Ich ludzie będą śledzić wszystkie transakcje na moich rachunkach. W chwili gdy zadysponuję przelewem, na

przykład do banku w Dallas, zaraz będą nam deptać po piętach. Lotnisko, dworzec kolejowy, wypożyczalnie samochodów znajdują się pod ich obserwacją.

- Brzmi to beznadziejnie.

Ubrana w przemoczoną i wymiętą bluzę, z ułożonymi ręcznie włosami wydawała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek. Jak ukryję jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie, zastanawiał się.

- Uwierz mi, że znam wyjście z tej sytuacji, ale będziesz skazana na dużo skromniejszą egzystencję.

- Dlatego jedziemy do Dallas?

- Wcale tam nie jedziemy.

- A bilety?

- Wsiądziemy przed Dallas. W miejscowości Braddock.

- Na wypadek gdyby Derek dowiedział się, że wsiedliśmy do tego pociągu i czekał na nas w Dallas?

Malone kiwnął głową.

- Chciałbym też, żebyś poznała kogoś w Braddock.

2

Teksańskie niebo miało barwę kobaltową, gdy wysiedli z pociągu, rozglądając się po maleńkiej stacyjce. Dalej widać było inne niskie budynki: stacja benzynowa obok warsztatu samochodowego, sklep żelazny obok baru. Ulicą jechało kilka ciężarówek. Poza tym miasteczko wyglądało na wymarłe.

- Że też w tak maleńkiej miejscowości mają własną stację kolejową - dziwiła się Siena.

- Clint wykorzystuje swe wpływy, żeby dostać wszystko, czego chce.

- Chcesz mi powiedzieć, że ktoś, kto nie jest aktorem, naprawdę nazywa się Clint?

- Chase, stary druhu, kopa lat - odezwał się męski głos. Tak nosowego i bełkotliwego amerykańskiego akcentu Siena jeszcze nie słyszała.

Odwróciła się w stronę otwartych drzwi poczekalni, z której wyłonił się uśmiechnięty mężczyzna w kowbojkach, dżinsach, z kłamrą przy pasku w kształcie siodła, w dżinsowej koszuli, skórzanej kamizelce i kowbojskim kapeluszu. Uścisnął Malone'a, klepiąc go po plecach.

- Czemu nie chciałeś, żebym posłał po ciebie samolot? - zapytał. - I czemu dzwoniłeś na mój koszt? Przez te wszystkie lata zapłaciłem ci tyle forsy, że chyba nie jesteś splukany.

- Tak jakby.

Mężczyzna wyglądał na zdziwionego.

- Długa historia.

- Cóż, mam nadzieję, że zostaniecie na tyle długo, że zdążysz mi ją opowiedzieć.

- Nie przestając się uśmiechać, mężczyzna odwrócił się z zaciekawieniem w stronę Sieny. - Widzę, że przywiozłeś ze sobą prawdziwą piękność.

- Clint, przedstawiam ci moją przyjaciółkę, Beatrice. Beatrice, poznaj Clinta Braddocka.

- Jestem jednym z największych wielbicieli Chase'a. - Braddock uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Siena była wysoką kobietą i zazwyczaj nie musiała podnosić głowy, żeby spojrzeć na mężczyznę, lecz w przypadku Braddocka zaszła taka konieczność. Kowbojski kapelusz jeszcze dodawał mu wzrostu. Miał chropowatą cerę i krzaczaste, siwiejące wąsy.

- Clint, spełniłeś moją prośbę? - zapytał poważnym tonem Malone. - Nie powiedziałaś nikomu o moim telefonie? Nikt nie wie, że przyjeżdżamy?

- No przecież znasz mnie dobrze, *compadre*. Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? Twoja prośba jest rozkazem.

Malone wyraźnie odetchnął.

- Ale co się dzieje? Gdy zaproponowałem, że przyślę po ciebie samolot, powiedziałaś, że nie możesz zbliżyć się do lotniska. Wydedukowałem, że masz jakieś kłopoty.

- I nie pomyliłeś się. Gdzie twój samochód? Nie chcę tu sterczeć na widoku.

- Tuż za rogiem. Gdzie wasze bagaże?

- Nie mamy.

Zmarszczki wokół oczu Braddocka pogłębiły się.

- No to rzeczywiście masz kłopoty.

Przy stacji znajdował się niemal opustoszały żwirowy parking, gdzie najbardziej rzucającym się w oczy pojazdem był lśniący pikap ze słupkami ogrodzeniowymi na przyczepie. Gdy Braddock zajął miejsce kierowcy, Malone poprowadził Sienę do drzwi z drugiej strony, szepcząc jej do ucha:

- Nie sugeruj się jego akcentem i strojem. Prawdziwe imię Clinta, to Peter. Urodził się i wychował w Filadelfii.

- Co?

Wsiadli do kabiny.

- Clint, właśnie tłumaczyłem przyjaciółce, że jako dziecko obejrzałeś mnóstwo westernów.

- A jako dorosły dorobiłem się majątku, żeby je przeżyć. - Braddock uśmiechnął się. - Nie wystarczy obejrzeć filmu, trzeba w nim zagrać.

3

Faktycznie, pomyślała Siena, obserwując rozciągające się po horyzont pastwiska. Co mniej więcej kilometr pojawiało się samotne drzewo, ale poza tym widać było tylko niebo i ziemię. Oraz bydło, mnóstwo bydła. Później wyrósł z ziemi szyb naftowy, po nim jeszcze jeden i następny, aż zdominowały cały krajobraz ze swymi poruszającymi się w górę i w dół pompami. Po półgodzinie dojechali do białego, piętrowego domu o rozłożystej sylwetce z werandą zajmującą prawie całą długość frontowej ściany. Sienie wydawało się, że już go gdzieś widziała. Nagle przypomniała sobie.

- Poznaje pani? - zapytał Braddock.

- Nie jest to przypadkiem dom z „Olbrzymą” z Jamesem Deanem? - zapytała ze zdziwieniem.

- Tak jakby - odparł Braddock. - Prawdziwy dom znajduje się na południe stąd na innej posiadłości. Nie jest nawet prawdziwy. To tylko makieta, którą postawili do zdjęć plenerowych, a gdy się skończyły, zostawili ją na łaskę losu. Kazałem więc wybudować dokładną replikę.

Przejechali przez wysoką bramę z napisem RIATA, identycznie jak na filmowym ranczu.

- Nigdy nie rozumiałem - przyznał Malone - dlaczego, biorąc pod uwagę twoje zainteresowania, kolekcjonujesz moje obrazy zamiast Remingtona czy innych tutejszych malarzy.

- Lubię różnorodność.

- A ja przez cały czas miałem nadzieję, że powodem jest mój geniusz.

- Nie chciałem, żeby uderzyła ci woda sodowa do głowy - zachichotał Braddock.
- Prawda jest taka, moja pani, że gdy po raz pierwszy ujrzałem obraz Chase'a, wiedziałem, że muszę go zdobyć.

Siena zrozumiała, o czym mówi, gdy zaparkowali samochód na łukowatym podjeździe przed domem i po trawniku weszli na przestronną werandę, a stamtąd do domu. Braddock został na zewnątrz, żeby wydać polecenia jednemu z pomocników, ale chwilę później dołączył do nich i z lubością przyglądał się podziwiającej obrazu na ścianach Sienie.

Było ich co najmniej dwadzieścia: same pejzaże, wszystkie pulsujące barwami. Na kilku z nich dostrzegła podpis Malone'a i zaskoczona odwróciła się do niego:

- Ile jest twoich?

- Wszystkie - Braddock odpowiedział za niego. - Kilka wisi również w jadalni. Wygląda pani na zdziwioną.

- No bo... Jediną pracą Chase'a, którą widziałam, był mój portret. I kilka szkiców, i... - Spojrzała na niego zdumiona. - Nie miałam pojęcia, jak wyglądają twoje obrazy.

- Twój portret jest moją najlepszą pracą - oświadczył Chase.

Braddock zeszywniał.

- Jest na sprzedaż?

- Obawiam się, że nie.

- Pieniądze nie grają żadnej roli.

- Jego właściciel też tak twierdzi. Poza tym są jeszcze - Malone zawahał się - powody osobiste, dla których chce go zatrzymać.

- Nigdy nie oglądałam obrazów, które angażowałyby tyle innych zmysłów. Czują niemal zapach rosy na trawie - stwierdziła Siena.

- Powinnaś zostać krytykiem.

- Nie żartuj.

- On nie żartuje - powiedział Braddock. - Doskonale pani to ujęła. Obrazy Chase'a są pochwałą życia. Byłaby pani lepszym krytykiem od tych pretensjonalnych pacanów.

Siena roześmiała się.

- Jedliście już śniadanie? - zapytał Braddock.

- Nie.

- Może poproszę kucharza, żeby coś przyrządził. Sienie zaburczało w brzuchu. Znów się roześmiała.

- Ale ostrzegam was - dodał Braddock. - Mój kucharz to nie jeden z tych dziwaków, którzy cały dzień zamartwiają się ilością cholesterolu w potrawach. Poda wam porządny bekon z jajami albo naleśniki ze smażonymi ziemniakami, albo burrito z sosem pomidorowym i odsmażaną fasolą.

- Cudownie - oceniła Siena.

- Tymczasem największa gościnna sypialnia po lewo na piętrze jest do waszej dyspozycji. Idźcie się odświeżyć. W szafie znajdziecie ubrania w różnych rozmiarach. Lubię trzymać zapasowe ciuchy dla gości. Powinniście znaleźć coś dla siebie.

- Dziękujemy - powiedziała Siena.

- A później przystąpimy do sedna sprawy - Braddock wbił wzrok w Chase'a - i dowiem się, jakie to macie kłopoty.

4

Siena zatopiła zęby w kawałku burrito z jajkiem, ryżem, fasolą i kielbasą.

- Wspaniale. A ta kielbasa... Nigdy takiej nie jadłam.

- *Chorizo*. Meksykańska - wyjaśnił Braddock. - Nie jest zbyt pikantna?

- Delicje. - Połała burrito zielonym sosem chili.

- No tak, ma pani ognistą skórę. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Malone zanurzył łyżkę w misce z odsmażaną fasolą polaną czerwonym chili i roztopionym serem.

- Potrzebuję sponsora - oznajmił.

Braddock odstawił filiżankę z kawą i czekał na ciąg dalszy.

- Kogoś, kto mnie dofinansuje.

- O czym ty mówisz?

- Kogoś, kto zapłaci z góry za następne obrazy.

Braddock ściągnął swe siwiejące brwi.

- Tak bardzo potrzebujesz gotówki?

- Trochę mnie przycisnęło.

- Po sprzedaniu tego wszystkiego? - Braddock wskazał przed siebie na ścianę, na której wisiały kolejne trzy obrazy Malone'a. - Zapłaciłem ci do tej pory już jakieś... sześć milionów. Co ty, na Boga, zrobiłeś z tymi pieniędzmi?

- Ciągłe je mam, tylko, że nie mogę się do nich dostać. Gdy tylko spróbuję, ktoś, kto nas szuka, będzie wiedział, gdzie jesteśmy.

Braddock spojrzał z ukosa na Sienę i znów na Malone'a.

- Tym kimś jest pewnie mąż?

Malone rozłożył ręce.

Braddock jeszcze surowiej ściągnął swe krzaczaste brwi. Po chwili zaczął kiwać głową. W końcu roześmiał się.

- Cholera, chłopie, czemuś od razu nie mówił? Dwadzieścia lat temu też miałem kłopoty z pewnym mężem. Zawsze podejrzewałem, że jesteśmy do siebie podobni. Chcesz trochę pieniędzy na podróż, żeby przeczekać napad furii męża. Tak to wygląda?

- Niezupełnie. On nie uspokoi się tak szybko. A właściwie chyba nigdy się nie uspokoi.

Braddock przez kilka sekund przyglądał się Sienie, po czym kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Trudno się dziwić. Więc o męża chodzi. Nie możesz pomieszać mu szyków, korzystając z zagranicznych kont?

- Wolałbym nie próbować - odparł Malone - i nigdy nie narażałbym przyjaciela, prosząc go, żeby zrobił to dla mnie.

- A czyż nie robisz tego właśnie teraz, prosząc o przysługę przyjaciela?

- Proszę o pieniądze na poczet przyszłych obrazów, które namaluję.

- Pod warunkiem, że dożyjesz - dodał Braddock.

Siena poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Sprawa jest aż tak poważna? - zapytał Braddock. - Pani mąż musi być sprytnym graczem.

- Tak.

- Który nie przestrzega reguł gry.

- Tak.

Braddock pomyślał przez chwilę, po czym zagwizdał nisko i melancholijnie.

- Ile potrzebujesz?

- Miliona dolarów.

Braddock nie mrugnął nawet okiem.

- Gotówką. W banknotach studolarowych - dodał Malone.

- A konkretnie, co ja będę miał za tę okrągłą sumkę?

- Dziesięć obrazów.
- Dziesięć.
- Sto tysięcy za każdy.
- Nigdy nie zapłaciłem mniej niż dwieście tysięcy za żaden z twoich obrazów.
- Powiedzmy, że to sprzedaż hurtowa.
- Jeśli sprawa się rozniesie, jeśli tak samo zagrasz z innymi kolekcjonerami twoich obrazów, zalejesz rynek swoimi pracami.
- Tylko do ciebie się zwróciłem - zapewnił go Malone. - Do nikogo innego się nie zwrócę.
- Gdzie zamierzasz się ukryć?
- Nie chcesz tego wiedzieć.
Braddock pomyślał przez chwilę.
- Racja. A ty nie chcesz, żebym ja wiedział. Na wypadek gdyby ktoś pytał.
Siena przerwała swoje milczenie,
- Przecież nie jest to wykluczone. - Spojrzała na Malone'a. - Jeden z największych kolekcjonerów twoich prac. Logiczne, że mój mąż skojarzy fakty i będzie chciał wiedzieć, czy nie prosiliśmy o pomoc.
- Nikt nie wie, że jestem jednym z największych kolekcjonerów prac Chase'a - odparł Braddock. - Jedną z tajemnic mojego sukcesu jest fakt, że nie pozwalam ludziom wścibiać nosa w moje sprawy.
- A więc możemy na ciebie liczyć? - zapytał Malone. Braddock zamyślił się.
- Pod jednym warunkiem.
- Słucham?
- Jeden z obrazów ma być portretem... - Braddock spojrzał na Sienę. - Przypuszczam, że naprawdę nie ma pani na imię Beatrice.
- Nie - odparła przeproszającym tonem.
- Chciałbym, żeby jeden z obrazów był pani portretem.
- Nie martw się. - Malone uśmiechnął się. - W pewnym sensie ona jest Beatrice.
Od tej pory mam zamiar malować mnóstwo jej portretów.

5

- Dziękuję, - Siena pocałowała Braddocka w policzek.

Była dziesiąta nazajutrz rano. Słońce jasno świeciło, a w powietrzu pachniało świeżą bryzą. Malone, Siena i Braddock stali na werandzie. Potarł skórę w miejscu, gdzie go pocałowała, i zaczerwienił się.

- O kurcze, taka zapłata za przysługę w zupełności by mi wystarczyła.

Malone trzymał pieniądze w brązowej walizce, którą dostał od Braddocka. Dziesięć tysięcy studolarowych banknotów zajęło mniej miejsca, niż się spodziewał, i ważyło też mniej: zaledwie dziesięć kilo. Żeby całkowicie wypełnić walizkę, Braddock dorzucił jeszcze kilka dzinsowych koszul i dzinsy w rozmiarach Malone'a. Walizka Sieny zawierała podobne ubrania.

- Gdy tylko gdzieś się zdomowimy, zabiorą się do pracy - obiecał Malone. - Obrazy zaczną napływać za miesiąc lub dwa.

- Nie ma pośpiechu. Wszystko zależy od natchnienia.

- Tego mi nie zabraknie. - Malone uśmiechnął się do Sieny. - Nawiasem mówiąc, Clint, nie będę nadawać przesyłek z obrazami z miejsca zamieszkania.

- Tak myślałem. Domyślam się również, że nieprędko się zobaczymy.

Malone wzruszył ramionami.

- Masz rację, nieprędko.

Malone odwrócił wzrok.

- Uważaj na siebie, przyjacielu - powiedział Braddock.

- Obiecuję.

Zapadło długie milczenie.

- Chyba będziemy jechać - odezwał się wreszcie Malone. Miał sucho w ustach od nadmiaru emocji. Uścisnął mocno dłoń Braddocka.

Wsiadając ze Sieną do samochodu, serce ścisnął mu żal. Dobrze, że nie mam bliskiej rodziny, pomyślał. Z nią też musiałbym zerwać wszelkie stosunki.

Wtedy uzmysłowił sobie, że się myli: ma przecież bliską rodzinę. Patrzył, jak Siena wsiada do wozu, żałując, że nie może naszkicować, jak wygląda tego ranka. Biała bluzka od Braddocka podkreślała piękno jej skóry i dodawała blasku włosom. Ale chodziło też o coś głębszego. O coś - był o tym przekonany - co zawsze będzie chciał malować.

Jechali ośmioletnim fordem explorerem, którego Braddock odkupił od jednego ze swych pracowników na ranchu za sumę, jakiej człowiek ten nigdy w życiu nie widział. Samochód miał wgnieciony przedni zderzak i kopał jak lokomotywa, lecz miał ich zawieźć tam, gdzie chcieli.

Portfel, który Malone znalazł przy zabitym w bazie CIA, zawierał dowód osobisty. Nazywał się teraz Dale Perry. Korzystając z nowego dowodu, wyrobił sobie w Abilene prawo jazdy na nazwisko Perry'ego. Na niego również zarejestrował forda.

Wyruszyli na zachód.

7

Yuma w stanie Arizona. Malone był tam przed dwunastu laty na szkoleniu wojskowym w bazie powietrznej piechoty morskiej na skraju miasta. Latem miasto liczyło sobie około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, lecz gdy przychodziła zima, liczba mieszkańców podwajała się, bowiem łagodny klimat w tym rejonie i rzeka Colorado przyciągały wczasowiczów z północy, z których większość zatrzymywała się na kempingach. Pod koniec marca miasto wciąż tętniło życiem.

Malone i Siena wynajęli kontener magazynowy, który zapełnili starymi stołami i szafkami - meblami w tak opłakanym stanie, że potencjalny włamywacz na ich widok mógłby tylko przekląć i znaleźć sobie inny cel. W starej komodzie w głębi kontenera Malone ukrył walizkę z milionem dolarów.

Zamknął zasuwane do dołu metalowe drzwi, wręczył jeden klucz Sienie, a drugi schował do kieszeni. Zabrali ze sobą dwadzieścia tysięcy dolarów i nie chcąc zwracać na siebie uwagi wymienili je w różnych bankach na peso - za każdym razem nie więcej niż dwa tysiące. Tam, gdzie się wybierali, równowartość dwudziestu tysięcy dolarów w peso miała im starczyć na bardzo długo.

Załadowali do samochodu wszystko, co mogło im się przydać, i ruszyli na południe, po czterdziestu minutach docierając do granicy z Meksykiem. Przejście graniczne znajdowało się w mieście San Luis i meksykańscy wartownicy prawie w ogóle nie spojrzeli na ich forda. Malone przypomniał sobie, jak wartownicy wykazywali się podobną nonszalancją przed laty, gdy korzystał z przepustki w trakcie szkolenia w Yumie. Zwykle od podróżnych wjeżdżających na terytorium Meksyku wymagano karty turystycznej i pozwolenia na wjazd samochodu, lecz Malone miał zatrzymać się w granicach strefy wolnego handlu Sonoran, toteż nie musiał okazywać

powyższych dokumentów. Czas pobytu był nieokreślony. Nawet gdyby wartownicy postanowili zatrzymać i przeszukać jego forda, Malone nie zmartwiłby się. Nie wiozł nic nielegalnego. Broń, którą znalazł przy ciele Dale'a Perry'ego, pływała już w ściekach miasta Yuma.

Gdy wyjechali z San Luis, zabudowa miejska ustąpiła miejsca małym farmom, lecz i te zaczęły pojawiać się sporadycznie. Królowały piasek i kępy traw.

- Czujesz? - zapytał Malone.

- Co?

Zatoka Kalifornijska oddzielała kontynentalny Meksyk od jego zachodniego półwyspu, Baja California. W młodości Malone ze zdziwieniem dowiedział się, jak niewiele dzieliło południową Arizonę od Oceanu Spokojnego - niecałe dwie godziny jazdy samochodem - i nigdy nie zapomniał podróży nad ocean.

- Wilgotne powietrze. Słony zapach. Za następnym wzniesieniem powinniśmy dostrzec wodę.

Zamiast wody zobaczyli wojskową blokadę drogową. Siena znieruchomiała.

- Spokojnie - powiedział Malone. - Szukają narkotyków przemyconych drogą morską. Bardziej interesują ich pojazdy jadące znad morza, a nie w jego kierunku.

Po obu stronach barykady stało trzech uzbrojonych żołnierzy. Przy drodze przeszukiwano zdezelowaną ciężarówkę. Oficer dowodzący, wąsaty kapitan o wąskiej twarzy, obserwował ich zza okularów przeciwsłonecznych.

Siena też nosiła okulary przeciwsłoneczne. Oraz słomkowy kapelusz z wielkim rondem. Nie była umalowana. Zrobiła wszystko, żeby ukryć swe rysy, lecz tak, żeby nie rzucało się to w oczy. Jednakowoż Malone niepokoił się, że żołnierze wyczują, jak atrakcyjną kobietą jest Siena, i zechcą jej się bliżej przyjrzeć. Jego niepokoje okazały się bezpodstawne. Żołnierze byli tak zaabsorbowani ciężarówką, że machnęli do nich, aby jechali dalej.

Malone widział w lusterku wstecznym kapitana, który obserwował oddalającego się forda.

- No widzisz - uspokajał Sienę. - Żadnych problemów.

8

- Jest! - Siena pokazywała ręką na prawo, gdzie w słońcu lśniła błękitna tafla.

Droga biegła równolegle do brzegu, coraz bardziej się do niego zbliżając. Kilka kilometrów dalej pojawiły się pierwsze zabudowania i palmy: znaleźli się na przedmieściach. Malone minął sklep całodobowy i warsztat samochodowy. Piętrowy dom koloru piasku pokryty był czerwoną dachówką. Budynek stojący obok wzniesiony został z pustaków. Sąsiadowała z nim zaśmiecona działka, a obok niej stała stara chałupa. Schemat ten powtarzał się: piękne domy obok biednych ruder w nadmorskiej miejscowości, która nie pretendowała do miana ośrodka wczasowego. Dalej w głębi miasta skończył się chodnik, a szeroka droga przeszła w piasek. Po prawej stronie znajdował się plac z ławkami w cieniu drzew, posterunek policji i mały sklep spożywczy. Po lewej stronie za łańcuchowym ogrodzeniem ciągnął się rząd jednopokojowych, świetnie utrzymanych budynków szkolnych. Szkolny teren wyglądał nienagannie, tak jak bawiące się tam dzieci.

- To Santa Clara - poinformował Sienę Malone. - Wioska rybacka odkryta przez amerykańskich turystów szukających możliwości spędzenia tanich wakacji. Przyjeżdża tu tylu Amerykanów, że nie będziemy się wyróżniać. Właściwie póki będziemy zajmować się sobą i napełniać kieszenie miejscowej ludności, będziemy tu mile widziani.

- Jeśli mamy zajmować się sobą, to ja bardzo się cieszę.

Kilka uliczek odchodziło w lewo, lecz większość prowadziła w stronę palm, drewnianych barów i restauracji nad morzem. Malone zignorował wszystkie boczne uliczki i jechał cały czas prosto, mijając szereg kempingów. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy minęli ostatnie zabudowania i otaczał ich tylko piasek. I morze.

- Tu się kończy droga - oznajmił.

- Więc wrócimy do miasta, żeby gdzieś zamieszkać? - zapytała Siena.

- Niezupełnie. Przejdźmy się, żeby rozprostować kości. Zaintrygowana, ruszyła za nim, aż doszli do miejsca, gdzie sięgały fale.

Nad głowami śmigły mewy. W oddali na wodzie unosiły się małe łodzie rybackie. Słońce prażyło, a błękit morza dorównywał błękitowi nieba. Malone delectował się słonym zapachem.

- Boże, jak ja uwielbiam morze. - Przez chwilę pomyślał o tym, co Bellasar zrobił z jego domem na Cozumel.

Uspokoił się.

- Tutaj, niedaleko koniuszka zatoki, jesteśmy blisko Baja California. Jeśli się dobrze przyjrzyysz, ujrzyysz drugi brzeg. Dziś powietrze jest nieco zamglone, ale

powinnaś zobaczyć skaliste klify. Dzieli nas od nich jakieś osiem kilometrów. Dalej na południe zatoka jest dużo szersza - dochodzi nawet do stu mil.

Malone odwrócił się, żeby obejrzeć północną linię brzegową, gdzie ciężarówki holowały na piasek łodzie rybackie.

- Miasto jest większe niż dwanaście lat temu. Nie było tamtych dwóch kempingów ani tej restauracji z ogródkiem. Ale należało się tego spodziewać.

Nie spodziewał się jednak, że nadmorska część miasta będzie wyglądała tak nędznie. Poprzewracane budki plażowe ze słupków i liści palmowych, zniszczony mur oporowy, chwiejące się łańcuchowe ogrodzenie, zapadnięte prowizoryczne garaże. Co, u licha, się stało? Wtedy uświadomił sobie.

- W zeszłym roku nawiedził ich huragan. Pamiętam, jak rozpisywały się o tym gazety. Wciąż dźwigają się ze zniszczeń, co chyba jeszcze trochę potrwa.

Lecz Siena nie śledziła wzrokiem miejsc pokazywanych jej przez Malone'a. Patrzyła na niego.

- Jeśli nie wracamy do miasta, żeby tam zamieszkać, to w takim razie co?

- Pojedziemy gdzie indziej.

- Przecież powiedziałeś, że tu się kończy droga.

- Owszem.

- Więc...

Malone milczał przez chwilę. Przygotował ją na wszystko, tylko nie na to.

- Uzgodniliśmy, że jedynym sposobem ucieczki przed twoim mężem i Lasterem jest zaszybie się gdzieś na końcu świata.

Kiwnęła głową.

- Tutaj amerykańscy włóczędzy są częścią społeczeństwa. Jeśli ktoś cię pyta, skąd przybywasz, możesz wymyślić cokolwiek i nikt nie będzie tego roztrząsał ani udowadniał ci, że kłamiesz. Miejscowych nie interesuje, skąd masz pieniądze i nie pytają o twój numer NIP - u. Ale żeby zachować jeszcze większe środki ostrożności... - Malone odwrócił się w stronę południowego brzegu i rozszerzającej się zatoki - ...może powinniśmy udać się w jeszcze bardziej ustronne miejsce. Gdy byłem tu ostatnim razem, jeden z wieśniaków wypożyczał powozy. Przejechałem się z kolegą wzdłuż tego brzegu. Przez dwadzieścia pięć kilometrów nie ma nic. Po czym w miejscu, gdzie kończy się plaża, znajduje się obóz rybacki.

- Masz na myśli wioskę.

- Coś mniejszego. Jakiś tuzin przyczep. Spartańskie warunki. Przepiękna sceneria. Ludzie, którzy tam mieszkają, są samotnikami. Nie trzeba się będzie przed nimi tłumaczyć, nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem był odległy warkot motorówki.

- Tam chciałbyś pojechać? - zapytała Siena.

Malone nie potrafił stwierdzić, czy w jej głosie zabrzmiało przerażenie.

- Nie znam lepszego miejsca, gdzie można by się ukryć. Tam zastanowimy się, co dalej.

Sprawiała wrażenie skonsternowanej.

- Nie zostaniemy tam na zawsze. Twój mąż uprawia bardzo niebezpieczny zawód i w każdej chwili mogą go załatwić konkurenci albo policja. Musimy tylko przetrwać do czasu, aż się do niego dobiorą.

- To Derek jest mistrzem sztuki przetrwania.

Chwila niepewności przedłużała się. Siena spojrzała na niego, następnie na morze i na wschód, za wydmy.

- Co jest na tamtym wzgórzu?

- Latarnia morska. Miejscowi mówili, że jest opuszczona.

- Wejdziemy tam?

- Oczywiście, ale wycieczka w tę i z powrotem zajmie nam cały dzień.

- Nie dzisiaj.

Tym razem Malone wyglądał na skonsternowanego.

- Później - powiedziała - gdy już się zadomowimy.

- ...A więc chcesz zostać?

- Moje życie bardzo długo było zbyt skomplikowane. Ciągle powtarzałam sobie, że muszę je uprościć. - Wzięła go za rękę.

- Nie będziemy wiedli pustelniczego żywota. - Malone ścisnął jej palce. - Gdy przyjdzie nam ochota na zabawę, pojedziemy na noc do miasta. Pamiętam, że są tu niezłe restauracje. Od czasu do czasu odbywają się fiesty. W końcu przyjeżdżają tu wczasowicze. Spróbujmy. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, przeniesiemy się gdzie indziej.

Ford z napędem na cztery koła bez trudu poruszał się po ubitym piasku. Przez otwarte okna wiatr rozwiewał Sienie włosy, a ona uśmiechała się, gdy jechali wzdłuż nieoznaczonej plaży.

- Czuję się, jakby nikogo tu przed nami nie było.

- Jak Lewis i Clark.

Zachichotała.

- Jak kapitan Kirk ze „Star Trek”.

Żeby koła nie zagrzebywały się w piasku, jechali nie więcej niż trzydzieści kilometrów na godzinę. Powolna, łagodna, niemal hipnotyczna jazda trwała czterdzieści minut i w końcu minęli ostatnią wydnię, zatrzymując się przed grupą skał, które blokowały dalszą drogę na południe.

Obóz nie wyglądał tak, jakim pamiętał go Malone. Z mniej więcej dwunastu przyczep, które widział tu przed dwunastu laty, ostały się tylko dwie, przy czym jedna była przechylona i częściowo zasypana piaskiem. Z drugiej rozciągała się zasłona, a na ścianie wisiała linka wędkarska, na której zawieszono spłowiałe szorty, dzinsy i pozostałe pranie. Przed przyczepą szerniałe kamienie otaczały wypełnione popiołem palenisko. Na plaży przycumowano motorówkę. Przy jej silniku majstrował spalony słońcem Meksykanin, a dwójka dzieci przestała taplać się w wodzie, zerkając niespokojnie w stronę wysiadających z samochodu przybyszów. W drzwiach przyczepy ukazała się kobieta o smutnej twarzy, taksując wzrokiem Malone’a i Sienę.

Malone zrobił w jej kierunku uspokajający gest i podszedł ze Sieną do motorówki.

Twarz Meksykanina była tak pomarszczona od słońca, że mógł mieć zarówno czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Miał sękaty palce od wieloletniej pracy przy linkach wędkarskich. Napis na czapeczce tak wyblakł, że nie można go było odczytać.

Malone powiedział po hiszpańsku, że nazywają się Dale i Beatrice Perry. Wyciągnął rękę.

Meksykanin spojrzał na nią podejrzliwie i po chwili podał mu swoją. Malone wyczuł, jak bardzo była stwardniała. Meksykanin przedstawił się: miał na imię Fernando.

- Gdy przyjechałem tu dwanaście lat temu, było więcej ludzi - powiedział. - Co się stało?

Malone wysłuchał Meksykanina i zdał relację Sienie:

- Mówi, że to przez huragan zeszłego lata. Amerykanie z przyczepami wyjechali przed jego nadejściem i już nie wrócili. Podczas huraganu zginął jeden z rybaków, a pozostali tak bardzo się przestraszyli, że również wyjechali. Też już nie wrócili. Wkrótce zacznie się kolejny sezon huraganów, co odstrasza innych rybaków.

- Więc mamy cały obóz praktycznie dla siebie?

- Tak, jest lepiej, niż się spodziewałem. - Malone odwrócił się do Fernanda. - Wraz z żoną chcielibyśmy się tu zatrzymać na jakiś czas. Ma pan coś przeciwko temu?

Fernando wyglądał na zadowolonego, że zwracając się do niego, Malone użył bardziej oficjalnej formy *usted*. Odparł, że ludzie mogą przyjeżdżać i odjeżdżać, kiedy chcą.

- Chcielibyśmy jednak być dobrymi sąsiadami. Może moglibyśmy pomóc przy łodzi, jakoś się odwdziżyć za przyjęcie nas tutaj. - Malone sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Choć sam nie palił, wiedział, że papierosy mogą mu się przydać jako podarunki.

Gdy Fernando zapalił, zaczęli rozmawiać o pogodzie, łodzi i innych pozornie banalnych sprawach.

Gdy Fernando wypalił papierosa, wyskubał z niego resztki tytoniu, które schował je do kieszeni. Wskazując na przechyloną i częściowo zakopaną w piasku przyczepę, wyjaśnił coś.

- Co ci powiedział? - zapytała Siena.

- Że przyczepa nie jest tak zniszczona, na jaką wygląda. Twierdzi, że naszym samochodem możemy ją wyciągnąć z piasku, ustawić prosto i zamieszkać w niej.

- *Gracias* - podziękowała Fernandowi.

10

Życie jeszcze nigdy nie wydawało się Malone'owi takim rajem: czas dzielił między pływanie, żeglowanie, wędkowanie, spacer i czytanie w hamaku. Wrócił do malowania, próbując uchwycić to coś w oczach Sieny, co do tej pory mu umykało.

Prawdziwa Beatrycze.

Czasem przychodził dziesięcioletni synek Fernanda i wpatrywał się jak urzeczony w malowane przez Malone'a portrety.

- Chciałbyś się tego nauczyć?

Chłopiec pokiwał poważnie głową. Jedna lekcja zamieniła się w kilka. Chłopiec nie rozstawał się ze swym szkicownikiem i wszystko rysował, jak gdyby odkrył w tym coś magicznego.

W nocy, gdy Malone i Siena leżeli obok siebie w łóżku, szepnęła mu:

- Masz dobrą rękę do dzieci.

- Na pewno do jednego dziecka - zażartował.

- Nie wygłupiaj się. Wspaniale się nim zajmujesz.

- To dobry dzieciak.

- Ale nie uczysz go łatwych rzeczy. Potrafisz go zainteresować. Byłbyś świetnym ojcem.

- Chwileczkę. Chcesz przez to powiedzieć, że chciałabyś mieć dziecko?

- Myśl ta przeszła mi przez głowę.

- Teraz, kiedy mamy tyle kłopotów...

- Nie mówiłam, że teraz. Ale w innej sytuacji, co byś powiedział...

- Na wspólne dziecko?

- Tak.

- Jeśli tylko uczyni cię to szczęśliwą.

- Szczęśliwszą.

Tej nocy leżeli tylko, przytulając się do siebie.

11

Siedząc przy stoliku na zamkowym tarasie przy nietkniętej filiżance kawy i rogaliku, Potter słuchał warkotu broni maszynowej. Czuł, że pieką go twarz i oczy, jakby ktoś nasypał do nich piasku. Nic dziwnego. W końcu rano strzelanina obudziła go przed świtem - tak jak wczoraj i przedwczoraj. Od czasu do czasu warkot przerywały eksplozje i strzały z broni ręcznej, lecz najczęściej słychać było serie z broni maszynowej. Przez cały dzień. Codziennie. Ucierpiały na tym nie tylko nerwy Pottera. Również strażnicy sprawiali wrażenie spiętych, spoglądając, co chwila w stronę strzelnicy i marszcząc brwi.

Potter nie rozumiał, jak ciało Dereka - jego ręce, ramiona i barki - mogą znieść tak wielkie obciążenie. Sama broń nie wytrzymała takiego traktowania. Derek złamał już jeden stojak, zepsuł dwa podajniki i spalił kilkanaście luf. Tymczasem ciało

Dereka nie okazywało żadnych oznak zmęczenia: jego gniew był tak wielki, że gdyby nie dał mu upustu, wtedy dopiero cierpiałby fizycznie.

Inaczej wyglądała sprawa z emocjami Dereka. Potter nigdy nie widział go tak roztrzęsionego. Od dnia, kiedy Siena i Malone uciekli, Derek nie myślał o niczym innym, tylko o zemście. Zaniedbywał ważne sprawy zawodowe. Odwiedzał strzelnicę i korzystając z każdej broni, którą dostał w swoje ręce, obracał makietę wioski w gruzy. Potem kazał swym ludziom odbudowywać wioskę i znów obracał ją w gruzy, nie pozostawiając kamienia na kamieniu. Gdy broń się psuła pod wpływem tak forsownego użytkowania, wyładowywał się na swych inżynierach, żądając lepszych modeli. Gdy męczył się bronią palną, przerzucał się na granaty i wyrzutnie rakiet, a na jego rozwścieczonej twarzy malowały się plany zemsty, które podsuwała mu wyobraźnia.

Potter wreszcie miał tego dość. Wstał od stołu i ruszył ścieżką w stronę strzelnicy. Ujrzał Dereka pochylonego nad działkiem. Przeklinał, szarpiąc mechanizmem spustowym i nie mogąc wydobyć zaklinowanego naboju.

Derek miał w uszach zatyczki i nie zdawał sobie sprawy z obecności Pottera, dopóki ten nie stanął przed nim.

Gniew sprawił, że ciało Dereka wydawało się jeszcze bardziej okazałe niż zwykle. Miał pociemniałe z wściekłości oczy.

- Znalazłeś ich?

- Nie. Poszukiwania trwają. Musisz się uspokoić, Derek. Jutro masz spotkanie w Miami.

- Znajdź ich, do cholery! - Derek pozbył się zaklinowanego naboju i ostrzelał sunącego po przewodnicy manekina, z którego zostały tylko strzępy. - Znajdź ich!

12

Restauracja nosiła nazwę „El Delfin”. Mieściła się przy piaszczystej drodze, kilka ulic od plaży w obskurnym, parterowym budynku z pomarańczowym gontowym dachem i wentylatorem wbudowanym w okno. Nadzwyczaj skromne miejsce, tyle tylko, że serwowano tam najlepsze jedzenie w Santa Clara.

O zmierzchu Malone i Siena otworzyli drzwi restauracji i stanęli na pokrytej wyblakłym linoleum podłodze. Przez chwilę wydawało im się, że wszystkie miejsca są zajęte, lecz Malone dostrzegł wolny stolik w głębi sali po prawej stronie. Zauważył

jeszcze coś: z trzema mężczyznami rozmawiał meksykański kapitan. Miał szczupłą, wąsatą twarz, która kojarzyła się Malone'owi z sokołem. O kieszonkę koszuli zaczepione były złożone okulary przeciwsłoneczne.

- Za tobą - rzuciła Siena, gdy usiedli naprzeciw siebie.

- Wiem - odparł Malone. - Oficer z blokady drogowej. Co z tego? Wszyscy muszą jeść.

Gdy podeszła do nich kelnerka, zamówili sobie po piwie i zaczęli studiować jednostronicowe, wysłużone menu.

Malone sięgnął przez stół i wziął Sienę za rękę.

- Głodna?

- Bardzo. To danie z krewetek może być dobre.

- Gorąco je polecam - odezwał się ktoś.

Odwrócili się.

Przy ich stoliku stał kapitan.

- Więc je zamówimy - postanowił Malone.

- Kapitan Ramirez. - Mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie, wyciągając dłoń.

Malone uściskał ją.

- Dale Perry.

- Beatrice Perry. - Siena podała mu dłoń.

- Bardzo mi miło.

Malone zauważył, że Ramirez sprawdził kątem oka, czy Siena ma na palcu obrączkę. Przed wyjazdem z Yumy kupili dwie obrączki.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałem przywitać się z gośćmi ze Stanów Zjednoczonych. Mogę w ten sposób poćwiczyć swój angielski.

- Mówi pan świetnie. Ramirez zrobił skromny gest.

- Może się pan dosiądzie? - zapytał Malone.

- Na minutkę. *Una otra cerveza* - Ramirez zwrócił się do kelnerki, po czym usiadł obok Malone'a. - Udany pobyt?

- Bardzo.

- Nie za gorąco jak na tę porę roku? Większość waszych rodaków już stąd wyjechała.

- Lubimy gorący klimat - odparł Malone.

- Płynie w was chyba ognista krew.

- Gdy byłem nastolatkiem, to owszem.

- Żeby znów być nastolatkiem - zaśmiał się Ramirez. - Ze Stanów przyjeżdżają tu głównie emeryci. Rzadko się widuje tak młode kobiety z północy. - Przerwał na chwilę. - I tak piękne.

Siena wyglądała na zmieszaną.

- Dziękuję.

- Na emerytkę wygląda pani zdecydowanie zbyt młodo. Może wygraliście na loterii?

- Niestety nie. Mąż pracował w agencji reklamowej w Abilene w Teksasie. - Wymyślona przez nich historyjka tłumaczyła teksańskie numery rejestracyjne i prawo jazdy. - Ale kilka miesięcy temu firma zbankrutowała.

- Jaka szkoda - wtrącił Ramirez.

- Dale zawsze chciał być malarzem - kontynuowała. - Gdy agencja padła, powiedziałam mu, że Bóg w ten sposób namawia go, by poszedł za głosem serca. Podjęliśmy wszystkie oszczędności i ruszyliśmy na południowy zachód, zatrzymując się w miejscach, które Dale chciał malować. Wreszcie trafiliśmy tutaj.

- Jest pani wyrozumiałą kobietą: żeby pozwolić mężowi na spełnienie marzeń.

- Chcę tylko tego, co go uszczęśliwia.

- Nie wątpię.

- Słucham?

- Że go pani uszczęśliwia.

Kelnerka przyniosła piwo.

Gdy Ramirez podniósł swoje, do restauracji wpadł rozgorączkowany żołnierz i skinął na Ramireza, żeby wyszedł na zewnątrz. Ramirez kiwnął głową i zwrócił się do Sieny.

- Jak pani widzi, muszę lecieć.

- Miło się z panem gawędziło - odezwał się Malone.

Ramirez cały czas wpatrywał się w Sienę.

- Przyjemność jest po mojej stronie. *Nos vemos.*

Gdy Ramirez podszedł do drzwi, Siena zapytała:

- Co on powiedział?

- Zobaczymy się.

Drzwi zatrzasnęły się głośno za Ramirezem i żołnierzem.

Wszyscy goście przyglądali im się podczas rozmowy, lecz teraz zajęli się znów jedzeniem.

Siena pochyliła się do Malone'a, udając, że szepcze mu do ucha czułości.

- Niedobrze mi.

- Weź głęboki wdech.

- Przez cały czas, gdy tu siedział z nami, o mało nie zwymiotowałam. - Na twarzy lśnił jej pot. - Widać było po mnie? Co on wyprawiał? - Siena ściszała głos, bojąc się, że ktoś ją usłyszy.

- Nie mam pojęcia. - Udając, że jest całkowicie rozluźniony, Malone pociągnął długi łyk piwa, żałując, że to nic mocniejszego.

- Na szczęście nie poprosił cię o okazanie dowodu.

- Co znaczy, że tak bardzo się nami nie interesuje. Może chciał tylko pokonwersować po angielsku. Ale niewątpliwie zadawał mnóstwo pytań. Dowiedział się tyle, że nie musiał zaglądać do dowodu.

- Wcale mnie nie uspokajasz - poskarżyła się Siena.

- Sam też nie jestem spokojny.

- Mówię poważnie. Jest mi niedobrze. Wyjdźmy stąd.

- Nie możemy.

- Co takiego?

- A jeśli zobaczy, jak wychodzimy? Będzie się zastanawiał, co nas tak zdenerwowało, że nie zostaliśmy na kolację.

- O Boże.

- Nie mamy wyboru - powiedział Malone.

Gdy kelnerka znów do nich podeszła, zamówili krewetki. Malone z podziwem obserwował Sienę. Wykonała konieczne zadanie i zjadła wszystko z talerza. W drodze powrotnej do przyczepy wysiadła z samochodu i zwymiotowała.

13

Nie mogła zasnąć. Leżąc w ciemnościach, patrzyła w sufit, mając nadzieję, że szum fal jak zwykle przyniesie jej ukojenie. Na próżno. Może Ramirez rzeczywiście ćwiczył tylko swój angielski, próbowała przekonać samą siebie. W końcu rejon ten żyje z turystów. Ale po co zawracałby sobie głowę dwoma spośród garstki pozostałych wmieście gości? Bez sensu. Po prostu zachowywał się wobec nich uprzejmie.

Na pewno, pomyślała.

Nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że incydent w restauracji nie różnił się niczym od tego wszystkiego, co było jej udziałem podczas pokazów mody, sesji fotograficznych, przyjęć... To nic, że nie miała makijażu, że nie zdjęła kapelusza i że spuszczała bez przerwy wzrok. Ramirez podszedł do ich stolika, zauroczony jej urodą.

- Musimy stąd wyjechać - oznajmiła Malone'owi z samego rana. Jej zmizerowana twarz świadczyła o tym, że niewiele spała, lecz wciąż nie straciła na atrakcyjności, czego tak bardzo pragnęła.

Gdy ładowali bagaże do samochodu, Siena odwróciła się, słysząc coraz wyraźniejszy warkot silnika. Początkowo myślała, że do brzegu dopływa motorówka. Lecz gdy spojrzała w stronę morza, jej uwagę przykuł ruch nie na wodzie, lecz na brzegu. Wojskowy jeep z odkrytym dachem i jednym pasażerem: kierowcą. Poczula, jak napinają jej się mięśnie, dostrzegając błyski światła w szklach przeciwsłonecznych okularów.

14

Gdy Ramirez zaparkował obok przyczepy, żona Fernanda zagoniła dzieci do środka. Jej histeryczna reakcja wyraźnie sprawiła Ramirezowi satysfakcję, gdy wysiadał z wozu i poprawił okulary. Miał na sobie sztywno wyprasowany mundur, który podkreślał jego płaski brzuch i proste plecy. Z prawej strony wystawał mu pistolet. Podszedł do przyczepy z poważną miną.

- Dzień dobry.

- *Buenos dias* - odpowiedział Malone, przyjmując z wysiłkiem uprzejmy ton.

- Po angielsku proszę. - Zachodził jaskrawy kontrast między grzecznymi słowami Ramireza a jego surowym wyrazem twarzy. - Nasza wczorajsza rozmowa sprawiła mi tyle przyjemności, że żał mi było wychodzić. Postanowiłem więc przyjechać z wizytą.

Malone rozłożył ręce w gościnnym geście.

- Nie było was łatwo znaleźć. - Ramirez wpatrywał się w Sienę. Malone mógł sobie wyobrazić, jak na niego działała. Bez kapelusza, który miała na głowie w restauracji, jej uroda olśniewała. Choć była zmęczona po niemal bezsennej nocy, jej skóra nie straciła ognistego odcienia.

- Jestem pod ogromnym wrażeniem pani poświęcenia dla artystycznej kariery męża. Pomyślałem więc, że wpadnę i obejrzę jego obrazy - kontynuował Ramirez.

- Nie są tak dobre, jak bym chciał - wtrącił Malone - ale...

- Bzdura. Na pewno przemawia przez pana skromność. - Ramirez spojrział na płótno oparte o samochód, którego Malone nie zdążył załadować do środka. - Wyjeżdżacie gdzieś?

- Na całodniową wycieczkę wzdłuż wybrzeża. Chciałbym tam coś namalować.

- Miał pan malować pejzaże. A to jest portret.

- Raz na jakiś czas maluję żonę.

- Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego. - Spojrzał najpierw na linię bioder, talii i piersi na portrecie, a później na żywy obiekt. - Dziwię się, że nie mieszka pani w mieście. Nie czuje się pani tu samotna?

- Dale nie lubi, gdy się go rozprasza.

- A czy pani go nie rozprasza?

- Tutejszy spokój i cisza przypadły nam do gustu.

- A szczerze mówiąc - wtrącił Malone - chcemy trochę zaoszczędzić. W Santa Clara musielibyśmy płacić za mieszkanie.

Ramirez nie spuszczał oczu ze Sieny.

- Widziałem panią przy blokadzie drogowej sześć tygodni temu.

Zrobiła zdziwioną minę.

- Przy blokadzie drogowej?

- Tak. Gdy jechaliście tutaj.

- Nie przypominam sobie.

- Co pani robi w wolnym czasie, pani Perry?

Wyglądała na jeszcze bardziej zdziwioną.

- Pływam, czytam, żegluję.

- To wszystko?

- W Abilene bezustannie martwiliśmy się o pracę Dale'a. W końcu stało się najgorsze i już nie musieliśmy się martwić. Proste życie w zupełności nas zadowala.

- Żeby zrekompensować moje nagłe wyjście wczoraj wieczorem, zapraszam na kolację.

- Naturalnie. Dale i ja będziemy zaszczyceni.

- Zaproszenie jest właściwie tylko dla... - Ramirez wycelował swe przeciwsłoneczne okulary w Malone'a. - Mogę zobaczyć waszą kartę turystyczną?

- Kartę turystyczną? - zdziwił się Malone. - Przecież nie musimy jej mieć. Santa Clara należy do strefy wolnego handlu Sonoran.

- Zgadza się. Ale nie jesteśmy w Santa Clara. Przebywacie poza strefą wolnego handlu. Poproszę waszą kartę turystyczną. - Ramirez wyciągnął rękę.

- Nie mamy jej.

- No to mamy problem.

- Słusznie. Wrócimy więc na granicę i wyrobimy ją.

- To nie będzie konieczne.

- Ale przed chwilą pan powiedział...

- Mam do załatwienia pewną sprawę na granicy. Przywiozę wam kartę turystyczną.

Malone zmarszczył brwi.

- Ale czy nie musimy odebrać jej osobiście?

- Postaram się, aby zrobiono wyjątek.

- Bardzo miło z pańskiej strony.

- Nie ma o czym mówić. - Ramirez znów wlepił wzrok w Sienę. - Będę miał okazję, żeby znów wpaść z wizytą. Muszę jednak zweryfikować wasze dane. Urzędnik imigracyjny, od którego dostanę kartę, będzie musiał potwierdzić waszą tożsamość. Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy, panie Peny?

- ...Naturalnie. - Malone wyciągnął portfel i podał mu dokument. Ramirez spojrzał na zdjęcie Malone'a, które urzędnik w Teksasie zafoliował na prawie jazdy. Przeczytał imię i nazwisko.

- Dale Perry. Wspaniała fotografia. - Włożył dokument do kieszeni na koszuli.

- Chwileczkę. Po co...

- Muszę je zatrzymać, żeby potwierdzić pańską tożsamość przy wyrobieniu karty turystycznej.

- Ale...

- Tego wymagają przepisy. Zwrócę panu ten dokument jak najszybciej. Chyba nie zamierzaliście wyjechać stąd na dobre?

- Nie.

- Więc prawo jazdy nie będzie wam potrzebne.

15

- Chodzi mu o mnie - powiedziała Siena.

- Wiem.

W odrętwieniu odprowadzali wzrokiem samochód Ramireza, który odjeżdżał w kierunku Santa Clara.

- Wprowadzi do komputera dane Dale'a Perry'ego, żeby sprawdzić, czy może nas czymś zaszantażować. - Siena patrzyła jak zahipnotyzowana za oddalającym się jeepem. - I wymusić na mnie, żeby poszła z nim do łóżka.

- Tak.

- Do tej pory pracodawca Perry'ego dowiedział się już, że zabraliśmy jego portfel. I albo mój mąż, albo Laster zlecił specjalistom, by sprawdzili, czy ktoś korzysta z jego kart kredytowych lub numerów identyfikacyjnych.

- Tak.

- Wkrótce będziemy mieli towarzystwo. - Gdy jeep Ramireza zniknął w oddali, Siena mogła wreszcie oderwać od niego wzrok. Zaszło jej w gardle. - Więc co my teraz zrobimy?

- Wyjedziemy, tak jak chciałaś.

- Ale jak? Do granicy prowadzi tylko jedna droga. A co z blokadą? Ramirez nie pozwoli swoim ludziom nas wypuścić.

Chase zwrócił twarz na południe, w stronę bardzo stromego skalistego zbocza, gdzie kończyła się plaża.

- Nie miałem na myśli drogi.

- Chcesz tamtędy dojść do następnego miasta? - Mówiła o Puerto Penasco, sto mil na południe. - To potrwa wiele dni. W tym upale możemy tam nie dotrzeć. Poza tym Ramirez zorientuje się, dokąd uciekamy. Gdy dostaniemy się do miasta, jego żołnierze już będą na nas czekać.

- Nie miałem na myśli drogi lądowej.

- Więc...

Chase spoglądał w stronę zatoki.

Z dreszczem emocji zrozumiała jego plan.

- Gdy Fernando wróci z połowu, zapłacę mu, żeby nas zabrał do Puerto Penasco - wyjaśnił. - Znajdziemy się tam za kilka godzin. Ramirez nie zdąży do tej pory wrócić i zorientować się w naszych planach. Znajdziemy jakiegoś Amerykanina. Historia o pechowej podróży i kilkaset dolarów powinny go przekonać, żeby nas zabrał do Stanów.

- A co z Fernandem? Ramirez domyśli się, że nam pomógł. Narazimy go na niebezpieczeństwo.

- Chyba że Fernando zezna, że działał pod przymusem. Zresztą mam lepszy pomysł. Zapłacimy mu, żeby udostępnił nam motorówkę. Powie Ramirezowi, że mu ją ukradliśmy, i poprosi kogoś, żeby podwiózł go do Puerto Penasco i tam ją odbierze.

Spojrzeni na siebie.

- Nie mamy wyboru. - Głos Sieny zadrżał.

- Wszystko będzie dobrze. - Chase objął ją. - Wieczorem znów będziemy w Stanach. Pojedziemy autobusem do Yumy, zabierzemy pieniądze z kontenera i znajdziemy nie gorszą kryjówkę gdzie indziej.

Przytuliła się do niego mocniej, chcąc mu uwierzyć.

- To nie jedyne miejsce na końcu świata - stwierdził Chase. - Wieczorem przekonasz się, że kolejny koszmar mamy już za sobą.

- Jasne.

- Rozchmurz się. Obiecuję ci, że jakoś z tego wybrniemy. - Pocałował ją, napełniając jej serce uczuciem. - Pospieszmy się, musimy być gotowi, gdy wróci Fernando. Nie możemy marnować czasu.

Czasu, powtórzyła w myślach Siena.

16

Zostawili większość swoich rzeczy, pakując do plecaków tylko podstawowe przybory toaletowe i ubrania na zmianę. Siena oparła plecaki o kuchenne drzwi. Rozglądając się po przyczepie, nie potrafiła stłumić w sobie melancholii. Przez jakiś czas to był ich dom.

Rozdzielili między siebie pieniądze, które im zostały - równowartość szesnastu tysięcy dolarów. Siena wcisnęła część do džinsów, które założyła zamiast szortów. Pozostałe pesos upchnęła do plecaka. Chase upchnął swoją część do przednich kieszeni rybackiej kurtki khaki, którą zakładał, wypływając z Fernandem na połów.

- Widać go? - zapytała Siena.

- Jeszcze nie.

- Już trzecia. Zwykle o tej porze jest z powrotem.

- Zdaniem Fernanda najlepiej łowi się rano.

- Więc gdzie on się podziewa?

- Bawi się lepiej od nas. Odpręż się. Niedługo wróci.

Z trzeciej zrobiła się czwarta, a potem piąta. Gdy słońce zaczęło zachodzić, Siena nie mogła usiedzieć w miejscu.

- Niedługo zjawi się tu Ramirez albo ktoś od mojego męża, albo...

- Może coś mu się stało.

- Jeśli się nie pośpieszy, to nam coś się stanie.

Wciąż spoglądała w stronę północnego wybrzeża, oczekując pojawienia się wojskowego jeepa.

Minęła szósta. Siódma. Słońce schodziło coraz niżej.

Dym zwrócił jej uwagę na przyczepę Fernanda, gdzie jego żona przygotowywała posiłek. Obawiając się żołnierzy, nie wychodziła z przyczepy jeszcze długo po wyjeździe Ramireza. Gdy wreszcie wyjrzała na zewnątrz, nie pozwalała dzieciom zbliżać się do ich przyczepy i rzucała w ich stronę podejrzliwe spojrzenia.

- Pewnie uważa, że sprowadziliśmy na nich kłopoty - domyślał się Chase.

- Jeszcze nie wie jakie.

- Słyszę warkot silnika.

Ujrzeli zbliżającą się motorówkę i Fernanda, który kierował sterem.

- Dzięki Bogu - odetchnęła Siena.

Pobiegli na plażę, gdy Fernando dopływał do brzegu. Chase wszedł do wody, żeby pomóc mu wciągnąć łódź na piasek. Siena знаła już hiszpański na tyle, by zrozumieć słowa Chase'a:

- Martwiliśmy się o ciebie.

Lecz Fernando mówił za szybko i musiała skorzystać z tłumaczenia Chase'a. Okazało się, że w Santa Gara Fernando wziął udział w spotkaniu z przedstawicielami firmy, której odsprzedawał swoje ryby. Dlatego wrócił tak późno.

Gdy Fernando zarzucił kotwicę, żeby łódź nie odpłynęła podczas przypływu, zmarszczył brwi na widok skwaszonej miny żony, która zbliżała się do brzegu.

- Coś się stało? - zapytał po hiszpańsku.

Zmarszczył brwi jeszcze bardziej, gdy usłyszał relację żony o wizycie kapitana. Jego konsternacja zamieniła się w rozdrażnienie, gdy Chase wyjaśnił, że chcą wypożyczyć łódź, popłynąć do Puerto Peñasco i zostawić mu ją tam do odebrania.

- Nie. - Żona Fernanda podniosła ręce do góry.

- Dam ci pięćset dolarów - powiedział Chase.

- Nie!

- Siedemset.

- Nie! - Kobieta zaczęła odciągać Fernanda w stronę przyczepy.

- Tysiąc.

Fernando prawdopodobnie nigdy nie widział takiej sumy pieniędzy. Wybąkał coś, zanim żona zaciągnęła go do przyczepy.

- Powiedział, że spróbuje z nią porozmawiać - Chase poinformował Sienę.

- Na próbie może się skończyć. - Siena znów spojrzała w stronę północnego wybrzeża. Choć zachodzące słońce nie dawało już zbyt dużo światła, było wystarczająco widno, żeby dojrzeć nadjeżdżający samochód. - Jeśli nie zgodzi się nam jej wypożyczyć, sami weźmiemy tę cholerną łajbę. Nie zamierzam zostać tu na noc.

- Spróbuję skusić ich większą sumą - powiedział Malone.

- Oddaj im wszystkie pieniądze. Żeby się tylko stąd wydostać. Stąpając po piasku, doszli do przyczepy. Słyszeli odgłosy kłótni między Fernandem i jego żoną. Gdy Chase zapukał do drzwi, kobieta krzyknęła:

- Odejdź!

Chase mimo to otworzył drzwi i wszedł do środka, zauważając przerażone spojrzenia dzieci.

- Tłumacz - poprosiła go Siena.

Próbowała wyjaśnić, jak bardzo się boi, że jej mąż ich znajdzie. Kobieta zasłoniła uszy rękami.

- Do diabła z nią - rzuciła Siena. - Zajmij ich czymś, a ja zabiorę plecaki na łódź. Wybiegła na zewnątrz. Chmury zakrywały zachodzące słońce, gdy biegła do przyczepy. Szarpnęła drzwi i sięgnęła po plecaki. Czyjaś ręka wyłoniła się z mroku i chwyciła ją za ramię.

17

- Dobry wieczór, pani Perry.

Ramirez wciągnął ją w mrok przyczepy. Choć jego ręka mocno ścisnęła ją za ramię, Siena poczuła jeszcze gorsze ściśnięcie w gardle, jakby się dusiła.

- A może powinienem powiedzieć pani Bellasar?

- O czym pan mówi? - udało jej się wykrztusić chrapliwym głosem. Stając twarzą do Sieny, Ramirez wykręcił jej rękę za plecami. Skrzywiła się z bólu, a on przyciągnął ją bliżej siebie.

- Nie musisz się bać. Nikomu o was nie powiedziałem. - Przyciągnął ją jeszcze bliżej. - Skorzystałem z komputera i dowiedziałem się, jak naprawdę się nazywacie. Podobno poszukuje was CIA. Ale nie martw się. Zerwałem połączenie. Nie wydam waszego sekretu. - Objął ją drugim ramieniem. - Ale cóż to za sekret? Dlaczego poszukuje was CIA? Jaka dostanę nagrodę za milczenie?

Przysunął twarz do jej twarzy. Odwróciła głowę, próbując wyrwać się z jego uścisku. Ale on nie dał za wygraną, usiłując dosięgnąć jej ust. Gdy odchyliła głowę do tyłu, ścisnął ją mocniej. Nadepnęła mu mocno na stopę.

Uderzył ją.

Zamroczyło ją na chwilę. Uderzył ją jeszcze raz i nagle znalazła się na podłodze. Jak przez mgłę dostrzegła, że Ramirez robi zamach nogą, żeby ją kopnąć. Przez straszną chwilę wydawało jej się, że to Derek, że znów jest w pokoju hotelowym w Stambule, że Derek kopie ją i...

Wtem coś łupnęło. Przemknęła jakaś postać. Gdy oprzytomniała, zdała sobie sprawę, że to drzwi przyczepy otworzyły się z trzaskiem, a przemykającą postacią był Chase, który rzucił się na Ramireza i obaj padli na kuchenny stół.

Gdy stół przewrócił się, a oni zlecieli na podłogę, Siena rozejrzała się rozpaczliwie dookoła, szukając czegoś, czym mogłaby uderzyć Ramireza. Lecz w panującym mroku Chase i Ramirez byli nierozpoznawalni, przewalając się to w jedną, to w drugą stronę i zadając sobie ciosy. Jeden z nich jęknął. Oddychali z trudnością. Podnieśli się z podłogi, po czym runęli na kuchenny blat. Do zlewu wpadł z brzękiem garnek, a na podłodze roztrzaskał się talerz.

Jeden z nich zrobił unik przed ciosem w twarz i walnął drugiego w brzuch. Zataczając się, zrobił kilka kroków do tyłu. W tej samej chwili przeciwnik wyprostował się, a jego sylwetka zarysowała się wyraźnie na tle kuchennego okna. Podniósł prawą rękę. Trzymał w niej coś. Pistolet. Ramirez. Siena otworzyła usta, żeby ostrzec Chase'a. Za późno. Strzał był ogłuszający. Siena ledwie usłyszała swój krzyk, tak bardzo dzwoniło jej w uszach.

Kula wybiła szybę w oknie. Chase mocował się z uzbrojoną ręką Ramireza, próbując wyrwać mu pistolet, gdy padł kolejny strzał, a towarzyszący mu błysk wydawał się niemal oślepiający w panującym mroku. Z jeszcze silniejszym bólem w uszach Siena poczuła, jak kula świsnęła obok niej, ale w tej chwili myślała tylko o podpełźnięciu do połamanego stołu i wyrwaniu jednej z nóg. Szerszy koniec nogi rozszczepił się, tworząc ostry jak u włóczni szpic. Dźgnęła nim Ramireza w plecy.

Krzyknął. Obydwaj mężczyźni stracili równowagę. Gdy runęli na podłogę, pistolet wystrzelił po raz trzeci. Siena sięgnęła po kolejną nogę od stołu, podniosła ją, żeby zdzielić Ramireza w głowę, ale z dala od okna nie potrafiła ich rozróżnić.

- Chase, gdzie jesteś?

- Tutaj!

Huknęła Ramireza w głowę tak mocno, że pałka pękła jej w rękę na pół.

Sięgnęła po następną i znów go uderzyła, czując, jak jego czaszka zmiękła w jednym miejscu. Lecz Ramirez nie reagował, leżał tylko bez ruchu, jakby nie czuł spadających na niego razów.

18

Przez kilka długich sekund nikt się nie ruszał. Jedynym dźwiękiem był ciężki oddech Malone'a. Serce waliło mu w piersi.

- Nie żyje? - Siena z trudem wykrztusiła z siebie te słowa.

- Tak.

Poczuła mdłości.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Chyba... - Otarła krew z twarzy. - ...nic. W oddali zagrzmiało: Zanosiło się na burzę. Malone oparł się o kuchenny blat.

- Dlaczego nie usłyszeliśmy jeepa?

- Pewnie nie zaparkował tutaj, tylko na plaży, i zakradł się.

Zagrzmiało głośniejsze.

Przytulili się do siebie.

- Wiedział, że nazywam się Bellasar.

- Boże.

- Powiedział, że korzystał z komputera. - Jej ramiona podnosiły się i opadały. - Dowiedział się, że poszukuje nas CIA.

- Jeśli wpisał nazwisko Dale'a Perry'ego do komputera, postawił na nogi CIA. Do tej pory osoba, która powiadomiła twojego męża, że przebywaliśmy w bazie w Wirginii, przekazała już i tę wiadomość. - Gdy znów zagrzmiało, Malone zerknął w stronę okna. - Nie mamy zbyt dużo czasu.

- A co z... - Siena z obrzydzeniem spojrzała na zwłoki. - Nie możemy go tu zostawić. Meksykańska policja wpadnie na nasz trop. Ani się obejrzymy, a oni też zaczną nam deptać po piętach.

Malone usiłował uporządkować myśli.

- Przywiążemy coś ciężkiego do ciała i wrzucimy je do zatoki. Jeep. Musimy go znaleźć. Wywiozę go do Santa Clara, a ty pojedziesz za mną fordem. - Myśli kłębiły mu się w głowie. - Zrobimy tak, żeby wyglądało, jakby zaparkował na skraju miasta. Burza i przypływ zatrą ślady opon. Jeśli nie zostawimy odcisków palców, policja nie zdoła nam udowodnić, że mieliśmy z tym coś wspólnego.

- Ale strzały...

- Jesteśmy zbyt daleko od miasta, żeby ktoś mógł je usłyszeć. Pozostaje Fernando, ale on jest za bardzo zastraszone, żeby wyjawić policji, co się stało. - Malone przeszukał kieszenie Ramireza, nie zwracając uwagi na to, że jego ciało robiło się zimne. Znalazł kluczyki, ale szukał dalej. Potrzebował prawa jazdy Dale'a Perry'ego. Gdzie ono jest, zastanawiał się gorączkowo, muszę je znaleźć. - Jest, dzięki Bogu. - Wyciągnął dokument z kieszeni spodni Ramireza. - Szybko. Pomóż mi przenieść go na łódź, zanim rozpęta się burza.

Chwycił ciało za rękę i zaczął je podnosić, lecz uświadomił sobie, że Siena nie ruszyła się z miejsca.

Przynaglona kolejnym grzmotem, złapała ciało za buty, zadrzała i wyprostowała się.

Przenieśli zwłoki w stronę wyjścia. Malone cofał się do drzwi i otworzył je ruchem biodra. Lepiej chwycił ciało i zaczął wychodzić tyłem z przyczepy, gdy błyskawica rozświetliła twarz Sieny, z której wyczytał przerażenie.

Ale nie z powodu Ramireza. Coś czało się za nim.

Odwrócił się.

W świetle błyskawicy ujrzał Bellasara, Pottera i trzech ochroniarzy.

- Powinniście przewidzieć, że was znajdę - rzekł Bellasar.

Siena jęknęła.

- Wynosicie śmieci? - zapytał Bellasar.

Malone wypuścił ciało Ramireza i chciał się wyprostować.

Za późno.

Potter zdzielił go w czoło lufą pistoletu.

- Najpierw zajmijmy się tymi śmiećmi.

19

Krew zalewała mu oczy i Malone poczuł, że ktoś go podnosi: dwaj mężczyźni wnieśli go do ciemnej przyczepy. Jakby z oddali dochodziły go słowa Bellasara. Domagał się czegoś.

Siena odpowiedziała ledwo słyszalnym głosem. Malone nie zrozumiał jej, był zbyt oszołomiony. Coś błysnęło. Początkowo Malone sądził, że błyska się na zewnątrz. Jego osłabiony wzrok z trudnością cokolwiek rejestrował. Lecz drugi i trzeci błysk rozproszył mrok w przyczepie, aż wreszcie Malone uświadomił sobie, że widzi świece, które Bellasar kazał wyjąć Sienie z szuflady. Zapaliła czwartą i piątą świeczkę. W przyczepie rozjaśniło się.

- Nowe portrety. - Bellasar skrzywił się. Przebił pięścią jeden z wizerunków Sieny. - Twoje prace przestały mi się podobać. - Klnąc, cisnął w kąt poszarpany portret, którego rama roztrzaskała się o ścianę. Podszedł do Malone'a i rąbnął go tak mocno w twarz, że krzesło przewróciło się, a on rozpląszczył się na podłodze. - Ostrzegalem cię, żebyś nie dotykał mojej żony, pamiętasz?

Malone był zbyt obolały, żeby mu odpowiedzieć.

Przyczepa zatrzęsała się od kolejnego grzmotu piorunu.

- Podnieść go.

Czyjeś ręce pomogły mu stanąć na nogi.

- Trzymać go mocno.

Zamroczony bólem Malone dojrzał, że Bellasar zakłada skórzane rękawice.

- Nie! - zawołała Siena.

Cios w brzuch zgiałby Malone'a wpół, gdyby nie przytrzymał go ludzie Bellasara. Następny cios wymierzony był wnoś, kolejny znów w brzuch. W twarz. W...

Tracąc przytomność, usłyszał jeszcze tylko krzyk Sieny.

20

- Zabijesz go!

- O to mi chodzi. - Derek znów zamierzył się do ciosu.

Siena wyrwała się ochroniarzowi i chwyciła Dereka za ramię, zanim zdążył uderzyć.

- Błagam cię!

- Będziesz mnie błagała o litość, gdy przyjdzie twoja kolej.

- Możesz ze mną zrobić, co chcesz! Ale daruj życie jemu! Jeśli kiedykolwiek coś do mnie czuleś...

Derek odepchnął ją brutalnie i Siena wpadła na mały stolik, strącając z niego świecę.

Wiatr zakołysał przyczepą.

- Burza jest już blisko - stwierdził Potter.

Na podłodze strącona świeca nie przestawała się palić. Derek zadał kolejny cios Malone'owi, którego opuchnięta twarz zalana była krwią.

Kilka kropel deszczu puknęło w metalowy dach.

- Idź tam, gdzie zostawiliśmy samochód, śledząc jeepa, i sprowadź go tu - rozkazał ochroniarzowi Potter.

Od płomienia świecy zajął się dywan.

- Szybko - poganiał ochroniarza Potter - bo gdy rozszaleje się burza, nie znajdziesz samochodu. Nie mam zamiaru tutaj tkwić.

Ochroniarz wybiegł z przyczepy.

- Zgaś ten ogień - Potter rozkazał drugiemu ochroniarzowi.

- Nie - wtrącił Derek. - Niech się pali. Niech wszystko spłonie.

Gdy z płonącego dywanu zaczął unosić się dym, Derek jeszcze raz uderzył Chase'a, skrzywił się na widok zakrwawionej rękawiczki i ruchem ręki nakazał swym ludziom, żeby go puścili.

Chase runął na kuchenną podłogę.

Gdy Siena próbowała podbiec do niego, Derek zatrzymał ją.

Trzasnął piorun. W dach przyczepy zabębniło więcej kropli deszczu.

- Zapowiada się niezła burza - ocenił jeden z ochroniarzy. Płomienie trawiły dywan i sięgały już portretów.

- Spójrz na niego po raz ostatni - powiedział Derek, ciągnąc Sienę do wyjścia.

Zaczęła pisać. Nie mogła przestać. Wydawało jej się, że zaraz pękną jej struny głosowe, ale nie przestawała zawodzić. Płomienie sięgały coraz wyżej, a Derek ciągnął ją w stronę drzwi.

Na zewnątrz zatrzymał się samochód z włączonymi światłami i wycieraczkami, które strzepywały z szyby deszcz. Derek szarpnął ją tak mocno, że Siena straciła z oczu Chase'a.

Wepchnięta do samochodu, spojrzała przez tylne okno na buchające z dymu języki ognia. Samochód oddalał się w stronę miasta, a przyczepa zniknęła w mroku i deszczu. Pozostały tylko płomienie. Ale i te wkrótce rozmyły się w zalanych łzami oczach Sieny.

Część dziewiąta

1

Fernando odwrócił głowę w stronę drzwi, gdy na zewnątrz rozległ się przejmujący dźwięk.
- Co to było? - Jego żona zamarła. - Zupełnie jak...

- ...strzał - dokończył za nią. Pokazując dzieciom na migi, żeby się nie ruszały z miejsca, Fernando ostrożnie otworzył drzwi. W gęstniejącym zmierzchu spojrzął na prawo w stronę przyczepy Dale'a. Strzał pochodził stamtąd. Nic nie rozumiał. Przecież Dale i Beatrice nie strzelali do siebie. Może wrócił kapitan? Na dźwięk drugiego i trzeciego strzału Fernando zeszywniał.

- Potrzebują naszej pomocy - zwrócił się do żony. Ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zagrzmiało. Na południu zbierały się czarne chmury.

Ale Fernando kierował uwagę na północ, gdzie w szarości zmierzchu maszerowało wartko pięciu mężczyzn w garniturach. Dzieliło go od nich jakieś pięćdziesiąt metrów i szybko zmniejszali tę odległość. Jeden z nich był niski i przysadzisty. Trzej inni byli wysocy i szerocy w barach. Natomiast od czwartego, który prowadził całą grupę, emanowała wielka, przerażająca siła, choć nie przewyższał pozostałych wzrostem. Miał ciemne włosy i surowe rysy wyostrome pod wpływem emocji. Nieustępliwie parł do przodu w swym gniewnym marszu.

Zagrzmiało głośniejsze.

- Nie jesteśmy tu bezpieczni - rzucił Fernando. - Musimy się stąd wynieść.

- Ale gdzie?

Fernando natychmiast pomyślał o miejscu, w którym schronili się przed huraganem zeszłego lata.

- Do groty. Szybko. Zabierz dzieci.

Chwycił syna za rękę i wyprowadził go z przyczepy, mając nadzieję, że są niewidoczni. Nie zważając na grzmoty i błyskawice, czmychnęli w gęstniejącym mroku w stronę wydmy.

Żeby tylko niezauważenie ją obejść... modlił się Fernando. Jeszcze nigdy nie czuł tak paraliżującego strachu. Tych ludzi zdawała się otaczać jeszcze większa ciemność niż nadchodząca burza. Przynaglony nie tylko zimnym wiatrem, przyspieszył biegu. Omijając wydnię, popędzili w stronę skalistego zbocza i małego, prawie niewidocznego otworu grotu.

Ale nawet wtedy, gdy znaleźli schronienie w jej wypełnionej echem ciemności, Fernando nie czuł się bezpiecznie. Grota była praktycznie niewidzialna dla tych, którzy nie wiedzieli, gdzie się znajduje, zwłaszcza o zmierzchu tuż przed zapadnięciem nocy. Ale ktoś mógł dostrzec ślady, które zostawili na piasku. Jeśli ci ludzie mają latarki...

Przestań się zamartwiać, złażał samego siebie Fernando. Co my ich obchodzimy? Chodzi im tylko o Dale'a i Beatrice. My dla nich nic nie znaczymy.

No właśnie. Nic dla nich nie znaczymy. Jeśli nas zauważyli, jeśli nie chcą zostawić niewygodnych świadków...

Nie możemy tu po prostu siedzieć i czekać, aż nas wymordują.

- Muszę zatrzeć ślady!

Fernando wybiegł z grotu i dotarł do miejsca, gdzie ślady stóp zakręcały wokół wydmy. Zrzucił z siebie koszulę i przesunął nią po zostawionych na piasku śladach, cofając się. Wiatr wiał z taką siłą, że niemal wyrwał mu koszulę z rąk. Na, jego nagą skórę spadło kilka kropel deszczu. Z czasem coraz więcej lodowatych kropel smagało go po ciele.

Nie muszę zacierać śladów, pomyślał. Deszcz zrobi to za mnie.

Ale jeśli ci ludzie odkryją ślady, zanim się rozpada?

Trzasnął piorun, chwilowo oślepiając go i sprawiając, że poczuł się widoczny jak na dłoni. Gdy zagrzmiało i znów zapadła ciemność, skrył się za wydnię. Tam jedynym słyszalnym dźwiękiem było zawodzenie wiatru.

I warkot nadjeżdżającego samochodu.

Wydnię oświetliły reflektory. Fernando usłyszał, że samochód zatrzymał się. Zamknięto drzwi przyczepy. Beatrice zaczęła piszczeć. Dochodziły go odgłosy szamotaniny. Po chwili drzwi samochodu trzasnęły i światła zmieniły kierunek.

Wyglądało na to, że ci ludzie zabrali ze sobą Beatrice.

A co z Dale'em?

Smagany jeszcze bardziej lodowatym deszczem, Fernando wyjrzał zza wydmy. Gdy tylne światła samochodu znikły w ciemności, ze zdumieniem dostrzegł płomienie w oknach przyczepy. Widząc, że ktoś leży przed drzwiami, podniósł się i niemal stracił równowagę w porwanym przez wiatr piasku. Pod przyczepą leżał Dale - tego był pewien - lecz gdy dotarł na miejsce, ku jego zdziwieniu okazało się, że mężczyzna ma na sobie wojskowy mundur. Gdzie jest...

Fernando wyteżył wzrok. Za drzwiami przyczepy ogień rozprzestrzeniał się z pokoju w stronę kuchni i sypialni. Podnosząc rękę, żeby osłonić twarz przed gorącem, podszedł bliżej i dostrzegł Dale'a rozciągniętego na kuchennej podłodze. Lecz płomienie tarasowały mu drogę.

Nie rusza się. Ma zakrwawioną twarz. Prawdopodobnie nie żyje. Idiotyżmem byłoby...

Zanim Fernando zdał sobie sprawę z tego, co robi, okrążył przyczepę i znalazł się przy ścianie sypialni. Kiedy Dale reperował szkody wyrządzone podczas zeszłorocznego huraganu, załatał dziurę w kącie sypialni kawałkiem brezentu. Fernando oderwał brezent, który z furkotem odleciał w noc, porwany silnym wiatrem. Całkowicie przemoczony Fernando wcisnął się w wąską dziurę. Przewracając się na bok, obcierając nagi brzuch i plecy, wpełzł do sypialni.

W coraz bardziej gęstniejącym dymie, kaszląc, okrążył szybko łóżko. W drzwiach migotało coraz jaśniejsze światło. Poczul żar, zanim jeszcze przeszedł przez drzwi, i niemal zrejterował na widok wdzierających się do kuchni płomieni. Jezu Chryste, Matko Boska i Święty Józefie, pomodlił się i dał nura do przodu. Czując, jak ogień opala mu włosy, chwycił Dale'a za nogi i zaczął rozpaczliwie odciągać go w stronę sypialni. Przewlókł go przez szczątki stołu, wpadł na kuchenną ladę i nagle stracił równowagę. Padając do tyłu, nie zwolnił uścisku wokół nóg Dale'a i wylądował w zacienionej sypialni. I choć również tam robiło się coraz bardziej gorąco, wydawało mu się, że nigdy nie czuł tak przyjemnego chłodu. Pospiesznie podciągnął Dale'a do dziury w ścianie i ułożył go głową do przodu. Do środka zaciął deszcz. Wiatr wył. Z łomoczącym sercem Fernando przecisnął się na zewnątrz, odwrócił głowę i zbladł na widok ognia, który wdzierał się do sypialni.

Złapał Dale'a pod ramiona i pociągnął. Głowa Dale'a przeszła. Widząc, że płomienie zajęły łóżko, Fernando pociągnął mocniej. Wiatr dmuchnął mu w usta, aż zaparło mu dech w piersiach. Mocniej!, przynaglał samego siebie. Lecz kieszenie

rybackiej kurtki Malone'a były tak pełne, że jego tors utknął w miejscu. Fernando wpełchnął go do środka. Nie mogąc zdjąć mu kurtki, pociągnął najpierw za wypchane kieszenie, a dopiero później chwycił Dale'a pod ramiona i szarpnął. Odetchnął z ulgą, gdy Dale zaczął przechodzić przez dziurę. Tors, brzuch, biodra. Przy ostatnim szarpnięciu Fernando padł na plecy, a Dale wylądował obok niego. Wiatr i deszcz szalały wokół nich.

Lecz Fernando nie mógł zrobić sobie przerwy na odpoczynek. Gdy płomienie zaczęły docierać do dziury w ścianie, podniósł Dale'a, zarzucił go sobie na prawe ramię i pobiegł co sił w nogach w stronę swojej przyczepy, zataczając się pod ciężarem Dale'a. Gdy wpadł do środka, zostawiając wicher za drzwiami, ułożył Dale'a na podłodze i po omacku znalazł świeczkę. Zapalił ją. Jęknął ze współczuciem na widok tego, co oświetlił mały płomień. Pokierszowana twarz Dale'a była spuchnięta od siniaków. Nawet rzęsy deszcz nie zdołał zmyć z niej krwi. Z nosa sączyła się świeża krew i Fernando zadrżał - nie dlatego, że był przemoczony, lecz z emocji. Wiedział bowiem, że martwe ciała nie krwawią.

- Dzięki Bogu, żyjesz.

2

Obudził go ból. Ostry. Przejmujący. Nieznośny. Cała jego twarz pulsowała bólem. Miał wrażenie, że zaraz ją rozsadzi. Głowa, brzuch. Chryste, jak bardzo bolał go brzuch. Klatka piersiowa po prawej stronie...

Gdy końcówki nerwowe w jego ciele budziły się do życia, ból narastał i wyrwał go z delirium, domagając się, by powrócił do przytomności. Z trudem podniósł spuchnięte powieki, przyprawiając zmaltretowane okolice oczu o drgawki. Z ciemności wyłowił migające światło. Ogień. Leżał w przyczepie. Zaraz dosięgną go płomienie. Siena. Gdzie... Jęcząc, próbował odsunąć się od płomieni. Poczul na sobie czyjeś ręce: to ludzie Bellasara. Ujrzał przed sobą twarz: Bellasar zaraz znowu wymierzy mu cios. Próbował jeszcze mocniej się wyrwać, lecz wysiłek wzmógł tylko ból.

Jakiś odległy głos wypowiedział niezrozumiałe słowa.

Wił się i skręcał.

- Spokojnie - odezwał się ktoś.

Po hiszpańsku.

- Nic ci nie grozi - zapewnił go ten sam głos.

Malone otworzył oczy trochę szerzej i ujrzał twarz z siwym zarostem, pomarszczoną od wieloletniej pracy w słońcu.

- Nic ci nie grozi - powtórzył Fernando.

Spłoszył go jakiś ruch, lecz okazało się, że to żona Fernanda przeciera mu czoło szmatką. Zerknął w kąt, gdzie też ktoś się poruszył: siedziały tam skulone ze strachu dzieci Fernanda.

Miał problemy z oddychaniem przez nos, otworzył więc usta. Bolała go szczęka, lecz gdy wziął głębszy wdech, ból w górnych żebrach po prawej stronie okazał się jeszcze gorszy.

Na zewnątrz zawodził wiatr. Deszcz bił w okna.

- Siena - wydusił z siebie. - Gdzie...

Fernando zmarszczył brwi, jak gdyby Malone mówił po chińsku. Nic dziwnego, pomyślał Malone. Mówił po angielsku, a poza tym Fernando nie słyszał prawdziwego imienia Sieny. Znał ją jako Beatrice.

- Beatrice - zaczął na nowo Malone. - *Donde está? Que pasa?*

Fernando i Bonita wymienili stropione spojrzenia.

- *Que pasa?* - zażądał odpowiedzi.

Fernando westchnął i opowiedział mu, co widział.

Malone zamknął oczy: cielesne katusze nie mogły się równać z tym, co teraz czuł. Wyobraził sobie, jak bardzo Siena musiała się bać, gdy wpychano ją do samochodu. A teraz, kiedy czekało ją piekło, które wymyślił dla niej Bellasar, pewnie umierała ze strachu.

Jeśli jeszcze żyła.

Jak dawno ją stąd zabrali? Usiłując pozbierać myśli, Malone zerknął na zegarek i zobaczył, że dochodzi wpół do jedenastej. Bellasar przybył ze swoimi ludźmi o zmierzchu, mniej więcej za piętnaście dziewiąta. Nie miał pojęcia, jak długo pozostali tutaj, gdy stracił przytomność, lecz na pewno niezbyt długo. A więc mieli dziewięćdziesiąt minut przewagi.

Teraz zbliżają się do granicy, pomyślał ze zgrozą. Nie, chyba nie. Deszcz dudniący w okno uświadomił mu, że podczas burzy musieli jechać wolniej. Może nawet zatrzymali się w Santa Clara. Jeszcze nie wszystko przepadło.

- Pomóż mi wstać - zwrócił się do Fernanda.

- Nie. Nie wolno ci się ruszać.

- Proszę. - Malone skrzywił się z bólu. - Pomóż mi wstać.

- Ale...

Malone zatrząsł się, siadając na łóżku. Gdy zbierał siły, żeby stanąć na logi, chwyciły go mdłości.

- *Loco*. - Fernando podniósł go i przytrzymał, gdyż Malone zatoczył się.

Malone zaczął gmerać przy kieszeniach kurtki.

- Pomóż mi rozsunąć te suwaki.

Skonsternowany Fernando wykonał polecenie, a jego ciekawość zamieniła się w osłupienie, gdy ujrzał, jak Malone wyciąga plik banknotów.

- Połowa należy do ciebie - powiedział Malone.

- Co?

- Zatrzymam część na wypadek, gdybym potrzebował pieniędzy po drodze do Yumy. Reszta... - Malone odczekał chwilę, aż przejdą mu zawroty głowy. - Twoja działka wynosi około czterech tysięcy dolarów.

Bonitę zatkało.

Malone poszperał w kieszeniach spodni i wyciągnął kluczyki do samochodu.

- Okazałeś się dobrym przyjacielem.

Głos Fernanda drżał z emocji.

- *De nada*.

- Oddaj mi jeszcze jedną przysługę.

Fernando czekał z obawą na polecenie Malone'a.

- Pomóż mi wsiąść do samochodu.

3

Coś w słowach Malone'a lub w jego spojrzeniu sprawiło, że Fernando nie sprzeciwił się. Kiwnął głową i otoczył go ramieniem, uważając, żeby nie spotęgować bólu w klatce piersiowej.

Gdy Malone otworzył drzwi, deszcz wepchnął ich z powrotem do środka. Zebrał się w sobie i podtrzymywany przez Fernanda wtopił się w szalejącą noc. Przemoczeni dobrnęli do wypalanej przyczepy. Pomimo burzy ogień wciąż się tlił, wskazując im drogę do ciemnej sylwetki forda zaparkowanego koło przyczepy.

Miał nadzieję, że nie dosięgnął go ogień... Niepokój przyspieszył bicie jego serca. Pomimo zimnego deszczu, spocił się. Wyczuł dym. Błyskawica oświetliła

samochód od strony kierowcy. Od żaru utworzyły się na lakierze pęcherze. Przesunął ręką po szybie - była nienaruszona.

- Fernando, opony - z trudem przemówił w szalejącym wietrze. - Całe?

- Tak.

- Pomóż mi wejść.

Fernando usadowił go za kierownicą. Wysilek rozjątrzył ból w żebrach i przez chwilę poszarzało Malone'owi przed oczami. Po omacku włożył kluczyk do stacyjki.

- Na pewno sobie poradzisz?

- Muszę.

- Będziemy się za ciebie modlić.

- Dziękuję. - Malone przekręcił kluczyk. Przestraszył się, że woda zalała układ elektryczny, lecz po chwili silnik zapalił. Włączył światła. Przy takiej ulewie z ledwością przenikały ciemność. Gdy włączył wycieraczki, ujrzał Fernanda biegnącego w stronę przyczepy. Wcisnął pedał gazu i rozkopując mokry piasek, ruszył do Santa Clara.

Silny wiatr unosił fale wyżej niż zwykle, wyrzucając je dalej w głąb plaży. Malone musiał zatem jechać blisko słabo widocznych wydm, zmniejszając prędkość, żeby nie rozbić się na któreś z nich. Nie posiadał się z wściekłości.

Nie zapominaj, że Bellasar też musiał przez to przejść. Musiał pokonać te same przeszkody, pomyślał Malone. Wcale nie tracę czasu.

Ale nadal mają dziewięćdziesięciminutową przewagę, a gdy wyjeżdżali, burza nie rozpętała się jeszcze na dobre.

Nie miał wątpliwości, że Bellasar zmierza do najbliższego lotniska, które znajdowało się w Yumie. Mógł przybyć tutaj tak szybko tylko odrzutowcem (i to z miejsca nie tak odległego, jak jego posiadłość we Francji).

Ale podczas takiej burzy nigdzie nie odleci, pocieszał się Malone. Skoro nie może wystartować, jego półtoragodzinną przewaga nic nie znaczy.

Nagle wyłonił się przed nim spieniony strumień. Zanim Malone zdążył wdepnąć hamulec, samochód przejechał przez przeszkodę, rozbryzgując wodę na wszystkie strony i zalewając przednią szybę. Jadąc na oślep i rozpaczliwie manewrując kierownicą, Malone zastanawiał się, skąd wziął się ów strumień. Wiele razy tędy jeździł i nigdy nie natknął się na coś takiego. Wtem przypomniał sobie o licznych szerokich i płytkich zagłębieniach na plaży. Czyżby podczas gwałtownej burzy wypełniały się wodą niczym wyschnięte koryta rzeczne?

Z przedniej szyby spłynęła woda. Wiatr kolebał samochodem. Nagle światła odbiły się od kolejnego strumienia, tym razem szerszego. Odruchowo wdepnął hamulec i natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Przestraszył się, że koła samochodu wryją się w mokry piasek i nie zatrzyma się na czas. Zsunie się do rwącego potoku i tam utknie na dobre. Musiał jechać jak najszybciej, żeby samochód przebrnął siłą rozpędu na drugi brzeg. Zdjął prędko nogę z hamulca i wdepnął gaz. Zarzuciło nim i samochód zaczął nabierać prędkości. Jechał coraz szybciej.

Gdy przód forda uderzył o wodę, Malone szczęknął zębami. Wokół rozbryzgiwały się fale. Lecz samochód pruł do przodu. Właściwie leciał w powietrzu. Z silnym tąpnięciem wylądował na drugim brzegu i zaczął wspinać się do góry.

Ale tył nadal pozostawał w wodzie. Choć koła wryły się w piasek, prąd nie przestawał napierać. Malone mocniej wcisnął gaz. Samochód zwiększył przyczepność, lecz nie wystarczająco. Poczul, że tył wozu zaczął się przesuwać. Jezus Maria, wciąga mnie prąd.

Gdy ford stoczył się do wzburzonej wody, Malone próbował opanować kierownicę. Obracała mu się w rękach, posłuszna nie jemu, tylko rwącej kipieli. Woda zatopiła silnik. Wysiadł układ elektryczny. Zgasły światła. Czul, z jaką siłą woda mknie pod podłogą. Samochód przekreślił się na bok i zatrzymał w miejscu. Unieruchomiony między krawędziami rowu, wóz przypominał teraz zatyczkę w wannie. Woda huczała i podnosiła się coraz wyżej, zatapiając okna po stronie kierowcy i zalewając dach. Przez okna sączyła się woda. Zaraz tu utonę, pomyślał.

Przesunął się na siedzenie pasażera i wcisnął przycisk otwierający okna, lecz zaraz uświadomił sobie, że bez prądu okno się nie ruszy. Do środka wlewało się coraz więcej wody. Pociągnął za klamkę przy drzwiach i pchnął, krzywiąc się z bólu wywołanego wysiłkiem.

Nic.

Spróbował jeszcze raz, mocniej.

Drzwi uchyliły się lekko.

Naparł na nie barkiem. Woda przelewająca się przez dach pochwyciła drzwi i otworzyła je na oścież, pociągając go za nimi. Zanim wessało go pod wodę, zdążył jeszcze złapać oddech. Wir strumienia oszołomił go. Nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. Próbował płynąć, lecz okazało się to niemożliwe. Już miał napić się wody, gdy otarł się o zbocze kanału. Spieniona na zakręcie woda cisnęła nim o brzeg, gdzie złapał powietrze i zaczął wdrapywać się do góry. Przebierając szybko nogami, wspinał

się coraz wyżej, aż wreszcie udało mu się wyrwać wodzie i opadł bez sił na piasek. Spadła na niego fala, niemal wciągając go z powrotem. Po niej przysła następna, lecz ta wturlała go wyżej.

Podniósł się chwiejnie, z trudem utrzymując się na nogach. Zamroczony padł na kolana. Trzęsąc się, łykał powietrze. Pomimo bólu w żebrach, oddychał głęboko.

Przy takiej burzy nie mógł dojść do Santa Clara. Z kolei wzburzony potok odcinał mu drogę do Fernando. Wszystko wskazywało na to, że nabawi się hipotermii i wyzienie tu ducha.

Ale nie przejmował się sobą. Martwił się o Sienę, której nie był w stanie pomóc. Rozbłysły światła. Z dalszej części plaży. Samochód.

Pomoc.

Udało mu się wstać.

Ktoś może mi pomóc.

Mrużąc oczy w światłach samochodu, zaczął wymachiwać rękami. Niepokojąca myśl kazała mu machać jeszcze szybciej. Boże, samochód jedzie zbyt szybko, kierowca nie zauważy strumienia i nie zatrzyma się na czas. Tak jak ja wpadnie do niego.

Stop!, krzyknął w myślach. Światła zbliżały się z dużą prędkością.

Nagle przysła mu do głowy inna niepokojąca myśl. Nikt o tej porze podczas burzy nie jeździ po plaży, chyba że...

To policja. Ktoś widział ogień. Jada, żeby zbadać sprawę.

Albo przyjaciel Ramireza, zachodzący w głowę; gdzie on się podziewa.

Smagany coraz mocniejszą ulewą, Malone rozejrzał się rozpaczliwie w poszukiwaniu schronienia, lecz jedynym miejscem była wydma. Miał zdrętwiałe z zimna nogi. Światła robiły się coraz większe, a jemu zdawało się, że od wydmy dzieli go kilometry. Dokonując nadludzkiego wysiłku, okrążył wreszcie wydme i runął na piasek.

Dalej iść nie miał już siły.

Ze swego punktu obserwacyjnego dostrzegł, że światła samochodu odbiły się w rwącym potoku. Zwolnił. Czyżby kierowca dojrzał w porę przeszkodę?

A może mnie zauważył?, zastanawiał się Malone.

Samochód zatrzymał się tuż przed strumieniem. Malone nie mógł stwierdzić, czy to policja. Zamarł, czekając na kolejny ruch kierowcy.

Wysiadło dwóch mężczyzn.

Zaświecili latarkami w stronę wydmy.

Cholera, przeklął w duchu Malone. A jeżeli pracują dla Bellasara? Jeśli wysłał ich, żeby sprawdzili, czy na pewno nie żyją?

Powlókł się w stronę następnej wydmy.

Latarki nie zniknęły. Sprawdzili pierwszą wydmy, znaleźli ślady stóp i poszli jego tropem.

Malone osłabł tak bardzo, że mógł już tylko się czołgać. Miał wrażenie, że stracił panowanie nad rękami i nogami. Czuł, jakby coś przygniatało go do ziemi.

Oświetlony latarkami, mrużył spuchnięte i obolałe oczy. Czekał, aż kula przebije mu czaszkę.

- Boże, co ci się stało? - usłyszał znajomy głos.

Malone spojrzał na silnie zbudowanego mężczyznę ukrytego za światłem latarki, próbując go rozpoznać.

- Mój Boże, Chase - zawołał Jeb, pomagając mu się podnieść - musimy cię zabrać do szpitala.

4

- Nie. Tylko nie do szpitala.

- Co? Nie słyszę, co mówisz. - Jadąc po plaży przy wzburzonym morzu z największą prędkością, na jaką się ośmielił, Jeb obejrzał się na chwilę do tyłu, gdzie siedział Malone.

- Na lotnisko - wymamrotał Malone. - Lotnisko w Yumie.

- Biedaczek majaczy - powiedział mężczyzna siedzący obok Jeba.

- Oszczędzaj siły - rzucił Jeb.

- Lotnisko w Yumie. - Malone zadrżał. - Jest tam Bellasar. I Siena.

- Co takiego?

Malone próbował opowiedzieć mu o Ramirezie.

- Wiem - powiedział Jeb. - Dziś rano Ramirez skorzystał z komputera w meksykańskim biurze imigracyjnym na granicy. Szukał informacji o małżeństwie Dale i Beatrice Peny. Dale Perry był jednym z naszych.

- Zabrałem jego portfel.

- W końcu się zorientowaliśmy. Pół godziny po pojawieniu się nazwiska Perry'ego w sieci komputerowej leciałem już odrzutowcem na spotkanie z meksykańskim urzędnikiem imigracyjnym, z którego komputera skorzystał Ramirez.

- Ubiegł was Bellasar - wydusił z siebie Malone.

- Jakim cudem? Dale Perry był naszym człowiekiem. Bellasar nie mógł nic o nim wiedzieć.

- Chyba że ktoś z CIA jest u niego na garnuszku - wycedził Malone. - Skąd by wiedział, że umieściliście nas w tym więzieniu w Wirginii?

Na zewnątrz zagrzmiało, a w samochodzie zaległa głęboka cisza.

- Do diabła - rzucił Jeb.

Malone skulił się, drżąc coraz bardziej z zimna.

- Musimy rozebrać go z tych mokrych ubrań. - Krępy towarzysz Jeba wgramolił się na tylne siedzenie i otworzył torbę podróżną, która leżała na podłodze. Wyciągnął z niej koszulę i parę dżinsów. - Skoro ma się zrobić intymnie, powinienem się przedstawić. Jestem Dillon.

- Nastawiłem ogrzewanie na maksimum - poinformował Jeb. - Zrobimy wszystko, żeby cię rozgrzać, Chase.

Choć Jeb starał się jechać jak najszybciej, pogoda sprawiła, że podróż do granicy trwała cztery godziny; dwa razy dłużej niż zwykle. Dillon próbował skontaktować się przez telefon komórkowy z policją w Yumie, żeby nie pozwolono Bellasarowi na start, lecz przy tak silnej burzy telefon nie miał wystarczającego zasięgu.

Po przekroczeniu granicy pogoda nieco się poprawiła, lecz znaleźli się w Yumie dopiero po godzinie. Telefon komórkowy wreszcie zadziałał.

Malone, który budził się i zapadał w gorączkowy sen, usłyszał, że Dillon rozmawia z kimś w Yumie. Walcząc ze zmęczeniem i bólem, próbował zrozumieć, o czym mowa.

- Jesteśmy na miejscu! - Jeb wjechał na skromne lotnisko i zatrzymał się z piskiem opon przed parterowym terminalem. Na miejscu czekały już wozy policyjne z migającymi kogutami. Jeb wyskoczył z samochodu i podbiegł do grupy oficerów. Malone próbował wydostać się na zewnątrz, żeby do niego dołączyć, lecz nie zdążył zrobić kroku, gdy Jeb odwrócił się do niego z posepną miną.

- Przykro mi, Chase. Szkoda... Odrzutowiec Bellasara odleciał czterdzieści pięć minut temu.

Malone opadł z powrotem na tylne siedzenie.

5

- Żebra są poobijane, ale całe - oświadczył lekarz. Szyby w oknach wibrowały od ryku odrzutowców, które startowały i lądowały w bazie powietrznej piechoty morskiej na przedmieściach Yumy. - Ma pan złamany nos i wstrząs mózgu.

- Wyjdę z tego?

Wysoki i szczupły lekarz, kapitan, zerknął na niego znad okularów.

- Owszem, jeśli zrobi pan sobie krótki odpoczynek.

- Mówimy tu o urlopie zdrowotnym - wtrącił Jeb.

- Wiem, o czym mówimy.

- Nie ma natomiast mowy - kontynuował Jeb - o pościgu za Bellasarem. Pozwól, że my się tym zajmiemy. Ty nie jesteś w formie.

- Ale jak?

- Nie...

- Ale jak zamierzacie się tym zająć? Powiedz, jak zamierzacie odbić Sienę?

Jeb sprawiał wrażenie skonsternowanego. Lekarz spoglądał raz na jednego, raz na drugiego.

- Przepraszam panów, ale chyba nie powinienem tego słuchać.

Zatrzasnęły się za nim drzwi.

- Wiesz, dokąd udał się Bellasar? - zapytał Malone.

- Na południe przez meksykańską strefę powietrzną.

- A potem?

- Zanim zdążyliśmy zawiadomić meksykańskie władze, zniknął im z radaru.

Środki przeciwbólowe, które zaaplikował Malone'owi lekarz, nie złagodziły pulsowania w czaszce.

- Więc prawdopodobnie przeleciał nad Baja i dotarł nad Pacyfik.

- Teoretycznie.

- Może więc wylądować gdziekolwiek.

- Poprosiliśmy władze w Kanadzie i w państwach Ameryki Środkowej, żeby powiadomiły nas o niezidentyfikowanych cywilnych samolotach.

Malone masował sobie czoło.

- Nie możemy założyć, że wraca do swej posiadłości we Francji. Pozostaje tylko nadzieja, że Bellasar poczeka ze swymi planami wobec Sieny do czasu, gdy wysiądą z samolotu. Zyskujemy przez to trochę czasu.

- Na co? Człowiek pokroju Bellasara... Przykro mi, Chase.

- Nie poddam się! Powiedz, czego dowiedziałeś się o Bellasarze od naszego ostatniego spotkania. Może jest coś, co nam pomoże.

- Handlarz bronią, z którego pośrednictwa Bellasar miał skorzystać...

- Tariq Ahmed.

Jeb kiwnął głową.

- ...usłyszał, że żona Bellasara uciekła z innym mężczyzną. Nie wie, że w sprawę zamieszane jest CIA. Bellasar próbuje utrzymać sprawę w tajemnicy, lecz ucieczka Sieny zaszkodziła prowadzonym przez niego negocjacom. Ahmed jest człowiekiem, który uważa, że jeśli mężczyzna nie potrafi kontrolować własnej żony, nie można mu zaufać w interesach. Istnieje szansa, że Bellasar zachowa ją przy życiu, żeby udowodnić Ahmedowi, że ma ją z powrotem i że to on ma władzę.

- Być może.

- Jakoś dziwnie patrzy ci z oczu. Co takiego?

- Bellasar może zechce udowodnić, jakim jest mężczyzną, zabijając ją na oczach Ahmeda.

Kolejny odrzutowiec wzbił się z rykiem w powietrze.

- Tego typu chorych zachowań można się po Bellasarze spodziewać - przyznał Jeb. - Zabijając ją przed Ahmedem, rozwiązałby wiele problemów. Nie tylko wznowiłby negocjacje, ale też śmiertelnie wystraszyłby tych wszystkich, którzy go nie doceniali.

- Jeśli twoi ludzie rozpoczną obserwację Ahmeda...

- Może zaprowadzić nas do Bellasara.

- I Sieny.

Jeb wyciągnął telefon komórkowy.

6

Z kadłuba odrzutowca Gulfstream Five dobywało się buczenie jego potężnych silników. Siena prawie w ogóle nie zwracała uwagi na wzburzony ocean za oknem, choć wmawiała sobie, że powinna. Niewykluczone, że widziała ocean po raz ostatni. Ale nie przejmowała się tym. Wbiła wzrok w oparcie fotela. Nie mogła zapomnieć, jak Derek potraktował Chase'a. Oczami wyobraźni widziała, jak Chase leży na podłodze, a wokół niego trzaska ogień. Chase nie żył i nic innego nie miało dla niej znaczenia.

Ktoś stanął w przejściu. Gdy odwróciła głowę, ujrzała Pottera. Nigdy jeszcze nie miał tak posępnej miny i tak kwaśnego spojrzenia.

- Ten pomysł z płóciennymi workami w samolocie - odezwał się. - Genialny. Już się cieszę na myśl, co cię czeka.

Odwróciła od niego głowę i znów zapatrzyła się przed siebie. Po chwili miejsce Pottera zajęła bardziej mroczna postać i nie musiała odwracać się, żeby wiedzieć, kto stanął obok niej.

- Co im powiedziałaś? - zapytał Derek.

- Wszystko, co mogłam.

- Czyli nic ważnego. Nigdy nie uczestniczyłaś w rozmowach. Nie wtajemniczałem cię w moje sprawy. Nic nie wiesz o moich sprawach zawodowych.

- Więc nie masz się czego bać.

- Żyłaś ze mną tak długo, a tak słabo mnie poznałaś? - Derek chwycił ją za brodę i zmusił, żeby spojrzała w jego stronę. - Ja nie boję się niczego.

- Ja z tobą nie żyłam, Derek.

- Co ty wygadujesz?

- Nigdy byś na to nie pozwolił. Tak się tylko złożyło, że mieszkaliśmy w tym samym budynku.

- Dlaczego mnie zdradziłaś?

- Miałam czekać, aż mnie zabijesz? Ty mogłeś planować moje morderstwo, ale moja ucieczka była już czymś niewybaczalnym? Ty arogancki... Nawet gdybyś nie chciał mnie zabić, też bym odeszła. Po raz pierwszy w życiu spotkałam człowieka, któremu zależało bardziej na mnie niż na sobie.

- Dałem ci wszystko.

- I traktowałeś mnie jak rzecz.

- Lepsze to niż śmierć.

7

- W porządku! - Jeb nacisnął przycisk wyłączający telefon komórkowy i odwrócił się do Dillona, żeby przekazać mu nowiny.

Przerwał mu Malone, wychylając się spomiędzy sfatygowanych mebli w kontenerze magazynowym.

- Nie wiem, co my tutaj robimy. - Jeb mrużył oczy w porannym słońcu.

- Musiałem zabrać tę walizkę.
 - No i na co ci ona? Przecież dostałeś czyste ubranie.
- Malone otworzył ją.
- Jeb wlepił wzrok w pieniądze.

8

- Nie ma mowy, to ty przylecisz do mnie - oświadczył Ahmed, rozmawiając przez telefon z Bellasarem. Na zewnątrz nasilały się odgłosy ruchu ulicznego: zbliżała się wieczorna godzina szczytu w Stambule. - Nie rozumiem, dlaczego ja mam się wysilać. To twoje sprawy wymykają się spod kontroli. To ty powinieneś starać się o odzyskanie mojego zaufania.

- Ale u ciebie nie ma odpowiednich warunków - odpowiedział z pokładu odrzutowca Bellasar, którego głos trzeszczał w słuchawce z powodu zakłóceń atmosferycznych. Właśnie uzupełnił paliwo na lotnisku jednego ze swych klientów w El Salvador, dokąd leciał z Miami, gdy dowiedział się o miejscu pobytu Sieny i Malone'a. - Moi inżynierowie nie mogą zagwarantować bezpieczeństwa, jeśli prezentacja nie odbędzie się w odpowiedniej komorze.

- Bardzo delikatna ta twoja nowa broń. To też nie napawa mnie zbytnim optymizmem.

- Zapewniam cię, że po zakończeniu prezentacji odzyskam twoje zaufanie.

- Nie zadowolisz mnie byle czym, chcąc mi udowodnić, że twoje osobiste sprawy wróciły do normy.

- Poczekajmy do jutra. Zaplanowałem specjalną prezentację. Wierz mi: czegoś takiego jeszcze nie widziałeś.

9

Gdy odrzutowiec CIA osiągnął swą maksymalną prędkość, Jeb wyszedł z kabiny pilota.

- Otrzymaliśmy właśnie przez radio wiadomość, że Ahmed zarządził na jutro lot do Nicei.

- A więc spotkanie odbędzie się w posiadłości Bellasara - wywnioskował Malone. - Możemy przechwycić Bellasara na lotnisku w Nicei. I odebrać mu Sienę.

- Nie. Za bardzo nas wyprzedził. Nie dotrzemy tam na czas.

- Ale można zlecić to zadanie Francuzom.

- Na jakiej podstawie? Z punktu widzenia Francuzów nie zrobił nic złego.

- Więc wyślij tam do cholery jakąś brygadę specjalną, żeby odbiła Sienę.

- Bez zgody francuskich władz? Na tak dużym lotnisku? Przecież ochroniarze Bellasara nie rzucają broni i nie poddadzą się. Wywiąże się strzelanina. Powstałoby zbyt duże zagrożenie dla cywili.

- Jezus Maria, chcesz mi powiedzieć, że wiemy, gdzie i kiedy zamierza ją zabić, i nie możemy go powstrzymać?

- Gdyby to ode mnie zależało. Ale decyzję podjął Laster.

- Ten skur...

- Słuchaj, ja też za nim nie przepadam - przerwał mu Jeb - ale nie można odmówić mu racji. Nie możemy doprowadzić do międzynarodowej afery z powodu czegoś, co pozornie wygląda jak rodzinna kłótnia.

Malone zadrżał z gniewu, bólu i wyczerpania.

- Kiedy ostatnio zażyłeś środki przeciwbólowe? - zapytał Jeb.

- Przez nie czuję się otumaniony.

- No i dobrze. Powinieneś odpocząć.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

Malone opierał się w duchu, lecz w końcu kiwnął głową.

Połknął dwie pastylki i próbował pocieszyć się, że sytuacja nie jest jeszcze beznadziejna, że istnieje szansa uratowania Sieny, choć miał najgorsze przeczucia.

Czyż pierwszym etapem żałoby nie jest niedowierzanie? zastanawiał się.

Nie poddawaj się. Ona jeszcze żyje.

10

Nikt się do niej nie odzywał. Nikt nawet na nią nie spojrział. Wszyscy zachowywali się, jakby była niewidzialna. Dla nich pewnie jestem już trupem, pomyślała Siena.

W trakcie lotu, gdy serwowano posiłki, nic jej nie zaproponowano: kolejny przykład pogardy, z jaką ją traktowano. Zresztą nie była głodna.

Śmierć Chase'a wprawiła ją w takie odrętwienie, że w ogóle nie myślała o jedzeniu. Ale nie chodziło o to - jeśli miała umrzeć z głodu, chciała, żeby to był jej

własny wybór. Gdy wszyscy inni spożywali posiłek, Siena udała się do pokładowej kuchni na tyłach samolotu. Nikt nie zareagował, gdy wróciła na miejsce z krakersami i filiżanką herbaty. Przeszła przez kabinę niczym duch. Miała ochotę cisnąć gorącą herbatą w Dereka i wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że rozpacz ustępuje miejsca furii.

Pragnęła się zemścić. I dlatego nie mogła dać się zabić. Nie miała pojęcia, jak zdoła utrzymać się przy życiu, ale musiała coś wymyślić. Musiała przetrwać po to, żeby ukarać Dereka.

Owładnięta tą myślą, zmusiła się, żeby wziąć do ręki krakersa. Była tak wzburzona, że na myśl o jedzeniu zrobiło jej się niedobrze. Zebrała się jednak w sobie. Ugryzła krakersa, schrupała go bez apetytu i z trudem połknęła.

Ugryzła następny kęs.

I jeszcze jeden.

Przez cały czas nikt nawet na nią nie spojrział. Wpatrując się w tył głowy Dereka, pomyślała: ty draniu, nie jestem rzeczą. Nie możesz mnie powiesić na ścianie. Rozgniewana wróciła pamięcią do pokoju, gdzie ujrzała portrety wszystkich żon Dereka i jej samej.

Oraz fotografie siostry Dereka, którą ona i pozostałe kobiety tak bardzo przypominały.

Oraz ubrania na manekinach, starannie ułożone buty, album.

Oraz urnę.

Wszystko przez to, że tak bardzo jestem podobna do siostry Dereka.

Siostra Dereka, zdała sobie ze zgrozą sprawę, była jej jedyną szansą.

11

- Muszę cię obudzić, Chase.

Malone miał wrażenie, że jego powieki są z ołowiu. Powoli zarysowała się przed nim sylwetka Jeba.

- To samo ćwiczenie, co wcześniej. Ile pokazuję palców?

- ...Trzy.

- Widzisz podwójnie?

- ...Nie.

- Czujesz mdłości?

- Nie. - Malone potarł twarz dłonią i pożałował tego, gdy zaprotestowały rany na jego twarzy. Mrużąc oczy, wyrztał przez okno samolotu, za którym rozciągała się ciemność. - Gdzie jesteśmy?

- Nad Atlantykiem. Pamiętasz tankowanie w Dulles?

Malone zastanowił się przez chwilę.

- Tak.

- Chyba możemy przestać się martwić twoim wstrząsem mózgu.

- Dokąd lecimy?

- Do południowej Francji.

- Laster nie miał nic przeciwko temu?

- Nic nie wie.

Zdziwienie Malone'a wzrosło, gdy zauważył partnera Jeba, Dillona, który rozmawiał z pięcioma silnie zbudowanymi mężczyznami na przednich siedzeniach.

- Kim...

- Podczas lotu z Yumy wykonałem kilka telefonów. Z tymi chłopakami pracowałem od czasu do czasu. Szukają roboty. Gdy wchodzili na pokład w Dulles, ty znów zasnąłeś.

- Laster usankcjonował tę misję?

- Nie. To misja nieoficjalna. Płacisz za ich usługi zawartością swojej walizki.

- Przez taką misję możesz stracić pracę. Dlaczego nadstawiasz karku?

- Bo uratowałeś mi życie w Panamie.

- Już raz się odwdzieczyłeś.

- Nie. Gdyby nie ja, nie znalazłbyś się w takich tarapatach.

- Gdyby nie ty, nie poznałbym Sieny.

- No więc przekonajmy się, czy uda nam się ją odbić - skwitował Jeb. - A oto ostatnia informacja, którą zdobyliśmy.

Malone zmarszczył brwi na widok teczki wręczonej mu przez Jeba. Otworzył ją. W środku znalazł fotografię formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć.

- Zdjęcie Sieny. - Nagle poczuł zimny dreszcz, gdy zdał sobie sprawę, że się pomylił.

Atrakcyjna brunetka na fotografii siedziała obok Bellasara na tarasie z widokiem na morze, popijając szampana.

- Zrobiono je w Puerto Vallarta trzy miesiące temu - wyjaśnił Jeb. - Bellasara pilnowało mnóstwo ochroniarzy, więc nasz fotograf musiał pstrykać z dużej

odległości. Wydaje ci się, że to Siena, bo zdjęcie jest kiepskiej jakości. W rzeczywistości jednak jest to córka francuskiego przemysłowca, który produkuje część broni sprzedawanej przez Bellasara. Bellasar poznał ją na przyjęciu, które jej ojciec wyprawił sześć miesięcy temu w Paryżu.

- Mniej więcej w czasie, gdy Bellasar zaczął odsuwać się od Sieny. No jasne. Znalazł jej następczynię. - Malone skupił się na fotografii. - Z nieco dłuższymi włosami i operacyjnie zwężoną szczęką jeszcze bardziej przypominałaby Sienę.

- I siostrę Bellasara. Dopóki Siena nam o niej nie powiedziała, nie mieliśmy pojęcia o jej roli. - Jeb wskazał na następne zdjęcie.

Czując mrowienie na skórze, Malone przyjrzał się fotografii. Ponętna ciemnowłosa kobieta była podobnie zbudowana, miała te same iskierki w oczach, co Siena. W cieniu można by je pomylić.

- Bellasar i jego siostra zostali kochankami, gdy on miał czternaście, a ona trzynaście lat - oznajmił Jeb.

- Co takiego?

- Wszyscy wiedzieli, że jego siostra - miała na imię Christina - była wyjątkowo rozpieszczona i impulsywna. Wszędzie chodzili razem. Robili wszystko razem.

- Ale skoro to było takie oczywiste, musieli o tym wiedzieć rodzice. Nie sprzeciwiali się?

- Nie mogli.

Malone zrobił zdziwioną minę.

- Zginęli w pożarze w swej letniej rezydencji w Szwajcarii tego samego roku, gdy Bellasar i jego siostra zostali kochankami. - Jeb pozwolił, by znaczenie tych słów w pełni do niego dotarło.

- O cholera - wymamrotał Malone.

- Przez następne trzy lata Bellasar i Christina bawili się. Rzym, Londyn, Rio. W tym czasie interesami zarządzał fundusz powierniczy. Gdy Bellasar skończył osiemnaście lat, wraz z siostrą przejął kontrolę nad finansami. Mieli wygórowane ambicje i żeby zwiększyć dochody, prowadzili interesy bardziej bezwzględnie niż fundusz. Lecz po dwunastu latach przyjęcia się skończyły.

- Jak to?

- Gdy Christina miała trzydzieści lat, wypadła z balkonu hotelowego w Rzymie. Zginęła na miejscu. Zdaje się, że Bellasar jej nie wystarczał. Romansowała z wieloma

mężczyznami. Pewnej nocy w Rzymie Bellasar wpadł do jej pokoju i zastał ją w łóżku z kobietą. Wpadł w szal. Szamotali się. W końcu wypadła przez balkon.

- Zabił własną siostrę? - Malone poczuł obrzydzenie. - Ale według tych dokumentów nie oskarżono go.

- Jedynym świadkiem była kochanka Christiny. Bellasar zapłacił jej za milczenie. W podanej przez niego wersji Christina była pod wpływem narkotyków - rzeczywiście je zażywała - i wypadła przez balustradę. Przekupioną dziewczynę trzy miesiące później przejechał samochód. Sprawca wypadku uciekł.

- I od tamtej pory poszukiwał kogoś, kto zastąpi mu siostrę.

12

Wiedziała, że musi spróbować zasnąć. Nie mogła dopuścić do tego, by zmęczenie przytępiło jej umysł. Co więcej, Derek musiał zauważyć, że zasnęła - od tego uzależnione było powodzenie jej planu.

Początkowo udawała, że śpi. Rozłożyła fotel i zamknęła oczy. W głowie huczało jej od szalonych pomysłów, a co jakiś czas ogarniały ją napady paniki, które z trudem tłumila. Musiała skupić się na swym gniewie. Żeby uspokoić nerwy, wsłuchiwała się w buczenie silników odrzutowca. Ciemność pod zamkniętymi powiekami wciągnęła ją.

Ktoś potrząsnął nią mocno.

- Co...

- Obudź się. - Potter znów nią potrząsnął.

Zaspana, zmrużyła oczy, przyzwyczajając wzrok do ostrego światła w kabinie. Zauważyła, że na zewnątrz było ciemno.

- Idź do toalety.

- Słucham?

- Zaraz lądujemy - wyjaśnił Potter. - Idź do toalety. I nie wychodź stamtąd, dopóki ci nie powiem.

Gdy odrzutowiec zniżał lot, Siena ujrzała w dole światła, w których rozpoznała blask Promenade des Anglais wzdłuż portu Nicei.

- Cholera jasna, rusz się. - Potter odpiął pasy i szarpnął nią tak mocno, że aż szczęknęła zębami. Zaciągnął ją na tyły samolotu i wepchnął do toalety.

Gdy zamknął jej drzwi przed nosem, Siena przypomniała sobie czasy, gdy Derek zabiłby Pottera za traktowanie jej w ten sposób. Teraz Derek nawet nie raczył spojrzeć w ich stronę.

Usłyszała, jak zmienia się odgłos pracy silnika. Samolot podchodził do lądowania. Oparła się o ściany toalety. Kilka chwil później odrzutowiec dotknął ziemi, lekko podskakując na pasie startowym. Wkrótce miała się dowiedzieć, co Derek dla niej przygotował. Modliła się, żeby nie unikał jej towarzystwa, chcąc w ten sposób okazać swą pogardę. Żeby zrealizować swój plan, musiała z nim porozmawiać.

Ostre światła w toalecie sprawiały, że wyglądała niezdrowo - tak jak się czuła. W oczy rzucał się siniak na szczęce od ciosu Ramireza. Jeśli kiedykolwiek musiałam dobrze wyglądać, pomyślała, to właśnie teraz. W szufladzie pod umywalką znajdowały się podstawowe kosmetyki. Słyszac glosy w głównej kabinie (prawdopodobnie urzędników imigracyjnych, którzy sprawdzali samolot) usiłowała pospiesznie doprowadzić się do ładu. Umyła drżącymi dłońmi twarz, usuwając plamki zaschniętej krwi. Najlepiej jak potrafiła ułożyła włosy, przypudrowała siniak na szczęce i nałożyła trochę szminki, odczuwając pieczenie w dolnej wardze, gdy ją przyciskała.

Otworzyły się drzwi.

Potter przeszył ją wzrokiem pełnym nienawiści.

- Wylaż.

Nie musiał powtarzać. Minęła go i ruszyła przejściem między siedzeniami. Starła się nie okazywać zdenerwowania i sprawiać wrażenie pewnej siebie, jakby wciąż pozostawała w łaskach Dereka. Lecz szybko straciła rezon, gdy ujrzała, że przy wyjściu czeka na nią tylko dwóch ochroniarzy.

Schodząc po schodkach na płytę lotniska, nie zwracała większej uwagi na słodki zapach morza, choć wiedziała, że powinna się nim delektować: prawdopodobnie nigdy już nie będzie go wdychać. Nie mogła pozwolić, by cokolwiek ją rozpraszało. Helikopter już się rozgrzewał. Miała wrażenie, że wydarzenia następują po sobie z oszalamiającą szybkością. Została doprowadzona przez ochroniarzy do otwartych drzwi, lecz żaden z nich nie pomógł jej dostać się do środka, co uświadomiło jej po raz kolejny, jak wiele się zmieniło. Wdrapała się do kabiny, mając nadzieję, że ściągnie na siebie wzrok Dereka. Nie udało jej się, ale za to usiadła na miejscu obok niego, zanim zdążył je zająć któryś z ochroniarzy.

Przez chwilę obawiała się, że Derek przesiądzie się, ale ochroniarze zajęli pozostałe miejsca, a ostatnie wolne przypadło Potterowi, który zasiadł w fotelu z

jeszcze bardziej skwaszoną miną. Zapięła pasy. Zamknięto drzwi. Helikopter wystartował, potęgując nieprzyjemne uciskanie w jej żołądku.

Poza stłumionym warkotem silników, w kabinie panowała cisza.

- Miałam dziwny sen - odezwała się, nie patrząc na Dereka.

On spoglądał przed siebie, niczym nie zdradzając, że usłyszał jej słowa. Odczekała chwilę, chcąc sprawić wrażenie zamyślanej.

- Spadałam. Znow żadnej reakcji.

Gdy helikopter wzbił się w ciemność nad wzgórzami, skupiła się, żeby przypomnieć sobie wszystko jak najwyraźniej. Zamknięty pokój przy sypialni Dereka. Portrety jego byłych żon. Fotografie siostry Dereka. Szczegóły. Album.

Siostra Dereka zmarła dziesiątego czerwca.

W samolocie widziała gazetę z datą ósmego czerwca.

- To nie był zwykły koszmar - kontynuowała - gdy wszędzie jest ciemno i nie widać, gdzie się spada. Tym razem wydawało mi się, że naprawdę spadałam.

Ciszę wypełniał stłumiony warkot silników. Serce waliło jej tak mocno, że myślała, iż zaraz wyrwie jej się z piersi. Powiedziała już tyle, na ile mogła się odważyć. Jeśli Derek nie zareagował...

- Spadałaś? - Głos Dereka był tak cichy, że dopiero po chwili zrozumiała, co powiedział.

- Na ulicę. - Przypomniała sobie godzinę na akcie zgonu: Christina zmarła o trzeciej w nocy. - Była noc. Ale widziałam światła lamp, samochodów i światła w niektórych oknach. Zbliżałam się do chodnika z zawrotną prędkością, uderzyłam o ziemię, a wtedy w mojej głowie eksplodowały innego rodzaju światła i obudziłam się.

- Spadałaś - powtórzył Derek.

- Ból przy upadku był... - Pograżyła się w milczeniu. Trzydzieści sekund.

Minuta.

Nic z tego, pomyślała.

- A skąd spadałaś?

Nie odpowiedziała.

- To ci się nie przyśniło? - zapytał.

- Pamiętam balustradę. - Zamilkła, jakby próbując oswoić się z tym szczegółem. Następne słowa wypowiedziała ze zdziwieniem. - Na balkonie.

Derek odwrócił się wreszcie do niej i przyjrzał badawczo.

- Na balkonie - powtórzył.

- W hotelu. - Zadrżała i spojrzała na niego, usiłując nawiązać kontakt wzrokowy. - Czułam, jak serce podchodzi mi do gardła. Zupełnie, jakbym to naprawdę przeżywała.

- Balkon.

Przed nimi w dolinie migotały światła.

Pilot przedstawił swoje dane i uzyskał zgodę na lądowanie.

Helikopter zaczął opadać.

- Ktoś użył imienia Christina.

Derek spojrzał na nią jeszcze intensywniej.

- Jakiś mężczyzna - kontynuowała. - Nie rozumiem. Dlaczego miałabym zareagować na imię Christina?

- Dość tego - zaprotestował matowym głosem Derek.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Kto ci o niej powiedział?

- Nadal nie...

- CIA?

- Znasz kogoś o imieniu Christina? - zapytała Siena.

- Jest tylko jeden sposób, żeby to skończyć. Opisz mi balkon.

- Ja...

- Skoro sen był tak realistyczny, powinnaś była widzieć, skąd spadasz. Skoro robisz z tego taką tragedię. Jak wyglądał balkon?

Siena zawahała się. Będzie musiała zgadywać, ale jeśli jej się nie uda... Przypomniała sobie fotografie wiszące na ścianie w zamkniętym pokoju. Na jednym z nich nastoletnia Christina opierała się o ozdobną metalową balustradę balkonu, a w tle widać było Katedrę Świętego Piotra. Może zatrzymywali się często w tym samym hotelu?

- Duży, z czarną metalową balustradą, bogato zdobioną, z Katedrą Świętego Piotra w tle.

Helikopter zszedł niżej. Światła z posiadłości Dereka powiększyły się, a lądowisko zostało dodatkowo oświetlone reflektorami.

- Co ty knujesz? - zapytał.

- Knuję?

- Jeśli wydaje ci się, że cię nie zabiję ze względu na jakąś sztuczkę, którą...

- Sztuczkę? Ja...

- Zamknij się. Ani słowa więcej.
- Przyśnił mi się też kucyk.
- Co?
- Jako mała dziewczynka jeździłam na kucyku. W Alpach. Ale ja nigdy nie byłam w Szwajcarii i nigdy nie miałam kuczka. Skąd więc ten sen? Kochałam tego kuczka. Boże mój, czy ja tracę zmysły?

13

- Za ile dolecimy do Nicei? - zapytał Malone.
- Za godzinę.
Malone wyjrzał przez okno odrzutowca. Na zewnątrz szarzało. Wkrótce miał nastać świt.
- Będziemy potrzebowali broni i specjalnego sprzętu.
Jeb kiwnął głową.
- W lutym, gdy trafiłeś do posiadłości Bellasara, przygotowałem je na wypadek, gdybyśmy musieli zainterweniować.
- Po wylądowaniu i uzupełnieniu paliwa jeden z tych ludzi musi polecieć do Paryża.
- Po co do Paryża?
- Mieszka tam nowa dziewczyna Bellasara i jej ojciec.
- Co planujesz?
Malone wyjaśnił mu.
Jeb podniósł brwi.
- O której Bellasar spodziewa się Ahmeda? - zapytał Malone.
- O czternastej.
- Mamy więc dużo czasu - uznał Malone.
- Na co?
Gdy Malone odpowiedział mu, brwi Jeba podniosły się jeszcze wyżej.
- Ryzykowne.
- Masz inną propozycję?
- Wiesz, że nie.
- A więc z twoją pomocą czy bez niej, zamierzam spróbować.
- A kto powiedział, że ci nie pomogę?

- Wszystko zależy od tego, czy uda mi się dostać do Francji. Przydałby mi się paszport.

Jeb sięgnął do kurtki.

Malone ze zdumieniem stwierdził, że wyciąga z niej paszport.

- Jak...

- Odebrałem go z innymi dokumentami, gdy tankowaliśmy w Dulles.

Malone zbadał wzrokiem swe zdjęcie i nazwisko w paszporcie.

- Nazywam się Thomas Corrigan?

- Jeśli nam się nie uda, przyda ci się fałszywe nazwisko.

- Ale uda się. Musi się udać.

- Może to poprawi ci nastrój.

Malone pokręcił głową skonsternowany, gdy Jeb podał mu drugi paszport.

W środku znajdowało się zdjęcie Sieny, a pod nim dane Janice Corrigan.

- Dziękuję.

Odżyła w nim nadzieja.

Część dziesiąta

1

- Skąd o tym wszystkim wiesz? - nie ustępował Derek. Siena leżała w fotelu, na który pchnął ją Derek, gdy tylko weszli do biblioteki.

- O czym? Nie wiem, o co ci chodzi. Opowiedziałam ci tylko dziwaczny sen, który mi się przyśnił.

- W którym wypadasz z balkonu i jeździsz na kucyku.

- Nie w tym samym... Budziłam się i zasypiałam. Kilka snów stopiło się w jeden.

- Jakiego koloru był kucyk?

Siena usiłowała przypomnieć sobie fotografię.

- Był ciemny, ale miał białą grzywę.

- W Alpach, powiadasz.

- Tak. - Siena kręciła powoli głową. - Czemu mi to robisz? Przestań się nademną znęcać. Jeśli chcesz mnie ukarać, zrób to. Ale przestań...

- Ile miałaś lat, gdy dostałaś kuczka?

- Nie powiedziałam, że go dostałam. Powiedziałam tylko, że przyśniło...

- Cholera jasna, ile miałaś lat?

Na fotografii ktoś ręcznie dopisał datę: tysiąc dziewięćset czterdzieści osiem. A na metryce urodzin podano rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy.

- ...Dziesięć.

- A od kogo dostałaś kuczka?

To już koniec, pomyślała Siena. Jeśli nie zgadnę... Oczywiście odpowiedzią byłoby „moi rodzice”, lecz coś w uporczywym spojrzeniu Dereka podpowiedziało jej, że w jego pytaniu znajdował się haczyk i że kucyk miał dla niego silne znaczenie osobiste. Po cóż by o to pytał? Chyba, że...

- Od brata.

Derek zadrżał.

- Dlaczego śnią mi się takie rzeczy? - zapytała Siena.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Nie teraz! - zawołał Derek.

- Chce pan, żebym odebrał Ahmeda z lotniska? - Zza drzwi dobiegł ich głos Pottera. - Czy ochroniarze mają to zrobić?

- Leć ty!

- Ale jak mam się zachowywać? Życzliwie czy z dystansem?

- Jak chcesz! Ale do cholery, zostaw nas w spokoju!

Po chwili rozległ się stukot kroków odchodzącego Pottera. Derek odwrócił się gwałtownie do Sieny.

- Kto ci powiedział o balkonie i kucyku?

- Nikt! Przyśniły mi się!

- Co jeszcze ci się przyśniło?

- Karnawał.

- Jaki...

- Fiesta. Na ulicy. Poprzebierani ludzie.

- Gdzie?

Ludzie w tle fotografii wyglądali na mieszkańców Ameryki Łacińskiej. Siena przypomniała sobie inną fotografię, na której za Christiną wznosiła się gigantyczna figura Jezusa z otwartymi ramionami. Wiedziała, że taka figura znajduje się w...

- Rio.

Miasto to słynęło z karnawałów, lecz Derek nie reagował. Boże, pomóż mi, nie trafiłam. Siena zastygła w bezruchu.

- Rio. - Derek przyglądał jej się z wściekłością.

Teraz mnie zabije.

- Jak bardzo Christina kochała Rio. - Derek poderwał ją z fotela. - Kto ci powiedział o mojej siostrze?

- Twojej siostrze? Nie wiedziałam, że masz...

- Miałem!

- Christina? - zapytała Siena.

- Zmarła dawno temu. Chcesz mi wmówić, że nawiedza cię w snach?

- Nie chcę ci nic wmawiać! Nigdy o niej nie słyszałam, dopóki...

- Sądzisz, że cię nie zabiję, bo czułbym się, jakbym zabijał siostrę?

- Zabijał siostrę?

Spojrzenie oczu Dereka było przerażające.

- Christina wypadła z balkonu? Przyśniła mi się jej śmierć?

Derek trząsał się ze zdenerwowania.

- Choć ją uwielbiałem, czasem doprowadzała mnie do furii. Tak jak ty.

Czując zimny dreszcz, Siena zrozumiała, co zdarzyło się tamtej nocy na balkonie.

- W moim śnie ktoś mnie wypchnął.

Derek podniósł rękę.

- Proszę, nie zabijaj mnie po raz drugi - szepnęła Siena.

2

Rozwścieczony Potter spoglądał na zbliżające się lotnisko w Nicei, gdy jego helikopter schodził do lądowania. Specjalnie przybył na spotkanie z Ahmedem za wcześnie. Chciał jak najszybciej wyrwać się z posiadłości Dereka. Z jakiej racji na niego wrzeszczy? Z jakiej racji traktuje go jak sługę? Gdy to wszystko się skończy, odchodzę od niego, postanowił Potter.

Helikopter siadł na płycie lotniska tam gdzie zwykle, na uboczu. Po odebraniu Ahmeda Potter zamierzał wrócić do posiadłości. A jutro o tej porze, pomyślał, gdy sprawa ze Sieną zostanie załatwiona, rozmowy dobiegną końca i przylecę z Ahmedem na lotnisko, już nie wrócę do Dereka. Zaoszczędziłem trochę pieniędzy. Przygotowałem się na to, że Derek kiedyś się ode mnie odwróci. Teraz przekona się, jak mu będzie ciężko beze mnie.

- Mamy dużo czasu. Uzupełnij paliwo - nakazał pilotowi i zwrócił się do swych dwóch ochroniarzy. - A my pójdziemy na lotnisko.

Ale zamiast zrobić jakiś ruch, gapili się w stronę otwartych drzwi za Potterem, gdzie trzech mężczyzn w kombinezonach mierzyło do nich z pistoletów.

Jeden z ochroniarzy chciał już sięgnąć po broń, lecz zreflektował się na widok tłumików przy pistoletach.

- Nie radzę - odezwał się jeden z uzbrojonych mężczyzn. Był dobrze zbudowany i miał krótkie blond włosy. - Bardzo powoli koniuszkami palców wyjmijcie broń i rzućcie ją na podłogę. Dobrze. Jeśli będziecie posłuszni, nikomu nic się nie stanie.

- Kto... - zaczął pytanie Potter.

Blondyn zignorował go. Obok helikoptera zatrzymała się furgonetka.

- Wszyscy wysiadać. Czeka was przejazdówka.

Strażnicy spojrzeli nerwowo po sobie.

- Hej, gdybyśmy chcieli, już byście nie żyli - odezwał się blondyn. - Bądźcie grzeczni, a wyjdziecie z tego żywi. - Zrobił gwałtowny gest w stronę furgonetki. - Ruszać się.

Pilot i strażnicy niechętnie wykonali rozkaz, ale gdy Potter ruszył za nimi, blondyn powiedział.

- Ty nie.

- Jeśli chodzi wam o pieniądze...

- Siadaj. Zaraz odlatujemy.

Widząc, że pilot wsiada do furgonetki, Potter zapytał:

- Ale kto będzie pilotował...

- Ja - usłyszał znany mu głos.

Poruszony, odwrócił głowę w stronę drzwi pilota, gdzie pojawił się mężczyzna z mocno posiniaczoną twarzą. Pomimo siniaków natychmiast rozpoznał tę twarz. Poczul ścisnięcie w żołądku.

Malone.

3

Pilot Ahmeda ogłosił, że wkrótce rozpocznie się lądowanie. Nareszcie, pomyślał Ahmed. Czterogodzinny lot ze Stambułu zdawał się trwać wiecznie. Nie lubił Bellasara. Nie lubił podróży. Oddalenie od domowych dźwięków i zapachów zawsze wytrącało go z równowagi. Oby pokaz przygotowany przez Bellasara zrekompensował mu trudy podróży. Natomiast jeśli raz jeszcze okaże się, że Bellasar nie ma kontroli nad swymi sprawami...

Odrzutowiec Ahmeda wylądował. Bellasar obiecał, że kontrole celne i imigracyjne nie zatrzymają go długo na lotnisku. Ku zadowoleniu Ahmeda dotrzymał słowa. Lecz gdy Ahmed zjawił się w głównym holu lotniska, nie dostrzegł ani Bellasara, ani Pottera. Jeśli była to zapowiedź tego, jak miało wyglądać ich spotkanie...

- Pan Ahmed?

Z tłumu wyłonił się dobrze zbudowany mężczyzna z krótkimi blond włosami. Miał na sobie garnitur i wyciągając rękę, przyjął uniżoną postawę.

- Nazywam się Raymond Baker. Przepraszam za małe spóźnienie. Pan Bellasar przysłał mnie tu po pana.

- Sam nie mógł przylecieć?

- Niestety jest bardzo zajęty. Gorąco pana przeprasza. Tak bardzo zależy mu na tym, żeby pańska wizyta wypadła pomyślnie, że osobiście zajmuje się końcowymi przygotowaniem.

- Nigdy pana nie widziałem. Dlaczego nie przysłał Aleksa Pottera?

- Jestem nowym pracownikiem. Pan Potter musiał dopilnować pewnych spraw związanych z bezpieczeństwem. Czeka na nas przy helikopterze. Pan i panowie z eskorty - skinął na dwóch ochroniarzy Ahmeda, którzy mu towarzyszyli - pójdą ze mną. Odbędziemy teraz krótki lot do posiadłości pana Bellasara.

Ahmed zawahał się, zirytowany, że Bellasar przysłał po niego jakiegoś nowicjusza, ale jednocześnie pochlebiali mu jego pokorne maniere.

- Im szybciej to spotkanie się skończy, tym szybciej znajdę się z powrotem w Stambule.

- W takim razie zapewne się pan ucieszy, że pan Bellasar zadbał już o to, aby podczas lotu powrotnego nie było żadnych opóźnień. Proszę za mną...

4

Zbliżając się do helikoptera, Ahmed zmarszczył brwi na widok Pottera, który stał sztywno przy otwartych drzwiach. Ahmeda zawsze irytowało wiecznie niezadowolone spojrzenie tego człowieka. Jego obecność sprawiała, że wszystko dookoła robiło się smutne. Gdy Ahmed podszedł do niego, nie wyciągnął nawet ręki. Typowe. Niech szeszne, jeśli pierwszy wyciągnę do niego rękę, pomyślał Ahmed.

Gdy zaczął wsiadać, Ahmed pobladł na widok dwóch mężczyzn w kombinezonach, którzy odwrócili się od helikoptera i przyłożyli broń do pleców jego ochroniarzy. Podjechała furgonetka. Pięć sekund później ochroniarze znajdowali się już w samochodzie, a z nimi mężczyźni w kombinezonach. Furgonetka odjechała: Wszystko działo się w oszalamiającym tempie.

- Nie mogłem pana ostrzec - tłumaczył się Potter. Ruchem głowy wskazał na dwóch innych mężczyzn w kombinezonach, którzy mierzyli do nich ze środka helikoptera.

- Wskakuj - rozkazał blondyn. Prawą rękę trzymał pod połą marynarki, gotów wyjąć pistolet przy najmniejszej prowokacji.

- Kim jesteś? Co to wszystko...

- Zamknij się i wskakuj do środka.

Wepchnięty do kabiny helikoptera Ahmed został przeszukany, skrupowany pasami bezpieczeństwa i przypięty kajdankami wspólnie z Potterem do drążka przy kadłubie. Lecz choć wszystko to było nadzwyczaj oburzające, najgorsze nastąpiło wówczas, gdy odwrócił się do niego pilot, ukazując spuchniętą i fioletową od siniaków twarz.

- Linie lotnicze Wendetta zapraszają na pokład.

5

- Ochroniarze Pottera i Ahmeda są skuci kajdankami i zapadli w morfinowy sen w furgonetce - Jeb informował Malone'a, pospiesznie zapinając pas w fotelu drugiego pilota. - Nasz człowiek zawiezie ich na odludny kemping i będzie czekał na wiadomości od nas.

- A jeśli po dwudziestu czterech godzinach nie odezwiemy się?

- Będzie wiedział, że wszystko diabli wzięli i wypuści ich.

- Ale tak się nie stanie. - Głos Malone'a zachrypiał z emocji. - Tylko Bellasara diabli wezmą.

Skontaktował się z wieżą kontrolną, uzyskując zgodę na start. Włączył kilka przycisków. Wirniki zaczęły się obracać.

- Gdy leciałem do posiadłości Bellasara i później, gdy ukradłem im śmigłowiec, zaintrygowały mnie dodatkowe przełączniki, których funkcji nie potrafiłem określić - powiedział Malone.

Wirniki obracały się coraz szybciej.

- Próbowałem wykombinować, do czego służą - kontynuował, przekrzykując warkot silnika. - Gdy się rozbiliśmy i eksplodował zbiornik z paliwem, wybuch był dużo potężniejszy, niż się spodziewałem. Teraz chyba już rozumiem.

- Do czego zmierzasz?

- Po handlarzu bronią należałoby się tego spodziewać. Ścigali nas samochodami, które były faktycznie pojazdami pancernymi wyposażonymi w działa maszynowe. Czemu miałyby nie zmodyfikować swego helikoptera w podobny sposób?

- Chcesz przez to powiedzieć...

- Ta maszyna uzbrojona jest w ukryte działa. To śmigłowiec wojskowy.

6

- Co ci się jeszcze śniło?

- Dłużej tego nie wytrzymam. Muszę się położyć. Muszę...

Derek uderzył ją w twarz.

Zatoczyła się do tyłu.

- Musisz robić to, co ci każę. Co ci się jeszcze śniło?

- Nie pamiętam.

Uderzył ją jeszcze mocniej.

- Obiecałeś, że nigdy mnie nie skrzywdzisz! - zawołała.

- To było, zanim uciekłaś z...

- Miałam na myśli Christinę! Obiecałeś, że nigdy jej nie skrzywdzisz. Jutro.

- Co jutro?

- Umarła.

Derek uderzył ją po raz trzeci.

- Powiedz mi, skąd tyle wiesz o...

- Pamiętam jacht. - Siena usiłowała przypomnieć sobie szczegóły fotografii.

Ręka Dereka zastygła w powietrzu przed kolejnym ciosem.

Na fotografii dorosła i ponętna Christina w bikini opalała się na pokładzie jachtu. Nazwa jachtu widniała na wiszącej za nią kamizelce ratunkowej.

- Jacht o nazwie „Christina”. Odbywały się tam przyjęcia i...

- Ciągłe przyjęcia! Christinie wciąż ich było mało! A za moimi plecami...

Zdradzała mnie tak samo jak ty.

- To nie miało nic wspólnego ze zdradą! Próbowałam tylko ratować życie!

Derek oderwał od niej wzrok, jakby logika jej wypowiedzi zrobiła na nim wrażenie.

- Dlaczego tak musi być? - zapytała go błagalnym tonem. - Dlaczego nie możemy zacząć od nowa?

Derek przyjrzał jej się.

- Czyż nie możemy sobie wybaczyć? Pięć lat temu kochaliśmy się. Czemu nie możemy do tego wrócić? - Zrobiła ostrożny krok w jego stronę i wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć.

- Co ci się jeszcze śniło?

- Co?

- Skąd możesz tyle wiedzieć o mojej siostrze?

Siena zamarła.

- Balkon, kucyk, karnawał, jacht, daty... - Derek otworzył szerzej oczy. - Boże, byłaś tam.

- Co?

- Byłaś tam!

- Nie wiem, o czym...

Derek chwycił wyciągniętą do niego rękę i szarpnął ją ze złością w stronę drzwi. Próbowala się opierać, ale była zbyt słaba. Otworzył drzwi z takim impetem, że uderzyły o półki z książkami.

- Derek, nie, co ty...

Ciągnął ją za sobą przez korytarz, główny hol i po krętych schodach. Ponieważ się opierała, przy kolejnym szarpnięciu straciła równowagę i upadła na kolana. Szarpał jeszcze mocniej, wlekąc ją za sobą.

Pierwszy podest.

Drugi.

- Przestań! - błagała go Siena.

Lecz on nie przestawał ciągnąć jej za sobą.

- Gdzie idziesz?

Ostatnie piętro. Szarpiąc ją, żeby wstała, dotarł do drzwi przy sypialni, wyciągnął z kieszeni klucz, włożył go do zamka, otworzył drzwi. W pokoju panował mrok.

- Nie, nie chcę...

Wepchnął ją do środka, zapalił światła i nie zważając na portrety na ścianach, doprowadził ją do urny.

- Christina - wyszeptał. Odwrócił Sienę do obwieszonych fotografiami ściany. - Nie masz pojęcia, jak bardzo ją kochałem. - Przesuwał wzrokiem po zdjęciach, znajdując te, których szukał. - Proszę. Na tarasie, na kucyku, podczas karnawału i na

jachcie. - Otworzył album, dochodząc do ostatniej strony. - Data jej śmierci. A więc to tak dowiedziałaś się o mojej siostrze! Już kiedyś tutaj byłaś.

- Nie, przysięgam. Nic nie wiedziałam o...

- „Pięć lat temu kochaliśmy się. Dlaczego nie możemy zacząć od nowa?” - przedrzeźniał ją Derek.

- Mówiłam poważnie.

- Ależ oczywiście.

- Co się z nami stało? Dlaczego odwróciłeś się ode mnie?

Przez chwilę oczy Dereka rozjaśniły się, jak gdyby wreszcie otrząsnął się ze swego szaleństwa.

- Przez Christine.

Jego spojrzenie znów spochmurniało i wywłókł Sienę z pokoju.

- Wkrótce przybędzie tu Ahmed. Wreszcie będzie z ciebie jakiś pożytek.

7

Śmigłowiec przeleciał nad wzgórzem i znalazł się nad doliną, w której położona była posiadłość Bellasara.

- Lepiej, żeby nam się udało - rzucił Jeb. - Na lotnisku było gorąco, lecz teraz...

Malone poprawił mikrofon przy kasku.

- Bellasar spodziewa się śmigłowca z Ahmedem na pokładzie. No i jesteśmy.

- Będzie się też spodziewał jakiegoś komunikatu radiowego, czegoś w rodzaju identyfikacji, zanim zezwoli na lądowanie. Nie wiesz, co masz powiedzieć.

Malone kiwnął głową. Gdy całe wieki temu przyleciał tu z Bellasarem, słyszał, że pilot mówi do mikrofonu, lecz po francusku i Malone nic nie rozumiał.

Ustawiał częstotliwość radia, aż męski głos odezwał się do niego po francusku. Niektóre słowa przypominały trochę angielskie i Malone połapał się, że jest proszony o podanie swoich danych.

Popukał kilka razy w mikrofon, przesunął po nim kawałkiem papieru, dukając kilka zasłyszanych przed chwilą francuskich wyrazów, żeby upozorować problemy z łącznością.

Wyłączył radio.

Helikopter podleciał bliżej posiadłości.

- Mam nadzieję, że się nabrali - oznajmił Jeb. - Handlarz bronią chyba ma tutaj jakieś pociski.

- Niewykluczone. Ale bez ważnego powodu nie będzie narażał Ahmeda. Na razie nie zrobiliśmy nic, co wskazywałoby na to, że jesteśmy dla nich zagrożeniem. Malone spojrzął do tyłu na partnera Jeba i pozostałych pomocników. - Gotowi?

Napięcie na twarzy Dillona było mu doskonale znane z czasów, gdy prowadził misje wojskowe. Przeniósł uwagę na przykutych kajdankami Ahmeda i Pottera. Na ich twarzach malował się strach.

- Pasy dobrze zapięte? - zapytał Malone.

Skoncentrował się na urządzeniach sterowniczych. Śmigłowiec raptownie przechylił się i zakręcił.

- O Jezu! - Jeb wiedział, czego ma się spodziewać, ale nie przypuszczał, że manewry Malone'a będą tak realistycznie symulować awarię helikoptera.

- Maski przeciwgazowe. - Malone przechylił helikopter w drugą stronę, przypinając wszystkich o zawrót głowy.

Każdy z nich miał jedną. Wsunęli je na głowy.

- Możecie je też dać Potterowi i Ahmedowi - powiedział Malone. Zdjął kask pilota, założył maskę przeciwgazową, po czym tak gwałtownie zakołysał helikopterem, że wszyscy na ziemi musieli dojść do wniosku, że zaraz spadnie.

- Otworzyć drzwi!

Dillon i pozostali wykonali polecenie.

- Granaty dymne!

- Gotowe!

- Jazda!

Dwa granaty zostały rzucone na podłogę helikoptera. Rozległy się stłumione trzaski i kabinę wypełnił szybko szary dym. Przez chwilę Malone przestraszył się, że kłębiący się wokół niego gęsty dym oślepi go i nie zapanuje nad chwiejnymi ruchami, w które wprawiał maszynę. A całe przedstawienie musiało być przekonujące dla strażników z posiadłości Bellasara...

Wiatr przez otwarte drzwi rozpędził dym i widoczność znów się poprawiła. Dym buchał teraz głównie na zewnątrz, co wyglądało, jakby na pokładzie doszło do awarii. Malone mógł sobie wyobrazić kontrolera, który zapewne rozpaczliwie próbował nawiązać z nim kontakt radiowy.

Zakręcił się, przechylił na bok, cały czas podlatując coraz bliżej budynków i ogrodów posiadłości. Podleciał już tak blisko, że widział pod sobą na ścieżkach, między drzewami i krzewami strażników, którzy spoglądali z niepokojem do góry.

Na wysokości tysiąca stóp zakolebał się nad posiadłością. Niektórzy strażnicy pierzchli z obawy, że maszyna spadnie im na głowy.

- Gotowi? - Malone krzyknął do tyłu.

Dillon otworzył pudełko.

Kątem oka Malone zauważył, jak Dillon wyrzuca szklany pojemnik podobny do tych, których używa się w laboratoriach. Zawirował w powietrzu, doskonale widoczny ze względu na znajdujący się w środku biały proszek. Pojemnik roztrzaskał się na chodniku. Malone wyobraził sobie hałas rozbijanego szkła i konsternację na twarzach strażników, gdy proszek wzbil się w powietrze niesiony wiatrem w ich kierunku. Część strażników, których ciekawość była silniejsza od strachu, podeszła bliżej. Malone wiedział, że gdy przeczytają napis na solidnej etykiecie sklejującej kilka kawałków rozbitego szkła, rozbiegną się w panice. Nawet po angielsku napis nie pozostawiał żadnych wątpliwości. CAUTION: ANTHRAX BIOLOGICAL HAZARD. Także symbol trupiej czaszki ze skrzyżowanymi piszczelami nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Ze smugą dymu ciągnącą się za helikopterem, Malone poleciał w drugą stronę. Gdy kolejne szklane pojemniki wylatywały ze śmigłowca, Malone zwrócił uwagę na kort tenisowy i zaatakowany na początku rejon. Strażnicy uciekali wśród tumanów białego proszku. Wyobrażał sobie, jak wstrzymują oddech. Kilku z nich rzucało ostrzeżenia. Strażnicy, którzy pozostawali poza strefą rażenia, oddalali się coraz bardziej. Jeden pojemnik z proszkiem roztrzaskał się między nimi, a drugi spadł przed nimi, odcinając im drogę.

Piąty, szósty, siódmy. Gdy Malone meandrował nad posiadłością Bellasara, coraz więcej szklanych pojemników rozbijało się na ziemi, rozpylając biały proszek. Dwunasty, trzynasty, czternasty. Rezydencja, klauzura, stajnia, basen i strzelnica zostały upstrzone białymi plamkami. Siedemnasty, osiemnasty. Następni strażnicy rzucali się do ucieczki. Niektórzy wskoczyli do samochodów i popędzili w stronę bramy.

Do tej pory Malone liczył na to, że zagrożenie ze strony na pozór uszkodzonego śmigłowca oraz spadających pojemników powstrzyma strażników od strzelania. Wierząc, że wykorzystano przeciw nim broń biologiczną, niewielu strażników opanowało strach i oddało pojedyncze strzały przed rzuceniem się do ucieczki. Ale

nawet ci nieliczni mogli okazać się niebezpieczni. Śmigłowiec musiał być opancerzony, ale Malone wiedział z doświadczenia, że nie oznacza to bezpieczeństwa: gdy uciekali ze Sieną helikopterem, strażnikom udało się uszkodzić maszynę. Teraz, gdy kule waliły w kadłub, postanowił wzmocnić zagrożenie i zaatakować bronią chemiczną.

- Wyrzućcie granaty dymne!

Jego ludzie najpierw pozbyli się granatów dymnych leżących na podłodze, a gdy powietrze w śmigłowcu oczyściło się, zaczęli wyciągać zawleczki z następnych granatów i ciskać je na zewnątrz. Tym razem były to granaty z gazem łzawiącym, których gęsty dym rozkwitał na trawnikach i w ogrodach, zmuszając strażników do jeszcze szybszej ucieczki.

- Zamknąć drzwi!

Malone oddalał się od posiadłości, po czym zawrócił. Wcisnął cztery spośród przełączników, które wcześniej tak go zaintrygowały. Podczas lotu z Nicei poeksperymentował trochę i dowiedział się, do czego służą.

Po obu stronach helikoptera wysunęły się z ukrytych otworów działa maszynowe. Jeśli przypominały broń, z którą Malone zapoznał się w wojsku, to każde z dział mogło wystrzelić sześć tysięcy trzydziestomilimetrowych pocisków w ciągu minuty. Nad nimi pojawiły się wyrzutnie wyposażone w rakiety kalibru 2.75 cala. Doskonała zabawka dla dyktatora, który lubi zaskakiwać swych wrogów, pomyślał Malone.

Teraz nadszedł czas na niespodziankę dla Bellasara.

Dym z gazu łzawiącego ograniczył widoczność. Ograniczył też widoczność z ziemi, pomyślał Malone. Otworzył ogień z obydwu dział i zszedł niżej. Nie widział wprawdzie, jakie wyrządził szkody, ale na pewno niszczył wszystko na swojej drodze. Uważając, żeby nie trafić zamku i klauzury, gdzie prawdopodobnie znajdowała się Siena i broń biologiczna Bellasara, wystrzelił raketę. I jeszcze jedną. Pomimo ryku helikoptera usłyszał, jak rakiety eksplodowały wśród strażników. Gdy odwrócił się, żeby spojrzeć na posiadłość z drugiej strony, ujrzał płomienie wśród dymu i oparów gazu łzawiącego.

- Potter!

Bez odpowiedzi.

- Cholera jasna, Potter, wiesz, co masz robić! Bierz telefon!

Malone znów otworzył ogień. Działo z terkotem wypluwało z siebie jednocześnie tyle kul, że tworzyły ruchome kolumny zniszczenia. Każda z nich wzbijała w powietrze ziemię i gruzy, które mieszały się z dymem i gazem. Pewnie uderzył w skład amunicji. Fala uderzeniowa potężnej eksplozji wstrząsnęła helikopterem, tworząc jeszcze więcej dymu, z którego buchnął ogień.

- Potter!

Nadal bez odpowiedzi.

- Jeśli teraz do niego nie zadzwonisz, przysięgam na Boga, że cię wyrzucimy!

Z drgającymi z wściekłości mięśniami Malone wystrzelił kolejną rakietę. Pomknęła w stronę bunkra przeciwlotniczego. Ognisty podmuch posłał w powietrze kawałki betonu i metalu. Omijając dym buchający z krateru, ostrzeliwując strażników, którzy celowali do śmigłowca, doleciał do końca posiadłości, zakręcił i znów odwrócił się do celu.

Wisząc w powietrzu, spojrzął z wściekłością na Pottera, który zakutą w kajdanki ręką trzymał niezręcznie przy uchu telefon komórkowy.

- Tak - powiedział do telefonu. - Sześciu ludzi plus Malone i Ahmed. - Widząc gniew na posiniaczonej twarzy Malone'a, Potter wzdrygnął się z obawy przed tym, co ten z nim zrobi za wyjawienie Bellasarowi, kto znajduje się w helikopterze. - Malone chce z tobą rozmawiać. Derek, nic nie mogłem poradzić. Przykro mi. - Słowa Bellasara musiały być wyjątkowo obraźliwe, gdyż Potter wyglądał jak zbity pies. Lecz jego twarz wyrażała nie tylko upokorzenie, gdy Dillon zabrał mu słuchawkę i podał ją Malone'owi. Potter aż kipiał z gniewu. - Jak może ze mną tak rozmawiać? Zabijcie tego skurwysyna.

Malone posłał w dym kolejną rakietę, wywołując grzmiącą eksplozję. Dopiero wtedy przyłożył telefon do ucha.

- Słuchasz mnie uważnie?

8

- Bardzo. - Bellasar wyglądał przez okno klauzury w stronę zasłoniętego dymem helikoptera. W kącie leżała Siena, zbyt otumaniona, żeby śledzić przebieg rozmowy. - Wydawało mi się, że jesteś martwy.

- Muszę cię rozczarować.

- Nic takiego. Z przyjemnością zabiję cię po raz drugi. Przypuszczam, że przybyłeś po moją żonę.

- Oby jeszcze żyła.

- W przeciwnym razie?

Przez kłębiący się na zewnątrz dym Bellasar ujrzał zamazany kształt rakiety wystrzelonej z helikoptera. Trafiała z wściekłym wyciem w taras zamku, rozsyłając we wszystkie strony szczątki kostki brukowej.

- Odbuduję taras - oświadczył Bellasar. - Zresztą nie ma mnie tam. Jestem w klauzurze. Ale przed wystrzeleniem następnej rakiety dobrze się zastanów. Miłość twojego życia jest tu przy mnie.

- Żyje?

- W pewnym sensie.

Gdy Siena podniosła się z trudem, Bellasar powalił ją znów na podłogę ciosem pięścią w twarz. Jej jęknięcie było na tyle głośne, że usłyszał je Malone.

- Chcę z nią porozmawiać! - zażądał Malone.

- Jeśli będzie w stanie rozmawiać. - Bellasar spojrział na nią z góry. - Wiesz co, moja droga? Dzwoni twój kochaś.

Siena zamrugła oczami, niezupełnie pojmując jego słowa.

- Naprawdę. Twój kochaś. Słynny artysta. Zadzwoił. Czyż to nie miło z jego strony? Powiedz kilka słów. - Podał jej słuchawkę.

Marszcząc brwi, jak gdyby bała się, że traci zmysły, wzięła ją.

- Pospiesz się, nie każ mu czekać. Przyjechał z tak daleka.

Zamrugła oczami, skonsternowana. Obawiając się, że to jakiś podstęp, podniosła słuchawkę do ucha.

- Chase?

- Nic ci nie jest?

- Mój Boże, to naprawdę ty? Myślałam, że nie żyjesz! Myślałam...

Bellasar wyrwał jej słuchawkę.

- Powiedziałem „kilka słów”, a nie przemówienie. Zadowolony? - powiedział do słuchawki.

- Wypuść ją.

- Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałbym to zrobić.

- Ale ja widzę. Zrób coś dla mnie. Zadzwoń pod następujący numer. - Malone wyrecytował cyfry.

Bellasar skądś znał ten numer, toteż zaniepokoił się.

- Co ty...

- Po prostu zadzwoń pod ten numer w Paryżu. Mój wspólnik jest teraz u twojej przyszłej żony i jej ojca.

- Co takiego?

- Jeśli nie wykonasz moich poleceń, mój wspólnik przedstawi im teczkę z materiałami o twoich trzech poprzednich małżeństwach i o zabójstwach wszystkich żon. Powie im o tym, jak planowałeś morderstwo swej obecnej żony. Powie im też, że ty i twoja siostra byliście kochankami, że ją zamordowałeś i że wszystkie twoje żony były do niej podobne. Ma zdjęcia.

Bellasar zaniemówił z wściekłości.

- Twoja narzeczona nie będzie mogła na ciebie patrzeć, nie wspominając już o małżeństwie - ciągnął dalej. - Jej ojciec będzie tak wściekły z powodu niebezpieczeństwa, jakie stanowisz dla jego córki, że przestanie dostarczać ci broń. Oczywiście jest tylko jednym z twoich dostawców, ale ponieważ ucierpiał honor jego córki, rozniesie wszystko na językach. Prywatność, której tak fanatycznie chronisz, zostanie zniszczona. Mogę się też założyć, że inni dostawcy również przestaną robić z tobą interesy, zwłaszcza, gdy się dowiedzą, że jesteś inwigilowany przez CIA.

- CIA?

- Jeśli Sienie coś się stanie, zamierzam rozpuścić wiadomość, że CIA wie wszystko o tobie i że sprawy zawodowe wymykają ci się spod kontroli. Nikt nie będzie ci chciał zaufać. I jeśli wciąż będziesz chciał uprawiać swój zawód, pozostanie ci tylko sprzedawanie w ciemnych zaułkach tanich pukawek handlarzom narkotyków.

Bellasar ciskał błyskawice z oczu.

- I gdy już stracisz swą pozycję - kontynuował Malone - każdy sponiewierany przez ciebie człowiek, każdy, kto żywi do ciebie urazę, odpłaci ci pięknym za nadobne. Zrujnowałeś moje życie. Teraz możesz się przekonać, co się wtedy czuje.

- A jeśli zrobię, co mi każesz, rozmowa, którą mi grozisz, nie odbędzie się. - Głos Bellasara brzmiał pogardliwie.

- Zgadza się.

- Mam uwierzyć, że nie ostrzeżecie tej kobiety z Paryża? Nie uchronicie jej przede mną?

- Sam ją uchronisz.

- Co przez to rozumiesz?

- Zerwiesz z nią. Nie będziemy musieli jej nic mówić.

- A w zamian dostaniesz Sienę. Ale skąd mogę wiedzieć, czy twoi ludzie dotrzymają warunków porozumienia? Odkąd to CIA przejmuje się prywatnymi zobowiązaniami?...

- To nie jest oficjalna operacja. Ci ludzie pracują dla mnie. Zrobią, co im każę.

- I na tym koniec?

- Niezupełnie - odparł Malone. - Wyprodukowałeś broń biologiczną. Nie przestanę cię gnębić, dopóki się nie przekonam, że jest zniszczona.

Wściekłość Bellasara sięgnęła zenitu.

- Wyprowadzam ją.

Przerwał połączenie i odwrócił się do Sieny.

- Wstawaj! - Siłą podniósł ją z podłogi i wypchnął z pokoju.

Ale zamiast udać się w stronę wyjścia, popchnął ją na schody prowadzące do suterenu.

I jeszcze niżej, do piwnicy.

9

Malone puścił serię z dział maszynowych, widząc, że gaz łzawiący rozrzedza się, a strażnicy dokonują przegrupowania. Pociski zmiatały drzewa i krzewy, kosiły ludzi.

- Minęły trzy minuty! Gdzie on się podziewa?

Bombardując ziemię, Malone nadleciał nad lądowisko, zawisł w powietrzu i obrócił się dookoła własnej osi, niszcząc wszystko w okolicy. W chwili, gdy śmigłowiec osiadł na ziemi, Jeb, Dillon i pozostali wyskoczyli na zewnątrz, nie przerywając ognia. Choć wirniki śmigłowca rozwiały gaz łzawiący, ludzie Malone'a nie zdjęli masek przeciwgazowych. Mieli nadzieję, że zastraszą swych przeciwników, jeśli nadal będą udawać, że w szklanych pojemnikach zrzucili zarazki karbunkułu.

Gdy Malone przypinał do pasa granaty z gazem łzawiącym, Potter ryknął:

- A co z nami? Otwórzcie te kajdanki!

Malone nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć, chwycił tylko karabin, zeskoczył na ziemię i popędził do klauzury.

Za sobą słyszał strzelaninę: Jeb i jego towarzysze dawali strażnikom jeszcze jeden powód do ucieczki z posiadłości. Gdy obok niego świsnęła kula, Malone dał nura za roztrzaskane drzewo i strzelił do strażnika, który wychylał się z ukrycia o

sekundę za długo. Seria z karabinu Malone'a podziurawiła mu klatkę piersiową i wpadł do basenu.

Rozejrzał się po poboju, szukając innych zagrożeń. Posągi zostały pozbawione głów, a z uszkodzonych fontann tryskała woda. Jest! Strzelił do strażnika, który mierzył do niego zza gruzów kolumny. Gdy napastnik upadł, Malone odwrócił się i nie widząc innych celów, podbiegł bliżej klauzury. Nagle otworzyły się drzwi i Malone rzucił się za kolejne roztrzaskane drzewo.

- Malone! - krzyknął z wewnątrz Bellasar.

- Gdzie Siena?

- Masz jeszcze telefon? - Nie ujawniając się, Bellasar podyktował mu numer.

Co on wyprawia? Czując skurcze w żołądku, zaniepokojony Malone schował się głębiej za roztrzaskane drzewo. Wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał podany mu numer.

- Chase? - Siena odebrała natychmiast. Była przerażona.

- Nic ci nie zrobił? Gdzie jesteś?

- W podziemiach klauzury. W zamkniętym pomieszczeniu.

- Gdzie?

- Nie wiem! Gdy sprowadzał mnie tutaj, zawiązał mi oczy.

Malone usiłował mówić spokojnym głosem.

- Nie bój się. Już idę po ciebie.

Rozłączył się i krzyknął w stronę otwartych drzwi klauzury:

- Bellasar!

Bez odzewu.

- Bellasar!

Cisza, nie licząc odległych strzałów.

Malone wyciągnął zza pasa granat z gazem łzawiącym, zerwał zawleczkę i cisnął nim przez otwarte drzwi.

Opary gazu wypełniły wejście.

Podbiegł pod mur klauzury, kolbą karabinu wybił szybę w suterenie i wrzucił do środka drugi granat.

Gdy gaz wypełniał pomieszczenie pod nim, wziął do rąk zawieszoną na szyi maskę przeciwgazową i włożył ją. Usunął z okna pozostałe kawałki szkła i precyzyjnie się przez nie. Gdy dostał się do środka, obrócił się po zamglonym pomieszczeniu z gotowym do strzału karabinem, lecz nie dostrzegł żadnego celu, nie usłyszał niczyjego

kaszlu. Przypadł do framugi otwartych drzwi, rzucił na korytarz ostatni granat i ruszył za nim, poruszając się po omacku w gęstej mgle. I tym razem nie usłyszał kaszlu. Bellasar nie mógł przewidzieć ataku gazem łzawiącym. Mało prawdopodobne, by miał pod ręką maskę przeciwgazową. Czyżby wykorzystał Sienę jako przynętę i wymknął się tylnymi drzwiami?

Cóż mnie obchodzi Bellasar! Muszę odnaleźć Sienę!

Ruszył przez korytarz, sprawdzając każdy pokój.

Wszędzie pusto.

Dotarł do schodów, które wznosiły się do wypełnionego gazem wejścia.

Inne schody prowadziły na dół. Zaczął schodzić.

Temperatura obniżała się. Skały tworzące ściany robiły się coraz większe, konstrukcja stawała się coraz surowsza, coraz starsza, jakby sprzed tysiąca lat.

Dotarł na dole do jasno oświetlonych metalowych drzwi, które zastąpiły mu drogę. Modląc się w duchu, żeby były otwarte, pociągnął i odetchnął z ulgą. Otwierając drzwi, schował się ostrożnie za nimi.

Czyżby Bellasar czekał na niego po drugiej stronie, chcąc go zastrzelić?

Malone zdjął maskę i wysunął ją na poziomie głowy za krawędź drzwi, udając, że zagląda do środka. Ale żadna kula nie przeszła trzymanej przez niego maski. Zebrał się w sobie, zrobił wypad przez drzwi i przykucnął, mierząc z karabinu.

Nikt się nie czał.

Zauważył natomiast jasne światło z laboratorium. Po obu stronach za oknami znajdowały się pomieszczenia doświadczalne. Biegł dalej, nie widząc w nich nikogo.

- Siena!

Nie odpowiadała.

- Siena!

Dobiegł do kolejnych metalowych drzwi. One też nie były zamknięte na klucz, lecz tym razem, gdy zrobił przez nie wypad, mierząc z karabinu, ujrzał dwie pobladłe postaci: rosyjskich ekspertów od broni biologicznej.

Gdy się wyprostował, odwrócili wzrok, wpatrując się w okno, za którym znajdowało się drugie okno.

I...

- Siena!

Nie zareagowała. Za pierwszym oknem, korytarzem i drugim oknem siedziała przy stole, smętnym wzrokiem spoglądając na swoje dłonie. Miała poranioną twarz.

- Siena!

- Nie słyszy - powiedział lekko przygarbiony Rosjanin, którego przyłot helikopterem tak dawno temu Malone obserwował. Mówił z mocnym rosyjskim akcentem głosem pełnym zniechęcenia. - Nie widzi też pana. To weneckie okna.

Malone podbiegł do drzwi, szarpnął, lecz ani drgnęły. Pociągnął z całej siły.

- Nic to nie da - kontynuował Rosjanin. - Nawet gdyby miał pan klucz. Przynajmniej przez sześć godzin.

- Sześć godzin?

Malone walnął kolbą karabinu w szybę. Okno zadrżało. Walnął mocniej, lecz szyba nie ustąpiła.

- Marnuje pan czas - stwierdził Rosjanin. - Nawet młot kowalski czy kula nie przebiją tej szyby. Dla większej pewności, znajduje się w podwójnie zabezpieczonej komorze. Żeby tylko nie dopuścić do wycieku.

- Wycieku? - Malone poczuł zawrót głowy.

- Nie sądziłem, że się zdecyduje. - Rosjanin sprawiał wrażenie oszołomionego. - Bellasar powiedział, że zamierza zorganizować prezentację dla człowieka, z którym negocjuje, ale nawet mi się nie śniło...

- Prezentację? Boże, co on...

W gabinecie za nim zadzwonił telefon.

Malone wbił wzrok w aparat. Gdy zadzwonił znowu, wiedział, czyj głos usłyszy. Wbiegł do gabinetu i podniósł słuchawkę.

- Jak ją stamtąd wydostanę, draniu!

- To niemożliwe - odparł Bellasar. - Przynajmniej przez sześć godzin.

- Sześć godzin? - Znów ten sam limit czasu. Malone jak przez sen pamiętał, że już ktoś mówił mu coś na ten temat. Ale kiedy i kto? - Cholera, dlaczego akurat... - Zmroziło go, gdy wróciła mu pamięć. Laster. W bazie w Wirginii.

Broń ta jest dlatego tak unikatowa, że Gribanow i Bulganin dokonali genetycznych zmian w budowie wirusa, dzięki którym jest on niegroźny, chyba że nastąpi połączenie z innym wirusem, łagodnym, lecz rzadkim. Najpierw wypuszcza się łagodny wirus. Po zainfekowaniu danej populacji wypuszcza się drugi wirus, śmiertelny. Laster powiedział później, że żywotność łagodnego wirusa wynosi sześć godzin. Po tym czasie, nawet jeśli ktoś został zarażony ospą, nie mógł zarazić nią kogoś, kto nie został zainfekowany łagodnym wirusem w ciągu ostatnich sześciu

godzin. Ten limit czasowy dawał kontrolę nad bronią, zapobiegając rozprzestrzenianiu się choroby poza wyznaczony cel.

- Obiecałem, że oddam ci ją - oznajmił Bellasar - ale nie wspominałem, w jakim stanie.

- Wypuściłeś obydwie wirusy? - Malone poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

- Mów wszystkim, co chcesz na mój temat. Nie zaszkodziś mi. Gdy moi wrogowie zrozumieją, do czego jestem zdolny, jeszcze bardziej będą się mnie bali.

- Zaraziłeś ją ospą? - zawołał Malone.

10

Pognał jak oszalały schodami do góry. Złapię go! Dostanę go w swoje ręce! Uduszę... Lecz gdy Malone dobiegał do szczytu schodów, usłyszał strzały - nie grzechot karabinów maszynowych, lecz warkot dział z pokładu helikoptera. Świsnęła rakietą, po czym nastąpiła eksplozja. Na szczycie schodów gaz się rozrzedził. Wybiegając z klauzury, Malone spojrział w lewo, gdzie ostatnio widział Jeba i jego ludzi. Tumany kurzu, płomienie i dym przysłoniły mu widok.

Helikopter nie czekał na niego w miejscu, gdzie wylądował. Malone zeszytywniał, słysząc jego warkot. Z lewej strony w rozpraszającej się mgłę pojawiły się wirujące łopaty śmigłowca. Niczym złośliwe narośla z kadłuba helikoptera wyłoniły się nowe rodzaje broni. Maszyna zawisła na wysokości trzydziestu metrów sto metrów od niego. Nawet z tej odległości za plastikową osłoną wyraźnie rysowała się surowa twarz Bellasara. Z głośnika pod kadłubem ryknął jego głos:

- Nie sprzedaję sprzętu, którego nie potrafię obsługiwać!

Zanim Malone mógł skryć się w klauzurze, seria z działa maszynowego wyżłobiła za nim krater. Rzuciło nim na ziemię, a wokół niego w powietrzu latały grudy ziemi, kamienie i kule. Przeturlał się, żeby jak najbardziej odsunąć się od krateru, lecz zaraz dostrzegł, że helikopter zmienił kąt ostrzału i działo rozkopało kolejny krater, tym razem z prawej strony. Zadzwonilo mu w uszach od piekielnego hałasu.

Z łatwością mógłby mnie zabić! Sukinsyn bawi się ze mną!

Rozwścieczony Malone zrobił zwrot w lewo, jakby chciał uciekać w tamtą stronę. Gdy tylko Bellasar skopiował ten manewr, Malone zmienił kierunek i popędził co sił w nogach w prawo.

Oddalał się od klauzury.

Oddalał się od Jeba i jego ludzi, jeśli jeszcze nie zginęli.

Biegł w stronę strzelnicy.

Usłyszał, że warkot silników śmigłowca zmienił ton, gdy Bellasar ruszył w pościg za nim. Choć nadal dzwoniło mu w uszach, usłyszał helikopter tak blisko siebie, że musiał rzucić się na ziemię. Helikopter przeleciał nad nim, rozwiewając mu włosy. Zanim Bellasar zdążył zawrócić, Malone podniósł się i pognął dalej.

Ta część posiadłości nie ucierpiała w wyniku ataku Malone'a. Korzystając z osłony żywopłotów, drzew i krzewów, zbliżał się do strzelnicy. Drzewa z lewej strony nagle zapadły się pod ziemię, skoszone serią z działa. Dał nura w dół chwilę przed tym, gdy żywopłoty, między którymi biegł, rozpadły się na strzępy, a w powietrzu zawirowały szczątki gałęzi i liści, gdy helikopter przelatywał nad nim.

I tym razem zanim Bellasar zdążył zawrócić, Malone skoczył na równe nogi i rzucił się do ucieczki. Minął ostatnią linię krzewów, wbiegł na otwartą przestrzeń i dotarł do drewnianych stanowisk strzelnicy. Po prawej stronie stało działo kalibru 50 mm, które Bellasar kiedyś w niego wymierzył. Lecz gdy Malone próbował się do niego zbliżyć, Bellasar wystrzelił, wzbijając w powietrze ziemię i trawę. Między Malone'em i działem powstał rów.

Malone spróbował jeszcze raz i znów kule Bellasara odcięły mu drogę. Drań ma świetną zabawę. Rozsierdzony spojrzał w inną stronę. Za stanowiskami znajdowała się imitacja wioski, która służyła Bellasarowi i jego klientom do testów. Została odbudowana, odkąd Malone widział ją po raz ostatni. Przypadł do jednego ze stanowisk, włączył przycisk, który kilka miesięcy wcześniej na jego oczach wcisnął Potter, i ruszył w stronę ożywionej nagle wioski, gdzie po ulicach poruszali się żołnierze, cywile i pojazdy.

Seria z działa maszynowego rozorała trawnik z prawej strony. Odbijając w lewo, lecz nie przerywając biegu w kierunku wioski, Malone zeszywniał ze strachu na myśl o kolejnej serii, która zostanie wymierzona w tym kierunku. Przewidując, co się teraz stanie, zrobił zwrot w prawo sekundę przed tym, gdy kolejna seria zdewastowała trawnik z lewej strony. Tym razem kule uderzyły bliżej niego. Bellasar zaczął się nudzić zabawą.

Wioska zamajaczyła przed nim. Pokonując zygzakiem ostatnie dwadzieścia metrów, skoczył za kamienny mur, upadł ciężko i jęknął od bólu w żebrach. Podczołgał się szybko do naroża kamiennego budynku, gdzie skrył się za stertą

gruzów. Helikopter zaatakował wioskę z obydwu dział. Wyrwał dziurę w ścianie, zniszczył narożnik budynku i wzbil w powietrze bruk z ulicy.

W chwili gdy śmigłowiec przeleciał nad dachami domów, Malone wybiegł na ulicę i zaczął biec. Zanim Bellasar zawrócił, skręcił w lewo na podwórze i rozciągnął się za kolejnym murem. Oddychał ciężko. Z twarzy kapał mu pot. Gdy wytarł się, zauważył, że na dłoni została mu krew. Uzmysłował sobie, że od wstrząsów bliskich eksplozji popłynęła mu z nosa krew.

Bellasar lustrował wioskę z góry.

- Niech ci się nie wydaje, że się ukryjesz - ryknął z głośnika. - Ten śmigłowiec wyposażony jest w noktowizor i czujnik ciepła! Gdy tylko się ściemni, bez problemu namierzę twój ślad!

Malone przyglądał się wojskowemu jeepowi załadowanemu przebranymi za żołnierzy manekinami. Jeep poruszał się po torach. Inne manekiny przebrane za cywili także znajdowały się na torach, dzięki czemu „chodziły”.

- I nie wyobrażaj sobie, że poczekasz, aż skończy mi się paliwo! - zagrział głos Bellasara. - Zanim do tego dojdzie, wszystko zrównam z ziemią!

Cieżarówka wioząca manekiny przebrane za robotników była tak realistyczna, że w głowie Malone'a zaczęła kiełkować pewna myśl, lecz eksplozja rakiety, która wysadziła w powietrze ciężarówkę, przerwała mu tok myśli. Płonące manekiny, niektóre bez rąk i głów, zostały rozrzucone po okolicy. Z ciężarówki buchnął ogień. Gdy Malone'a otoczył czarny dym, jego nozdrza podrażnił smród kordytu, przypalonego metalu i płonącej benzyny.

Płonąca benzyna? Czyżby Bellasar był aż tak skrupulatny?

Helikopter przecinał niebo nad wioską, kontynuując poszukiwania. Gdy tylko Bellasar poleciał w drugą stronę, Malone wybiegł z kryjówki i doskoczył do jeepa. Obawiając się powrotu śmigłowca, wyrwał karabin jednemu z manekinów i znów schronił się za murem.

Dysząc ciężko, obejrzał broń. M-16. Z pełnym magazynkiem. Czy w takim razie granaty, w które uzbrojono manekiny, też są prawdziwe? Po co...

Żeby efekty dźwiękowe i wizualne były jak najbardziej realistyczne, zrozumiał Malone, czując dreszcz emocji. Gdy Bellasar i jego klienci przeprowadzali testy, eksplozje musiały podpalać benzynę w pojazdach, a także wywoływać detonację granatów i amunicji. Tak jak podczas rzeczywistego ataku, kiedy celem są oddziały wojskowe.

Śmigłowiec zawrócił i zaczął lecieć w kierunku Malone'a. Zaraz nade mną przeleci, pomyślał Malone z coraz szybciej bijącym sercem. Zobaczy mnie za tym murem.

Pędząc w stronę bocznej uliczki, Malone usłyszał, że helikopter zwiększył prędkość. Zauważył mnie! Zaczął biec między domami i zaklął, gdy się okazało, że znajduje się w ślepych zaułku, na końcu którego zobaczył drzwi.

Jeśli to tylko atrapa, jeśli są zamknięte...

Nie miał wyboru. Wiedział, jaki będzie następny ruch Bellasara. Biegąc co sił w nogach, dopadł wreszcie do drzwi. Szarpnął za zasuwę i otworzył je. Nie zatrzymując się, biegł dalej. Ujrzał otwarte okno, skoczył przez nie i nie zdążył paść na ziemię, gdy eksplozja popchnęła go jeszcze dalej: Bellasar trafił rakieta w drzwi. Siła wybuchu sprawiła, że ściany runęły, a gruzy śmignęły w powietrzu. Gdy Malone wylądował na kamiennym podwórzu, ból w żebrach omal nie przyprawił go o utratę przytomności. Przelatywały nad nim kawałki kamieni. Otoczyły go tumany kurzu i dymu.

Dym. Pomimo bólu powróciła myśl, która zakiełkowała w jego głowie już wcześniej. Dym. Pożary w zburzonych budynkach tworzyły tyle dymu, że ta część wioski była nim całkowicie spowita. Bellasar nie widział, gdzie schował się Malone.

Nieprawda. Obracające się łopaty rozwiewały dym, pozwalając Bellasarowi na lustrowanie ruin.

Ale dym zadziała, postanowił Malone. Musi go tylko być wystarczająco dużo.

Krzywiąc twarz od bólu w żebrach, zmusił się do przebiegnięcia podwórza. Nabierając prędkości, wybiegł na ulicę i zauważył nadjeżdżającego jeepa. Zdjął kurtkę i uformował z niej prowizoryczny tobolek. Wskoczył na jeepa i zaczął wpychać do tobolek granaty, w które uzbrojone były manekiny. Słyszając, że zbliża się helikopter, chwycił jeszcze dwa granaty, zeskoczył z wozu i schował się w drzwiach budynku, gdy Bellasar przeleciał nad nim.

Z trudem nabierając powietrze w płuca, odciągnął zawleczkę i rzucił granatem w odjeżdżającego jeepa, po czym ruszył biegiem w przeciwną stronę. Zza rogu wyłoniła się ciężarówka. Też rzucił w nią granatem i pobiegł dalej. Eksplozja pierwszego granatu wypaliła wnętrze jeepa, doprowadziła do wybuchu zbiornika z benzyną, a także zdetonowała amunicję w karabinach manekinów. Usłyszał charakterystyczne pukanie naboju, po czym skrzywił się od jeszcze głośniejszej eksplozji drugiego granatu, w wyniku której ciężarówka stanęła płomieniach. Cały

czas biegnąc, rzucił trzecim granatem - w pikapa, czwartym w autobus, piątym w kombi. Serii wybuchów towarzyszyły wznoszące się do nieba kolumny gęstego czarnego dymu z płonącej benzyny i opon.

Bellasar strzelał w dym, lecz Malone znajdował się już w innym sektorze, wysadzając w powietrze samochód półciężarowy, kolejnego jeepa i kolejnego pikapa. Wybuchy benzyny i amunicji potęgowały chaos i tworzyły jeszcze więcej dymu. Smród był tak nieznośny, że Malone schylił się i zakasłał. Pożar rozprzestrzenił się na budynki. Ubrane po cywilnemu manekiny nie przestały poruszać się po torach, choć trawił je ogień.

Gęstniejący dym zaczął kłaść się na polach wokół wioski. Korzystając z takiej osłony, Malone ruszył pędem w stronę stanowisk strzelniczych. Nie przestawał myśleć o działku kalibru 50 mm. Bellasar wcześniej odciął mu do niego drogę. Gdyby wtedy Malone nie dał za wygraną, Bellasar zapewne uznałby, że zagrożenie jest zbyt poważne, żeby dalej się z nim bawić i skończyłby z nim.

Zmiana dźwięku silników śmigłowca uświadomiła Malone'owi, że Bellasar zauważył, jak biegnie przez zadymione pole.

Nie!

Biegł co tchu.

Helikopter pędził w jego stronę.

A jeśli działko nie ma amunicji? A jeśli...

Biegnij!

Bellasar strzelił do niego, ale chybił.

Szybciej!

W prowizorycznym tobołku z kurtki wciąż znajdowało się kilka granatów. Z obolałymi nogami, ciężko dysząc, chwycił jeden z nich, wyciągnął zawleczkę, dopadł do działka, obrócił się i cisnął granatem z całej siły w stronę helikoptera. Był zbyt zdesperowany, żeby martwić się o odłamki. Odwrócił się do umieszczonego na trójnogu działka i krzyknął triumfalnie na widok wystającego z niego pasa amunicji.

Granat eksplodował przed helikopterem, którym zakołysała fala uderzeniowa, a odłamki zabębniły w pleksiglasową osłonę. Wybuch odwrócił na moment uwagę Bellasara.

Malone przez krótką, lecz intensywną chwilę ujrzał jego wykrzywione z wściekłości rysy. Z tyłu oszalali ze strachu Potter i Ahmed rozpaczliwie szarpali za pręt, do którego zostali przykuci kajdankami. Malone odciągnął mechanizm

uzbrajający działa, podniósł lufę do góry i pociągnął za spust. Tempo strzałów było tak wielkie, że mógł stracić kontrolę nad bronią. Lecz choć przed kilkoma miesiącami, gdy Bellasar pozwolił mu wypróbować działą, odrzut wydawał mu się potężny, teraz, pałając gniewem, operował nim swobodnie. Silne wstrząsy, przypominające rozpedzoną lokomotywę, wzmagały ból w jego ciele, lecz on wzniósł się ponad ból. W następnej niekończącej się chwili stopił się z działem w jedno, wycelował i nacisnął spust. Naboje miały wyjątkowo potężny ładunek i wybuchowe główce. Bellasar był z nich taki dumny. Teraz deszcz pocisków zasypał helikopter, posyłając go z Bellasarem, Potterem i Ahmedem do diabła.

Eksplozja była tak potężna, że wcisnęła Malone'a w ziemię i tym razem - choć zdążył jeszcze ujrzeć, jak ognista kaskada spływa na ziemię - rzeczywiście stracił przytomność. Nie wiedział, jak długo leżał nieprzytomny: minutę czy pięć minut. Po ocknięciu się wiedział tylko, że na polu palą się szczątki helikoptera. Nie miał jednak czasu na radowanie się ze swego zwycięstwa. Nie cieszył się. Nie czuł satysfakcji. Bo i z czego? Wprawdzie przeżył i dopełnił zemsty, ale nie zwyciężył. Ślaniając się na nogach, mijał okaleczone drzewa i żywopłoty, kierując się w stronę klauzury. Siena! Nie przestawał o niej myśleć i gdy potykając się, przyspieszył biegu, rozdzierającym głosem krzyknął jej imię.

- SIENA!

11

Czas okazał się zwodniczy. Choć wydawało mu się, że minął kwadrans, w rzeczywistości upłynęła godzina. Gdy dotarł do klauzury, na schodach przed głównym wejściem znalazł nieprzytomnego Jeba, który leżał w kałuży krwi z przestrelonym ramieniem.

- Teraz ja jestem twoim dłużnikiem - powiedział Malone.

Z pobliskiej wioski odległej o dwadzieścia kilometrów przybyli policjant i lekarz, zaalarmowani odgłosami silnych eksplozji. Gdy lekarz opatrywał Jeba, policjant i miejscowi ludzie, których wezwał telefonicznie, przeczesywali teren posiadłości w poszukiwaniu innych pozostałych przy życiu ludzi. Trzej towarzysze Jeba (w tym Dillon) zostali ranni. Dwaj zginęli. Zdenerwowany do nieprzytomności Malone zbiegł schodami na korytarz prowadzący do komory Sieny.

Wciąż znajdowali się tam Rosjanie, wstrząśnięci faktem, że Bellasar zdobył się na użycie broni. Pobladli nie odwracali wzroku od okien, za którymi znajdowała się Siena. Po tak długim oczekiwaniu ze strachem w oczach przemierzała pokój w tę i z powrotem. Przez weneckie okno Malone patrzył, jak szarpie rozpaczliwie za klamkę, a następnie bada wzrokiem sufit, próbując znaleźć jakieś wyjście. Siniaki wyraźniej odznaczały się na jej twarzy. Patrzył na nie z krwawiącym sercem. Obiecał sobie, że już nigdy nic nie skazi jej urody.

- Jak długo rozwija się choroba? - zapytał przygarbionego Rosjanina.

- Zazwyczaj od siedmiu do dziesięciu dni - odparł posepnie.

- Zazwyczaj?

- Dokonałiśmy zmian genetycznych, żeby przyspieszyć zmiany. Wszystko w ramach laboratoryjnego eksperymentu. Nawet nam się nie śniło, że Bellasar użyje wirusa.

- A więc jak długo?

- Trzy dni.

- Czy ona wie, że została zarażona?

Z jeszcze bardziej posepną miną Rosjanin pokręcił głową.

Malone poczuł mdłości. Gehenna, którą przeszedł, tak bardzo go osłabiła, że ledwie utrzymywał się na nogach. Ale nie przejmował się tym. Wszedł do gabinetu, podniósł słuchawkę i wybrał podany mu wcześniej przez Bellasara numer.

Po drugiej stronie okna Siena gwałtownie odwróciła się w stronę stojącego na stole telefonu. Choć Malone ze swego miejsca nie słyszał dzwonka, podniosła słuchawkę.

- Chase?

- To ja, kochanie.

- Tak bardzo się martwiłam. Mówiłeś, że już po mnie idziesz i gdy się nie zjawiłeś...

- Coś mnie zatrzymało.

- Twój głos... - Wyprostowała się. - Nic ci nie jest?

- Jestem zmęczony. Poobijany. A poza tym... Chcesz usłyszeć dobrą nowinę?

- O Boże, tak.

- Koszmar się skończył. On nie żyje. Nie musisz się już go bać.

Przez chwilę nie reagowała. Wydawało się, że nie wierzy własnym uszom. W jej oczach zabłyśły łzy, które popłynęły ciurkiem po jej okaleczonej twarzy.

Całym sercem Malone pragnął ją teraz przytulić. Wyobrażał sobie, jak bardzo cierpi, nie widząc nic poza pokojem.

- Wydostań mnie stąd - powiedziała. - Proszę.

- Nie mogę. - Głos odmawiał Malone'owi posłuszeństwa. - Jeszcze nie teraz.

Dopiero za pięć godzin.

- Pięć godzin? Dlaczego? Nic nie rozumiem.

- To jakiś zamek czasowy. Nie będzie można przez ten czas otworzyć drzwi.

- Zamek czasowy? Pięć godzin?

- Ale nie będziesz sama. Możemy przez cały czas rozmawiać. Teraz, gdy nie musisz się jego obawiać, na co masz ochotę? Gdzie chciałabyś pojechać?

- Na co mam ochotę? To proste. Resztę życia chcę spędzić z tobą.

Wzruszenie chwyciło go za gardło.

- Masz to jak w banku. A gdzie?

- Na pewno stwierdzisz, że to głupie.

- Wątpię. Spróbuj.

- Chciałabym pojechać tam, gdzie moi rodzice spędzili miesiąc miodowy.

- Do Sieny? Do Włoch?

- Tak.

- Nie ma w tym nic głupiego.

Gdy na korytarz wdarli się policjanci, Malone ani myślał kończyć rozmowę ze Sieną o ich wspólnych marzeniach, smutkach i postanowieniach. Zamknął drzwi i energicznym ruchem ręki dał policjantom do zrozumienia, żeby zostawili go w spokoju. Początkowo próbowali siłą dostać się do gabinetu, lecz Rosjanie wytłumaczyli im, co się stało.

Pięć godzin.

Całe wieki.

I zamek otworzył się.

Malone rzucił słuchawkę i wybiegł z gabinetu. Policjanci już dawno opuścili budynek w obawie, że Rosjanie mogli popełnić jakiś błąd i że choroba wciąż jest zakaźna. Zniknęli nawet Rosjanie, ostatecznie tracąc wiarę w skuteczność wymyślonego przez nich zabezpieczenia.

Na korytarzu pozostał jedynie Malone. Było mu wszystko jedno, czy się zarazi. Bez Sieny życie nie przedstawiało dla niego żadnej wartości. Nie wiedząc, jak jej

wszystko wyjaśnić, wszedł do komory. Rzucili się sobie w ramiona, jakby nie widzieli się od lat. Całowali się, jakby robili to po raz ostami.

Epilog

Siena położona jest wśród malowniczych wzgórz Toskanii. Jej słynna katedra ma kunsztownie rzeźbioną fasadę, gdzie na białym marmurze odbija się zieleń i róż kamieni. Sienneński *piazza* - półkolisty, wklęsnięty niczym połowka gigantycznej muszli, wybrukowany czerwoną, tworzącą wzór w jodełkę cegłą - otoczony jest średniowiecznymi pałacami. Historyczna część miasta w większości się zachowała. Stare bramy, kręte, wąskie uliczki, kamienne budynki i spadziste, kryte rdzawą dachówką dachy w tajemniczy sposób odciągały uwagę od samochodów, motocykli i linii elektrycznych i - podobnie jak *piazza* - przenosiły w przeszłość.

Takie wrażenie odniósł Jeb Wainright, gdy sunął ceglana ścieżką, otworzył szarą drewnianą furtkę i znalazł się w ogrodzie pulsującym kolorami kwiatów, których czerwień, purpura i zieleń kontrastowały z ognistymi barwami ziemi, z których słynie Siena. Ubrany był w niebieską koszulkę polo, dżinsy i sportowe buty. Niósł przewieszony przez lewe ramię futerał z aparatem fotograficznym. Od czasu do czasu pocierał to ramię, jakby dręczył go uporczywy ból.

Z domu na słońce wyszedł starszy mężczyzna w pobrudzonych ogrodniczkach i słomianym kapeluszu.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał po włosku.

Jeb, który często pracował we Włoszech, znał ten język.

- Szukam człowieka, który wynajmuje tu pokoje. Amerykanina - odpowiedział.

- *Signor* Malone?

Jeb starał się sprawiać wrażenie osoby powściągliwej.

- Tak, dawno się nie widzieliśmy.

Zakłopotany wyraz twarzy Włocha wprowadził z kolei Jeba w zakłopotanie.

- Jest tam gdzie zawsze. - Siwobrody mężczyzna wskazał na furtkę po przeciwnej stronie, za którą kwitły krzewy.

- *Grazie*.

Masując znów lewe ramię, Jeb podszedł ścieżką do furtki, słysząc bzyczenie pszczoł wśród kwiatów. Otworzył ją i znalazł się w innym ogrodzie, w którym gęsta trawa graniczyła z ozdobnymi krzewami, a cienia dostarczały drzewa.

Po lewej stronie ujrzał mężczyznę, który był tak zaabsorbowany pracą - stał przed płótnem na sztalugach z pędzlem w ręku - że nie usłyszał skrzypnięcia furtki. Obraz ukazywał najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widział Jeb.

Modelka siedziała w wiklinowym fotelu na tle panoramy miasta w kolorach ognistego brązu. Jeb przypomniał sobie, że kiedyś uroda tej kobiety tak bardzo go onieśmiała, że odwracał od niej wzrok. Podchodząc do nich, walczył z tym samym impulsem.

Na jego widok Siena poruszyła się niespokojnie w fotelu, po czym wstała, przecięła ogród i zniknęła za drzwiami.

Zasmucony jej odejściem Malone odwrócił się, żeby zobaczyć, kto przerwał im sesję.

- Jeb? - Zamrugał oczami, jak gdyby im nie dowierzał.

- Jak się masz, staruszkule? Obiecałeś, że się odezwiesz. Zaczęłam się już martwić.

Zaskoczony przybyciem Jeba Malone nie odpowiedział od razu, sprawiając wrażenie, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Obiecałem? Ach tak, chciałem się odezwać.

- Ale byłeś zbyt zajęty?

- Coś w tym rodzaju.

- Trudno cię znaleźć - oznajmił Jeb. - Miałem tylko jedną wskazówkę: według Rosjan obiecałeś Sienie, że ją tutaj przywieziesz.

- To piękne miasto.

- Widziałem. Gdy następnym razem przyjdzie mi się ukrywać, wybiorę właśnie to miejsce. - Jeb zerknął na drzwi, za którym zniknęła Siena, po czym znów spojrzał na Malone'a. - Jak wam się żyje?

Malone zawahał się.

- Dobrze. - Pomyślał przez chwilę. - W tej sytuacji.

- Dobrze wyglądasz.

- Ty też. - Malone przyjrzał mu się. W końcu zapytał wprost. - Po co przyjechałeś, Jeb?

- Żeby zobaczyć się ze starym kumplem i sprawdzić, jak się miewa. Może żeby wypić z nim parę piw. Nadrobić stracony czas.

Malone wpatrywał się w swoje dłonie.

- Chyba nie jestem zbyt uprzejmy.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Figlarny sarkazm Jeba wywołał lekki uśmiech na twarzy Malone'a. Lecz po chwili spowaźniał.

- Jak ramię?

- Ta cholerna kula nadszarpnęła nerw czy coś takiego. Mam ciągle skurcze.

- Przykro mi.

- Nie ma sprawy.

- Ależ przeciwnie. Dużo dla mnie zrobiłeś. - Malone zerknął w stronę drzwi. -

Dla nas. A co z pracą?

- Laster wściekał się, że przeprowadziłem operację za jego plecami. Przydzielił mnie do pracy w biurze do czasu, gdy zechce ponownie powierzyć mi zadanie w terenie.

- Wiem, jak siedzenie przy biurku działa ci na nerwy.

- Były tego dobre strony. Miałem szansę przyjrzeć się Lasterowi.

Malone zmarszczył brwi.

- Zastanawiałem się, kto był informatorem Bellasara w Agencji - powiedział Jeb. - Od samego początku nie dawało mi spokoju, że Laster tak szybko dał się przekonać, że wyłowione z rzeki ciało jest twoje. Bardzo szybko odwołał też akcję ratunkową, którą zorganizowałem na wypadek, gdyby udało ci się wydostać Sienę z posiadłości Bellasara. No i inne rzeczy: sprowadzenie was do bazy w Wirginii i przeciąganie przesłuchania, choć było wiadomo, że nie wydobędziemy z was więcej informacji. Potem ludzie Bellasara pojawili się nagle w bazie, po czym równie błyskawicznie Bellasar dowiedział się o waszym pobycie w Meksyku.

Wzrok Malone'a sposepniał.

- Więc sprawdziłem go. Ma żonę i dwójkę uczących się dzieci. Nie żyje ponad stan. Początkowo, gdy go śledziłem, wydawał się prowadzić najnudniejsze na świecie życie. Lecz któregoś weekendu wbrew zwyczajom nie pojechał do domu, tylko do Baltimore. Okazało się, że prowadzi tam inne życie, ma inny dom i inną kobietę - dwadzieścia lat młodszą. Pod innym nazwiskiem założył sobie rachunek bankowy na Wyspach Bahama, gdzie wpływają przelewy od jednej z korporacji Bellasara. Grozi mu dwadzieścia lat paki.

- Za mało. - Głos Malone'a stwardniał. - Ale gdy wyjdzie, czeka go jeszcze rozmowa ze mną.

- Porozmawiaj ze mną. Chase, naprawdę. Wszystko w porządku?

- Jasne.

- A co z... - Jeb wskazał na drzwi.

- Świetnie.

Za oknem słońce oświetlało liczne obrazy na ścianie. Wszystkie ukazywały tę samą piękną kobietę.

- Nie marnowałeś czasu.

- Nie brakuje mi tu dwóch rzeczy: czasu na malowanie i natchnienia. Gdy artysta znajduje swoją Beatrycze... - Malone spojrzął na portret, nad którym pracował, pogrążony w myślach.

- Nie zaproponujesz mi tego piwa?

- Przepraszam. - Malone był wyraźnie niezadowolony z siebie. - Chyba wciąż nie jestem zbyt uprzejmy. Usiądź. Zaraz wracam.

Ale Malone wrócił dopiero po kilku minutach. Do siedzącego na ławce Jeba docierał szmer rozmowy.

Wreszcie Malone wyszedł z dwoma piwami.

- Siena nie przyłączy się do nas? - zapytał Jeb.

- Jest trochę nie w sosie.

- Fatalnie. Bardzo chciałem z nią porozmawiać.

- Pozdrawia cię gorąco.

- Pozdrów ją ode mnie.

I tak minęła im godzina. Prowadzili wymuszoną rozmowę, tak jak dwaj przyjaciele, których ścieżki życia rozeszły się. Jeb opowiedział mu o staraniach CIA i strony francuskiej, żeby zatuszować incydent w posiadłości Bellasara. Podano oficjalnie, że miał miejsce wypadek w jednym z zakładów przemysłowych.

Malone i Jeb unikali tylko jednego tematu: nie rozmawiali o trzech tygodniach, podczas których Malone walczył o życie Sieny. Ponieważ nikt nie wiedział na pewno, czy zabezpieczenie opracowane przez Rosjan rzeczywiście unieszkodliwi wirusa po sześciu godzinach, klauzurę objęto kwarantanną. Gdy ubrane w szczelne skafandry grupy ratunkowe usunęły z posiadłości zabitych i rannych, na przestrzeni tysiąca metrów kwadratowych ustalono granicę, której nikomu nie wolno było przekraczać.

Wśród gruzów wznosił się niczym duch jedyny ocalały budynek: klauzura, którą zamieniono w prowizoryczny szpital. Malone, instruowany telefonicznie przez lekarzy, zajmował się Sieną: próbował zbić jej temperaturę, podawał lekarstwa, robił zimne okłady i pobudzał w niej chęć do życia.

Jedna z najstraszniejszych epidemii, czarna ospa, została opanowana w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku. Od tamtej pory zanotowano tylko kilka odosobnionych przypadków. Ponieważ niewielu praktykujących lekarzy zetknęło się z jej niszczycielskim działaniem, poproszono Malone'a, aby szczegółowo notował symptomy choroby, tym bardziej że była to nowa forma wirusa. Jego nieprzewidywalność stanowiła główny powód, dla którego władze postanowiły nie przenosić Sieny do szpitala. Lekarstwa i żywność zrzucano na spadochronach. Teoretycznie choroba Sieny nie była zaraźliwa, więc podjęte środki ostrożności były niepotrzebne. Lecz gdyby u Malone'a pojawiły się symptomy, planowano zrzucić na posiadłość bombę cieplną i w ten sposób całkowicie zniszczyć wirusa.

Malone nie znał tych planów. Tak jak Jeb, który wracał do zdrowia w szpitalu, nie wiedział o tym, przez co przechodzi Malone w klauzurze.

Jeb mógł sobie tylko wyobrażać, co się tam działo, i zasięgać języka u lekarzy. Później udostępniono mu notatki sporządzone przez Malone'a, gdy opiekował się chorą. Najpierw pojawiła się gorączka. Czterdzieści jeden stopni. Później nastąpiły wymioty, biegunka i delirium. Wreszcie wystąpiła podskórna wysypka szkarłatnych, krwotocznych krost. Lekarze poinformowali Jeba, że na tym etapie ryzyko śmierci jest największe. Krosty pokryły twarz i szyję Sieny. Później zamieniły się w nabrzmiałe pęcherze. W końcu popękały i zaschły w strupy. Przez cały czas potworne swędzenie nie dawało chorej ani chwili wytchnienia. Choć była osłabiona, tak uporczywie próbowała drapać się po twarzy, że Malone nie miał już siły przytrzymać jej rąk i w końcu musiał przywiązać je do łóżka.

Gdy pojawiła się nadzieja, że Siena wyżyje i że wirus nie jest zaraźliwy bez swego towarzysza, władze przerwały kwarantannę i umieszczono Sienę w szpitalnej izolatce, obserwując uważnie Malone'a na wypadek, gdyby wystąpiły spóźnione symptomy. Tymczasem rekonwalescencja Jeba dobiegała końca. Gdy w końcu zezwolono mu na wizyty, Jeb z ramieniem w temblaku wybrał się w odwiedzin. Ale Malone'a i Sieny już nie zastał...

Gdy rozmowa utknęła w martwym punkcie, Jeb dopił do końca piwo. Bryza zaszeleściła wśród liści. Odległy pomruk ruchu ulicznego mieszał się z dźwiękami wydawanymi przez pszczoły w ogrodzie.

Malone nie zaproponował mu drugiego piwa.

- Kiedy spodziewają się ciebie z powrotem w Waszyngtonie?

- To jeszcze nie zostało ustalone - odparł Jeb. - Może zjemy razem kolację?

- Nie wychodzimy zbyt często.
- Może więc tylko my.
- Nie chciałbym zostawiać Sieny samej.
- Naturalnie - odparł Jeb. - Może wpadnę jutro.

Malone nie odpowiedział.

- Zatrzymałem się w tym hotelu - kontynuował Jeb, wręczając mu zabraną z recepcji wizytówkę. - Na wypadek gdybyś zmienił zdanie...

- Dobrze. - Malone wsunął wizytówkę do kieszeni koszuli.

- A więc... - Jeb pokręcił głową. - Pożegnaj ode mnie Sienę. Przekaż jej pozdrowienia ode mnie. - Czując się niezręcznie, spojrzął na płótno. - Dzieło sztuki. Nigdy lepiej nie malowałeś.

- Tak.

- Pozostałe obrazy... - Jeb wskazał na portrety, które widział za oknem. - Też są wyjątkowe.

- Nigdy też nie tworzyłem pod wpływem takiego natchnienia.

- Uważaj na siebie - powiedział Jeb. - I na nią.

- Wierz mi, że nic innego nie przychodzi mi z większą łatwością.

Gdy Jeb otworzył furtkę, Malone wszedł do domu. Siwobrody mężczyzna zagadnął Jeba z ogrodu:

- Udała się wizyta?

- Trudno powiedzieć.

- Pana przyjaciel jest tak bardzo przywiązany do swej żony - oznajmił z podziwem mężczyzna. - Nigdzie nie wychodzą. Całkowicie wystarcza im własne towarzystwo. Mieszkają tu od sześciu miesięcy, a pan jest ich pierwszym gościem.

- Mają siebie. Czego jeszcze można chcieć?

- Widział pan obrazy?

Jeb kiwnął głową.

- Maluje tylko swoją żonę - dziwił się staruszek. - Nic innego.

- Nie musi malować nic innego, skoro te portrety są tak wyjątkowe.

- Nie, czegoś tu nie rozumiem. - Staruszek zawahał się. - Widział ją pan?

- Przelotnie. Gdy wszedłem do ogrodu, ona schowała się w domu.

- Zawsze to robi. Unika ludzkich spojrzeń. Co jej się stało?

- Czarna ospa.

- A jednak na obrazach jest wciąż piękna.

- Bo jest piękna.

Staruszek wyglądał na skonsternowanego.

- Maluje ją taką, jaką ją widzi.

Jeb minął kolorowe kwiaty i przystanął przy drewnianej furtce.

Tak bardzo ją kocha, pomyślał, że pozostanie dla niego najpiękniejszą kobietą na świecie.